



ELŻBIETA CEGLAREK

DRUGIE  
ŻYCIE  
LENY

**Elżbieta Ceglarek**

**Drugie życie Leny**

## **Projekt okładki**

Krzysztof Krawiec

## **Korekta**

Małgorzata Stempowska

Copyright © by Elżbieta Ceglarek, 2016

ISBN 978-83-944670-1-2

Napisałeś książkę i chcesz ją wydać? Zapraszamy do serwisu [Rozpisani.pl](http://Rozpisani.pl).

Znajdziesz tu szeroki zakres usług wydawniczych, dzięki którym Twoja książka trafi do księgarń.

Pomożemy Ci dotrzeć do czytelników na całym świecie!

Kontakt

[www.rozpisani.pl](http://www.rozpisani.pl)

[info@rozpisani.pl](mailto:info@rozpisani.pl)

Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

## Spis treści

Pierwsze spotkanie... W kawiarni Szara rzeczywistość Praca, praca... Randka U mnie Praca, praca... Szara rzeczywistość Po pracy Na Mokotowie Nie wiem, co robić Trudne rozmowy – ciąg dalszy Zwykle dni Nie odpuścił Wyprawa do kliniki Co się ze mną dzieje? U Marcina Wizyta Magdy Lubię robić niespodzianki Szare dni Wyprawa w góry Szara rzeczywistość Wizyta Urszuli Szara rzeczywistość W klinice Marcina Znów trudne pytania W prywatnym gabinecie Marcina W klinice Marcina Szara rzeczywistość W klinice Jeremiasza Dom rodziców Marcina Szara rzeczywistość Jadę do rodziców Spotkanie po latach Trudne rozmowy z mamą Przyjazd Marcina Powrót do Warszawy Szara rzeczywistość Przyłot Pauliny Hiszpania Zwykle dni Nieporozumienie Kryzys Szara rzeczywistość Przed wyjazdem W Sopocie Pierwsze oświadczyły Szkolenie w Krakowie Byłam zdruzgotana Szara rzeczywistość Kawalerskie z Arturem Byliśmy zdziwieni U Artura Na ginekologii – szczerą rozmową z Magdą Drugie oświadczyły Szara rzeczywistość Koncert w Rzeszowie Ślub

**Nigdy nie wchodzi się dwa razy**

**do tej samej rzeki...**

**współczesne kino – marzenie**

*Podziękowania składam mojej przyjaciółce Agnieszce,*

*która zechciała poświęcić swój czas i przeczytać tę książkę jako pierwsza.*

*Elżbieta Ceglarek*

## Pierwsze spotkanie...

Padało. Co ja wygaduję? Lało jak z cebra! Zwyczajne oberwanie chmury! Koszmar jakiś!

Właśnie siedziałam w swoim samochodzie i w rękę dzierżyłam kierownicę. Znajdowałam się w samym sercu stolicy. Warszawę od dawna uważałam za swoje miasto. Znałam ją wystarczająco dobrze, na tyle dobrze, aby nawet w nie najlepszych warunkach atmosferycznych móc sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa drogowego.

Jechałam szybko, chociaż w zasadzie nie powinnam. Chyba jednak nie wariowałam aż tak, by wytykać mnie palcami i pukać się nimi po czołach.

Co za niereformowalni ludzie, kierowcy niedzielni! Zero szacunku do drugiego człowieka. I to tylko dlatego, że jadę trochę bardziej dynamicznie od nich, gdyż zwyczajnie się spieszę. Moją głową szarpnęła myśl usprawiedliwienia się przed światem, a ja szarpnęłam się na siedzeniu ze złości.

Próbowałam w jakikolwiek sposób wyładować się na kimkolwiek, lecz nikogo nie było pod ręką. W samochodzie byłam zupełnie sama.

– Cholera jasna – zakląłam głośno. Uznałam, że przynajmniej to mogę. Nikt mnie przecież nie słyszał. Wściekałam się i dosłownie, i wyłącznie dla lepszego samopoczucia. Miałam potrzebę rozładowania skumulowanych emocji, które sięgały prawie zenitu. Stan, który mnie trawił, złośliwi, o ile pamiętam, nazywają zespołem przedmiesiączkowym.

Co ma piernik do wiatraka? Uśmiechnęłam się pod nosem. W końcu zwolniłam. Starłam się wyciszyć. Przez pewien czas ze stoickim spokojem szukałam miejsca do zaparkowania. Jak zwykle takowego nie mogłam odnaleźć.

Ciągle siąpiło i siąpiło, a ja niestety nie miałam parasolki. Nie lubiłam nosić ze sobą szmatki na patyku ani tego typu gadżetów. Między innymi dlatego nie miałam teraz przy sobie tak niezbędnego sprzętu.

Przydałaby się ta cholerna umbrella! Nie uśmiechał mi się spacer w strugach deszczu. Zanim dojdę do urzędu, zmoknę niczym kura. Jak ja będę wyglądała? Normalnie, jak człowiek przemoczony deszczem – odpowiedziałam sama sobie i westchnęłam.

Coś się ruszyło. Nareszcie. Z parkingu bardzo powoli wyjeżdżał żółty citroen. Prowadziła go elegancka pani.

Muszę zdążyć! Postanowiłam i wtarabaniłam się na jej miejsce.

Kobieta zwróciła na mnie uwagę, ponieważ manewr skręcania wykonałam zbyt gwałtownie. Udałam, że nic się nie stało, że jej nie widzę. Zignorowałam fakt, że bacznie mi się przygląda.

Chwilę potrwało, zanim się upewniłam, że w końcu mam ją z głowy. Pospiesznie wysiadłam z samochodu. Nie byłam gotowa na kąśliwe komentarze pod swoim adresem. Nie teraz.

Zamknęłam drzwi. Zajrzałam do bagażnika, aby się przekonać, że naprawdę nie ma w nim śladu parasolki, po czym szybkim krokiem ruszyłam przed siebie.

Strome schody w urzędzie miasta, którego próg właśnie przekroczyłam i którego byłam częstym bywalcem, zawsze wydawały mi się niebezpieczne. Ile razy poruszałam się po nich, pokonując odległość w górę czy w dół (nie wiem, dlaczego nie korzystałam z windy), tyle razy myślałam, jak łatwo można z nich spaść i zrobić sobie krzywdę, nawet w biały dzień. Pozanosiłam pisma i schodziłam na dół.

A co dopiero mogłoby się stać, gdyby tędy wchodziło lub schodziło dziecko? Chwilowo odezwała się we mnie bujna wyobraźnia i włączyło zboczenie zawodowe. Większość nauczycieli wykazałaby podobną troskę. Nasza belferska świadomość wyposażona jest w ogrom bezwarunkowych przemyśleń i wrodzoną odpowiedzialność za dzieci. Oczywiście w pierwszej kolejności należałoby wziąć pod uwagę nauczycieli pracujących w przedszkolach. A ja należałam do tego grona.

Kiedy moje myśli przepowiadały katastrofę na schodach, wydarzyłaby się ona faktycznie, gdyby nie ramiona przypadkowego mężczyzny. Zanim się zorientowałam, w czym rzecz, facet złapał mnie i przytulił, mocno trzymając przy sobie. Nie pozwolił mi spaść ze stopni.

– To wszystko przez tę mokrą podłogę. Ludzie nanoszą deszczówki na butach, a inni ślizgają się po niej – zaczęłam się tłumaczyć.

Przez chwilę zastygliśmy w bezruchu, niczym w lawie. Zatrzymał się kadr filmowy. Nastąpiła stop-klatka. Zastygliśmy dosłownie.

Co się dzieje? Mój Boże, co ja wyprawiam? Szybko się ocknęłam i zaczęłam przeproszać nieznajomego, wrywając się z jego objęć i nieco się poprawiając. W nerwowy sposób zaczęłam strzepywać coś z mojego granatowego płaszcza. Założę się, że nawet pod mikroskopem nie znalazłoby się w tej chwili na mokrej tkaninie najmniejszego pyłku.

– Przepraszam, nie chciałam... Naprawdę nie chciałam, nie miałam zamiaru, żeby... żeby tak wyszło – jękałam się.

– Ależ droga pani, nie trzeba, nie gniewam się, nie ma pani, za co przeproszać.

– Ach tak, w takim razie proszę pozostawić mnie w spokoju. Sama sobie poradzę. Nic mi nie jest. Jeszcze raz najmocniej... Głupio mi... – wykonałam dziwny gest, jakbym miała zamiar odepchnąć mężczyznę od siebie.

Cały czas mówiłam, usprawiedliwiałam się, powtarzając ciągle to samo. Staralam się nie patrzeć na twarz nieznajomego. Było mi wstyd, że okazałam się



zwykłą niezdara.

Przeważnie, gdy jest mi niezręcznie, a tak właśnie się czułam, zaczynam się lekko jąkać, a już na pewno robię się czerwona niczym burak, nie tylko na policzkach, ale także na szyi i wszystkich innych odkrytych i zakrytych częściach mojego ciała. Plamy na szyi, co ja gadam: po prostu wielkie, czerwone placki w sytuacjach dla mnie ekstremalnych są znane wszystkim moim bliskim.

– Proszę mnie nie przepraszać, niczego nie wymagam. To dla mnie żaden kłopot, droga pani. Przyrzekam, że nic a nic się nie stało, chociaż jak przypuszczam, mogło... – ręką wskazał na schody.

Spojrzałam na mojego anioła stróża, który nie miał zamiaru przerywać sobie własnych pochlebstw.

– Dzięki Bogu, w porę udało mi się zapanować nad sytuacją, złapać panią i przytrzymać w swoich ramionach, i... – kontynuował.

– I? – Uniosłam brwi ze zdziwienia.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby się stać w przeciwnym razie.

Przez chwilę wydawało się, że mój rozmówca jest nieco speszony. Niestety były to tylko moje pochopne domysły, szybko bowiem okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

– Jeśli pan ocenia to w ten sposób... wobec tego dziękuję. Wielkie dzięki. Bardzo wielkie – powtórzyłam, nie patrząc na swojego wybawcę, lecz w okno, po którego szybach spływały stróżki padającego wciąż deszczu.

Pragnęłam jak najszybciej oddalić się z miejsca tej krępującej sytuacji, lecz nieznajomy się nie zgodził. Przytrzymał mnie za rękę i jak harmonijka rozwinął się w słowach. Nie pozwolił mi odejść.

– Jestem do pani usług. Pomogę w kłopotach. Zrobię wszystko, o co pani poprosi – wykonał ukłon w moim kierunku.

– Przyrzeka pan? – Postanowiłam skorzystać z okazji.

– Oczywiście, że tak.

– A więc najlepiej by było, gdyby zostawił mnie pan w spokoju. Może mnie pan wreszcie wypuścić? Czy mogę odejść? – Ręką wskazałam drzwi.

– A co się stanie, jeśli pani nie posłucham?

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Nie wiem – tego doprawdy nie przewidziałam. – Zresztą to już nie moja sprawa – wzruszyłam ramionami.

– Ale moja owszem. Nie zostawię pani. Tego akurat nie zrobię. Przykro mi. Nie potrafiłbym wyzbyć się pani towarzystwa ot tak. Dla mnie to wielkie wydarzenie. Cieszę się, że dziś właśnie zdarzył się ów... incydent, wypadek, przypadek? – Pytał nie wiadomo kogo.

– Nie mam pojęcia, co pan ma na myśli – udawałam, że niczego nie rozumiem.

– Nieważne, jak to nazwiemy. Ważne, że przypadkowe zrządzenie losu, i chyba niezłe dla mnie szczęście, pozwoliło mi panią spotkać. Poza tym akurat dziś mam urodziny i zrobiłem dobry uczynek. Proszę nie czuć się zakłopotaną. Cała ta sytuacja przecież nie jest pani winą. Przynajmniej nie całkowicie.

Gadał i gadał, jakby go ktoś nakręcił. Cały czas był wesoły i podniecony. Najwyraźniej niezłe się bawił.

Rozkoszne! Ja obchodziłam swoje urodziny wczoraj. Ale nie obnosiłam się z tym faktem po całym świecie. Bynajmniej nie miałam zamiaru, ogłaszać prywatnego święta wszystkim znajomym, a zwłaszcza nieznanym w urzędzie miasta.

A tak w ogóle, co za łaskawca z tego mojego wybawcy. W zasadzie bardziej cwaniaczek. Dobrze, że się ocknął i pomyślał logicznie, uznając, że to nie moja wina z tym lądowaniem w jego ramionach.

A więc to nie była moja wina. Nie moja, że przejechałam się na tych cholernych schodach i... zatrzymałam na jego torsie.

Z politowaniem przedrzeźniałam nieznanego, ale tylko w myślach.

– Powiedział pan, że nie powinnam czuć się winna za sytuację, która miała miejsce przed chwilą. Czyż nie tak właśnie pan się wyraził? Chyba się nie przesłyszałam?

– Oczywiście, że się pani nie przesłyszała. Tak właśnie myślę.

Przyznałam mu całkowitą rację. Przecież każdy w życiu może się potknąć, i to niekoniecznie na schodach. Czy to coś niezwykłego? Byłam coraz mniej pewna swoich przemyśleń, ponieważ przeróżnych potknięć życiowych miałam całkiem sporo na swej dotychczasowej drodze. Chyba było ich trochę za dużo. Oj, dużo za dużo!

Najwyraźniej nieznanomy cały czas fantastycznie się bawił. Natomiast ja nie miałam na to najmniejszej ochoty.

Pełno ludzi w urzędzie, a jemu zebrało się na przemówienia. Przecież życzeń urodzinowych nie będę mu składała. Na głowę nie upadłam. Nie znam faceta.

– Dziękuję panu za fatygę, dziękuję, że w dalszym ciągu żyję. Mam nadzieję, że mogę już spokojnie odejść? Żegnaj pana, aniele stróżu – tym razem ja zażartowałam.

Nie czekając na jego zgodę, ruszyłam przed siebie. Swoją drogą to bardzo ciekawe. Oprócz daty urodzin mojej córki nie znałam prawie żadnej. Ledwie pamiętałam o urodzinach swoich rodziców, ciotek czy wujków. Długo musiałabym się zastanawiać nad datą urodzin mojego przyszłego zięcia, bratowej, brata czy któregoś z moich pracowników, a tu jaki łaskawy los. Chcę czy nie, wiem, kiedy urodził się facet, którego tylko dzięki przypadkowi poznałam i któremu podobno zawdzięczam uratowanie życia. To zawiadomienie dostałam od losu w pakiecie. Nowa znajomość, a wraz z nią informacja urodzinowa. Dosłownie jak w reklamie.

Weźmiesz jedno, dorzucą ci drugie. Co za czasy! Wszędzie jesteście produktem marketingowym. Uśmiechnęłam się.

Szczerze mówiąc, ja właściwie wcale tego faceta nie poznałam, raczej dopiero co spotkałam, i to przez zupełny przypadek. Czy to może coś oznaczać? I komu to potrzebne?

O tym, co to oznaczało i czy było mi potrzebne, czy nie, dowiedziałam się znacznie później.

Nadzieja na moje szybkie pożegnanie świeżo napotkanego pana okazała się złudna. Opuszczenie go stawało się coraz mniej realne. Byłam całkowicie wyczerpana. Marzyłam o jak najszybszym zejściu z owych pechowych stopni. Lecz nieznajomy mi nie pozwolił. Zagadywał dalej i dalej.... Zachowywał się jak natrętna mucha i naprawdę był dobry w tym, co wyprawiał.

A może on jest dziennikarzem? Rany! Nie daj Boże, żeby okazało się to prawdą! Może ma gdzieś ukrytą kamerę? To dopiero byłaby kompromitacja. Zamartwiałam się na zapas, co zresztą było w moim stylu.

– Zapewne zaskoczę panią: muszę się przyznać, że widzę panią w tym miejscu nie po raz pierwszy. I zastanawiam się, czy ten okazały budynek nie jest pani miejscem pracy. Wydaje mi się, że mam rację – ciągnął konwersację z taką łatwością, z jaką ciągnie się gumę do żucia. I nie miał zamiaru przestać, choć w moim mniemaniu stawało się to całkowicie niesmaczne.

– Niestety nie. Zmartwię pana, nie pracuję w tym urzędzie – ucięłam trochę niegrzecznie. Podejrzywałam, że mój rozmówca z lekka blefuje. – Przepraszam, ale muszę już kończyć naszą rozmowę. Bardzo się spieszę – dodałam, schodząc o stopień niżej.

Nie chcę robić sensacji. Tyle osób mnie tu zna – pomyślałam.

– Ja też nie chcę narażać pani na sensację i obmowę – czytał w moich myślach. – Chodźmy więc. Chodźmy stąd razem. Po prostu gdzieś się ulotnijmy, jak kamfora...

– Jak to? Pan mi coś proponuje? Ulotnijmy się? Pan nie powinien... – mojemu zdziwieniu nie było końca.

– Wydaje się, że jest pani zaskoczona. Na szczęście jest mi pani winna przysługę. W końcu uratowałam pani życie, ocaliłam przed nieszczęściem. Nie może pani zaprzeczyć. Zwyczajnie odejść, jakby nigdy nic... Mam nadzieję, że doczekam się podziękowania. Czegoś miłego z pani strony. Chyba mnie pani teraz nie zostawi?

Nieznajomy na wpół serio starał się kontynuować dialog, pomimo, że widział moje zwątpienie i zakłopotanie. Wydawał się zarozumiały, nawet niegrzeczny! Nie wiedziałam, co miałam o nim sądzić?

– Czy pan nie przesadza? – Uśmiechnęłam się wciąż zdziwiona. Odpowiedzi niestety się nie doczekałam. Za to propozycji tak.

– Może napijemy się czegoś razem? Mocna kawa? Ciepła herbata? Zjemy coś? Rozgrzejemy się – dziś taki fatalny dzień... Wrzucenie czegoś na ruszycik dobrze nam zrobi. Zapraszam panią gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Alkoholu nie proponuję, bo jak rozumiem, jest pani w pracy. Przyrzekam, że nie zajmę pani dużo czasu. – Najwyraźniej nie chciał się odczepić, ignorując moje pytanie.

– Nie, nie mogę, naprawdę nie dam rady. I niczego pan nie rozumie. Czas mnie goni! Muszę... – zaczęłam niepewnie, potem pociągnęłam całkowicie poważnym i bardzo stanowczym tonem. Czułam, że jestem tak przeraźliwie zimna i oschła, że facet za moment zamieni się w sopel lodu i do żadnej kawiarni nie będzie mu dane dojść ani ze mną, ani tym bardziej beze mnie.

– Ja jednak nalegam. Niech mi pani nie odmawia. Bardzo panią proszę... – Wkradał się w moje łaski, składając dłonie jak do modlitwy.

Pokręciłam głową na znak odmowy.

– Więc dobrze, spróbuję inaczej... Nie będę kłamał. Powiem prawdę. Przyznam się...

Nastała chwila ciszy. Przestraszyłam się.

– Jest pani... jest pani fantastyczna. Zauroczyła mnie pani. To nie może być zwykły przypadek, że panią spotkałem. I to w niebyle jakich okolicznościach. Nie wierzę w takie przypadki – dodał z entuzjazmem i tym razem odrobiną powagi w głosie.

– Proszę przestać! Dostyc tego! Ta rozmowa staje się dla mnie zbyt kłopotliwa. Nie zamierzam dłużej słuchać, co jeszcze ma mi pan do powiedzenia! Żegnam!

– Niech pani zaczeka! Nie mam zamiaru pani onieśmielać ani zamęczać moją skromną osobą, ale to przecież pani, pani pierwsza mnie zaczęła... jakkolwiek to zabrzmie. – Złapał moją dłoń własnymi. Patrzył na moją twarz.

– Nie powinien pan – skarciłam go, spoglądając na nasze złączone dłonie. Byłam speszona.

– Czyżbym kłamał? Przysięgam, bardzo się cieszę, że mogłem pomóc. To wszystko było nadzwyczaj miłe. Zaznaczam szczerze: niezmiernie miłe. Chciałbym... mógłbym ciągle panią ratować z opresji – rozmarzył się mój wybawca.

– Z opresji? To raczej ja powinnam ratować pana z obsesji... Czyżby życzył mi pan, bym ponownie potknęła się na schodach? Czy pan się słyszy? Proszę przestać żartować. Nawet w ten sposób nie myśleć. Ratowanie mojej osoby sprawiałoby panu radość? To niedorzeczne – wyznałam zaskoczona. Nie spodobała mi się jego bezpośredniość, zupełnie nieadekwatna do sytuacji, w której oboje się znaleźliśmy. Z niedowierzaniem kiwałam głową.

– Źle mnie pani zrozumiała. Proszę posłuchać... Ratowanie ludzi to moja

specjalność. Jestem przyzwyczajony. Robię to codziennie. Dla mnie to nie żadna nowość, rutyna raczej.

Co on sobie myśli – zastanawiałam się, nie zwracając uwagi na deklarację, którą powiedział mi prosto w twarz.

Przecież nie znam tego człowieka i mam iść z nim do kawiarni tylko dlatego, że zabiłabym się niechący? Nie, tego już za wiele! Ale wesoły i zabawny jest. Żartować też potrafi. Nie mogłam zaprzeczyć.

Boże, obawiam się, że ja po prostu odwyłam od płci męskiej! Do tego stopnia, że w ogóle nie wiem, jak mam się zachować. Nie wiem, naprawdę nie mam pojęcia, co mam robić. Czy powinnam spełnić prośbę nieznajomego, skoro tak bardzo prosi, czy może najlepiej odprawić gościa z kwitkiem?

Panie Boże, dopomóż! W moim nieszczęściu zwróciłam się do sił nadprzyrodzonych. Miałam nadzieję, że jak nie Pan Bóg, to może chociaż jakiś dobry anioł zlituje się nade mną i pomoże mi w tej niecodziennej sytuacji. Na szczęście prosiłam w myślach. Trwało to chwilę i musiało dziwacznie wyglądać, gdyż nieznajomy wyglądał na zdziwionego.

– Czy już? Zrobiła pani rachunek sumienia? Zastanowiła się pani? Chodźmy! Szkoda czasu! Nie marnujmy go dłużej. – Mężczyzna ciągle się uśmiechał.

– To niesamowite. Nie może być prawdziwe. Wierzy pan w to, co mówi? – Odezwałam się z przekorą.

– W prawdziwość zaproszenia pani na kawę? Jak najbardziej wierzę.

Po tej deklaracji zaczęłam przekonywać nieznajomego na przeróżne sposoby, by w końcu dał mi spokój.

– Przecież ja pana w ogóle nie znam. Widzę pana pierwszy raz w życiu. Nie może pan tego zakwestionować. Musi pan zrozumieć, że ja tak nie mogę... Prosiłam.

Nieznajomy nie dał się przekonać i wręczył mi parasolkę.

– Idziemy – zakomenderował.

– Poza tym jestem w pracy, więc niczego się nie napijemy. W dodatku jestem w dość poważnym wieku. Nie zadaję się z nieznajomymi jak jakaś nastolatka, a już na pewno z nikim obcym nie pijam przypadkowej kawy. Nie mamy o czym dyskutować. Nic z tego nie będzie. Nie mam zamiaru gdziekolwiek się z panem wybierać. Przykro mi, ale nie będę częścią pańskiego planu – wypaliłam jednym tchem, niczym katarynka.

Głupio zabrzmiały moje argumenty. Nieznajomy wybuchnął śmiechem. Zdawało się, że nie słuchał moich nędznych przekonań. Niewiele go obchodziły. Nie dał się zbyć. Za żadne skarby świata nie miał zamiaru zrezygnować z mojego towarzystwa.

Czas nieubłagane biegł do przodu i działał na moją niekorzyść. Czy tak było

naprawdę, dowiedziałam się znacznie później.

– Proszę jeszcze raz posłuchać. Po pierwsze nie wygląda mi pani na staruszkę. Po drugie, nawet gdyby pani nią była, i tak nie dałbym pani spokoju. Bardzo mi się pani podoba. W starszym wieku pewnie też zauważyłbym wyjątkowość pani urody – powtórzył to samo, co już przed chwilą słyszałam.

– Nie powinien się pan tak zachowywać. Pańska swoboda jest dla mnie nie do zaakceptowania. – Myślałam, że moje nerwy tego nie wytrzymają.

– Przepraszam najmocniej. Nie przedstawiłem się. Przepraszam za ten nietakt. Dawno powinienem to uczynić. Naprawdę, dawno powinienem... – zaczął z innej beczki.

Zauważyłam, że nowo poznany pan powtarzał wybrane zdania, czasami wyrazy, dwukrotnie. Może zaznaczał w ten sposób kwestie, które były dla niego znaczące?

– Marcin Prajs, do pani usług. Poddaję się. Może pani zrobić ze mną, co zechce. W przyjaznym geście wyciągnął do mnie rękę. Męską, ciepłą dłoń. Moją arktycznie lodowatą sam wyjął z kieszeni płaszcza, szarmancko całując aż dwa razy. Ukłonił się przy tym grzecznie jak przedwojenny chłopiec.

– To dziecinnie proste. Już mnie pani zna. Nie musi się pani niczego obawiać. Wszelkie lęki miejmy za sobą – zarządził.

Z niedowierzania pokiwałam głową. Czułam, że zbliża się masakryczny koniec świata, zostałam pokonana własną bronią. Zrobiło mi się gorąco. Osłupiałam. Bardzo lubię, gdy mężczyzna całuje moje dłonie. Powiem więcej: takie sytuacje wręcz mnie podniecają. Lecz – ma się rozumieć – nie odczuwałam takiego stanu teraz, nie sprzyjały temu okoliczności.

– Znam wiele kobiet, mnóstwo pań – Marcin ciągnął pewny siebie – ale tak uroczej osobki jak pani jeszcze nigdy nie spotkałem. Gdzie się pani ukrywała do tej pory?

Milczałam, marząc, by się odczepił.

– Warszawa jest taka duża, że z pewnością tu leży przyczyna – stwierdził, nie czekając na moją odpowiedź. Kontynuował przemowę, która dla mnie była coraz trudniejsza do zniesienia. – Myślę, że dobrze odgadłem. Pani pracuje w urzędzie, prawda?

Już raz mnie o to pytał. Facet ma sklerozę.

– Niestety źle pan dedukuje. Skończmy te zgadywanki. Nie mam ochoty na zabawę. Nie pracuję w tym miejscu – zaprzeczyłam szybko i po raz kolejny niezbyt grzecznie. Jednocześnie rozglądałam się nerwowo, gdyż czułam się porządnie skrzępowana. Nie miałam zamiaru pod żadnym pozorem zwracać się do nieznajomego po imieniu.

A swoją drogą – niezły z niego podrywacz. Powoli miałam wszystkiego po dziurki w nosie.

– W takim razie nie rozumiem. Ktoś tu oszukuje. Przecież raczej się nie przesłyszałem, że jest pani teraz w pracy.

– Tak, oczywiście, nie przesłyszał się pan – przytaknęłam jak uczennica. – Ale czy muszę być pracownikiem urzędu? Nie przyszło panu do głowy, że są jeszcze inne, ciekawsze miejsca do kontynuowania własnej kariery? Nie zamierzam się zwierzać. Proszę to uszanować. Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed panem.

– Czy to jakaś tajemnica?

Nie odpowiedziałam.

Co za facet?! On mnie stąd nie wypuści. Boże, mam dosyć tego dziwnego człowieka. Miałam złe przeczucia.

Nasza rozmowa bardzo się przeciągnęła. Nie wiem nawet, kiedy zesliśmy i stanęliśmy przy drzwiach wyjściowych.

Nasz dialog w większości bardziej przypominał droczenie się dwojga obcych sobie ludzi niż grzeczną rozmowę inteligentnych, ziemskich istot. Marzyłam o jak najszybszym opuszczeniu nowo poznanego Marcina, ale on nie dawał za wygraną. W końcu wylądowaliśmy w małej kawiarence niedaleko urzędu. Zaznaczam, że stało się tak wyłącznie dla świętego spokoju. Mojego świętego spokoju. Byłam wtedy o tym święcie przekonana. Ale czy tak było naprawdę? Dowiedziałam się tego znacznie później.

## W kawiarni

Wnętrze kawiarni wydawało się równie zadbane i gustownie wykończone jak elewacja zewnętrzna budynku. Szare ściany sprawiały wrażenie niepowtarzalnej harmonii i spokoju. Znajdowało się tu mnóstwo stolików. Małych, białych, okrągłych... Miałam wrażenie, że jest ich zbyt wiele. Znacznie za dużo. Każdy lekko oświetlała miniaturowa lampka w pastelowych kolorach. Ustawione na białych serwetkach tworzyły przyjazny klimat i nieco komunijny nastrój.

Nigdy wcześniej tu nie gościłam. Jakoś nie było mi po drodze. Lokal mieścił się na tyłach Urzędu m.st. Warszawy. Nigdy nie miałam potrzeby do niego zaglądać. Zresztą nie lubiłam biegać po kawiarniach. Samotne kobiety w moim wieku rzadko je odwiedzają. Taka bynajmniej była moja prywatna teoria, której do dzisiejszego dnia kurczowo się trzymałam.

Marcin odebrał z moich rąk ociekającą parasolkę, którą pożyczył mi na siłę. Nie chciał, bym zmokła. Szybkim ruchem rozłożył ją na podłodze, tuż przy oknie. Następnie pomógł mi wydostać się z równie mokrego płaszcza. Powiesił go na wieszaku. Sam pospiesznie ściągnął własny i ręką wskazał miejsce, gdzie powinniśmy usiąść. Posłusznie wykonałam polecenie, wygodnie usadawiając się w białym, miękkim fotelu. Poczulałam przyjemne ciepło, które nie pozbawiło mnie zdrowego rozsądku. Staralam się czuwać nad wszystkim, zwłaszcza nad emocjami.

– Niech pan sobie nie obiecuje za wiele – zwróciłam się do Marcina, który zajęty był zamawianiem kawy. Zupełnie swobodnie mogłam pozwolić sobie na taką dygresję, gdyż siedziałam bardzo blisko bufetu. Cały czas wolałam nie zwracać się do mojego kompana po imieniu.

– Oczywiście, słowo harcerza, że nie będę sobie niczego obiecywał – dalej żartował pan nieznajomy. Był mistrzem w gadaniu i miał przy tym spore poczucie humoru. – Ja się przedstawiłem. Teraz kolej na panią.

Postawił tacę z zawartością zamówienia. Usiadł naprzeciwko mnie i przyglądał mi się z uwagą. Żądał natychmiastowej reakcji, a raczej zdawało mi się, że żąda. Moje policzki robiły się coraz bardziej rumiane.

– Czy poznam pani imię, piękna nieznajoma? Opowie mi pani coś o sobie?

Tym razem odezwał się z takim ciepłem w głosie, że skapitulowałam. Nie opierając się już wcale, zaczęłam mówić cicho i poważnie. Staralam się nie patrzeć w jego oczy. On przeciwnie – nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Lena Zawrocka – wycedziłam. – Nazywam się Lena Zawrocka. Pracuję w przedszkolu. Jestem... – zatrzymałam się na chwilę. – Jestem dyrektorem. Nie, chyba nie powinnam czymś takim się chwalić... Pana to nie powinno interesować. Nie mam pojęcia, w jakim celu opowiadam panu takie szczegóły. Przepraszam...



tobie – poprawiłam się szybko, gdyż nieznajomy zmarszczył czoło, co mogło oznaczać, że dziwi się, że wciąż nazywam go panem.

– Lena, spokojnie, proszę cię. Słucham cię z ogromną przyjemnością. Uwielbiam słuchać, gdy... Naprawdę bardzo lubię. Proszę, mów dalej.

Mój nowo poznany kolega poczynął sobie śmiało. Zamyślił się na chwilę, po czym wzrokiem poszukał mojej dłoni. Powoli wziął ją we własne ręce i przyciągnął do ust. Pocałował, delikatnie pogłaskał i odłożył na miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowała. Mówiąc w skrócie: oddał mi ją. Wykonywał swój manewr bardzo powoli, a mnie замуrowało. Uznałam ten gest za zuchwalstwo, ale nic z tym fantem w tej chwili nie wypadało mi zrobić.

– Lena, Lenka... Piękne imię, przepiękne... – powtórzył kilkakrotnie, słodząc kawę, wlewając śmietankę i podając ciastka. Wszystkie te czynności wykonywał prawie jednocześnie. Zachowywał się tak, jakby całkiem zwariował pod wpływem niebywale sensacyjnej wiadomości, którą właśnie usłyszał i jeszcze dostatecznie się z nią nie oswoił.

– Proszę przestać. Niech pan nie żartuje, przecież Lena to najbardziej zwyczajne imię na świecie, w dodatku rosyjskie. Do dziś pamiętam, jak w podstawówce przezywali mnie „pieróg”. Przeważnie na języku rosyjskim, który wtedy był obowiązkowy. To chyba na cześć ruskich pierogów, które wszystkim kojarzyły się z moim imieniem. Wcale nie podobało mi się imię Lena. Czego tu szaleć? Zresztą, nigdy nie lubiłam swojego imienia. Ludzie przeważnie nie lubią własnych imion. Nie ma w tym nic dziwnego. Zawsze najpiękniejsze jest to, co niedoścignione, niemożliwe. Właśnie to chcemy mieć.

– Pięknie powiedziane – zachwycił się Marcin.

Przez jakiś czas milczeliśmy wpatrzeni w filigranowe filiżanki czarnego napoju, udając, że słuchamy cichej muzyki. Bo co można mówić do kogoś, kogo przed chwilą się poznało i kto za cholerę nie zna ani jednego twojego problemu?

Wtem z kieszeni marynarki Marcina dobiegł dźwięk telefonu. Nasz spokój został przerwany. Dobrze, że tak się stało, gdyż był bardzo uciążliwy. Myślę, że dla obydwu stron.

– Słucham cię, Kazimierzu. Czy coś się stało? To ważne? Nie, nie będziesz mi dzisiaj potrzebny, jedź. Jedź spokojnie. Jedź i pozdrów Agatę. Ode mnie ją pozdrów koniecznie. No trzymaj się...

– Przepraszam cię, musiałem odebrać. Przyjacieli, to konieczność. Myślę, że rozumiesz.

Przytaknęłam, chociaż niczego nie rozumiałam.

– Lubisz swoją pracę, prawda? – Sprytnie zmienił temat, upijając łyżeczek kawy.

– Tak, owszem – wzięłam głęboki oddech. Brakowało mi powietrza.

Marcin patrzył na mnie z zaciekawieniem, podczas gdy ja z trudem

próbowałam kontynuować swoją wypowiedź.

– Całe moje życie kręci się wokół niej właśnie. Uwielbiam... jestem w swojej pracy zadurzona... po uszy. Bardzo lubię... Uwielbiam bezpośrednią pracę z dziećmi... Najbardziej na świecie kocham... – przerywałam zdania, a Marcin nie miał najmniejszego zamiaru się wtrącać. – Cóż, jednak z racji mojej obecnej funkcji znacznie więcej czasu spędzam z dorosłymi. Mam na myśli moich nauczycieli i pozostały personel. Praca z ludźmi jest bardzo trudna, ale daje wiele satysfakcji. Jako dyrektorowi udaje mi się rozwiązywać rzeczy niemożliwe. Moja praca dostarcza mi ogromu adrenaliny. Pan Bóg najwyraźniej wskazał mnie do tej roli i jestem tu, gdzie jestem, głęboko w to wierzę... Zresztą jestem wierząca – zaczerpnęłam powietrza.

Marcin nie spuszczał mnie z oczu. Nie przerywał.

– Mierzę się co dzień z trudnymi sprawami. Czuję się jak himalaistka. Ciągłe pokonuję góry, zdobywam szczyty. Nie cofnę się przed niczym. Staram się jak najlepiej wypełniać swą misję – zamilkłam.

Marcin patrzył na mnie z niemającym zainteresowaniem.

– Co prawda z dziećmi jest dużo łatwiej. W tym, co robią, są bardzo prawdziwe. Później z tej szczerości dość szybko wyrastamy. Wiem, co mówię. W sprawach personalnych mam spore doświadczenie.

– To niezmiernie interesujące. Ciekawi mnie wszystko, o czym mówisz. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To bardzo ciekawe – znowu uśmiechnął się przyjaźnie.

Milczeliśmy. Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy specjalnie najpierw coś mówili, mówili, mówili, a następnie celowo zawieszali się, by po chwili móc przetworzyć dane, które od siebie usłyszeliśmy. Chłoniliśmy siebie nawzajem. Żadne z nas nie chciało popełnić nawet najmniejszej gafy. Choć wówczas wcale nie byłam tego świadoma, przyciągałam Marcina, a on odwzajemniał to. Chłonał mnie całym sobą. Poczułam cudowne uczucie, przed którym jeszcze ciągle zamierzałam się bronić. Dla mnie było to zupełnie zapomniane uczucie, dawno pochowane w grobie. Nie potrafiłam go wskrzesić.

– Poza tym praca znieczula. Pochłonięci nią mamy możliwość uciec od rzeczywistych problemów, od zawiści ludzi, bezwzględności i mściwości tych, których do tej pory uważaliśmy za przyjaciół – wypaliłam niespodziewanie. Bałam się krytyki ze strony Marcina, ale powiedziałam to, co od dawna leżało mi na sercu. Sama nie wierzyłam, że tak potrafię.

– Oczywiście, że znieczula – mój rozmówca zgodził się ze mną. Wcale nie miał zamiaru mnie krytkować.

Podniósł mnie duchowo. Pozwolił kontynuować przemyślenia.

– Staram się trzymać prawdy...

– Co to za prawda?

– Kiedyś przypadkowo usłyszałam mądre słowa z ust Jana Englerta, dyrektora jednego z warszawskich teatrów. Mam do tego człowieka ogromny szacunek. Nie pamiętam, jak one brzmiały... – początkowo nie mogłam sobie przypomnieć. – „Dyrektor powinien potrafić odróżnić różnicę między kompromisem a konformizmem”. Myślę, że te godne słowa, to prawdziwa świętość. Zgadzam się, właśnie tak dokładnie jest w życiu szefa. Trzeba się trzymać pewnych norm, ale także często trzeba umieć ustąpić... I jeszcze jedno: jak się nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmiali. Taki cytat pewnie znasz?

– Roześmiałam się.

Marcin odwzajemnił się śmiechem.

– Lena, intrygujesz mnie. To, o czym mówisz, jest niezmiernie ciekawe. Pojąłem, co miałaś na myśli, mówiąc, że praca znieczuła. Domyślałam się, co chciałaś przez to wyrazić. Znieczulanie to pojęcie bliskie również mnie.

– Co ty możesz mieć wspólnego ze znieczulaniami? Co ty możesz o czymś takim wiedzieć? Co mężczyzna taki jak ty może mieć z tym wspólnego? Nie wyglądasz na faceta z problemami.

Prześwietliłam Marcina wzrokiem. Niczego nie byłam świadoma. Niczego nie przeczuwałam.

– Mam trochę wspólnego, może więcej niż trochę. Bardzo, bardzo trochę...

– Marcin wszystko obracał w żarty.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Myślę, że tak.

– A więc?

Uśmiechnął się już chyba tysięczny raz.

– Lena, jesteś taka piękna. Ślicznie się uśmiechasz – skończył temat banalnym stwierdzeniem.

– A więc nie. Nic mi nie powiesz. Niczego się o tobie nie dowiem. Myślę, że ja też nie powinnam rozwijać tematu o sobie. Chyba jeszcze za wcześnie na osobiste wyznania. Za bardzo się rozgadałam. W ogóle za dużo mówię. To nic ważnego... To nic... Znieczulanie się pracą to naprawdę nic ważnego. Zapomnijmy, że coś takiego padło z moich ust.

Sama oniemiałam po słowach, które zwyczajnie wyrwały mi się już nie z takiej młodej piersi przecież, a jednak. Marcin baczenie mi się przyglądał. Jego oczy ze zdziwienia nabierały coraz większych rozmiarów.

Czułam, że się rumienię. Policzki dosłownie mnie paliły. Płonęłam.

– Chciałam dodać, że bez pracy nie dałabym sobie rady. Mogłabym wpaść w depresję, nic nie robiąc. Zwłaszcza trudno było zaraz po rozwodzie... – nie wiem, w jakim celu to powiedziałam. Jak mogłam zachowywać się tak nieodpowiedzialnie przy obcej osobie?

Marcin szybko zauważył, że dotykam trudnego tematu. Moje uczucia

balansowały na krawędzi. Atmosfera stawała się tak ciężka jak powietrze, w nieprzewietrzonym pomieszczeniu.

– Nie musisz, Lena, może innym razem... Odpocznijmy od przykrych spraw.

Nie drażył, nie dopytywał, nie oczekiwał odpowiedzi. Nie był zdziwiony moim wyznaniem. Przynajmniej nie okazywał, że jest. Doceniał moją szczerłość, ale niczego nie wymuszał. Nie wymagał wiedzy do końca. Sprytnie zmienił temat na taki, który nie bolał.

– Człowiek powinien robić w życiu to, co lubi najbardziej, wówczas tak naprawdę nie musi wcale pracować. Słyszałaś o takim fenomenie życia?

– Nie, nigdy nie słyszałam, ale to dość zabawne i nieco filozoficzne – popatrzyłam na mojego rozmówcę i westchnęłam głośno.

– Tak, zwłaszcza filozoficzne – przytaknął, wciąż mi się przyglądając. Nie potrafiłam odgadnąć, czy Marcin podziwia mnie, czy kpi sobie ze mnie.

Często milczeliśmy. Widocznie obydwojgu potrzebny był spokój. Nie znaliśmy się na tyle dobrze, by rozmawiać o wszystkich i wszystkim. Pewnych spraw nie wypadało poruszać przy nieznanym czy nieznanym.

W końcu Marcin odezwał się w sposób bardzo niezobowiązujący. Ciągle się uśmiechał. Chciał coś zamawiać, kiedy przypominałam sobie, że muszę jak najszybciej wracać do pracy. Tym bardziej że na mojej wyciszonej komórce widniały aż cztery nieodebrane połączenia. Ma się rozumieć od moich pracowników.

Komórka Marcina również szalała. Od jakiegoś momentu nie dawała mu spokoju. Ktoś dzwonił, dzwonił, dzwonił, usiłując połączyć się z nim na gwałt.

– Muszę odebrać. Lena, przepraszam, że to już po raz drugi – rzekł nieco zakłopotany, lecz stanowczo.

Skinęłam głową na znak zgody. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby odbierał te swoje telefony, nawet gdyby były ich tysiące. Zwyczajnie nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Nie miało?

– Magdaleno, nie dam rady. To niemożliwe... W tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać. Teraz niestety nie. Jestem zajęty. Proszę, odłóżmy tę rozmowę, porozmawiajmy wieczorem. Odezwę się do ciebie, na pewno. Magda, na pewno... Tak, zajmę się wszystkim. Zostaw wszystko na mojej głowie. Tak, będę dzwonił, na sto procent. Nie martw się. Pa, do usłyszenia. Pa...

Usłyszałam tylko tyle lub aż tyle. Słowa wypowiedziane przez Marcina zagłuszała muzyka, co prawda niezbyt głośna, ale wystarczająco. Być może Marcin za cicho mówił. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie będę sobie zawracała głowy.

– Posłuchaj – odezwałam się niepewnie, gdy zakończył telefoniczną konwersację. Asekuracyjnie nie wypowiedziałam jego imienia. Nie potrafiłam się przełamać. – Muszę wracać. Zasiadziałam się. Jest bardzo późno. Dzięki za kawę. Była pyszna.

Nie byłam oryginalna. Na nic innego nie było mnie stać. Cała ta sytuacja zaczynała być dla mnie coraz bardziej niezręczna. Wszystko, co miało miejsce, przerastało mnie.

– Lena, naprawdę... musisz?

– Koniecznie. Mówię prawdę.

– Wielka szkoda, że musimy się już rozstać. Kiedy w takim razie znów się zobaczymy?

– A my się w ogóle zobaczymy jeszcze kiedyś? – Zdziwiłam się.

– Bardzo bym tego pragnął. Nie ukrywam, że mam wielką nadzieję na kolejne spotkanie z tobą.

– Niby dlaczego mielibyśmy się spotykać? – Mojemu zdziwieniu nie było końca.

– A dlaczego nie? Ja o niczym innym nie marzę, poza tym już tęsknię... – spokojnie i serdecznie powiedział Marcin.

– I to ma być argument? Nie wyśmiewaj się ze mnie! Przecież nie znasz mnie na tyle, żeby... Nie znamy się. To niedorzeczne – pokiwałam głową.

– Lena, nie śmieję się. Wcale nie jest tak, jak myślisz... Chyba się mnie nie boisz?

– Nie, Marcin. To nie o to chodzi. Tak, rzeczywiście, nie boję się ciebie. Nic z tych rzeczy. Po prostu najzwyczajniej miałam nadzieję, że to, co się teraz dzieje, jest tylko jednorazowym, niezobowiązującym spotkaniem. Jeśli w ogóle można ten incydent właśnie tak nazwać. Nic więcej... Zgodziłam się na wspólne wypicie kawy, bo wierzyłam, że dasz mi spokój. Nie możesz tęsknić za kimś, z kim nic cię nie łączy. Przykro mi, ale więcej się nie zobaczymy. Ja nie czuję takiej potrzeby, nie chcę... Proszę, żebyś traktował mnie poważnie i zostawił w spokoju!

Chciałam wstać. Przytrzymał moją dłoń.

– Marcin, nie powinienes! Zostaw mnie. Pozwól mi odejść – podniosłam głos. Teraz jego imię przychodziło mi z łatwością.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem... Oczywiście masz rację, ale niezupełnie się z tobą zgodzę. Po dzisiejszym zapoznaniu przecież pojawiła się między nami mała iskierka. Zapaliło się światełko nadziei. Otoczyła nas aureola ciepła i serdeczności. Czyż tak się nie stało? Nie poczułaś tego?

– Nie wierzę! Czarujesz mnie? – Pokiwałam głową. Byłam bezradna. Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Lena, błagam... Mam nadzieję, że staliśmy się przynajmniej przyjaciółmi. Marzę, byś mnie tak traktowała.

– Tak szybko? Przyjaciółmi? Nie, tego już za wiele! Ludzie znają się bardzo długo, zanim zostają przyjaciółmi. Mijają lata świetlne, zanim zaczynają tak o sobie myśleć. Proszę cię, nie jestem małą dziewczynką! Nie możemy. Jeśli myślisz, że tak szybko zdobywa się przyjaźń, to jesteś w błędzie. Ja na ten temat mam

zupełnie odwrotną teorię. Poza tym nie wierzę w przyjaźń między kobietą a mężczyzną. A innej relacji z tobą sobie nie wyobrażam – uniosłam się znowu.

– Ach tak, więc uważasz, że jeśli chodzi o przyjaźń, decydującą rolę odgrywa wstęga czasu, a facet z kobietą to zazwyczaj istoty sobie wrogie?

Nastąpiła cisza. Skąd on zna takie slogany? Wstęga czasu? Dlaczego? Zastanowiłam się.

– Lenka, naprawdę wierzysz, że tylko upływający czas może zbudować dobre relacje między dwojgiem ludzi? Jesteś pedagogiem, dyrektorem... Tak sądzisz? Jesteś przekonana? Według ciebie jedynie kobieta z kobietą może się zaprzyjaźnić? Nie wierzę.

– Moje wykształcenie nie ma tu nic do rzeczy. Jest bez znaczenia – wstałam.

– Lena, porozmawiajmy. Proszę, usiądź jeszcze na chwilę.

– Ty się w ogóle słyszysz? Przecież ja ciebie nie znam. My się nie znamy. Jaki czas? Jacy ludzie? Nic kompletnie o tobie nie wiem. Ty o mnie raczej też niewiele – powtórzyłam zdenerwowana. Moje palce uderzały o blat stolika.

– Zgoda, nie znasz mnie, ale możemy to szybko nadrobić. Możesz mnie poznać. Jestem otwarty. Przysięgam, że nie mam nieuczciwych zamiarów. Nie bój się mnie. Ja po prostu nie jestem w stanie przestać myśleć o tobie. Nie mogę dać ci spokoju, nie potrafię, nie wyobrażam sobie rozstania się z tobą na dłużej... Pozwól mi się ze sobą umówić. Jeśli się zgodzisz, będę najszczęśliwszym facetem na ziemi. Proszę, nie mów nie... Nie mów, że się nie zobaczymy... Ranisz mi serce – powiedział to w taki sposób i z taką miną, jakby był pieskiem, który prosi o wyjście na dwór, bo w przeciwnym razie zrobi coś niestosownego na dywan. Jestem pewna, że jakby miał ogon, to z pewnością zamerdałby nim w tej chwili.

Co za bezpośredniość. Jaka odwaga. Po niecałej godzinie rozmowy na tyle go stać? Wariat! Wariat! Naprawdę wariat – pomyślałam i uśmiechnęłam się, gdyż muszę przyznać, że Marcin zaskoczył mnie swoją stanowczością.

– Marcin, ja nie jestem taka naiwna, na jaką być może wyglądam. Nie czujesz, że nasza dalsza rozmowa, a tym bardziej znajomość nie ma sensu? Nie widzę w tym logiki. Powtarzam ci. Przecież my jesteśmy obcymi dla siebie ludźmi. Nie stawiaj mnie w trudnej sytuacji. Mam prawo ci nie ufać, obawiać się ciebie. Przecież po pierwsze nie znam cię, a po drugie ciągle mnie obrażasz. Nie wyczuwasz tego? – W dalszym ciągu obstawałam przy swoim.

– Lena, nie chcę cię urazić, obrazić, narazić. Nic z tych rzeczy. Jedynie proszę o spotkanie... Nie chcę, abyś przeze mnie dokonywała trudnych wyborów. Domyślałam się, że masz ich w swoim bagażu życiowych doświadczeń aż nadto.

Marcin zaczął coraz bardziej nalegać i przekonywać, i argumentować, i błagać, i poczynać sobie... Nie widziałam innego wyjścia, jak się zgodzić. Czułam, że nie mam szans, by wymigać się od następnego spotkania. Nie znajdowałam argumentów i nie potrafiłam niczego sensownego wymyśleć.

W końcu ugięłam się jak stara ulęgałka pod ciężarem swoich owoców. I złamałam się tak, jak łamią się gałęzie starych drzew. Ja też jestem stara. Niech mu będzie. Co mi tam! Westchnęłam i po chwili zakomunikowałam z pełną otwartością:

– Poddaję się, wygrałeś... W takim razie, gdzie i kiedy chciałbyś się spotkać?

Wykonałam gest przyjaźni tylko i wyłącznie dla świętego spokoju, wiedząc, że nowy nieznajomy nie odpuści. Nie wypuści mnie dzisiaj. Nie ma szans. W moim głosie można było wyczuć niepokój przepleciony nutką ironii.

– Tam, gdzie sobie zażyczysz. Przyjmę każdą propozycję. Lena, każde twoje słowo jest dla mnie rozkazem – odpowiedział emocjonalnie.

Na jego twarzy wyraźnie rysowało się na przemian zadowolenie i zdziwienie. Wykrzyczał w końcu z ogromną euforią:

– Czyli zgodziłaś się? Lenka, kotuś, naprawdę się zgodziłaś?

Cieszył się tak bardzo, jak cieszy się małe dziecko, które otrzymało od rodziców wymarzoną zabawkę. Był podekscytowany i szczęśliwy, ale trochę mi nie dowierzał. Nie wierzył w moje słowa. W zasadzie bardziej wątpił. Wychwytywałam tę ostrożną radość z jego zachowania, bo przecież na psychologii trochę się znałam. Zresztą sama sobie nie dowierzałam, że oto właśnie zgodziłam się na kolejne spotkanie z obcym facetem. Ryzykantka ze mnie.

– Może być Cygańska. Wiesz na pewno, która to restauracja – wybąkałam niezbyt głośno. – Poza tym nie lubię, gdy ktoś mi kotkuje, tym bardziej że mnie w ogóle nie zna.

Marcin złapał kolejnego minusa.

Nazwa zaproponowanego przeze mnie lokalu jest dość kiczowata, ale to nie moja sprawa, właściciel niech się wstydzi. Poza tym robią tam najpyszniejszą pizzę w Warszawie. Każdy to miejsce zna. Alkoholu w niej nie podają. I tak byśmy nie pili – obydwójce jesteśmy zmotoryzowani.

– Lena, o której się spotkamy? Wypadałoby coś ustalić.

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Nie mam bladego pojęcia. Może o dziewiętnastej pojutrze?

Praktycznie wykrzyczałam Marcinowi, stojąc w drzwiach, nie wiadomo kiedy ubrana. Omal nie przytrzasnęłam sobie apaszki przez ten cholerny przeciąg. Wypadłam z kawiarni, jakby mnie z procy wystrzelili...

\* \* \*

Skąd mam znać godzinę spotkania? Przecież ja całe wieki nie spotykałam się z żadnym mężczyzną. Chyba że służbowo, ale to zupełnie inna sprawa. Skąd więc mam wiedzieć? Nie znam się na takich szczegółach. Problem rodził problem.

W co ja się wplątałam? Co to za historia? Co ja tak naprawdę robię? Nie znam gościa kompletnie, a mam gdzieś się z nim wybrać. Obiecywałam sobie kiedyś, że po rozwodzie z Witkiem żadnych facetów. Najzwyczajniej wielkie, okrągłe zero. Nigdy, przenigdy, w życiu. A tu proszę. Kawalek spodni na kant i od razu taka niekonsekwencja. Żeby go choć troszeczkę znała. Co z tego, że się przedstawił? To bez znaczenia. Takich Marcinów Prajsów, czy jak mu tam było, może istnieć cały pułk lub nawet cały poligon, chociażby w samej Warszawie. Odezwał się mój przezorny charakterek. Niestety niewątpliwie przesadzałam.

Ciekawe, gdzie on pracuje. Może w urzędzie? Sprawdzę jego dane na stronie internetowej, może gdzieś się na nie natknę.

Właściwie co mnie to obchodzi?! Przecież tylko raz się z nim spotkam, nie licząc dzisiejszego przedpołudnia, i koniec. Więcej nie zamierzam!

Jednak słowa to jedno, a myśli coś zupełnie odwrotnego. Mój mózg najwyraźniej nie dawał za wygraną. Pracował na możliwie najwyższych obrotach. Powoli przetwarzał wszystko, co wiązało się z nowym nieznanym. Myśli nie ustawały. Drażyły każdą komórkę mojej biednej głowy. Zalewały natrętnie moją duszę i nie pozwalały dosłownie na niczym skupić uwagi. Jedyne to Marcin. O Boże, czy ja zwariowałam? Przestraszyłam się trochę. Trochę? Mało powiedziane. Bardzo się przestraszyłam.

Na pewno pracuje w urzędzie. Głowę dam sobie uciąć, że tak jest – potwierdzałam sama sobie. To musi być prawda. Nie widzę innej opcji. W przeciwnym razie nie skakałby po schodach jak sarenka. Co ja mówię? Jak jakiś jelen z lasu. Rozśmieszyło mnie to niefortunne porównanie. Mówił coś o znieczuleniu? O co mu chodziło? Szkoda, że nie zapytałam wprost o jego pracę. Dlaczego od razu tego nie zrobiłam? Byłoby mi dużo łatwiej. Mam nadzieję, że sam w końcu wyjawy mi tę tajemnicę. A zresztą nawet jeśli nie, to co z tego? Przecież obiecywałam sobie, że zero facetów i basta!

Swoją drogą i na marginesie zaciekało mnie, kim była dla Marcina tajemnicza Magda, z którą rozmawiał przy mnie w kawiarni. Całe szczęście, że tylko przez telefon. Może to jego córka albo siostra? Może kochanka albo żona? Boże! Ta ostatnia myśl dogłębnie mnie przeraziła.

Ani trochę nie obchodzi mnie ten nowy – odrzucałam myśli o nim, a one natrętnie powracały.

Nieprawda, wcale tak nie było. Obchodził mnie... Trochę, a nawet dużo więcej niż trochę. Oszukiwałam sama siebie. Wieczorem też myślałam o nowym znajomym, chociaż cały czas nie chciałam się do tego przyznać.

Moje rozważania co chwilę przerywał telefoniczny sygnał. Akurat teraz komuś zachciało się ze mną rozmawiać. Do jasnej Anielki, czy ja muszę wszystkim pomagać w ich problemach? A kto mnie pomoże rozwiązać moje? Obawiałam się, że nikt nie będzie potrafił uwolnić mnie od nowego Marcina. A więc klamka



zapadła. Wpadłam w niezłe tarapaty. Czy miałam rację, dowiedziałam się znacznie później.

## Szara rzeczywistość

Na przekór wszystkiemu wyklarował się słoneczny, choć zimny dzień. Znacznie różnił się od poprzednich. Wiatr przegonił chmury i zrobiło się o wiele jaśniej. Ostatnio cały najbliższy świat swoim kolorowym płaszczem przykrywała jesienna plucha. Zapięła się szczelnie na ostatni guzik i nie chciała odpuścić. Nie mogło być mowy choćby o odrobinie ciepła. Było przeraźliwie zimno. W naszym kraju od dawna zresztą trudno było odróżnić od siebie pory roku. Zdawało się, że tak wymieszały się wszelkie warunki atmosferyczne, że nie można było liczyć na normalną pogodę. Była, jaka była, i to musiało ludziom wystarczyć. Znane powiedzenie: piękna złota polska jesień, nie miało takiego wydźwięku jak dawniej. Nawet dzieciom w przedszkolu trudno było wytłumaczyć etymologię nazwy każdego nowego miesiąca lub zmieniającą się porę roku. Nic do siebie nie pasowało. Puzzle polskiej aury zupełnie się pogubiły. „Mimozami jesień się zaczyna...” – przypomniałam sobie słowa piosenki. Dla mnie Marcinem jesień się zaczęła... Zwariowałam! Kompletny galimatias!

Pogoda pogodą. Temat dobry na zastępstwo dla każdego Polaka, zwłaszcza tego z problemami. Ale co dalej ze mną? Na zastanawianie się nie miałam czasu.

Poszukałam kluczyków od mojej bryczki i szybkim krokiem ruszyłam na parking. Po drodze zabrałam korespondencję z własnej skrzynki, powitałam sąsiadkę przy drzwiach wyjściowych na klatkę schodową i tyle mnie widziano na moim osiedlu. Zapowiadał się trudny, pracowity dzień. Oszaleć można! W kółko to samo. Pracuj, pracuj, a garb ci sam wyrośnie – jak mawiała moja babcia. Była prawdziwym paremiologiem. Całe życie zajmowała się gromadzeniem przysłów.

W pracy siedziałam do późna. Dopiero wieczorem skonana wróciłam do domu.

## Praca, praca...

Dzisiejszy dzień podobny był do poprzedniego. Poranek niczym nie różnił się od wczorajszego. Nadal było słonecznie, lecz zimno. Rześkie powietrze atakowało nozdrza wszystkich żyjących i oddychających istot. Umiarkowana strefa klimatyczna. Było pięknie i nadzwyczaj spokojnie. Pomimo tego obudziłam się w niezbyt dobrym nastroju. Wstałam lewą nogą i choć uchodziłam za niezłego kierowcę, fatalnie jeździło mi się po Warszawie. Ruchu dużego nie było, a ja mimo wszystko czułam się niesamowicie nieswojo, niespokojnie. Tak jakbym nagle znalazła się w obcym mieście, w obcym kraju, na obcej planecie. Wszyscy wydawali mi się podejrzani. Wszędzie wietrzyłam podstęp. Miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje i śledzi. Sama nie wiem, co sobie wyobrażałam. W myślach prześladowała mnie tajemnicza Magda. Ta, z którą Marcin rozmawiał przez telefon w dniu naszego poznania się. Ogarniała mnie dzika panika połączona z głupotą. To niedorzeczne, co się ze mną działo.

O czym ja myślę? Przecież ta kobieta w ogóle mnie nie zna. Nawet nie wie o moim istnieniu. No cóż, jak zwykle muszę martwić się na zapas. Taki mój urok osobisty i nic na to nie poradzę. Zawsze martwiłam się o Polaków, o ojczyznę i na końcu o siebie. To jakiś koszmar, mówię poważnie.

Wyrażając się najdelikatniej, tego dnia nie potrafiłam skupić uwagi na pracy. Nie dość, że nie potrafiłam, to nawet nie próbowałam. W związku z tym trochę wcześniej ulotniłam się z własnego gabinetu pod pretekstem zajrzenia do księgarni. Do kilku księgarni. Taka była potrzeba, gdyż zbliżało się zakończenie konkursu recytatorskiego dla dzieci. Za jego organizację moje przedszkole było odpowiedzialne. Zasadne więc było znaleźć się w tym czasie w księgarni, i to niejednej. Tak chociażby dla porównania cen i zakupu najtrafniejszych książek. Czasu zostało bardzo niewiele. Koniecznie musiałam złożyć zamówienie. Dzieci musiały otrzymać nagrody za swoją ciężką pracę. Nie mogłam ich zawieść. Tylko co tu wybrać? Co wybrać? Zaraz coś wymyślę, jestem w tym dobra, nawet bardzo...

## Randka

Po załatwieniu wszystkich spraw zawodowych, a zwłaszcza na nich skupiało się moje dotychczasowe życie – zazwyczaj pracą zabijałam samotność i to mi dotychczas odpowiadało, o świetności takiego stylu życia byłam w stu procentach przekonana – wreszcie doczekałam się dnia W i godziny W. Ale po kolei.

Po pierwsze nie miałam pojęcia, w co mam się ubrać. Co wypada założyć na spotkanie z mężczyzną po czterdziestce, którego nawet nie wiem, czy zdołam rozpoznać. Naprawdę nie miałam bladego pojęcia.

Wreszcie po wielkich trudach wystrojona i pachnąca podjechałam moim wątpliwej marki samochodem pod Cygańską. Droga dłużyła się niemiłosiernie, lecz korki na ulicach, o dziwo, nie wkurzały mnie tak jak zwykle.

Wolałam się spóźnić, niż być za wcześnie. Tego wymagała etykieta. Byłam o czymś takim święcie przekonana. Zamierzałam przestrzegać zasad przez całe spotkanie z Marcinem. Nie chciałam dać plamy.

Nie spieszyłam się więc. Jak wspomniałam, nie chciałam być przed czasem. Zdawałam sobie sprawę, że nie wypada, że takie zachowanie Marcin może uznać za narzucanie się. Jeszcze gotów pomyśleć, że mi bardzo na nim zależy. A mnie przecież wręcz przeciwnie: wcale, ale to wcale... Odbębnię tę randkę i jak mówi porzekadło: „Do widzenia Gienia, świat się ciągle zmienia”.

Podjechałam powoli, z niezwykłą ostrożnością i skupieniem. Stałam tam, gdzie dzięki Bogu było jeszcze wolne miejsce parkingowe. Chryste, Marcin już oczekiwał na ławce! Zauważyłam go z daleka i ogarnęła mnie prawdziwa panika.

Tak naprawdę na ławce siedziały kwiaty, cały bukiet, a mojego amanta spoza tej roślinności prawie nie było widać. Długie czerwone róże. Czyli nie jest za bardzo oryginalny – westchnęłam, wysiadając z samochodu. Zatrzasnęłam drzwi, schowałam kluczyki do torebki. Powoli zbliżałam się do mojego randkowicza.

Właściwie dopiero teraz dotarła do mnie prawda, najsmutniejsza ze smutnych. Ja przecież przez dwanaście lat nie miałam nikogo, zero faceta na swojej intymnej drodze. Ogólnie wszystko, co dotyczyło mojej samotności, było wprost przerażające. Prawie wszyscy znajomi z uwagą śledzili moje życiowe losy. Ci bardziej złośliwi często mi dokuczali. Przeważnie w najmniej stosownej chwili robili sobie ze mnie głupie żarty. Mówili, że w związku z moją nieciekawą sytuacją erotyczną będą mnie wkrótce kanonizować.

Uśmiechałam się, słysząc podobne stwierdzenia, a oni nie zdawali sobie sprawy, co ja czuję, jak mnie ranią. Dlaczego ciągle chodziło im o moją samotność? Tak bardzo się nią interesowali? Gdyby mi o niej w kółko nie przypominali, byłoby mi o wiele łatwiej. Przyzwyczałam się do tego, że jestem

singielką, i osobiście zbytnio mi to nie przeszkadzało. Ale gdy ktoś, zwłaszcza z przyjaciół, wiecznie ci o tym przypomina, to boli, tak bardzo boli...

Zadawali mi swoją bezwzględnością ciosy prosto w serce. Musiałam się w końcu przyzwyczać i przestać przejmować. Cóż, samo życie, ludzie są bez skrupulów, nawet ci najbliżsi, a czasami zwłaszcza oni...

Jak ja sobie dzisiaj poradzę? Twardy orzech do zgryzienia! Postaram się dać z siebie wszystko. Muszę... Bóg mi świadkiem, że się postaram. W myślach nieustannie dodawałam sobie otuchy. W zaistniałej sytuacji one były moimi najlepszymi przyjaciółmi. Zwłaszcza teraz, kiedy naprawdę nie wiedziałam, co mam począć, jak się zachować. Szkoda, że stosownych porad nie udzielają w szkołach. Takie zajęcia powinno się mieć już w podstawówce, wtedy nie byłoby kłopotu. Samych głupot uczą w tych szkołach! Żartowałam w duchu.

Nawet nie zwróciłam uwagi, kiedy podeszliśmy do siebie.

– Dobry wieczór Leno – dobiegł mnie ciepły, kojący głos. Po chwili nie musiałam ani myśleć, ani martwić się, co się wydarzy, co będzie, jak będzie. I czy w ogóle coś będzie. Wszystko potoczyło się we właściwym porządku, trafiło na właściwe tory. Było tak, jakbyśmy na chwilę przenieśli się w odległe, wyłącznie nasze czasy. Panta rhei, rzeki płyną... To flozofa. Czyżby otwierała się nasza flozofczna linia życia?

Marcin przywitał się miło i gestem ręki zaprosił mnie na wspólną kolację.

Ku mojemu zdziwieniu w restauracji wszystko przebiegało dość gładko. Moje wątpliwości zostały defnitywnie rozwiane już wówczas, gdy z wielką przesadą zostałam wycalowana po rękach i obdarowana kwiatami, o których wspominałam.

– Lena, cieszę się, że przyszłaś, że jesteś... Nawet nie wiesz, ile radości mi sprawiłaś. Jest mi niezwykle przyjemnie znów cię widzieć. Trochę się obawiałem, że się rozmyślisz. Po prostu miałem wątpliwości. A tu taka niespodzianka. Lena, dziękuję, bardzo... Chcę, żebyś wiedziała... Tęskniłem... Czuję się zaszczycony twoją obecnością. Poza tym ślicznie wyglądasz – Marcin wystąpił ze swoim pierwszym przemówieniem. Ponownie całował moje dłonie, nie wypuszczając ich z własnych rąk.

Nie wzbraniałam się. Nie wyrywałam. Nie przerywałam mu rytuału powitalnego. To, co robił, było całkiem miłe.

– Staram się wywiązywać z obietnic i dotrzymywać umów, jeśli takowe zawieram. Nie oszukuję ludzi, nie wystawiam ich do wiatru. Nie lubię obłudy. Chciałabym, żebyś zapamiętał. Słowo to słowo! Byłam harcerką. Obiecałam, że będę, więc przyszłam – przerwałam mu poważnie. Zachowywałam się bardzo ofcjalnie. Uważałam, że tak będzie najlepiej, najstosowniej, najmądrzej, najtaktowniej, naj... naj...

– Oczywiście, rozumiem – mój rozmówca zgodził się ze mną.

– To dobrze – westchnęłam.

– Nie dość, że jesteś niesamowicie piękna, to jeszcze niezwykle szlachetna.

Bardzo cenię osoby prawdomówne i inteligentne – z wymuszoną powagą skinął głową i zasalutował jak prawdziwy żołnierz.

Uśmiechnęłam się i rozluźniłam spięte ciało. Całkiem wygodnie usiedliśmy przy zarezerwowanym stoliku. Cicha muzyka w tle zapewniała miły nastrój i koła mój przemęczony umysł. Zrobiło się bardzo przyjemnie. Uspokoiliłam się i wyluzowałam nieco.

– Onieśmiasz mnie. Myślę, że jeszcze za wcześnie na obsypywanie mnie komplementami. Nie sądzisz? Czuję się niezręcznie w dwuznacznych sytuacjach – delikatnie zwróciłam mu uwagę. Byłam zażenowana. Czułam ciepło na policzkach.

– Przepraszam. Jeśli sobie nie życzysz, postaram się być bardziej powściągliwy. Ponownie pocałował moją dłoń.

– Tak, właśnie tak. Trafnie to ująłeś. Nie życzę sobie.

Wkrótce przekonałam się, że Marcin nie gryzie. Jest całkiem miły i potrafi fajnie żartować. Wcale nie pracuje w urzędzie miasta. W dniu, w którym się poznaliśmy, przyszedł tam coś załatwić. Jakieś służbowe sprawy. A tak na poważnie, na co dzień jest lekarzem i na nieszczęście lub szczęście dla mnie –ginekologiem. Co się później okazało. Zagadka o znieczuleniu się rozwiązała.

No, no, nie spodziewałam się. Jestem pod wrażeniem. Tak więc kapelusz do ziemi. Pełen szacunek. Zaczęłam spotykać się z lekarzem, jeśli oczywiście to, co mówi o sobie, jest prawdą i jeśli to, co się teraz działo, jeszcze kiedyś w ogóle powtórzymy. Nikłe szanse.

– Dlaczego nigdy o tobie nie słyszałam? Skoro jestem kobietą, a ty ginekologiem, to chyba powinnam? Nie sądzisz? – Beztrosko zapytałam.

– Nie wiem, pewnie nie jestem tak znany jak inni, o których słyszałaś – Marcin znów się uśmiechnął, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle w Warszawie znam jakiegokolwiek ginekologa.

– Jesteś skromny, prawda? Nie lubisz, gdy cię chwalą? – ponownie zadałam pytanie.

– Nie wiem. Raczej tak. Rzeczywiście nie lubię się chwalić – zgodził się ze mną.

Nigdy nie słyszałam o takim ginekologu, a przecież nie był to młodziak. Swoje lata miał. Podobnie jak ja musiał być po czterdziestce. Sprawdzę go na stronie internetowej jego kliniki – kombinowałam.

Obawiałam się, czy czasem mnie nie oszukuje, i bacznie go obserwowałam. Mierzyłam wzrokiem każdy jego ruch, jego maniery i bardzo nienaganne ubranie. Był wyprasowany i miał na sobie fajne ciuchy. Przystojny facet. Naprawdę, co za gość. Poczułam się oczarowana.

Ale ze mnie idiotka! Przecież Warszawa to nie Kozia Wólka i nie muszę

znać wszystkich ginekologów w tym mieście. Wróciłam do swoich wcześniejszych myśli i nagle mnie oświeciło. W ogóle kiedy ja ostatni raz byłam u ginekologa? Pasowałoby mocno uderzyć się w piersi. Oj, pasowałoby!

Wcale nie chodziłam do ginekologów. Taka to ze mnie światła osoba. Cała ja. Umiałam wszystkim doradzać, wszystkim pouczać, zachęcać. Tylko sama sobą nie potrafiłam się zająć. Nie wystarczało czasu. Doskonała wymówka, zwłaszcza gdy nie lubi się mieć styczności ze służbą zdrowia.

Za oknem zrobiło się całkiem ciemno. W lokalu panował sielankowy nastrój. Długo, bardzo długo rozmawialiśmy...

Marcin przyjechał do Warszawy ze Śląska, a konkretnie z Katowic. Tam się wychowywał. To jego rodzinne miasto. Tam mieszkają jego rodzice i brat. Tam ukończył studia, i to chyba tak jak ja niejedne. Jego ojciec i brat również pracują jako ginekolodzy. Mama nie pracuje nigdzie i gotuje obiadki.

No, no, inteligentna i na pewno sławna rodzinka Prajsów – zamyśliłam się.

Marcin ma dom w Warszawie. Od kilku lat pracuje w jednej ze znanych warszawskich klinik położniczo-ginekologicznych. Tam właśnie pomaga dojść do zdrowia kobitkom i podobno niezły jest w te klocki. Jednym słowem: ordynator, ginekolog i lekarz z niego pełną gębą.

Nie wiem, czy przekonałabym się, żeby się u niego leczyć. Nie, nie, na pewno nie! Akurat teraz nachodziły mnie jakieś głupie myśli, gdy powinnam zajmować się chłopem. A swoją drogą, wkrótce muszę przejść się do lekarza. Coraz częściej odczuwałam jakiś dyskomfort w dole brzucha. Nie będę teraz o tym myślała. To nie czas ani miejsce na to – skarciłam siebie.

Klinika, w której Marcin pracuje, ma nienaganną, wręcz wzorową opinię. Choć nie zajmuję się ginekologią wcale, taką plotkę słyszałam, zanim jeszcze poznałam Marcina. Tak to jest, gdy pracuje się z samymi kobietami. A ja tak właśnie mam. Ale dosyć rozmyślań o babskich sprawach.

Reszta wieczoru zleciała mi na słuchaniu tego, co ma do powiedzenia mój nowy kompan. To właśnie on dobierał tematy i nadawał tempo rozmowie. Niestety ze mnie nie mógł wydusić zbyt wiele. Jeszcze za wcześnie, żebym otworzyła się przed obcym. Obiecałam sobie. Wierzyłam w to, co robię. Tej wersji kurczowo się trzymałam. Wciąż byłam dosyć ostrożna i nie potrafiłam inaczej.

Marcin zauważył mój dystans do realnego życia, do wszystkiego, co się działo, i nie nalegał, bym się zwierzała. Nie zmuszał, nie nakłaniał, nie upierał się. Czułam, że bije od niego niecodzienne ciepło, nie potrafiłam określić jego rozmiarów. Miało swoją wartość. Było w nim coś fajnego, przyciągającego... Co to było, dowiedziałam się znacznie później.

## U mnie

Lekarz ginekolog. Fajny facet. Przystojniaczek jeden – pomyślałam, kiedy rozstawaliśmy się pod moim blokiem.

Pospiesznie podałam Marcinowi dłoń na pożegnanie, a następnie szybko wysunęłam ją z jego rąk, chcąc mieć tę bliskość jak najszybciej za sobą. Równie pośpiesznie założyłam rękawiczki na gołe ręce. Było dosyć zimno i wiał nieprzyjemny wiatr. Drzewa mocno się kołysały. Miałam wrażenie, że za moment zostaną rzucone z całą siłą gdzieś w zupełnie inny kąt mojego osiedla. A w miejscu, gdzie dotąd rosły, pozostanie łyśa polana. Trudno zresztą, żeby o tej porze roku i wieczorową porą spodziewać się jakichś rewelacji pogodowych. Przecież w naszym kraju nawet w lecie bywa zima. Znowu przesadziłam!

Byłam posiadaczką własnego mieszkania na Mokotowie, na trzecim piętrze, w zwykłym bloku, jakich tysiące w Warszawie. Mieszkałam tam kilkanaście dobrych lat. Miało niewiele ponad siedemdziesiąt metrów kwadratowych wszystkiego. Zwyczajny salon, dwa pokoje, kuchnia i dość duża łazienka. Do tego spory balkon, częściowo zabudowany. Według mnie trochę kiepsko urządzone, ale za to moje własne. Takie, o jakim wcześniej, będąc jeszcze żoną Witka, mogłam jedynie pomarzyć. Kochałam te swoje cztery kąty i nigdy nie zamieniłabym się na inne. Tak mi się wówczas wydawało. Czy miałam rację, dowiedziałam się znacznie później.

Marcin ponownie próbował pocałować moją dłoń na pożegnanie, ale ja jakoś nie byłam w nastroju do pieszczot. Ciągle nękały mnie wątpliwości. Przychodziło mi do głowy wiele pytań. Czy dobrze zrobiłam, że tak szybko umówiłam się na kolejne spotkanie? I czy to, co się przed chwilą działo w restauracji, to randka? Co to było? Na zastanawianie się nie było czasu.

– Cześć – rzekłam krótko i chciałam odejść, lecz Marcin mnie uprzedził. Musnął ustami moje rozwiane włosy i odszedł dość szybko do swojego samochodu. Po prostu pozostałam z wrażeniem, że zostawił mnie na środku podwórka.

Miałam chęć powiedzieć mu, że dziękuję za miły wieczór, że nie możemy się nigdy więcej spotkać, że to nie ma sensu, że może jakiś sens jest, ale... że mam wątpliwości, że się boję tej nowej znajomości, że... że... że... Lecz niestety nie zdążyłam. Marcin ubiegł mnie i odszedł, nim zdążyłam zareagować.

Poczułam rozczarowanie. Zaczęłam żałować, że dałam się namówić na tę kolację. Teraz naprawdę bardzo żałowałam. Przez jakiś czas stałam na chodniku i pewnie jeszcze długo bym tam tkwiła – jak jakaś bezradna idiotka – z pytaniem, dlaczego mnie zostawił. Na szczęście przechodziła sąsiadka z koszem pełnym



śmiesi i wybudziła mnie z amoku.

– Dobry wieczór, sąsiadeczko. Niech pani, droga Leno, nie chodzi sama po nocy. To zbyt niebezpieczne! Pani jest jeszcze taka młoda. Szkoda by było... – dobiegły mnie troskliwe słowa.

– Dobry wieczór, pani Wandziu – odpowiedziałam, nie pozwalając starszej pani dokończyć zdania. W tej chwili jedynie na taką reakcję było mnie stać. O żadnym rozgadaniu się nie było mowy. Po prostu mowę mi odjęło. Ja młoda? To było przecież takie nieprawdziwe. Uśmiechnęłam się do siebie.

Byłam wykończona i czułam, że za chwilę rozsypię się niczym piaskowa babka. Stanie się tak pod wpływem złych warunków atmosferycznych. Owszem, byłam babką, w średnim wieku zresztą, o dziecięcej wyobraźni, a ponieważ w tej chwili przebywałam w nie najlepszych warunkach pogodowych, miałam prawo się rozsypać. To właśnie uczyniłam, gdyż jednocześnie byłam babką potrzebującą bratniej duszy. Co ja plotę? Moje życie najzwyczajniej po raz kolejny legło w gruzach. Czułam się oszukana. Zawiedziona przez faceta. To dziwnie uczucie. Nie potrafiłam bliżej określić tego stanu. Było mi bardzo źle. Stałam załamana i zdruzgotana. Uczestniczyłam w prawdziwej katastrofie.

\* \* \*

Przez dłuższy czas pozostawałam z wrażeniem, że poniosłam sromotną klęskę. Byłam przekonana, że Marcin zdecydowanie za szybko odszedł spod mojej klatki!

Dlaczego? Co go tak pognało? Zmęczenie nie pozwalało mi rozwiązywać tych okropnych zagadek. Na nic nie miałam ochoty. Ostatkiem sił weszłam do klatki schodowej i wjechałam windą na swoje piętro. Na spacer po schodach nie miałam chęci. Wsadziłam klucz w zamek, przekręciłam dwa razy i przekroczyłam próg mieszkania.

Jak zwykle było w nim ciemno i głucho. Od sąsiadów zza ściany dobiegała delikatna muzyka. Wlałam świeżą wodę do wazonu i wstawiłam kwiaty od dzisiejszego wielbiciela. Powoli zaczęłam ściągać buty i płaszcz. Powiesiłam apaszkę na wieszaku. Weszłam do łazienki, odkręciłam kran. Wróciłam do pokoju i prędko przebrałam się w ciepłutki szlafroczek. Ściągnęłam z suszarki koszulę nocną. Wstawiłam czajnik. Wyciągnęłam kubek z szafi. Zasłoniłam rolety w salonie. Podlałam paprotkę, gdyż wydawało mi się, że ma sucho. Nagle potrzebowałam wody do wszystkiego. Co ja bym bez niej zrobiła – przemknęła mi banalna myśl. Usiadłam w kuchni na swoim ulubionym miejscu i poczułam ogromne zmęczenie połączone z ulgą.

Moje rozmyślenia nie trwały długo – raptem usłyszałam dzwonek.

Równiutkie dźwięki z mikroprecyzją docierały do moich bębenków słuchowych. Rozlegały się miarowo i do taktu. Natrętnie, sekunda po sekundzie dobiegający sygnał napełniał po same brzegi moją ukochaną ciszę. Od dwunastu lat o tak późnej porze nikt nie stał pod moimi drzwiami. Nikt mnie nie potrzebował, nie poszukiwał, nie chciał... Moja córka i jej chłopak przebywali za granicą. Jeśli wróciliby wcześniej, powiadomiliby mnie z pewnością. Żadna zapowiedziana wizyta nie przychodziła mi do głowy. Zresztą o tak późnej porze nikt normalny nie przychodzi w odwiedziny.

Kto uwiesił się na tym piskliwym urządzeniu? Kto to może być? Czyżby któraś z sąsiadek? Może pani Wanda? Może jakiś pijany ktoś?

Natarczywy dzwonek zadzwonił raz jeszcze... i jeszcze raz... i jeszcze, jeszcze, nie dawał spokoju.

– Słucham? – Zapytałam niepewnie.

Dłużej nie musiałam się zastanawiać. W drzwiach jak Feniks z popiołów odrodził się Marcin.

– Co ty tu robisz? Dlaczego? Jak mnie znalazłeś? Przecież... Nie mogłeś mnie odszukać. Kto ci powiedział, gdzie mieszkam? – Jąkałam się.

Zaskoczył mnie. Bardzo mnie zdziwił. Moje pytania były dziecinne.

– Kochanie, mam swoje sposoby.

– Ale Marcin... – teraz z lekkością wypowiedziałam jego imię.

– Proszę cię, Lena, na miłość boską... Jestem już dużym chłopcem, wiem, jak znaleźć kobietę, na której mi zależy. Kochanie, proszę, nie zadawaj tyle pytań – nachylił się nade mną, po czym pocałował mnie w policzek.

– Przestań żartować! Nie mów do mnie „kochanie”! Nie możesz! Nie powinieneś mnie tak nazywać!

Odsunęłam się na bezpieczną odległość.

– A jak mam się do ciebie zwracać?

– Nie całuj mnie! Stanowczo zabraniam!

Uśmiechnął się. Zauważył moje zakłopotanie. Pewnie wyglądałam jak pąsowa róża.

– Pięknie wyglądasz, a najpiękniej, gdy się złościysz.

– Nie wygłupiaj się. To nieprawda. Przypominam zdechłą kurę i wcale się nie złościysz.

Dotarło do mnie, że jestem niestosownie ubrana przy moim gościu. Miniszlafroczek na pewno nie był teraz odpowiednim ciuchem.

– Nie śmiałybym stroić sobie żartów z twojego wyglądu. Naprawdę jesteś piękna.

– Dobrze, a więc po co przyszedłeś? – Przymknęłam powieki. Byłam nieugięta.

– Przepraszam cię, że tak późno – spojrział na zegarek. – Za wszystko

zresztą... Sprytnie wymigał się od odpowiedzi.

– Nie przepraszaj... Marcin, już dosyć! Zachowuj się przyzwoicie. Czuję się przy tobie bardzo niezręcznie.

– Myślę, że nie powinnaś, a ja powinienem cię przeprosić, mimo wszystko powinienem...

– Nie musisz, daj spokój, nie wymagam niczego... Po prostu przestań się wygłupiać, to wszystko! Jestem zmęczona. Więc o co chodzi?

– Lena... – złapał mnie za rękę.

– Coś jeszcze? – Spojrzałam mu w oczy.

– Cieszysz się?

– Z czego?

– Chociaż ociupinkę, że przyszedłem?

– Jest późno... Tego nie wiem...

Bo i skąd miałam wiedzieć?

Powoli przyciągnął mnie do siebie i zaczął delikatnie całować, najpierw moje dłonie, a potem usta. Nie broniłam się. Chciałam tego. Było mi miło.

– Nie gniewasz się? – spytał w taki sposób, jakby był pewny, że usłyszy twierdzącą odpowiedź.

– Tak... Nie... To znaczy... Fajnie, że jesteś. Wejdz dalej, zapraszam... Nie wiem, czy dobrze robię. Marcin, to jest nie na moje nerwy. Twoja wizyta zupełnie mnie zaskoczyła – poddałam się. Nie byłam pewna żadnej decyzji, gdy trzymał mnie w swoich ramionach.

– Dziękuję.

– Przestań. Nie ma za co w kółko przepraszać, w kółko dziękować... – szeptałam.

– Dobrze...

– W pierwszej chwili pomyślałam, że może czegoś zapomniałam i przyniosłeś mi to coś. Że może o czymś ważnym zapomniałeś mi powiedzieć. A może coś się stało? Coś z twoim samochodem. Dlatego cię wpuściłam – jak zwykle zupełnie niepotrzebnie gadałam i tłumaczyłam się. Przerastała mnie moja naiwność. Myliłam się we wszystkich swoich domysłach.

Marcin po prostu przyszedł. Do mnie właśnie. Był tu i teraz. Był ze mną, obok mnie, blisko, wrócił. Zwał jak zwał. Co za różnica? Na szafce położył butelkę markowego wina i nieduży kartonik z ciasteczkami. Przyniósł też ze sobą potężne kwiaty w doniczce. Wyglądał z tym prezentem co najmniej śmiesznie. Nieważne! Co za oryginał z tego ginekologa.

Cieszyłam się. Nie potrafiłam Marciniowi tego wyznać. Chciałam, żeby właśnie teraz był ze mną. Zupełnie nie wiem dlaczego. Pragnęłam jego towarzystwa najbardziej na świecie. Potrzebowałam mężczyzny.

Sama nie wiem, jak to się stało, dlaczego tak łatwo go wpuściłam. Dlaczego

zgodziłam się, żeby ze mną został. Żeby całował moje dłonie. Żeby całą mnie pieścił, dotykał, brał na własność, aż do utraty tchu. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego znalazł się w mojej wannie. Dlaczego tak długo rozmawialiśmy, prawie całą noc słuchając muzyki. I dlaczego w sobotę rano chodziłam w jego granatowej koszuli pachnącej nim samym, zjedliśmy wspólnie śniadanie i nareszcie poczułam się szczęśliwa. Wątpliwości było zbyt wiele, żeby je usystematyzować, żeby się nad nimi zastanawiać, żeby coś drażyć, coś ustalać. Ale po co byłoby coś takiego robić? Wszystko toczyło się za szybko i w zwariowanym tempie. Jednak ja tego pragnęłam, tak bardzo chciałam. Nie poznawałam siebie. Gdzie podziały się moje zasady? Przypomniałam sobie o nich w międzyczasie, ale było za późno, by je zastosować. Na realizację mojego kodeksu etyki było za późno, dużo za późno! Czy dobrze robiłam? Przekonałam się o tym znacznie później.

\* \* \*

Niedzielę spędziliśmy w łóżku. W ogóle nie wychodziliśmy z pościeli. Kochaliśmy się, rozmawialiśmy i ponownie, i znów.... Chyba miałam już dosyć. Jak na pierwszy raz miałam przesyt seksu. Byłam zakłopotana i zawstydzona. Czułam, że nie powinnam. Miałam wątpliwości, czy dobrze postępuję. Wszystkie argumenty, które sobie przytaczałam, przemawiały za tym, że jednak robię źle! Chciałam zwolnić tempo. Zawsze byłam ostrożna.

– Marcin, ja w ten sposób nie mogę, nie chcę. Jak dla mnie wszystko toczy się za szybko, za prędko wszystko się dzieje. Odnoszę wrażenie, że próbujemy coś nadrobić. Tak się nie da, nie powinniśmy tak się zachowywać. Dajmy sobie czas, więcej czasu. Mam wrażenie, że dzisiejszej nocy złamałam wszelkie zasady, wszelką etykietę, a ty mi w tym dopomogłeś. Ja siebie nie poznaję – odezwałam się niezbyt przekonująco.

– A więc jestem współwinny? – Żartował Marcin.

– Myślę, że jesteś winny. Przez ciebie zachowuję się tak nieracjonalnie – zwałałam winę na Marcina.

– Lenka, skarbie, odwróć się do mnie. Czym ty się przejmujesz? Jesteśmy dorośli, możemy. Wszystko możemy... – Marcin pomrukiwał, chcąc mnie przytulić.

– Tak, owszem, możemy, ale kto będzie ponosił konsekwencje naszego zachowania? Pomyślałeś o odpowiedzialności? Pomyślałeś o finale?

– O jakich konsekwencjach mówisz? Nie będzie żadnych konsekwencji. Jestem ginekologiem. Obiecuję. Zresztą uważam.

– W tych sprawach nie ma mądrych... Marcin, dlaczego ty mnie nie słuchasz?! – oburzyłam się, gdyż czułam, że wpadłam, jak śliwka w kompot.

– Lena, proszę, nie bądź dzieckiem – przerwał mi leniwie, tym razem obejmując i przytulając do siebie jeszcze mocniej. Obcałowywał moje czoło i policzki.

– Marcin, przestań! Mówię całkiem poważnie: to w czym uczestniczymy, przerasta mnie. Cała ta sytuacja między nami to... to jedno wielkie nieporozumienie. Nie możemy. Nie powinniśmy. To szaleństwo!

– Kochanie, przede wszystkim uspokój się. Po co te nerwy? Nie musisz... – uśmiechnął się.

– Nie, ja po prostu nie mogę żyć w taki sposób, nie chcę... To znaczy... chcę, chcę żebyś wiedział, że nie wskakuję każdemu facetowi do łóżka. Musisz to wiedzieć! Musisz! Powinieneś! Marcin!

Mój kochanek podniósł się z poduszki.

– Lena! Co ty mówisz? Co ty wygadujesz? Popatrz na mnie, popatrz, proszę. Coś takiego chyba nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Opanuj się! Nie oskarżaj sama siebie. Przecież niczego złego nie robisz... nie robimy. Ja bynajmniej tak nie myślę. Nawet nie śmiałybym w ten sposób...

Mina Marcina wyrażała ogromne zdziwienie. Był zszokowany tym, co usłyszał.

– Nie, nie mogę tak się zachowywać. Nie chcę... Nie będę. Ubierzmy się i skończmy to wariactwo.

– A jak możesz? Jak chcesz? Jak powinniśmy? – Zapytał beztrąsko.

– Marcin, nie drocz się ze mną. Wiesz dobrze, o co mi chodzi, co mam na myśli.

– Nie, nie wiem, o jakim wariactwie mówisz – udawał niedoinformowanego. Ciągłe żartował.

– Marcin, przecież to brak rozsądku! Brak szacunku do siebie samych. Jesteśmy nieodpowiedzialni, a powinniśmy być. Na miłość boską, uchodzimy za wykształconych ludzi, nie zaprzeczysz. Nie możemy zachowywać się tak, jakbyśmy byli małżeństwem od zawsze. Przecież tak krótko się znamy – próbowałam przywołać go do porządku.

– Nieprawda! – Marcin zaprzeczył raz jeszcze.

– Nie powinniśmy... – powtórzyłam zrezygnowana.

– Uwielbiam, jak mówisz to swoje „nie”, jak się sprzeciwiasz, bronisz. To mnie niesamowicie kręci... O Boże, Lena, żebyś ty wiedziała, jakie emocje we mnie wyzwalasz! Myślę, że małżeństwo nie ma w naszym przypadku nic do rzeczy. Nie musimy być w związku, by cieszyć się życiem.

– To twoje ostatnie zdanie?

– Nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć, żeby cię nie urazić.

– Może i nie ma znaczenia, że nie jestem twoją żoną. Sama już nie wiem... Ale ja nie przypominam sobie... jeszcze chyba nigdy nie powiedziałam ci „nie”. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie mówiłam. Przecież nie było nawet takiej okazji.

– Lena, owszem, było już kilka. Od naszego poznania się często mówisz „nie”. Bardzo mi się to podoba. W twoim wykonaniu słowo „nie” to bestseller.

– Przestań, Marcin, bo pomyślę, że jesteś.....

– Co pomyślisz? Niech zgadnę? Że jaki jestem? Że kim jestem? Lena, jestem zakochanym facetem. Chcę, żebyś przyjęła to do wiadomości. Nie widzisz, co ty ze mną robisz? – Zadeklarował w euforii.

– Nie lubię, gdy ciągle żartujesz z ważnych spraw. Jesteś zbyt pewny siebie. Mógłbyś być nieco bardziej powściągliwy. Jesteśmy dorosłymi, porządными ludźmi, prawda? Jesteśmy porządni. Zachowuj się więc porządnie – skarciłam go.

– Przysięgam, nie żartuję. Jestem całkiem poważny. Zakochałem się jak smarkacz. Mogę się z tobą kochać, kochać, kochać... i znów bez przystanku powtarzać tę czynność od początku. Uważam, że to nic złego. Jesteśmy porządными ludźmi. To się zgadza. Jednak to nie zmienia faktu, że cię kocham – wyznał, patrząc mi w oczy.

– Przestań, proszę, bo sama już nie wiem, co mam robić – wyszeptałam.

– Nie rób nic. Porządni ludzie też mają prawo do miłości. Zwłaszcza oni – dodał, łapiąc moje dłonie. – I do seksu – uściślił.

– Marcin, błagam... Ty ciągle o jednym. Jestem gotowa pomyśleć, że... że jesteś... perwersyjny – nie chciałam dłużej słuchać tych bzdur.

– Ja perwersyjny? Lena, co się z tobą dzieje? Dlaczego aż tak źle mnie oceniasz? Czy zrobiłem coś nie tak? – Marcin czuł się urażony.

Na jego miejscu pewnie poczułabym się podobnie.

– Przepraszam, nie tak to miało zabrzmieć – wciąż mówiłam cicho.

Marcin pokręcił głową. Zamyślił się.

– Przecież się nie gniewam. Na ciebie nie można się gniewać – pocałował moje rozgrzane usta.

Przestałam się bronić. Byłam na straconej pozycji.

W pewnej chwili postanowiłam przyszykować coś do zjedzenia. Zrobić obiad, nakarmić mojego gościa, ale gość mi nie pozwolił.

Nie robiliśmy nic, co chociażby w minimalnym stopniu mogłoby nas zmęczyć. Błoga sielanka. Z Marcinem czułam się przecudownie. Co tu dużo gadać. Chłop, może bardziej mężczyzna potrzebny jest każdej kobiecie i odwrotnie. Tak skonstruowane jest życie. Nie uciekniemy przed zdradą i upokorzeniem, ale przed szczęściem i miłością też nie mamy szansy uciec. Zwłaszcza kiedy niespodziewanie staną na naszej drodze. Ale dlaczego mielibyśmy uciekać? Potrzebujemy miłości jak ryba wody, jak żyrafa długiej szyi, jak jeź kolców,

dziecko matczynej piersi, a ptak skrzydeł... Takie jest odwieczne prawo natury. A my to jej część. Miłość to uczucie wpisane w życie każdej ziemskiej istoty. Najbardziej dotyka ludzi. To oni, ludzie, przez miłość płaczą ze szczęścia i nieszczęścia.

Uwielbiałam filozofę. Miałam ją nawet studiować – wyszło zupełnie inaczej. Szkoda trochę!

Nie potrafię tego wytłumaczyć. Stało się coś dziwnego. To znaczy, że mną stało się coś dziwnego. Najzwyczajniej zaczynałam przekonywać się do Marcina. Bardzo powoli, ale... Jednak wątpliwości cały czas miały przewagę nad zdrowym rozsądkiem. Myślałam, że nigdy się nie odważę. A jednak zaufałam. Zaufałam temu facetowi. Sama siebie nie poznawałam.

Nawet sąsiadami zbyt nie przejęłam, choć zdawałam sobie sprawę, że na pewno wszyscy w bloku już wiedzą, że spałam z jakimś facetem, i to we własnym łóżku. Znowu ostro przesadziłam! Co to kogo obchodzi? Przecież jestem dorosła. Mam prawo sypiać, z kim chcę. Nikt mi nie może zabronić...

## Praca, praca...

Był zimny, mokry poniedziałek. Po raz pierwszy od wielu lat pojechałam do pracy nieprzytomna, nieprzygotowana i zupełnie niepozbita do kupy. Czułam się wykończona, ale za to bardzo, bardzo szczęśliwa. Nie było mi ani zimno, ani ciepło. Nic mnie nie wkurzało. Wszystko cieszyło. Nic nie odczuwałam prócz zamętu w głowie. Dopadła mnie całkowita bezradność. Czułam się dziwnie, ale podobał mi się taki stan z motylami w brzuchu. Nigdy dotąd nie było mi tak fajnie i niefajnie jednocześnie. Nie wiem, czy czułam się dobrze, czy źle. Całkowita błogość i konsternacja zarazem. Super, super, super!

Boże! Co się ze mną dzieje? Co mi jest? Dlaczego czuję się tak nieswojo, tak inaczej? Muszę jak najszybciej zająć się pracą, bo zaraz zwariuję. Tak, najlepiej byłoby zapomnieć o Marcinie i zająć się wyłącznie obowiązkami służbowymi. To byłoby najlepsze lekarstwo. Ale jak tego dokonać? Ratunku, niech ktoś mi pomoże! Co ja gadam? Przecież nikt nie może się dowiedzieć o Marcinie. Przynajmniej na razie mam plan, nikomu nie chcę się chwalić. Tym bardziej zwierzać się. Uznałam, że tak będzie najlepiej, koniec, kropka. Z nikim nie mam zamiaru omawiać własnych spraw. Nie będę dyskutowała o Marcinie nawet z Ulką, która zawsze dobrze doradzi i pomoże w trudnych chwilach. Jest moją najlepszą kumpelą, ale nie tym razem. Nawet z nią nie będę konwersować, pomimo że jej ufam i jej zdanie cenię nad wszystkie inne. Jest moją przyjaciółką, i to najlepszą z najlepszych. Wiemy o sobie wszystko, na bank. Znam jej najskrytsze tajemnice. Ona moje również, ale tego, że poznałam Marcina, nie mogę jej zdradzić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Byłam o tym święcie przekonana.

Mam też nadzieję, że nikt się nie zorientował, iż dzisiaj jestem szczególnie niedyspozycyjną dyrektorką. Taką, która siedzi za biurkiem i buja w obłokach. Nie potrafiłam zupełnie poważnie zająć się pracą. Niczym nie potrafiłam się zająć. To było coś dziwnego i zarazem bardzo prawdziwego. Ten stan był mi dotąd zupełnie nieznanym. Panikowałam.



## Szara rzeczywistość

We wspomniany poniedziałek po południu i cały wtorek nie widzieliśmy się z Marcinem. Nie zwariowałam z tego powodu, ale też nie mogłam powiedzieć, że pałam szczęściem. Nie potrafiłam skupić się na żadnym zajęciu. Nic mi nie szło tak, jak sobie zaplanowałam. Sprawy rozsypywały mi się w rękach. Było źle! To znaczy ze mną było źle! Masakra!

O Jezu! Czyżbym się zakochała? To się naprawdę działo!

Robiłam naleśniki, myślałam o Marcinie.

Prasowałam, myślałam o Marcinie.

Czytałam ustawę, myślałam o Marcinie.

Obierałam pomarańcze, również myślałam o nim.

Cały czas miałam go w głowie. Osobisty dysk w moim mózgu zapisany był Marcinem.

A pan ginekolog odwrotnie – nawet nie raczył zadzwonić do mnie. Na odległość było czuć, że klinika to jego pierwsza miłość. Ja na razie stanowiłam co najwyżej następną, jeśli w ogóle stanowiłam.

Właśnie miał ostry dyżur. Był niezwykle obowiązkowy. To akurat zdążyłam zauważyć, mimo że znaliśmy się niedługo. Chodził jak szwajcarski zegarek, jeśli wziąć pod uwagę sprawy zawodowe. Prywatnie też się nie spóźniał. Bardzo angażował się we wszystko, co robił. To chyba dobra cecha lekarza – rozmyślałam. Ale czy był szczerzy? Miałam na myśli szczerłość w stosunku do mnie. Pewności nie miałam. Gwarancji żadnej, ale ochotę na kolejne spotkanie z nim przeogromną.

W środę odpuścił sobie trochę. Mam na myśli klinikę. Ponoć bardzo się za mną stęsknił.

Nareszcie! Traciłam nadzieję, że się doczekam.

Rano odwiózł mnie nawet do pracy i nie potrafił się ze mną rozstać. Ciągle coś mówił, tłumaczył, o coś pytał. Połowy tego w ogóle nie ogarniałam.

– Pani dyrektor, bardzo tęskniłem – szeptał mi do ucha.

– Marcin, czy ty musisz wiecznie żartować? Dorośnij w końcu!

– Jestem dorosłym, poważnym panem. Kocham cię. Jak zwykle mi nie wierzysz? To przecież oczywiste, jak dwa razy dwa. Naprawdę tęskniłem – oburzył się.

– Wariat – pokiwałam głową.

– Tak, to prawda, zwariowałam, masz rację. Przyznaję. Dzieje się tak wyłącznie z twojego powodu.

– Oj, Marcin, Marcin... – pogłaskałam go po policzku.

Dotknął mojej dłoni i kilkakrotnie pocałował jej wnętrze. Od czubka głowy

po same koniuszki pięt przeszył mnie prąd. Nie mogłam ruszyć się z miejsca. Nie pozwolił mi odejść, dopóki się ze mną nie pożegnał. Dość długo trwała ta ceremonia.

Byłam przestraszona jak zajęć. Nie chciałam, żeby nas ktoś zauważył. Ktoś z personelu przedszkola. Może kiedyś, w przyszłości, owszem, ale teraz było jeszcze za wcześnie.

– Skarbie, przyjadę po ciebie. O której kończysz pracę?

– Marcin, ale ja nie mogę z tobą wracać. Mam samochód przy przedszkolu. Muszę go dzisiaj zabrać pod blok. Jutro rano będzie mi potrzebny i potem w pracy także. Bez własnego pojazdu nie funkcjonuję. Wiesz przecież. Muszę dziś wrócić autem na Mokotów. Jak widzisz, jestem bez wyjścia.

– Zaczekaj! Chwila... – Marcin wyciągnął z kieszeni płaszcz komórkę i energicznymi ruchami palców udało mu się przywołać kogoś do telefonu. Nie miałam pojęcia, kto to był.

– Cześć, Kazimierz. Prośba do ciebie. Czy mógłbyś dzisiaj zabrać samochód spod przedszkola? Później ci powiem, gdzie to jest. Około szesnastej. Dam ci jeszcze znać dokładnie... Dzięki. Cześć. Jeszcze raz wielkie dzięki.

Nie miałam pojęcia, z kim rozmawia i komu wydaje śmiałe komendy, ale imię Kazimierz coś mi mówiło. Obiło mi się o uszy. Szybko przypomniałam sobie, że rozmawiał z tym facetem w kawiarni, na naszym pierwszym spotkaniu.

– O samochód nie musisz się już martwić. Dasz mi tylko kluczyki i wieczorem znajdziesz wóz pod swoim blokiem. Więc jak? Dowiem się, o której kończysz pracę?

– Marcin, ja nie mam do ciebie siły.

– Więc o której? – Nie chciał odpuścić.

– Raczej zdradz mi, o której ty kończysz swój dyżur. Ja mogę się dostosować. Nie zależy mi zbyt na czasie. Zaczekam na ciebie tak długo, jak będzie trzeba – nie odpowiedziałam Marciniowi na jego pytanie, przekonana o słuszności swoich słów.

– O nie, nie, nie! Lena, nie rozumiesz? Mnie zależy, i to bardzo. Na tobie zresztą... Nie powinnaś, ja powinienem...

– Nie wiem, co masz na myśli. O co ci chodzi? Czego nie powinnam?

– Kochanie, posłuchaj. Chodzi mi o to, że to ja powinienem dostosować się do twojego rytmu życia, nie odwrotnie. O niczym innym nie marzę. Nie chciałbym, żebyś dopasowywała się do mnie. Nie zniósłbym czegoś podobnego. Nie rób tego, nigdy. Nie proponuj podobnych bzdur... Chcę czuć bicie twojego serca. Jego rytm wyznacza dla mnie granicę. Granicę, której nie zamierzam przekraczać. Rozumiesz? Ona jest tylko twoja. Nie ty będziesz dopasowywała się do mojego życia, lecz ja postaram się dostosować do twojego. Moje „ja” nie ma tu znaczenia, nie liczy się, wyrzucamy je do kosza. W tym przypadku chodzi wyłącznie o ciebie

– argumentował.

– Jak to?

– Zwyczajnie, po prostu...

– Czy to znaczy, że zaliczasz się do prawdziwych dżentelmenów?

Nie za bardzo wiedziałam, o co chodzi. Uśmiechnął się. Zrobiło mi się głupio. Marcin miał niebywałą klasę. Pierwszy raz w życiu spotkałam kogoś, kto spostrzegał moje i wyłącznie moje potrzeby i kogo naprawdę obchodziłam. To było niesamowite. On pragnął dopasować własne życie do kruchych trybów mojego. Nie wyobrażał sobie, żeby było odwrotnie. Zauważał, że ja też mogę czegoś pragnąć. Wczuwał się w bicie mojego serca. Dostosowywał własny rytm do mojego. Widział siebie przez pryzmat mnie samej. Dostrzegał we mnie kobietę. Był prawdziwym skarbem, bardzo szarmanckim facetem. Tak go odbierałam.

– Dziękuję – szepnęłam zaskoczona, całując go w policzek. Odwzajemnił kilkoma własnymi w moje wyszminkowane usta.

Marcin powoli przyzwyczajał mnie do normalności mojego nienormalnego życia. Nie było to proste. Nie było łatwo, bym zaczęła wreszcie ignorować chore przyzwyczajenia, bagatelizować wszelkie anomalie życia, które dotychczas mnie trapiły, trzymały w swych poplątanych sieciach. Wiele nieprawidłowości w swoim zachowaniu uważałam za całkiem normalne. Trzeba było zacząć z tym walczyć.

Mimo upływu lat wciąż nie docierało do mnie, że mężczyzna może widzieć potrzeby kobiety, swojej kobiety. Z Witkiem nigdy przecież tak się nie zdarzyło. Moja psychika nadal obciążona była przeszłością. Bardzo obciążona...

– Więc jak będzie? Co zamierzasz zrobić? Jaką decyzję podjęłaś?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Zaskoczyłeś mnie.

– Lenka, błagam cię.

– Kiedy ja naprawdę nie wiem...

– To nie jest trudne...

– Dobrze. W takim razie przyjedź po mnie o wpół do czwartej – zgodziłam się w końcu.

Wysiadając z samochodu i oddalając się nieco, zupełnie spontanicznie puściłam Marcinowi buziaka. Byłam w bardzo dobrym humorze. To zasługa mojego faceta.

– OK, zjawię się, jak każesz, moja kochana. Do zobaczenia – żartował i uśmiechał się. Robił tak często. Jego niebieskoszare oczy uśmiechały się razem z nim.

Widziałam, jak przez chwilę trzymał dłonie na sercu i naśladował nimi jego bicie. Pokiwałam do niego, zanim schowałam się za szklanymi drzwiami przedszkola. Byłam szczęśliwa. Od tej pory Kazimierz bardzo często odprowadzał mój samochód. Nie protestowałam. Kim on jest naprawdę?

## Po pracy

Popołudnie spędziliśmy w Galerii Mokotów. Stopniowo oswajałam się z obecnością Marcina w moim życiu. Dziś próbował przekupić mnie prezentami. Choć bardzo, ale to bardzo się wzbraniałam, nie odniosło to najmniejszego rezultatu.

Niczego nie chciałam przyjąć od Marcina. Nie chciałam się od niego uzależniać. Zawsze sama sobie radziłam. Nie zamierzałam tego zmieniać. Nie teraz, nie tak nagle. Jeszcze za wcześnie... Wierzyłam, że mam rację. On jednak był bardzo uparty i trzymał się swojej racji. Zachowywał się co najmniej irracjonalnie.

– Marcin, żadnych drogich prezentów! Nie możesz! Nie powinieneś! Uszanuj moje zdanie – kategorycznie zabraniałam.

– Lena, bardzo chcę, uwierz... Zrobisz mi przyjemność. To są niewinne drobiazgi – prosił mnie. Był cierpliwy.

– Niczego od ciebie nie przyjmę. Nie przekonasz mnie – nudziłam.

– Lenka, błagam po stokroć. Nie bądź niepoważna. Nie rób zamieszania w sklepie. Dla mnie to frajda. Potraktuj ten dzień jak mikołajki. To będą prezenty dla ciebie od świętego.

Popukałam się w głowę.

– Jestem już dużą dziewczynką i nie wierzę w Mikołaja. Marcin, czy nie zauważyłeś, że to nie ja robię zamieszanie? Skończ wygłupy! Nie kupuj mi żadnych prezentów. Proszę, uszanuj moją prośbę. Chyba tyle możesz dla mnie zrobić? Jakie mikołajki? Jaki święty? Co ty wymyśliłeś? Nie zgadzam się!

– Lena, posłuchaj uważnie. Robienie ci prezentów jest dla mnie największą przyjemnością. Proszę, nie odbieraj mi tych szczęśliwych chwil.

Wkrótce okazało się, że w kwestii zakupów nie miałam nic a nic do powiedzenia. Po długiej walce wywiesiłam białą flagę.

– Myślałem, że nigdy nie dasz się przekonać. Jesteś wielką tajemnicą. Tak naprawdę, jaka jesteś, nie wie nikt – Marcin zacytował słowa piosenki.

– I tej wersji się trzymajmy. Kto ci powiedział, że dałam się przekonać? Na razie odpuściłam. To tyle – zażartowałam.

Marcin spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Poddałaś się, a ja taką bezbronną kocham cię najbardziej.

– Znów żarty – westchnęłam.

– Nie żartuję.

– Odrobinę więcej cierpliwości. Marcin, być może kiedyś przekonasz się, jaka jestem naprawdę, ale... musisz być cierpliwy. Proszę o nieco więcej pokory – zaprowadzałam porządek.

– Nie wiem, czy będę potrafił dłużej czekać. Znam siebie. Mogę nie dać

rady.

I co wtedy? – Oznajmił z przekorą.

– Tego nie wiem.

W takich beztroskich okolicznościach rozpoczął się nasz romans. Tak, to faktycznie był romans. Bo jak ten czas nazwać inaczej? Razem do pracy, razem z pracy. Słowo „razem” nabierało znaczenia. Choć nie mieszkaliśmy jeszcze we dwoje, byliśmy ze sobą na dobre i na złe. Jego rzeczy u mnie, moje u... no moje u niego jeszcze nie. Byłam ostrożna. Dwa samochody, dwa domy i chyba pomału zaczęło tlić się w nas jedno życie.

Marcin zaczynał być wszechobecny w mojej egzystencji. Powoli docierało do mnie, że spotkało mnie coś cudownego, i nie zamierzałam z tego czegoś rezygnować. Zaczynałam się przekonywać, że nawet jeśli to coś ulotnego, to i tak warto w coś tak fantastycznego wejść, coraz głębiej i głębiej....

Nasza znajomość przypominała życie motyla. Krótko byliśmy razem, za to oboje czuliśmy się cudownie. W ekspresowym tempie wszystko zaczynało mi się podobać. Układać w sens życia, istnienia, trwania... Bycia razem, bycia jednym jabłkiem z tego samego drzewa lub dwiema gwiazdami z tego samego nieboskłonu. Zapałka nie gasła, przeciwnie – dawała niezwykle światło, rozpalając blaskiem świeczkę po świeczce. Robiło się jasno, coraz jaśniej, ciepło, ciepłej, bezpieczniej... Zaczynałam czuć, że jestem komuś potrzebna i ten ktoś też mnie potrzebuje. Czulałam się szczęśliwa. Marcin to cenił. Kochaliśmy się do szaleństwa prawie. Ale o tym, czy warto było się tak angażować, dowiedziałam się znacznie później.

\* \* \*

Siedzieliśmy w przytulnej kafejce. Panował półmrok. Wtuleni w siebie popijaliśmy francuskie wino. W zasadzie ja je popijałam. Marcin raczył się sokiem pomarańczowym, poruszaliśmy się jego samochodem. Krótko mówiąc, miałam osobistego kierowcę. Co za komfort! Nigdy przedtem nie dostawałam od życia tyle szczęścia naraz.

– Lena, czy dasz się dzisiaj zaprosić na kolację?

Mój adorator zmrużył oczy. Wcale nie czekał na odpowiedź. Jakby z góry wiedział, że jest przesądzona.

– Niestety nie. Nie ma takiej możliwości. Wieczorem przeważnie nie jestem głodna. Poza tym nie jadam kolacji. Zwłaszcza z nieznanymi ich nie jadam – żartowałam.

– Pytam zupełnie poważnie. Zależy mi, aby się pani zgodziła.

– A ja, proszę pana, odpowiadam szczerze, że od jakiegoś czasu się odchudzam, więc nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia – odwzajemniłam uśmiech.

– To niezdrowo. Odchudzanie jest niekorzystne dla organizmu. Nie powinnaś. To zbyt ryzykowne. Posłuchaj porady lekarskiej – nie dawał za wygraną.

– Doskonale wiem, panie doktorze, co jest dla mnie dobre. Lecz jeśli pragnie się być pięknym? Poza tym pan jest ginekologiem, a nie gastrologiem. Najprawdopodobniej nie zna się pan na przemianie materii.

– Ale znam się na kobietach, zwłaszcza tych pięknych.

– W to nie wątpię.

– Lena, ty przecież jesteś zgrabna, masz fantastyczną sylwetkę, nie musisz o nic dbać z przesadą, a już na pewno nie o linię.

– Dziękuję, jak zwykle miły, ale ja mocno powątpiewam w ten komplement.

– Chciałbym, żebyś się jednak przekonała. Zdrowy styl życia, w tym jedzenia, to podstawa prawidłowego funkcjonowania. A więc zapraszam, właściwie nie tylko na kolację ale i na śniadanie. Mocno, mocno, z całych sił cię proszę. Gorąca kawa rano wypita z panią dyrektorką przedszkola to zaszczyt dla mojej skromnej osoby.

– Nie. Kompletnie niepoważny... – westchnęłam.

– Nie słuchał mnie.

– Na śniadanie, Leno, również zapraszam – dodał, pokazując swój piękny uśmiech.

– A czy pan, panie doktorze, nie ma przypadkiem w tym czasie dyżuru w szpitalu?

– Kochanie, nie mam. Nie musisz się martwić. Wiesz przecież, że dla ciebie mogę zmienić cały grafik. Wszystko mogę pozamieniać – żartem nie było końca.

– A klinikę też mógłbyś dla mnie przebudować?

– Jasne, że... Czy coś jeszcze, skarbie?

– Tak myślę, że miałabym jeszcze wiele życzeń, ale boję się, że naprawdę je spełnisz. Marcin, ty zwariowałeś. Zaczniemy od bardziej przyziemnych spraw. Na początek chcę wiedzieć, czy naprawdę nie masz dyżuru.

– Dlaczego pytasz?

– Pytam tak bez podtekstu... Sądzę, że inne kobiety na pewno bardziej cię potrzebują niż ja. Ja mogę poczekać, one nie za bardzo chyba – droczyłam się, ale wiedziałam, że tak lubi.

– Lenka, nie ma żadnych innych... Żadnych ważniejszych od ciebie pań. Zapamiętaj! I nie żartuj w ten sposób. Mogę być wolny, dla ciebie jestem zawsze. Zero dyżurów i obcych kobiet... Więc? Jak będzie? – Zawiesił głos w oczekiwaniu.

– To trochę zmienia perspektywę, ale mimo wszystko nie mogę się zdecydować. Nie wiem, czy powinniśmy. Czy możemy? Czy... Marcin, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Nie, nie wypada... Nie powinnam – szeptałam,

zachowując się jak Starostecka ze słynnego filmu „Trędowata”.

Wahałam się, bo uświadamiałam sobie, że zachęta Marcina brzmi jak propozycja seksu. A na tak częste zbliżenia nie byłam jeszcze całkiem gotowa. W ogóle nie byłam gotowa. Ale czy kiedykolwiek byłam? Czy będę? Akurat sprawy łóżkowe nie dawały mi zbyt wielkiej satysfakcji.

– Lena, nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś seksowna. Zwłaszcza teraz, gdy się zastanawiasz, gdy nie jesteś pewna, czy chcesz, czy ci wypada, czy powinnaś, czy... Czy powinnaś towarzyszyć mi najpierw podczas kolacji, a następnie podczas śniadania. Prowokujesz mnie. Musisz wiedzieć, że niesamowicie mnie prowokujesz. Już ci kiedyś mówiłem, że uwielbiam, kiedy mówisz „nie”, gdy mi odmawiasz. Kocham to twoje „nie”. Kocham ciebie. Lena, kocham cię – krzyczał. Zależało mu, żeby cały świat usłyszał, jaki jest szczęśliwy.

– Przestań. To nedorzeczne. Błagam, nie rób tego! Marcin, uspokój się! Co ty wygadujesz? Do czego cię prowokuję? I czy w ogóle? Marcin...

– Wiesz dobrze, do czego.

– Marcin, nie powinienes, tak nie można! Nie będę tego słuchała. Proszę, żebyś skończył te chore żarty.

– Lena, popatrz na mnie. Słowo honoru, mówię prawdę – uśmiechnął się tajemniczo.

Popatrzyłam, tak jak prosił. W jego oczach znów zobaczyłam nieodgadniony kolor. Uwielbiam szarości. Uwielbiam Marcina.

– Marcin, nie mam pojęcia. Oświeć mnie, proszę. O co chodzi z tą prowokacją, o której wspomniałeś? – droczyłam się, zresztą nie po raz pierwszy.

– Bądź cierpliwa. Dowiesz się w odpowiednim czasie – delikatnie dotknął mojej dłoni. Pocałował ją kilkakrotnie.

– Nie chcę czekać. Nie będę dłużej... Chcę teraz...

Marcin zrobił wielkie oczy.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? Powiedziałaś tak?

– Tego nie powiedziałam.

– Lena...

– Marcin, nie nalegaj, proszę!

– Błagam. Nie każ mi czekać. Nie trzymaj w niepewności.

– Dlaczego jesteś taki w gorącej wodzie kąpany?

– Raczej zakochany. Miłość nie potrafi czekać. Chociaż to banał, ale głęboko prawdziwy. Z banałów życie się składa.

– Filozof z ciebie.

– Nie, zaledwie lekarz.

Pokręciłam głową.

– Co zamierzasz? Zgodzisz się? Zdasz się na moją propozycję?

– A mam inne wyjście? Stawiasz mnie w sytuacji bez wyboru, zresztą nie po

raz pierwszy, przy grubym murze bez okien. Nie mam do ciebie siły. Dobrze, zgadzam się, zjem z tobą kolację.

– Dziękuję, dziękuję...

– Nie trzeba. Tyle razy ci powtarzałam. Nie trzeba.

Wciąż pragnęłam, żeby mnie dotykał, żeby nie ściągał swojej dłoni z mojej. Czułam się bezpiecznie, niczym pisklę w gnieździe, otoczone skrzydłami matki.

– A potem śniadanie?

– Śniadanie też zjemy razem, obiecuję. Zrobię dokładnie tak, jak sobie życzysz. Będę grzeczną dziewczynką. Przysięgam. Zrobię, co zechcesz.

Nie opuszczał mnie dobry humor. Pomimo wszelkich wątpliwości zgodziłam się. Wahałam się, ale się zgodziłam. Nie miałam innego wyjścia, a właściwie nie chciałam mieć. Jakaś nieznana siła kazała mi tak właśnie postąpić. Nie miałam pojęcia, czy dobrze robię. Chciałam ryzykować...

Muszę się wprawić, bo kiedy, jeśli nie teraz – żartowałam w myślach.

– Dziękuję, Lenka. Bardzo ci dziękuję za najlepszy wybór. Dziękuję, że mi ufasz. To dla mnie bardzo ważne – kilka razy pocałował moje dłonie.

Bystry jest. Wie, co uwielbiam najbardziej na świecie. Bo naprawdę uwielbiam, gdy mężczyzna całuje mnie po rękach. Marcin robił to wyjątkowo.

– Nie trzeba dziękować. Milion razy ci to powtarzałam. Nie trzeba, nie rób tego... Nie musisz...

– Ale chcę. Zależy mi, kochanie, na tobie.

– Mam taką nadzieję.

Moja szyja cała była w delikatnych malinkach.

\* \* \*

Był długi piątkowy wieczór, a ja wreszcie uświadomiłam sobie, że czas najwyższy zaakceptować wszystko, co się dzieje wokół mnie. Nie będę sprzeciwiać się losowi.

To jasne, że ostatnie lata były dla mnie łaskawsze od poprzednich. Zostałam dyrektorem. Wcześniej dorobiłam się upragnionego mieszkania, a teraz Marcin. I wszystkie wymienione wydarzenia miały miejsce w stolicy. Zaczęłam kochać Warszawę. Oddychałam w tym mieście pełną piersią. Właśnie tu wciąż otwierały się przede mną nowe horyzonty i przez swoje tajemnicze wrota wpuszczały do lepszego świata. Pragnęłam z tej szansy skorzystać. Zwłaszcza teraz nie wolno mi było niczego zmarnować.

Będę musiała jakoś wytłumaczyć się własnej córce ze swoich poczynań. W jaki sposób to uczynię? Nie wiem! Mam zamiar nad tym pomyśleć. Nie wiem też, co powiem mojemu przyszłemu zięciowi. Na razie wszelkie wątpliwości zostawię własnemu biegowi. Co ma być, i tak nas nie ominie. Niech wszystko samo poukłada się jak najlepiej. To było moje największe marzenie.





## Na Mokotowie

Marcin okazał się zupełnym przeciwieństwem mojego byłego męża. W każdym calu był inny. Gdyby się dowiedział, że porównuję go z moim byłym, zapewne nie byłby zadowolony. Ale nie dowie się. Nigdy mu tego nie powiem. Jest wart czegoś więcej niż jakichś bezsensownych porównań. Marcin to przedobry, przemyśły, uczciwy, inteligentny, mądry, przewspaniały facet. Mogłabym wygłaszać na jego temat same naj, naj, naj. To chodzący ideał, a mówią, że takich nie ma. I tu się grubo mylą – rozmyślałam, siedząc w starym bujanym fotelu w swoim mieszkaniu.

Na Marcina nigdy nie muszę czekać. Zawsze jest, gdy go potrzebuję. Jest słowny i co ważne – potrafi swobodnie poruszać się w kuchni. Świetny z niego kucharz.

Trudno uwierzyć, że go mam, że jest ze mną. Jest przy mnie blisko zawsze, kiedy potrzebuję tej bliskości. Jest moim przyjacielem. Kimś, z kim mogę głośno myśleć i marzyć. Być szczęśliwa.

Nadrabiałam stracony czas. Teraz prawie wszystkie dni i noce spędzaliśmy razem, przeważnie w moim mokotowskim mieszkaniu. Na razie nie miałam odwagi przeprowadzić się na stałe do mojego ginekologa. Mimo propozycji i próśb – nie potrafiłam. Marcin uczył mnie życia od nowa. Poznawałam piękno zwykłego, codziennego dnia przy moim odpowiedzialnym partnerze. Wszystko było inne. Cudownie inny i bezpieczny stawał się dla mnie świat. Do tej pory nie znałam takiej komfortowej jakości życia.

Nareszcie dotarło do mnie, skąd się wzięło to jego powiedzenie: „Znam wiele kobiet, ale ty jesteś najpiękniejsza”. Przecież kobiety to jego praca, jego codzienność. Kochał to zajęcie najbardziej na świecie. Bez pracy nie mógłby żyć. A beze mnie? Czy mógłby beze mnie? Tego jeszcze nie wiem... Czy dobrze, że go w ogóle poznałam? Dobrze czy nie? Pokazało życie.

## Nie wiem, co robić

Jak powiadają starsi ludzie, to znaczy jeszcze starsi ode mnie, sielanka nigdy nie trwa zbyt długo. Wierzą w prastare życiowe prawdy i ufają im. Są pewni, że po złym przychodzi dobro, po zimnie – ciepło, po chorobie – zdrowie, po biedzie – bogactwo, po życiu – śmierć i tak dalej, i tak dalej... Jest to dla nich oczywista oczywistość. To pewniki, na których opierają życie i nad którymi się nie zastanawiają. Trzymają się ich, by iść przez codzienność wciąż dalej i dalej. Znosić trudy i porażki, cieszyć się słońcem każdego dnia, bo drugiego może nie zaświecić. Pewnie dlatego tak się stało również w moim przypadku. Z tą tylko różnicą, że w moim życiu odwrotnie: po dobrym przyszło zło. Dlaczego? Tego nie wiem. Ale po kolei.

Marcin zaobserwował, że gdy się Kochamy, ja często jakby się przed czymś wzbraniam. Jak to śmiesznie nazwał – uciekam mu...

- Lena, dlaczego tak robisz?
- Ja przecież nic nie robię...
- Uciekasz mi...
- Jak to uciekam?

Niewiele sobie robiłam z tego, co do mnie mówił. Byłam przekonana, że żartuje.

- W łóżku... mi uciekasz.
- Marcin, nie wierzę, że ten zarzut płynie z twoich ust...
- Lenka, posłuchaj...
- Nie chcę i nie będę o tym mówić.

Rzeczywiście nie chciałam rozmawiać o sprawach niewygodnych. Seks od zawsze był dla mnie tematem tabu.

- Zastanawiam się, dlaczego tak się zachowujesz.
- Marcin, chwileczkę, nie powinienes...
- Jak najbardziej powinienem...
- Krępujesz mnie swoimi pytaniami. Z nikim nie chcę się dzielić tym, co robimy w łóżku. Łóżko to łóżko! Nie zadawaj trudnych pytań. Uwierz, nie mam ochoty na nie odpowiadać! Nie będę.

- Lena, błagam, musimy porozmawiać.
- Ja nie zamierzam...
- A powinnaś...
- Dlaczego tak się upierasz? Wiecznie wszystko komplikujesz.
- Bo zaczynam się martwić...
- O co?
- Nie o co, tylko o kogo.
- Jeśli masz na myśli mnie, nie musisz. Zwalniam cię od wszelkich

zmartwień. Możesz spać spokojnie.

– Myślisz, że to takie proste? Właśnie nie mogę...

– Owszem, często jest mi niekomfortowo podczas... no wiesz, ale nie na tyle, żeby się zwierzać. Uważałam, że nie ma potrzeby tego roztrząsać, a przynajmniej teraz nie powinniśmy. Jest za wcześnie na taką rozmowę – wypaliłam. Po co mam go wtajemniczać w swoje intymne sprawy i opowiadać, że mnie coś boli?

– Właśnie chodzi mi o to niekomfortowo. Świetnie to ujęłaś. O tym chcę z tobą porozmawiać.

– Marcin, nie łap mnie za słówka, bo zaraz skończę naszą konwersację – zagroziłam.

Dotknął mojej dłoni i podniósł ją na wysokość własnych ust. Całował i całował. Uspokajał. Przytulał.

– Tak krótko jesteśmy ze sobą. Tak niewiele o sobie wiemy. Po co wszystko psuć? – Tłumaczyłam cicho, patrząc mu w oczy. Moje własne robiły się coraz bardziej mokre.

– Lena, chciałbym wiedzieć zdecydowanie więcej, bo to, że urodziłaś dziecko dzięki cesarskiemu cięciu, już zauważyłem. Masz bliznę, nietrudno było...

– Więc wiesz wszystko. W jakim sensie musisz więcej?

– Ciągle taka sama... W sensie zdrowotnym, jedynie w takim.

– Po co mam cię martwić? Po co martwić siebie? Po co samej sobie strzelać samobójca? – W takim kierunku szło moje myślenie.

– Lena, uważam, że się mylisz... i to znacznie... Muszę cię o coś spytać. Jeśli pozwolisz – Marcin wpatrywał się we mnie z uwagą i powagą.

Miałam wrażenie, że śledzi każdą, nawet najmniejszą zmarszczkę na mojej twarzy. Miał grobową minę, nie było mu wcale do żartów.

– Coś się stało? Co jest tak ważnego? Co chcesz natychmiast wiedzieć?

– Tak, to rzeczywiście ważne. Usiądź na chwilę.

Posłuchałam i usiadłam na krześle. Zbliżył się do mnie.

– Pytaj, jeśli to konieczne. OK. Jeśli ci to pomoże w czymkolwiek. Byleby nie były to zbyt trudne pytania. Nie jestem w nastroju. Pęka mi głowa. Nie potrafię myśleć logicznie – w beztronski sposób wyraziłam zgodę, wykonując gest bezbronności, jakbym się poddawała.

Marcin chwilowo milczał, sprawiał wrażenie, jakby właśnie w tej chwili starannie przygotowywał się do zadawania trudnych pytań egzaminacyjnych.

– To naprawdę coś ważnego? – Powtórzyłam, udając, że nie rozumiem. Bo w zasadzie nie miałam pojęcia, o co Marciniowi chodzi. Nie potrafiłam usiedzieć bez ruchu, ale wciąż wytrzymałam na krześle.

– Lena, powiedz, ale szczerze.... – tu mój ginekolog urwał na dłuższą chwilę. – Jak ci jest ze mną? – Poważnie podpytywał. Trzymał moją jak zwykle

zimną dłoń w swoich własnych ciepłych rękach i pytał.

Spojrzałam na niego badawczym wzrokiem. Byłam zaskoczona, nie za bardzo rozumiałam, czego ode mnie oczekuje. Jakiej odpowiedzi? Szybko wyrwałam rękę z jego uścisku.

– Skąd tak dziwne pytanie? Dlaczego, w jakim celu mi je zadajesz? Nie rozpędziłeś się zbyt szybko? Nie za szybko? Marcin, jak daleko się jeszcze posuniesz? Przecież nie znamy się aż tak, żebyś... Nie na tyle, żebym wywlekała przed tobą całą duszę.....

– Lenka, proszę cię. Możesz mi zwyczajnie odpowiedzieć, nie zadając własnych pytań? Chcę wiedzieć, czy coś cię boli podczas stosunku.

– Nie wierzę! Naprawdę nie do wiary! Nie czujesz tego? Nie czujesz, że jest mi z tobą najlepiej? Marcin, twoje pytania powalają mnie na łopatki. Do czego potrzebujesz tak precyzyjnej wiedzy? Czy ja muszę przy tobie ciągle wszystko potwierdzać, udowadniać, z czegoś się tłumaczyć? – Byłam niezadowolona, a jeszcze bardziej zdziwiona. Znacząco pokręciłam głową.

– Lena, ja po prostu nie czuję, żebyś była jakoś specjalnie zadowolona po seksie ze mną. Chcesz wiedzieć, do czego zmierzam? Zwyczajnie chcę ci pomóc. Martwię się. O ciebie. Przecież widzisz...

– Zupełnie niepotrzebnie. Twój niepokój jest zupełnie zbyteczny. Po co?

– Chciałem zauważyć, że to jest twoja teoria, ja hołduję innej. Lena, mnie przychodzą do głowy różne myśli. Powinienem wiedzieć, dlaczego unikasz bliskiego kontaktu. Jestem ginekologiem.

– I co z tego, że nim jesteś? Myślisz, że to cię upoważnia?

– Tak, tak myślę... Właśnie dokładnie tak... Owszem, lubię, jak mi czasami odmawiasz, jak się ze mną droczysz. Bardzo mnie to podnieca. Jestem facetem. Twoje zachowanie traktuję jak formę gry wstępnej. Ale jestem przekonany, że jest jeszcze jakiś inny podtekst twojego zachowania. Czuję, i na pewno się nie mylę, że to już zupełnie inna sprawa. Właśnie dlatego martwię się o twoje zdrowie. Przeczuję, że dzieje się coś złego. Tak czuję... – Marcin wystrzelił prosto z mostu.

– Możemy skończyć rozwiązywanie tych testów?

– Jeśli dowiem się jakichś konkretów, odpuszczę od razu. Obiecuję.

– Nie męcz mnie. To, o czym mówisz, jest zupełną nieprawdą... – przerwałam.

– Nie zamierzam cię męczyć, nie robię tego przecież.

– A może ty masz jakieś porównanie? Może odniesienie do innej kobiety? Może ty nas porównujesz? Na jakiej podstawie twierdzisz, że ze mną jest coś nie tak? Po co chcesz to ustalać? Myślę, że nie powinniśmy więcej rozmawiać na tak intymne tematy. Nigdy nie powinniśmy... Uważam, że wcale nie musimy rozmawiać o seksie. Sprawa jest jasna. Czuję się przy tobie bardzo dobrze. W

ogóle czuję się dobrze. Jak widzisz, nic mi nie dolega. Zakończmy tę rozmowę, jest dla mnie zbyt osobista. Krępuję się. Twoje pytania są zbyt odważne. Ja nie należę do osób otwartych, odważnych. Dobrze o tym wiesz.

– Należysz. Jesteś... często jesteś bardziej odważna ode mnie. Zwłaszcza w wyrażaniu myśli nie masz hamulców.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście, że tak. Ja nie ośmieliłbym się... Lena, na litość boską! Nie powinnaś! Pomyśl tylko, gdybym sypiał z kimś innym, to pewnie nie zadawałbym ci podobnych pytań. Nie wdawałbym się w rozmowę. Nie pogrążałbym siebie. Nie sądzisz? Mam rację?

Pokiwałam twierdząco głową.

– Masz... Przepraszam... Masz rację...

– Lena...

– Nie sądzę, żebyś mnie zdradzał. Rzeczywiście to nieprawda. Plotę bzdury... Cofam to, co powiedziałam. Przepraszam, ale nie mam pomysłu, co mam zrobić, abyś zostawił mnie w spokoju.

– Nie musisz przepraszać, nie gniewam się. Na ciebie trudno się gniewać. Poza tym dla mnie nic nie jest jasne. Lenka, powinienem wiedzieć. Jako lekarz. Dla mnie twoje samopoczucie to sprawa priorytetowa. Chcę, żebyś była zadowolona, wiesz, o czym myślę. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Chcę, żebyś była zdrowa. Kocham cię, wiesz o tym?

– Nie, no właśnie nie wiem, zaczynam wątpić. Przecież gdybyś... to... – ucięłam w pół zdania.

Był gotów przytulić mnie, lecz odsunęłam się sprytnie.

– Dlaczego chcesz o mnie natychmiast wiedzieć tak wiele? Dlaczego na okrągło pytasz, jak się z tobą czuję? Co to są w ogóle za pytania? Marcin, ty się chyba nie kontrolujesz. Musisz sobie coś udowodnić? Czy planujesz wykonać na mnie praktykę lekarską? Nie rozumiem...

– Lena, co ty wygadujesz?

– Staram się zrozumieć, po co to wszystko, po co to robisz. Myślę, że lepiej nie drażnić błahych tematów. Nie uważasz, że nie muszę ci się tłumaczyć? Nie jestem przecież twoją córeczką. Jeśli naprawdę mnie kochasz, to spuść z tonu, nie poruszaj nigdy tematów łóżkowych i daj mi spokój.

– Dam ci spokój, jak mnie w końcu posłuchasz...

– Dlaczego miałabym cię słuchać?

– Już cię prosiłem: nie odpowiadaj pytaniem na pytanie. Nie omijaj ciągle ważnych kwestii. Wiecznie lekceważysz, co do ciebie mówię – Marcin miał pretensje.

– Nie wierzę! Ja chyba śnię. Uszczypnij mnie, proszę – pokręciłam głową.

– Lena, posłuchaj! Czy ty naprawdę nie wyczuwasz, co się dzieje? Czy

totalnie wszystko masz gdzieś? To nie jest błażostka. Dla mnie twoje zdrowie to sprawa najważniejsza. Podejrzewam, że możesz mieć endometriozę. Tak przypuszczam. Dobrze byłoby to skontrolować.

– Nie chcę słuchać tych bzdur!

– Spokojnie, odetchnijmy oboje...

– Ja nie muszę.

– Lena, proszę. Jestem lekarzem i zamierzam ci pomóc. Może spójrz na to w taki sposób – kontynuował. Minę miał przy tym grobową i nie żartował.

– Zachowujesz się raczej jak ksiądz, a nie... lekarz. Najzwyczajniej onieśmielasz mnie. Przecież wiesz, że jest mi z tobą dobrze. Nigdy z nikim nie było mi tak właśnie. Słowo, doktorze. Słowo harcerza. Pan mi nie wierzy? – żartowałam, gdyż nie miałam siły dłużej kłócić się z Marcinem. – Powinieneś odczuwać coś pozytywnego, po tym, no... ze mną – denerwowałam się.

– Ja, owszem, odczuwam, ale nic na to nie poradzę... To znaczy jestem pewien, że ty nie odczuwasz, i w tym tkwi sedno. Powycieraj oczy. Rozmazałaś tusz – podał mi chusteczkę ze stolika.

– Wcale nie jest mi potrzebna – oznajmiłam z przekorą.

– Zobacz w lusterku – uśmiechnął się.

– Marcin, dlaczego zachowujesz się tak niestosownie? Dlaczego ciągle mi nie dowierzasz?

– Bo mnie zmuszasz?

Pogłaskałam go po plecach i pocałowałam w czoło. Myślałam, że w ten sposób będzie po sprawie. Nie było.

– Lenka, to nie jest kwestia wiary. Wyczuwam, że coś się nie zgadza. Coś się dzieje. Spójrz na mnie! Lenka, popatrz! Nie unikaj mojego wzroku. Popatrz!

Złapał mnie za obydwie ręce i potrząsnął lekko, jednocześnie przyciągając do siebie. Tym razem nie pozwolił mi wyrwać się ze swych objęć. Zresztą w ogóle nie próbowałam. Po raz kolejny użył zdrobnienia mojego imienia, co znaczyło, że rozmowa jest bardzo poważna. I wcale mi się nie zdawało. Była.

– Martwię się o ciebie. Setny raz powtarzam, że twoje zdrowie jest ponad wszystkim innym...

Patrzył w moje oczy. Ponownie powtórzył coś, o czym doskonale wiedziałam. Przytulił mnie z całych sił. Pocałował w czoło w taki sposób, jak całuje się własne dziecko...

Długo milczeliśmy zastygli w tej pozycji.

– To zboczenie zawodowe? – Spytałam.

Uśmiechnął się przyjacielsko.

– Tak bym tego nie nazywał.

– Zupełnie... zamartwiasz się o mnie zupełnie niepotrzebnie. Marcin, nie widzę powodu – próbowałam odeprzeć atak na moją biedną osobę. – Psycholog się

znalazł. Znaczący. Wszystkowiedzący. Jaka endometrioza? – Wkurzałam się.

– Czyżby? Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, to prawda, takie jest moje zdanie... Czasami coś mnie pobolewa, ale nie ma się czym martwić. Zaboli i przestanie. Nie musisz się obawiać. A nawet nie wolno ci się martwić byle drobnostką. Daj w końcu spokój! Zapomnijmy o sprawie – pokręciłam głową od niechcienia. Staralam się nie patrzeć na mojego rozmówcę, a tym bardziej w jego oczy.

– Lenka, niczego nie mam zamiaru zapomnieć. Do czego ty chcesz mnie zmusić? To ty lubisz zamiatać sprawy pod dywan. Jesteś od tego specjalistką. Jak widzisz, ja wręcz przeciwnie. Po raz enty powtarzam ci, że się martwię. Może warto sprawdzić, w jakiej jesteś kondycji? Nie sądzisz, że to trafiony pomysł? Może czas najwyższy coś zrobić, podjąć konkretną decyzję i jej się trzymać? Pomyśl, nie chcę, żeby to trwało długo. Mówię zupełnie serio. Z ważnych spraw nie żartuję. Twoje samopoczucie nie jest dla mnie bzdurą. Warto, byś o tym pamiętała!

– Jak to sprawdzić? Że co? Że mnie? Co chcesz zrobić? Po co to wszystko? Myślisz, że jeśli jesteś lekarzem, to możesz tak jak Pan Bóg? A ja? Co ze mną? Nie będę mogła sama decydować o sobie? Masz zamiar zabronić mi własnych decyzji? Marcin, nie zgadzam się. Za wiele ode mnie oczekujesz!

Tu moje zdziwienie przeszło wszelkie wyobrażenie. Można rzec, że doznałam sporego szoku. Poza tym, jaką ja jestem według niego specjalistką od zamiatania spraw pod dywan? Chyba za dużo sobie pozwala. Moja duma była maksymalnie urażona.

– Marcin, zapewniam cię, że nie ma potrzeby, aby cokolwiek sprawdzać. Chcę definitywnie zakończyć tę męczącą rozmowę. Nie wydaje mi się, żeby kontynuacja obecnego tematu była konieczna. Chyba zdajesz sobie sprawę, że szokujesz mnie coraz bardziej? – Staralam się go zbyć.

– Wiesz, Lena, dochodzę do wniosku, że najbardziej uwielbiam cię wtedy, gdy jesteś taka nieznośna jak w tej chwili. Ale pamiętaj, że łatwo nie odpuszczę – nie dawał za wygraną.

Na szczęście z niezręcznej sytuacji wybawił mnie telefon, który uporczywie przywoływał mnie do odbioru. Rozmówczynią okazała się koleżanka z pracy. Plotkowanie z nią było ogromną przyjemnością. Bardzo się przeciągnęło, więc do tematu rozpoczętego przez Marcina tego dnia nie wróciliśmy.

Odetchnęłam z ulgą. Całe szczęście. Po prostu kamień z serca. Wielki głaz na podłogę, aż zahuczało! Ucieszyłam się, że nie będziemy wałkować w kółko kwestii mojego zdrowia. Miałam tego tematu już po dziurki w nosie.

– Dziękuję ci, Bożenko...

– Za co?

– Za wszystko...



Uratowała mi życie, chociaż nie wiedziała o tym.

Całą noc nie mogłam spać. Prześladowały mnie męczące pytania Marcina. Miałam koszmary. Na pewno mu nie pozwolę na żadne badania. Chyba za dużo ode mnie oczekuje. Wszystko za szybko się toczy. To zakrawa na szaleństwo. Boże, dodaj mi sił, bo zwariuję.

Nie! I jeszcze raz nie!

Chciałam to Marcinowi zakomunikować, zaprotestować, ale niestety już zasnął i nawet trochę pochrapywał. Nie lubię chrapania, ale jakoś to zniosę. Niech śpi. Wkurzył mnie dzisiaj. Nie wiem, co z nami będzie.

## Trudne rozmowy – ciąg dalszy

Dni gnały do przodu niczym galopujące konie. Każdy kolejny był coraz krótszy, coraz zimniejszy i coraz smutniejszy. Nie przynosiły nic ciekawego. W kółko praca, praca, praca. W związku z tym żyłam nadzieją, że może umilimy sobie ten trudny czas, wybierając się razem do kina, albo na jakiś spektakl do teatru. Najlepiej na Krysię Jandę. Oboje kochaliśmy teatr i tych samych aktorów. Niestety nie poszliśmy nigdzie, gdyż właśnie mój Marcinek musiał mi do reszty popsuć humor.

Coraz częściej dochodziłam do wniosku, że człowiek przez całe życie jest otwartą księgą, której sam jest autorem. Maszynopis uruchamia się w dniu naszych urodzin. Zamyka w dniu naszej śmierci. Życie pisze się samo. Każdemu się pisze, bez wyjątku. Potem niczego już nie możemy dołożyć. Przychodzi koniec. Kres. Jesteśmy ludźmi, to tak mamy. Poza tym lubimy czytać, chłonąć zapachy książek, zwłaszcza nowych wydań, prosto z drukarni. Księga małego dziecka pachnie najładniej. Im jesteśmy starsi, tym zapachy robią się bardziej przykre. W zależności od tego, na której stronie uda nam się otworzyć naszą księgę, takim zapachem przesiąknie nasz los. Nie zawsze jesteśmy szczęściarzami. Mało kiedy tak się zdarza. Rozmyślałam jak starożytny filozof. A ja? Czy ja się okazałam szczęściarą? O tym przekonałam się znacznie później.

– Marcin, słyszysz? Grzmi. To chyba pierwsza burza o tej porze roku – zagadałam, ponieważ czułam, że zbiera się na poważną rozmowę, a ja za wszelką cenę chciałam jej uniknąć. I znowu się nie udało. Z pechem się nie dyskutuje, z pechem człowiek się rodzi. Był zapisany w moim kodzie genetycznym, jeszcze zanim przyszłam na świat. Więc dlaczego, miałyby mi się udać uniknąć jakiejś trudnej rozmowy, na którą naprawdę nie miałam ochoty?

– Nie zagaduj, nie zagaduj! Lena, muszę to zrobić! Proszę, żebyś się w końcu zgodziła.

– Co musisz? Na co mam się zgodzić? – Udawałam głupszą, niż jestem. Faceci tak uwielbiają, wiem to nie tylko od Ulki.

– Przecież wiesz, o czym mówię. Chcę, żebyś zrobiła badania. Chodzi o twoje zdrowie, o lepsze samopoczucie. Lenka, nie przeciągaj struny, bo w końcu pęknie. Tak nie można – Marcin rozwinął się i nie miał zamiaru zakończyć rozpoczętej rozmowy.

– Nie potrzebuję żadnych badań.

– Mylisz się. Dzisiejszej nocy znów nie było za dobrze. Lena, czułem. Było... źle... zwyczajnie, no nie tak, jak powinno być... – zawiesił głos.

– Zwariowałeś? Nie masz prawa. Ja, jak widzisz, się nie skarżę.

– Nie mam siły.

– Czuję się onieśmielona. Nie powinienesz mnie zawstydząć. Każdą noc

przespaną ze mną oceniasz w kategorii, czy byłam dobra, czy nie? Czy z tobą jest wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Lena, źle to interpretujesz. Podejź do mnie. Nie musisz się gniewać – wykonał ręką przywołujący gest.

Odsunęłam się prawie natychmiast.

– Lena, nie rób głupstw. Proszę cię. Nie chcę robić ci przykrości. Nie chcę ci robić krzywdy i zadawać bólu, nic z tych rzeczy, ale wiem, że tak wyglądają nasze stosunki. Ba, wiem? Mało powiedziane! Doskonale czuję.

– Nie będę tego słuchała! Marcin, ja nie mam do ciebie siły.

– Na miłość boską, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. Daleki jestem od średniowiecznych praktyk – nie odpuszczał.

– Jesteś pewien, że cierpię?

– Tak, jestem i nie zmienię zdania. Musi cię boleć... to na pewno.

Przekonywał mnie tak, jakbym była staruszką, która musi, a opiera się iść do szpitala i w dodatku jest częściowo lub całkowicie niepoczytalna ze względu na swój sędziwy wiek.

– Marcin, czy ty nie widzisz, co się dzieje między nami? A może o to ci chodzi, byśmy się pokłócili?

– Chodzi mi wyłącznie o ciebie. Nie mam pojęcia, czy uda mi się ciebie przekonać i jak to zrobić. Nie współżyłaś z nikim dawno, więc wcześniej nie odczuwałaś bólu, a teraz... – przerwał na chwilę.

– A teraz co? Chcesz powiedzieć, że bez seksu z tobą nie potrafiłabym żyć?

– Zmieniasz temat, chociaż wiesz dobrze, że nie o to chodzi. Musisz mi uwierzyć. Powinnaś zacząć się leczyć. Przypuszczam, jaka może być przyczyna twoich dolegliwości, ale nie chcę wybiegać za wcześnie. Nie postawię diagnozy na oko. Nie mogę. Nie jestem znachorem – poczynął sobie śmiało.

– Chyba czujesz, że przekroczyłeś wszelkie możliwe granice?

– Nie żartuj, jesteśmy dorosłymi ludźmi. Kochamy się. Możemy przekraczać granice, które oboje uznamy za stosowne.

– Jak widzisz, na razie przekraczamy tylko te, które ty uznajesz za takie. Marcin, to działa tylko w jedną stronę. Ty się ze mną w ogóle nie liczysz. Chyba nie zaprzeczysz? Boję się, że będziemy musieli się rozstać, jeśli będziesz mnie ciągle dręczył... Nie mam siły walczyć z tobą i nie zamierzam dłużej. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nierówną walkę toczysz. Na pewno czujesz, że mam rację. Jesteś inteligentnym facetem. Musisz to wiedzieć – niestety nie poddawałam się.

– Lena, litości! Ja nie walczę, ja cię proszę...

– To dlaczego tak źle mnie traktujesz? Jesteś taki... – przerwałam.

– Jaki?

– Pewny siebie... Myślisz, że skoro jesteś lekarzem, to możesz wszystko?

Możesz mnie obrażać, męczyć, zmuszać? Możesz? Marcin, możesz być aż tak bezwzględny? Tak? Dlaczego? Uważam, że nie masz prawa.

– Bezwzględny? Wyolbrzymiasz sprawę. Niczego nie mogę zrobić wbrew twojej woli, nie chcę nawet. Wiem, że nie powinienem i nie zrobię niczego na siłę, ale proszę, abyś pozwoliła sobie pomóc. Zróbmy to w kategorii lekarz ginekolog – kobieta pacjentka, wyłącznie z takiego punktu widzenia, zgoda?

– Nie zgadzam się. Nie chcę być twoim królikiem doświadczalnym. Przeżyłam sporo lat, nie jestem już taka młoda, urodziłam dziecko, a ty teraz chcesz mi wynajdywać choroby? Nie wierzę! Nie chcę być twoją... – zatrzymałam się. Byłam wściekła.

Wzięłam go nawet za zboczeńca. Miałam coraz bardziej koszmarnie myśli...

– Nie uważam, żeby zalecane przez ciebie badania były nagłą koniecznością – wystrzeliłam jak rakietą z kosmodromu.

Czy miałam rację, czy nie, dowiedziałam się znacznie później.

– Lena, wiem, wszystko wiem. Wiem, masz prawo obrazić się na mnie za to, co proponuję, ale zobaczysz, przyznasz mi w końcu rację. To bardzo ważne. Jeśli myślisz, że tak szybko z ciebie zrezygnuję, to mnie nie znasz i się mylisz. Nie zrezygnuję. Ja chcę tylko... Wiesz, czego chcę, i nie odpuszczę. A twoja starość, jak ty to mówisz, i urodzenie dziecka nie ma tu nic do rzeczy. Uwierz mi, zaufaj, naprawdę mam rację. Jesteś dla mnie bardzo ważna – uśmiechnął się przyjaźnie.

\* \* \*

– Jeszcze raz nie, po stokroć nie, nie i kropka. Przykro mi, niestety to koniec naszej rozmowy. Nigdzie nie będę się leczyła!

– Tak przypuszczałem. Stara śpiewka...

– Już dawno powinieneś zaakceptować moje zdanie, mój wybór. Skończ z tym szantażem. Jestem strażniczką własnych zasad. Powinieneś to już do tej pory zrozumieć – mówiłam, a w zasadzie wykrzykiwałam, gdy po kolejnej upojonej nocy, Marcin namawiał mnie na wizytę w klinice.

– Chciałem zauważyć, że to nie tyle twój wybór, co zwyczajny upór. A ty nie jesteś strażniczką, lecz uparciuchem – był cierpliwy.

– Nazywaj to, jak chcesz. Myśl o mnie, co chcesz. Nie dbam o to. Mam dosyć. Zawsze starasz się być najmądrzejszy. Powoli przyzwyczajam się do twojego narzucającego się stylu bycia. Wiem, że nie znosisz sprzeciwu, i tego w tobie nie lubię.

– Kochanie, uspokój się, bardzo cię proszę. Jesteś niesprawiedliwa. Przecież mówiłem ci, że każda decyzja będzie wyłącznie twoją własną. Do niczego cię nie zmuszę. Mogę jedynie zasugerować. Od tego właśnie są lekarze – cierpliwie tłumaczył.

– Nie będę twoją pacjentką. Nie wyobrażaj sobie. To jakiś plan z kosmosu.

Wiesz o tym doskonale. Wiesz, że mam rację.

– Nieprawda. Nie w tym przypadku.

– Oszalałeś, Marcin? Nie możesz czegoś podobnego ode mnie żądać, nie powinieneś...

– Wolę prosić, niż żądać, a to zasadnicza różnica.

Zamilkliśmy oboje.

– Wiecznie mnie czymś zaskakujesz. Marcin, ja... ja już nie mam siły.

– Cichutko, nic nie mów – przerwał mi, przykładając palec do ust.

– Marcin... – próbowałam od nowa.

– Czy to źle? Nie chcesz, żebym...?

– Nie mam pojęcia, ale skoro prosisz i tak ci zależy, zmienia to postać rzeczy.

Nastała cisza, która brzęczała mi w uszach. Już chyba wolałam brzęczenie Marcina.

– Ciągłe cię proszę. Tak, zależy mi – przytulił mnie do siebie. Poczułam bezpieczeństwo.

– Nie wiem, co mam robić. Chyba powinnam cię przeprosić. Marcin, ja nie nadałam za twoimi myślami – wyszeptalam.

– Nie oczekuję, nie trzeba. Lena, nie przepaszaj, raczej postaraj się zachowywać racjonalniej. Tylko tyle, proszę. Poza tym masz rację. Zwariowałam. A w zasadzie oszalałam na twoim punkcie, przecież wiesz dlaczego. Tak, to prawda, szaleję... Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to przez ciebie – ze stoickim spokojem wyrecytowałam ciąg miłosnych argumentów.

– Marcin, nie rozmawiajmy już o mnie...

– Musimy, nie odpuszczę. Oczekuję twojej zgody.

– Skąd masz pewność, że ja muszę, że powinnam iść na badania kontrolne? Przecież to tylko jakieś mrzonki. Przypuszczasz, że coś mi jest? Wymyśliłeś sobie problem i obarczasz nim mnie. Po co? Przecież ja się nie skarżę. To nie jest w porządku. Prawda? – Zadawałam niezbyt mądre pytania. Byłam rozzłoszczona jak wściekły pies.

– Nie wiem, jak do ciebie dotrzeć. Lena, ty ciągle rozmijasz się z prawdą.

– Nie, tego już za wiele.

– Lena... – przytrzymał mnie w swych ramionach.

– Czy ty naprawdę musisz wszystko psuć? Wszystko, co dopiero niedawno zaczęliśmy budować? Czasami zaczynam żałować... zaczynam żałować, że cię poznałam – spojrzałam mu w oczy.

– A ja przeciwnie, niczego ani trochę... – Marcin się zamyślił.

Ponownie spojrzałam na niego z uwagą.

– Przepraszam...

– Lena...

– Nie chciałam, wcale tak nie myślę – przymknęłam powieki.

Marcin pokiwał głową.

– Tak, masz rację. Rzeczywiście nie skarżysz się na nic, ale na seks też nie masz chęci. Lena, myślisz, że tego nie da się wyczuć? Uważasz, że to normalne, że coś takiego da się ukryć, że ja nie widzę? Poza tym, pomimo że mnie obrażasz, nie odpuszczę i powtórzę jeszcze raz, że w przeciwieństwie do ciebie niczego nie żałuję. Bardzo cię kocham i bardzo martwię się o ciebie... To powinno ci wystarczyć. Nie powinno cię dziwić.

Milczałam.

– Nie, nie dziwi. Naprawdę, nie o to chodzi... Ja po prostu nie jestem gotowa... Wzruszyłam ramionami. Nie znajdowałam żadnego argumentu, by się bronić.

– Lena, kiedy ty ostatni raz byłaś u ginekologa? Kiedy robiłaś cytologię? Kiedy badałaś piersi? Kiedy w ogóle się badałaś? I czy kiedykolwiek? Przecież jesteś kobietą, powinnaś...

– Przestań na chwilę! Nie chcę tego słuchać! Marcin, błagam cię, dłużej tego nie zniosę ...

Nie posłuchał.

– Czy ty wiesz, kim jest ginekolog? Co to za lekarz? Lena, dlaczego tak bardzo się boisz? Przecież to normalne badanie. Zwyczajna wizyta w przychodni. Nie wysyłam cię Bóg wie gdzie. Tak jak się chodzi do dentysty, tak samo chodzi się do ginekologa. To znaczy kobiety chodzą. Normalne kobiety chodzą...

– Marcin, nie będę... Skończ, proszę!

– Nie zamierzam dłużej cię pouczać, ale ty nie zachowuj się jak smarkula. Jesteś mądrą, wykształconą osobą, dyrektorem zresztą. Ja faktycznie nie powinienem, sama powinnaś wiedzieć.

Początkowo zadawał pytania jedno po drugim. Potem tłumaczył mi jak maluchowi w przedszkolu.

– Sugerujesz, że jestem niepoważna? Marcin, tak właśnie o mnie myślisz? To przecież bez znaczenia, kim jestem i jaki zawód wykonuję. Fakt, że pracuję na takim, a nie innym stanowisku, nie ma tu najmniejszego znaczenia.

– Nie, niczego nie sugeruję. Nie rozumiemy się. Próbuję spokojnie porozmawiać. Przekonać cię do najbardziej rutynowych spraw – objął mnie ramieniem. Jego usta zatrzymały się na moim policzku.

– Niech pan nie będzie taki mądry, panie doktorze. Nie o to chodzi, że nie wiem, kim jest ginekolog... Nie musi mnie pan w kółko obrażać. Marcin, to, co mi proponujesz, jest po prostu nie do zaakceptowania. Wizyta u własnego faceta, kochanka i do tego ginekologa, przerasta mnie. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak by to miało wyglądać. Powinieneś mnie zrozumieć. Zwyczajnie wstydziłabym się ciebie. Krępowałabym się tej niezręcznej wizyty. To byłoby ponad moje siły. Nie

rozumiesz? – Byłam oburzona.

Musiałam go zdenerwować, gdyż sięgnął po papierosa.

– Nie będę ci dłużej tłumaczył...

– Nie masz pojęcia czy nie chcesz wiedzieć? Prosiłeś mnie o szczerść, to ją masz. Coś mi jest, nie wiem? Skąd niby mam wiedzieć? Przecież nie muszę ci się tłumaczyć. Boli mnie coraz częściej. Nie znasz mnie aż tak długo. Nie powinno ci tak na mnie zależeć. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś się o mnie martwi. Nie zmieniaj tego na siłę. Poza tym nie lubię ginekologów – wyrwałam się z jego objęć.

W głębi serca wiedziałam, że Marcin ma cholerną rację. Nie chodziłam do ginekologa. Tak jakoś schodziło. Wiedziałam, że nie polubię tych wizyt. Źle mi się kojarzyły. Nie cierpiałam lekarzy. Mój problem tkwił gdzieś bardzo głęboko, jeszcze w poprzednim małżeństwie. Nie potrafiłam się od niego uwolnić, ale Marcin o niczym nie wiedział. Nie miał bladego pojęcia o moich przeżyciach. Nie mogłam mu powiedzieć. Nie potrafiłam. Może kiedyś, a być może nigdy się nie dowie, jak traktował mnie mój były mąż.

– Zatem jeśli się obawiasz, Lena, jeśli nie chcesz, żebym ja był twoim lekarzem, zastanów się, mogę polecić ci dobrego ginekologa.

– Na zastanowienie musi być czas, a ty mi go nie dajesz...

– Bo tu nie można czekać.

– Nie wiem, nie polecaj mi nikogo, daj spokój. Powinieneś dać mi czas. Daj mi więcej czasu. Dlaczego tak się uparłeś? – Podniosłam głos. Popłynęły mi łzy. Nie byłam już w stanie dłużej utrzymać na wodzy własnych emocji.

– Lena, nie płacz, nie chodzi mi o to, żebyś... Proszę. Nie miałem zamiaru zrobić ci przykrości. Nie lubię, gdy jesteś smutna, a jeśli przeze mnie, to już w ogóle – ponownie przytulił mnie do siebie.

– Sam zbudowałeś taką atmosferę.

– Nie chciałem. Nie miałem pojęcia – podał mi chusteczkę.

– Już mi lepiej. Wcale nie płaczę, to zwykła bezradność. Nie potrafię inaczej. Bez przerwy stawiasz mnie pod ścianą. Nie wyczuwasz tego?

– Nie sądziłem, że ta rozmowa będzie dla ciebie aż tak trudna. Jesteś bardzo wrażliwa. Jeśli krępujesz się mnie, pójdziesz do innego lekarza, a potem... zobaczymy, co potem. Ale wybrać się musisz, to postanowione!

– Marcin, nie maglujmy tego dłużej, nie zmuszaj mnie... – pochlipywałam wciąż wtulona w jego ramiona.

– Nie wymagam, abys badała się u mnie, w moim gabinecie. Wcale nie nalegam. Może faktycznie to nie do pojęcia. Wstydziałabyś się. Domyślam się, że możesz się czuć niezręcznie. Masz do tego pełne prawo. Masz rację, nie znamy się zbyt długo. OK, zgoda. Nic o tobie nie wiem, niczego nie rozumiem. Na pewno i tu masz rację. Ale nie odpuszczę wizyty, więc nie walcz ze mną. Ginekolog to

konieczność. Ja nie muszę nim być. Obiecuję, nie będę. Ktoś inny mnie zastąpi. Ta kwestia jest przesądzona. Muszę ci pomóc i tylko to się liczy – mówił spokojnie, długo przekonywał. Podał mi drugą chusteczkę. Była mi bardzo potrzebna.

– Mówisz serio? Już postanowiłeś? Podjąłeś decyzję? Za mnie ją podjąłeś? – Nie dowierzałam, że aż tak stanowczo mną zarządził. Denerwował mnie, ale wiedziałam, że ma rację. Mówił bardzo spokojnie. Czułam, że bardzo mu zależało, abym się zgodziła. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że nie jestem mu obojętna, że bardzo mnie kocha. I jak szalenie mu na mnie zależy.

– Napijesz się wina? – Spytał spokojnie.

– Nie, dziękuję. Nie teraz!

– Myślę, że teraz jest dobry moment.

– Nie chcę z tobą walczyć. Nie potrafię. To ostatnia rzecz, którą chciałabym robić. Marcin, przecież wiesz... Tu chodzi o coś zupełnie innego. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. To takie trudne. Ty i tak byś nie zrozumiał. Jestem pewna, że tak właśnie by było. To głupie, ale sama nie wiem, co mam robić. Tak bardzo się boję. Potrzebuję czasu. Trochę więcej czasu – szeptałam.

– Lena, czego nie wiesz? Czego się boisz? Czego bym nie zrozumiał? Przecież zdajesz sobie sprawę, o czym rozmawiamy. Badanie kontrolne to nie koniec świata, zwykła potrzeba. A jeśli chodzi o czas, nie mamy go zbyt wiele. Jesteś dorosła, rozumiesz. Nie zrezygnuję. Nie prosz, żeby ci odpuścił, bo tego nie zrobię. Łzy niczego nie zmieniają. Bądź rozsądna. Zastanów się, proszę.

Napełnił kieliszki białym winem.

– Wiem, że muszę, ale nie wiem, czy podołam tej kontroli. Mimo to jestem pod ogromnym wrażeniem pańskiego wykształcenia, panie doktorze, i wielkiego daru przekonywania.

– Więc jak będzie? Ustaliłaś coś ze sobą?

– Nie do końca... Nie czujesz, że oboje stąpamy po kruchym lodzie? Wiesz, czym to grozi?

Nastąpiła cisza.

– Lena, to nie tak, jak myślisz...

– No a jak?

Znowu cisza.

– Jeśli to konieczne, dobrze, OK, zaryzykuję. Zrobię to wyłącznie dla ciebie. Jeśli tobie zależy, to zrobię to. Ale ciągle nie uważam, doktorze, że to rozsądny pomysł – próbowałam rozładować złe emocje, ponieważ atmosfera robiła się bardzo ciężka. Siekierę by można w powietrzu powiesić. Uniosłam lampkę z winem i pociągnęłam dużego łyka.

Zgodziłam się i jednocześnie bałam. To nie były żarty. Strach sprawiał, że nie myślałam zbyt racjonalnie. Wyobrażałam sobie niestworzone rzeczy. A jestem w tym dobra. Moja wyobraźnia zawsze była moją mocną stroną. Powinnam za nią



dostać medal. I to złoty.

– Chodź tu do mnie, Zawrocka... Żebyś ty wiedziała, jak mi zawróciłaś w głowie. Mogę ci obiecać, że to, o co proszę, zrobisz wyłącznie dla siebie. Zobaczysz, że mam rację. To ci mogę obiecać. Lenka, uwielbiam cię, do szaleństwa...

Ciepło w głosie Marcina spowodowało, że nie broniłam się już ani chwili dłużej. Chciałam kochać Marcina i pragnęłam, żeby on też mnie kochał, kochał, kochał i nie przestawał. Butelka z winem coraz bardziej zmniejszała swą zawartość.

Spełniło się moje życzenie. To była wspaniała noc, pełna precudownych wrażeń w naszej sypialni...

## Zwykłe dni

Przez kolejne dni Marcin przystopował ze swoim naukowym podejściem do życia. Przestał przekazywać mi swoje mądrości. Bez jego medycyny zrobiło się lżej i przyjemniej. Miałam cichą nadzieję, że zapomniał o mojej wizycie na fotelu, rzekomo tak ważnej. Czyżby nagle stała się niepotrzebna? Co za niezdecydowany facet. Myślałam, że jest bardziej poukładany. Do dzisiejszego dnia tak myślałam. Cóż, widocznie się myliłam.

Marcin niezmiernie dużo pracował, jednak obowiązki służbowe zupełnie nie przeszkadzały mu być blisko mnie. Spotykaliśmy się ciągle i wszędzie. Mój ukochany bardzo zadomowił się w moim życiu, a mnie to bardzo odpowiadało. Zależało mi na jego przyjaźni, chciałam, żeby trwała zawsze. Przyjemnie spędzaliśmy ze sobą czas. Marcin o nic nie pytał. Irytowało mnie czasami jego zachowanie, ale było mi na rękę.

Stare porzekadło mówi: co się odwlecze, to nie uciecze. I tego się trzymajmy – rozmyślałam, biorąc prysznic w swojej osobistej łazience na Mokotowie. Średnio tęskniłam za wizytą lekarską w klinice, więc byłam zachwycona, że Marcin odpuścił. Nie drażył. Niczego nie żądał. Nic nie było potrzebne na cito. Z pewnością zapomniał. To dobrze, bo dosyć miałam wałkowania w kółko tematu mojego zdrowia.

Wyszłam z łazienki jak nowo narodzona. Włączyłam laptopa. Zaczęłam słuchać mojej ukochanej Ani German. Tylko przy jej piosenkach osiągałam odpowiedni poziom wyciszenia. No, może jeszcze przy Wojtku Kilarze też czułam się spokojnie. Dziś miałam możliwość pogdybania sobie i pobycia z własnymi myślami. Fajnie. Chciałam spokoju i tylko Ania mogła mi pomóc. Boże, jak ona ślicznie śpiewa o prawdziwej miłości... Nie znajdę słów na wyrażenie swoich wrażeń. Nie można oceniać anioła – rozmarzyłam się.

Było wczesne popołudnie. Byłam sama. Marcin od kilku godzin realizował się we własnym gabinecie. Jego praca bardzo się przedłużyła. Jak zwykle zresztą.

A może jemu już trochę przestaje na mnie zależeć? Wymyślałam przeróżne scenariusze, odwracając kota ogonem. Sama na siebie w końcu nakrzyczałam, po czym znów weszłam do łazienki i umyłam zęby. Kręciłam się po domu w szlafroku i nie bardzo wiedziałam, czym się zająć. Słuchałam muzyki, ale mój nastrój nie był oszałamiający.

Postanowiłam wykorzystać dany mi czas i nadrobić kilka spraw. Najpierw poukładałam na półkach porzrzucone książki i gazety. Potem usiadłam przy laptopie i zaczęłam uzupełniać zaległości z pracy. Przypomniałam sobie, że w poniedziałek mam z nauczycielami radę pedagogiczną. Chcę na niej przede wszystkim omówić temat bezpieczeństwa dzieci. Wprawdzie to rodzice najczęściej nie dogadują się ze sobą co do odbioru swoich pociech, ale... No właśnie, było ale.

Kolejny raz doświadczałam, że nauczyciel przedszkolny stąpa po kruchym lodzie.

Nie zamierzałam spędzić reszty dnia, wieczoru i nocy w domu mojego lekarza. Po pracy jak zwykle umówiliśmy się u mnie. Pani Adela, gosposia Marcina, otrzymała wolne na dzisiejszy wieczór. Nie musiała krzątać się po kuchni i wymyślać jedzenia dla Marcina. Niczego nie musiała. Jedynie odpocząć od niego. To przydałoby jej się najbardziej.

Marcin przyjechał na Mokotów, gdy tylko skończył przyjmować pacjentki. Kolację zrobiłam sama, według własnego pomysłu. Miała być zakrapiana włoskim winem i była. Pomiędzy ciszą słychać było nutki Ani... Cicho, cichutko. Boże, jaki cudowny nastrój... Nie wiem, czy Marcinowi też się podobało. Bałam się go spytać.

Długo siedzieliśmy tej nocy. Oglądaliśmy jakiś film. Cieszyliśmy się jak dzieci, jedliśmy paluszki w łóżku... Kocham mojego Marcina. Coraz bardziej go kocham.

## Nie odpuścił

Rano mój osobisty lekarz samodzielnie przygotował śniadanie. Przyniósł mi je do łóżka, co za często mu się nie zdarza. Właściwie wcale.

Byłam zła, chciałam dłużej pospać, a tu nieoczekiwanie płynąca dobroć. Znalazła się matka Teresa wprost z Kalkuty. Nie było to zbyt trafne porównanie, tym bardziej że Marcin był facetem, a matka Teresa, jak sobie zdążyłam przypomnieć, kobietą.

Byłam zła na mojego adoratora! Zła? Mało powiedziane. Byłam wściekła! Chciałam spać, nic poza tym, a Marcin wyraźnie mi w tej czynności przeszkadzał.

Na dworze panował półmrok. W pokoju też wciąż było jeszcze ciemno. Czemu on już nie śpi? Zapaliłam lampkę przy łóżku. Spojrzałam na budzik i nie rozumiałam, co się dzieje.

– Marcin, jest niedziela. Marzę, by odpocząć. Dlaczego tak wcześnie wstałeś? Pomyliłeś godziny? Przesunęli czas?

Cisza.

– Połóż się jeszcze, proszę. Chodź do mnie. Pośpijmy jeszcze minutkę... – marudziłam, przeciągając się leniwie niczym kotka. Z niepokojem spoglądałam na Marcina.

– Lena, posłuchaj, chcę coś ustalić. Powinienem. Nie wracam do łóżka. Nigdzie się nie położę. Nic mi się nie pomyliło. Niczego nikt nie przesunął. Mówię poważnie. Musisz wstać! Nie poleżysz, skarbie, ani sekundy dłużej! To pobudka. Wstawaj! Zjedz śniadanie, musisz. Zrobiłem twoje ulubione grzanki z serem. Zabieram cię dziś do kliniki – mój kochany nie dawał za wygraną.

– Gdzie? Marcin, gdzie chcesz mnie wywieźć? – Głos mi zadrżał. Otworzyłam szeroko oczy.

– Nie wywieźć, tylko zabrać, zabrać cię chcę.

– Mam nadzieję, że się... że się przesłyszałam.

– Nie, nie przesłyszałaś się. Pojedziemy tam za chwilę.

– Marcin, litości... Proszę.

Zerknęłam błagalnie na mojego rozmówcę, po czym mój wzrok powędrował na ścianę. Byłam oburzona.

– Lena, spójrz na mnie. Umówiłem ci wizytę u mojego przyjaciela. To bardzo dobry lekarz. Świetny specjalista. Nie chciałem ci wcześniej zdradzać, bo wiem, że martwiłabyś się i denerwowała na zapas, zupełnie niepotrzebnie.

Marcin usiadł na brzegu naszego łóżka.

– Dlaczego, powiedz, dlaczego mi to robisz? Nie pojedę, nie chcę nigdzie... u nikogo nie będę się badać – jęknęłam.

– Chciałem ci zaoszczędzić stresu. Wszyscy wiemy, że niezła z ciebie... Zwyczajnie panikujesz. Po prostu na słowo „ginekolog” dostajesz uczulenia – wstał

z łóżka.

– Nie traktuj mnie niepoważnie, Marcin, nie życzę sobie. Wiecznie cię o to proszę, a ty nie słuchasz.

– Słucham, ale wiem, że w stresie zachowujesz się przeważnie nieadekwatnie do sytuacji – Marcin kontynuował swą wypowiedź, kierując ją w stronę, gdzie leżały moje zwłoki. Był spokojny, nawet bardzo, a przemądrzały, że Boże drogi.

Jeszcze nie wstałam z łóżka, a już ogarniało mnie zmęczenie.

– Nie męcz mnie, proszę. Nie musisz mnie obrażać.

– Sorry, Lena. Uwierz. Wcale nie mam takiego zamiaru. Zwykła konieczność mnie zmusiła. Zaufaj mi, badanie naprawdę musi się odbyć, jest potrzebne.

– Marcin, niepotrzebnie tracisz czas.

– Kochanie, powinienem, ... muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje, a konkretnie z twoim zdrowiem. Nie mogę inaczej. Jestem ci to winien, nie tylko jako twój facet, ale przede wszystkim jako lekarz – ciągnął poważnym tonem.

– Dlatego akurat dziś, w niedzielę, zaplanowałaś dla mnie te tortury? Dlaczego dziś mam zameldować się na tej cholernej ginekologii? Nie mogłeś zorganizować innego terminu? Wybrać innego dnia? Musisz właśnie w tej chwili wszystko o mnie wiedzieć, sprawdzać moją kondycję, według ciebie Bóg wie jak złą? Nie bądź taki bezwzględny. Litości... Błagam, zlituj się. Nie znałam cię od tej strony. Marcin, proszę. Nie zamierzam dzisiaj skutecznie żadnych wizyt. Nie jestem gotowa. Potrzebuję więcej czasu. Znasz mnie przecież. Podobno zawsze rozumiesz – skamlałam.

– No nie zawsze. To, że nie chcesz nigdzie jechać, wiem. Zdaję sobie sprawę, że to, czego wymagam, nie należy do przyjemności. To nie żadna nowina, że się wzbraniasz. To prawda, trochę już cię znam, wiem, że nie jesteś entuzjastką badań, a w przyszłości pewnie też nią nie będziesz... Lenka, jaki termin by ci odpowiadał? Przyznaj – żaden. Wiem dobrze, że każdy inny moment nie byłby dla ciebie dobry, żadną datą bym cię nie zadowolił. Chyba nie zaprzeczysz? W ogóle sprawę najlepiej schowałabyś w mysią dziurę. Jestem pewien, że mam rację.

– To nieprawda! Marcin, przestań... Naprawdę masz o mnie aż tak złe zdanie? – przeraziłam się.

– Sama tworzysz taki obraz siebie, a potem masz pretensje – patrzył na mnie zawiedziony, a ja czułam, że dotyka mnie tymi swoimi pięknymi oczami tam, gdzie nie powinien tego robić.

– Nie o to chodzi – pokiwałam głową dla podkreślenia zaprzeczenia.

– Kiedyś, owszem, wybrałabym się na badanie, ale nie dzisiaj. Teraz nie chcę. Tak trudno to zrozumieć?

Przerwałam, by zaczerpnąć powietrza i znaleźć jakiś sensowny argument,

który przekonałby Marcina, że mam rację. Mój rozmówca się uśmiechnął.

– Kiedyś – ładnie powiedziane.

– Masz rację, zbadać się muszę. Zadbaj o siebie też powinnam. Ale proszę, nie wymagaj tego natychmiast, teraz właśnie – upierałam się, bo chciałam przekonać Marcina, że podsunął zły pomysł. Nic nowego nie wносиło to do rozmowy, jeśli to, co teraz działo się między nami, rozmową można było w ogóle nazwać.

– Lena, ja nie mam czasu wtedy, kiedy ty go masz. Nie chciałaś u mnie, załatwiłem ci wizytę u mojego przyjaciela. Dotrzymałem słowa – uśmiechnął się znowu. – Wiem, że krępujesz się przy mnie. Czuję to. Niczego nie będę robił na siłę. Rozumiem. Staram się, na prawdę się staram. Dlatego Artur zajmie się tobą i dowiemy się, co dalej – powiedział z powagą w głosie.

– Jaki Artur? O kim ty mówisz?

– Poznasz go w klinice.

Ach tak, w klinice – zamyśliłam się.

– Przebieraj się szybciotko z nocnych ciuszków. Zbieraj się prędko! Będę czekał na ciebie przed blokiem. Podjadę samochodem jak najbliższej klatki. A ty pospiesz się. Nie chcę długo czekać. Nie powinniśmy się spóźnić – ponaglał mnie.

– Marcin, po raz tysięczny błagam, posłuchaj mnie... Nie pojedę tam. Nie potrafię! – Złapałam go za rękaw koszuli.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – Spytał znacząco, sprytnie wyslizgując się z moich rąk.

– Nie wiem. Może innym razem. Może w innym terminie, w innych okolicznościach, byleby nie dziś. Co mam zrobić, żebyś mi odpuścił? Spróbował zrozumieć? Nie nastawiłam się na to durne badanie, nie przygotowałam. Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że sama będę mogła wybrać termin pójścia do przychodni. Marcin, nie traktuj mnie jak dzieciaka. To nie jest w porządku.

Z nerwów zabrałam się za obgryzanie paznokci. Moje ciało jak zwykle dygotało w środku i w żaden sposób nie mogłam poradzić sobie z tą przypadłością. Marcin czuł moje drżenie. Wiedziałam, że czuje. Czuł mnie całą nawet wtedy, gdy się do mnie nie zbliżał. Był jednak nieugięty.

– Nie traktuję cię jak dzieciaka, jak kobietę cię traktuję. Dzieci nie odwiedzają ginekologów, kobiety owszem. Mądre kobiety znacznie częściej. Przemyśl moje słowa.

– Ty jak zwykle swoje. Marcin, nie widzisz, w jakim jestem stanie? Nie czujesz, że to dla mnie bardzo trudne? Powinieneś mi uwierzyć. Zwyczajnie, po ludzku, czuję lęk. Czy to takie dziwne? Nie mam chęci właśnie teraz zapoznawać jakiegoś lekarza. Badać się... Nie jestem gotowa na takie wyzwania. Marcin, zrozum, a przynajmniej się postaraj. Jeszcze raz najbardziej na świecie cię proszę – przekonywałam cicho, bo traciłam już siły.

Liczyłam, że mi odpuści, że zgodzi się, ulegnie w końcu. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Nie chciałam nigdzie jechać, a tym bardziej mieć do czynienia z ginekologiem. Potrzebowałam wszystko sobie poszufladkować.

Marcin nie reagował na moje grymasy. Był bardzo spokojny, ale stanowczy. Przestał się odzywać. Zapewne bał się o mnie i mojej reakcji. Nie wierzył, że rzeczywiście zechcę wsiąść z nim do samochodu. Bał się, że się nie zdecyduje. Wiedziałam, że bardzo mu zależy, abym jednak zgodziła się na to, o co prosi.

Śniadania wcale nie zjadłam. Nie mogłam. Wszystko mi się cofało. Napiłam się jedynie ciepłej kawy. Potem wykąpałam się, ubrałam, pospiesznie zrobiłam makijaż i potulnie poszłam z Marcinem na rzeź. Moje nerwy mnie pokonały.

\* \* \*

– Dziękuję pani, pani dyrektor, wielkie dzięki, że się pani zgodziła. Kocham panią, pani Leno. Bardzo, bardzo kocham... – Marcin starał się pocieszyć mnie przed blokiem.

– Wiem.

Odebrał torebkę z moich rąk i otworzył drzwi samochodu.

– Proszę, nie mów już nic, nie nazywaj panią dyrektor. Nie chcę. Nie mam ochoty... – Dotknęłam rękawa jego kurtki. Spojrzałam mu w oczy.

– Bardzo przepraszam za swoje zachowanie... Przeważnie spieszę się z decyzjami. Wpisane są w mój zawód. Teraz też może trochę ponaglam, za bardzo naciskam, ale... nie jestem potworem, nie chcę, byś tak mnie postrzegła.

Rozmowa przed blokiem nie miała sensu.

– Wsiadaj, jest zimno.

Pocałował moje zimne dłonie. Próbował rozładować atmosferę.

– Marcin, nie musisz, proszę, opanuj się, przestań chociaż teraz!

W tej sytuacji nie potrzebowałam pieszczot. Mimo moich protestów objął mnie. Wskazał ręką drzwi i wpuścił do nieco nagrzanego samochodu. Do najbliższego kosza wrzucił niedopałek papierosa, a sam usiadł za kierownicą.

– Przepraszam cię, Lena. Powiedz coś.

Nie miałam ochoty rozmawiać. Marcin przeciwnie.

– Nie musisz mnie za nic przepraszać. Tylko szkoda, że przeważnie sam wszystko ustalasz. Razem byłoby bardziej w porządku. Dziś byłoby mi łatwiej. Nam byłoby łatwiej... Uniknęlibyśmy nieporozumień. Marcin, chcę, żebyś wiedział, że wsiadłam do samochodu, bo mnie poniekąd zmusiłeś. I zapamiętaj, że to wszystko, co się obecnie dzieje, robię wyłącznie dla ciebie. Pamiętaj i przestań z tą panią dyrektor w kółko, proszę. Nie jestem w nastroju do żartów. Skończmy rozmawiać. Jedźmy – westchnęłam głęboko.

– Tym bardziej miło mi i cieszę się, że taką właśnie podjęłaś decyzję. Słuszną decyzję. Szanuję cię i kocham za to jeszcze bardziej! Wiesz przecież, że

wszystko robię dla twojego zdrowia. W końcu ty też musisz zrozumieć, że robisz to dla siebie. Jestem przekonany, że dojrzewasz powoli, ale... Na to potrzebujesz czasu niestety – uśmiechnął się ciepło.

W końcu przestał mówić. Zrobiło się cicho.

– Na co czekamy? Rozmyśliłeś się? – Przerwałam niewygodną ciszę, rozładowując ciężką atmosferę.

– Możemy ruszać? Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

Kontynuowałam dość złośliwie. Marcin przyglądał mi się z uwagą. Miałam wrażenie, że liczy zmarszczki na mojej twarzy.

– Lenka, nie denerwuj się. Wszystko się ułoży. Obiecuję, że nie pozwolę ci skrzywdzić. Chyba nie wierzysz, że mógłbym? Głowa do góry. Nie zamartwiaj się na zapas. Ufam Arturowi. Nie zaproponowałbym ci tego, gdybym mu nie wierzył. To dobry lekarz – pocałował mój zimny policzek.

– Dobrze, dobrze... Zobaczymy, czy masz rację. Jedźmy, proszę! Nie róbmy scen przed blokiem. Nie widzisz?! Wszystkie franki w oknach sąsiadów aż się trzęsą. Marcin, umówmy się. Ty mnie nie pocieszasz, a ja nie marudzę. Nie zniosę litości! Chcę mieć to badanie jak najszybciej za sobą. Nie rozmawiajmy o tym dłużej. Zdecydowałam się, więc zawieź mnie wreszcie na miejsce. Nie chciałabym zmienić zdania – zakomunikowałam stanowczo.

Znów siedzieliśmy w milczeniu.

– Tak, dobrze – zgodził się Marcin.

Czułam się jak owca prowadzona na rzeź. Nie wiem, jak zebrałam jeszcze w sobie ostatki sił. To było takie trudne. Nikt nie mógł dać mi gwarancji, że będzie dobrze. Coraz bardziej nie dowierzałam obietnicom Marcina. Musiałam jednak podjąć jakieś decyzje, których wcale nie byłam pewna. Samo życie. Nikt nie obiecywał, że będzie lekko.



## Wyprawa do kliniki

Wyruszyliśmy przed siebie. Mimo że z Mokotowa do kliniki wcale nie było blisko, podróż samochodem wydawała się nadzwyczaj krótka. Nie odzywaliśmy się do siebie. Nie miałam ochoty na konwersację. Wolałam milczeć. Jedyne, na co miałam w tej chwili ochotę, to żeby zabić Marcina, a następnie otworzyć drzwi i uciec z jego samochodu. Oczywiście żartuję. Nie mogłam tak postąpić. Byłam przecież dyrektorem, nauczycielką, światłą osobą, która zdaje sobie sprawę z tego, że kobieta musi badać się ginekologicznie. Według zaleceń przynajmniej raz w roku, a jeśli zachodzi taka konieczność, to również musi się leczyć – pokpiwałam sobie w myślach. Głupoty chodziły mi po głowie. Co z tego? Obstawiałam przy swoim, choć w moim rozumowaniu nie było za grosz logiki.

Cały czas zachowywałam się jak mała, rozkapryszona dziewczynka, której rodzice nie chcą kupić ukochanej lalki. I najchętniej zaczęłabym tupać nóżkami.

Zajęta własnymi myślami nawet nie zauważyłam, że dotarliśmy na miejsce.

– Jesteśmy, skarbie. Musimy się ewakuować. Wsiądź, proszę.

Marcin otworzył drzwi od mojej strony i pomógł mi wyjść z samochodu, a w zasadzie wygrzebać się z niego. Zawsze był bardzo uprzejmy, ale teraz wyjątkowo. Przelotnie pocałował mnie w policzek. Teraz taki gest raczej nie był mi potrzebny. Nie chciałam, żebyśmy coś przed sobą udawali. Nie chciałam, żeby Marcin rozczulał się nade mną, a mimo wszystko patrzyłam błagalnie prosto w jego oczy. Ogarniała mnie niemoc i rozpacz. Bałam się... Tak strasznie, pomimo że miałam przy swoim boku osobistego lekarza.

– Marcin, czy naprawdę muszę? Jest mi tak cholernie niedobrze. Jakoś słabo się czuję. Martwi mnie wszystko... Najlepiej, żeby było już po sprawie – wyszeptałam jednym tchem.

– Tak zaraz będzie. To nieodwołalne, Lenka, musisz, koniecznie... Przykro mi. Wiem, wiem dobrze, że cała ta sytuacja jest dla ciebie sporym przeżyciem, przerasta cię, ale... zupełnie niepotrzebnie żyjesz w strachu. Jesteś przecież ze mną. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało – Marcin głęboko westchnął, nie dokończył rozpoczętej myśli.

– Brakuje mi siły. Nie wejdę do tego gmachu. Nie wejdę tam. Przyrzekam, że nie zrobię tego. Nikt mnie nie zmusi.

Wzrokiem wskazałam budynek kliniki. Marcin uśmiechnął się.

– Przecież cię nie zmuszam. Lenka, obiecałaś. Przypominam ci, że ty zawsze dotrzymujesz słowa. Co mam zrobić, żebyś w końcu zaakceptowała to, co się dzieje? Żebyś mi uwierzyła? Proszę, odpowiedz, bo wyczerpał mi się zakres pomysłów. Tak bardzo chciałbym, żeby było ci jak najłatwiej przejść tę niełatwą drogę. Jakoś dodać ci odwagi. Nie bój się, naprawdę nie musisz. Masz mnie.

Milczałam.

– Powinnaś zaufać mnie i sobie, nie wolno ci teraz zwątpić. Musisz wierzyć. Jak mam cię przekonać? Tyle razy rozmawialiśmy...

Nastała cisza, która bolała.

– A więc ty rzeczywiście mi nie wierzysz?

– Nie o to chodzi. Tu nie chodzi o wiarę. Marcin, ja wierzę, ale po prostu wątpię... Czy to wystarczy, byś dał mi spokój?

– Nie ma wiary bez wątpliwości. Lena, wiesz, że taka jest prawda?

– Tak, wiem. Masz rację – spojrzałam na mojego lekarza z wymuszonym uśmiechem i poddałam się, przytulając mocno do jego torsu.

Rzeczywistość dookoła wydawała mi się bardzo obca i wrogo nastawiona do mojej biednej osoby. Nawet otaczająca przyroda była straszna, wręcz potworna. Nieważne! Panikowałam. Było mi zimno. Ręce miałam zgrabiące, lodowate. Ale zdawało mi się, że Marcina niewiele to wszystko obchodzi. On obmyślił sobie dzisiejszy plan i dążył do jak najszybszej jego realizacji. Co za cholernie poukładany facet. Kurczę, niesamowicie mnie to drażniło. Mało powiedziane: nie tylko drażniło, ale wręcz wkurzało.

– Marcin, po raz kolejny ostrzegam, że dzisiaj nie dam rady tam wejść – wskazałam budynek kliniki. – Jestem zbyt słaba. Boję się – oznajmiłam w taki sposób, jakbym zaraz miała zemdleć. Byłam bliska tego. Oparłam się łokciami o karoserię samochodu i przez chwilę wydawało mi się, że się do niej przykleiłam. Spuściłam głowę, gdyż bardzo mi ciążyła. Źle się czułam. Zbierało mi się na wymioty.

Chciałam skłamać, że nie mam nastroju, że dziś nie mogę, że mam okres i takie tam bla, bla, bla, ale drzwi kliniki szeroko się przed nami otworzyły, jakby zapraszając do środka.

– Wejdz – mówiły, ułatwiając mi podjęcie decyzji. – To twoja ostatnia szansa.

Czy była ostatnia? O tym dowiedziałam się znacznie później.

Wiedziałam, że niczego już nie zmienię. Wszystko zostało przesądzone. Weszłam do budynku kliniki sama. Marcina ktoś zatrzymał w drzwiach. Za chwilę mój szarmancki pan i władca podążył za mną. Szybko mnie dogonił. Jakiś czas szliśmy pod rękę. Rzadko chodziliśmy w ten sposób. Prawie nigdy. Trochę się zdziwiłam. Nie miałam czasu na przemyślenia, gdyż gnał, jakby brał udział w jakichś ważnych zawodach sportowych. Kompletny szalenciec – pomyślałam. Co ze mną będzie?

\* \* \*

Korytarz kliniki był długi, jasny, zadbane. W królestwie Marcina przeważały pastelowe kolory, zewsząd wyłaniała się zieleń. Było tu mnóstwo kwiatów. Umieszczone na ścianach i w każdym niemal kącie miały tworzyć niebywale

przyjemną i przyjazną atmosferę. Być może dla wszystkich innych pacjentek tak, owszem, ale nie dla mnie. Mnie ten wystrój nie przekonywał. Było mi słabo i czułam się coraz gorzej.

W korytarzu kręciło się sporo ludzi. Chodzili w tę i z powrotem, jakby szukali drogi, tej właściwej. Raczej zdawało mi się, że tak jest, niż było w rzeczywistości. W większości byli to lekarze w białych kitlach. Byli i inni, tacy jak ja, przybyli tu wyłącznie na rzeź. Ci pierwsi wyglądali dostojnie, ale na nieco zmęczonych. Sama nie wiem, może to tylko działanie mojej wyobraźni. Ci drudzy to pacjenci, a w za sadzie pacjentki, przygarbione do ziemi, jakby miała ich za chwilę wessać, pochłonać.

Dlaczego nagle wszystko zaczęło mnie zaskakiwać? Byłam zła na siebie. Powód był jeden. Niepotrzebnie dałam się namówić Marcinowi na przyjście tu. Katastrofa jakaś...

Boże, co ja wygaduję? Zachowuję się tak, jakbym urwała się z epoki kamienia łupanego, jeśli nie z wcześniejszej jeszcze.

Dawno przecież osiągnęliśmy erę komputerów. W całym tym stresie jakimś cudem przypominałam sobie poziom współczesnej cywilizacji. Myśli mi się kotłowały, głupiałam i nawet nie zauważyłam, kiedy razem z Marcinem stanęliśmy przy śnieżnobiałych drzwiach. Były tak białe, że aż w oczy kłuło.

O Boże! To już! Stoimy przed gabinetem. Stresowałam się ogromnie. Czułam się jak dziurawy spadochron, który leci z niebywałą prędkością i zaraz uderzy o ziemię. Uszkodzone spadochrony zawsze tak się zachowują, nie ma inaczej. Pełny szacunek dla ziemskiego przyciągania.

Opuściły mnie wszystkie siły, dosłownie wszystkie.

– Za ułamek sekundy umrę – najpierw pomyślałam, potem wyszeptałam. Nic bardziej głupiego nie udało mi się wymyśleć.

– Nic podobnego – Marcin zaprzeczył. – Jesteś gotowa?

Zdawało mi się, że krzyknął do mnie z całą tą swoją wesołością w głosie.

– Nigdy nie będę. Przecież wiesz.

Tylko tyle zdążyłam odpowiedzieć. Lekko kiwnęłam głową. Mignęło mi na drzwiach imię Artur. Reszty nie doczytałam, gdyż Marcin wepchnął mnie do środka gabinetu.

Miałam wrażenie, że odkąd weszliśmy na terytorium kliniki wszystko toczyło się znacznie szybciej niż w normalnym życiu. Na pewno szybciej biło mi serce, nogi szybciej chodziły, mózg szybciej pracował, a ja stawałam się coraz bardziej nerwowa. Oczywiście cały czas panikowałam, a w panice przeważnie każdy czuje podobnie.

– To jest moja Lena – przerywając atakujące mnie myśli, Marcin przedstawił mnie jakiemuś lekarzowi.

Odniosłam wrażenie, że sporo młodszemu od nas. Ale co do jego wieku

pewności nie miałam.

Moja? Zdziwiłam się śmiałą deklaracją. Skoro tak twierdzi...

Lekarz zbliżył się do nas i powoli przywitał. Delikatnie pocałował moją dłoń. Marcinowi podał własną. Był szarmancki i na odległość sprawiał wrażenie niezwykle inteligentnego człowieka. Był uroczym, przystojnym facetem. Miał coś w sobie. Jakiś osobisty urok, coś, za czym kobiety mogły szaleć czy zwyczajnie się uganiać. Nie potrafiłam bliżej tego czegoś określić.

O kurczę, co za myśli! Zupełnie straciłam rozum? To na pewno reakcja obronna mojego organizmu na tę niecodzienną sytuację.

– Co państwa do mnie sprowadza? – Ginekolog spytał nieco obcesowo.

– Mówiłem ci, stary, nie żartuj. Nie pora na to. Wiesz wszystko. Tak więc zostawiam was i wychodzę. Nie stresuj mojej damy i nie męcz jej zbyt. Ma być pełen komfort. Paniał? To moja osobista prośba. Radzę ci ją spełnić. Postaraj się – Marcin zagroził przyjacielowi.

– Masz jak w banku. Oddam ci twoją panią całą i zdrową. Bez paniki, bo za chwilę udzieli się ona pacjentce – spojrzał na mnie zalotnie. Obaj żartowali, udając, że nie widzą, w jakim stanie koło nich stoję.

– Pa, Lenka. Niczego się nie obawiaj. Nie ma prawa spaść ci nawet jeden włoszek z głowy. Zostawiam cię pod fachową opieką – zwrócił się do mnie mój Marcinek, a w zasadzie do mojej ręki, którą akurat całował, bo byłam taka zła i zakłopotana, że w ogóle na niego nie patrzyłam.

W ostatniej chwili wyczuł drżenie mojego ciała. Jestem pewna, że czuł, ale mimo wszystko wyszedł. Nie miałam zamiaru go zatrzymać. Byłam przecież zła, byłam na niego wściekła. Szkoda gadać! Mógł mnie chociaż przytulić. Nie zrobił tego. Bardzo potrzebowałam pocieszenia. Chyba miał rację. Rzeczywiście nie powinniśmy się teraz wygłupiać.

Tak więc zostałam sama z nieznanym lekarzem. Nie wiem, ile o mnie wiedział od Marcina. Coś musiał wiedzieć. Byli przecież bliskimi przyjaciółmi. Byłam pewna, że znalazł się w lepszej sytuacji ode mnie, bo jednak coś wiedział. A ja? Mnie wrzucono w nurt rzeki, rwącej i bardzo głębokiej, i w dodatku nie umiałam pływać. Tak właśnie się czułam.

– Artur Chojnacki, ginekolog i specjalista chorób kobiecych. Prywatnie przyjaciel Marcina – przedstawił się pan lekarz, po czym powtórnie pocałował moją dłoń.

Już raz się witał. Więc po co drugi? Baczenie mu się przyglądałam. Bałam się. Napięcie sięgnęło zenitu.

Miał na sobie jakby za duży fartuch i wyglądał w nim na jeszcze bardziej szczupłego, niż był w rzeczywistości. Ale to przyduże ubranie mimo wszystko dodawało mu uroku.

– No to do dzieła, pani Leno. Proszę się nie obawiać. Przeprowadzę

zaplanowane badanie najdelikatniej, jak potrafię. Niestety muszę je przeprowadzić, jest konieczne. Rozumie pani? Marcin na pewno z panią rozmawiał. Tam jest parawan – ręką wskazał miejsce w kącie gabinetu.

Zatem wszystko zaplanowali wspólnie – zastanowiłam się przez chwilę.

– Proszę się przygotować. Zaczekam. Kiedy będzie pani gotowa, proszę dać znać. OK? – Uśmiechnął się.

Skinęłam głową. Nie było mnie stać na nic więcej.

Ruszyłam w miejsce wskazane przez lekarza. Dookoła było nieskazitelnie białe, a w dodatku zimno i z tego powodu nieprzyjemnie jakoś. Trzęsłam się jak galaretką. Nogi i ręce miałam całkiem sine. Nerwy wzięły górę nade mną. Czułam, że odchodzę...

Nie mogłam uwierzyć, że jestem aż tak głupia, tak naiwna. Przecież powinnam zgłosić się do lekarza w swoim rejonie, a nie zawracać głowę przyjacielowi, tak bliskiemu przyjacielowi Marcina. Co ten człowiek sobie o mnie pomyśli? Na rozpamiętywanie w stylu: „Co by było, gdyby babka wąsy miała”, było jednak zdecydowanie za późno. Stało się. Po prostu się stało. Jestem tu i teraz. To naprawdę się działo.

Czułam się tak, jakby właśnie przejechał po mnie walec. Fatalne uczucie. Bałam się lekarza, badania i diagnozy, którą być może usłyszę. Wszystko mnie przerażało. Straciłam resztki pewności siebie, której nigdy zresztą za dużo nie miałam. Byłam zakłopotana. Jedno było pewne: zupełnie opadłam z sił.

– Pani Leno, dlaczego tak długo? Wszystko w porządku? Może w czymś pomóc? – Niecierpliwiał się miły głos, poczynając sobie śmiało.

– Już, chwileczkę. Nie trzeba – wycedziłam przez zęby, zupełnie nie swoim głosem, po czym wyszłam zza parawanu przygotowana do badania. Ubrana w białe prześcieradło musiałam nieciekawie wyglądać. Czułam, że moje policzki płoną.

– Zapraszam w podróż. Zapewniam pełen komfort, miłe wrażenia. Wszystko, co najlepsze – zażartował lekarz.

Jego poczucie humoru było podobne do tego Marcina. Cokolwiek to miało znaczyć, było zabawne. Muszą być bardzo bliskimi kumplami, skoro nawet jednakowo żartują – myślałam. Ale nie podobało mi się wszystko, co działo się wokół mnie. Wcale się nie rozluźniłam, a jak sędzę, ten głupi żarcik pana doktora miał to spowodować.

Nie udało się mnie rozbawić – zaszydziłam w myślach.

W głębi serca wcale tak nie myślałam. Byłam wystraszona jak kurczak i zażenowana jak... Nie przychodziło mi do głowy żadne porównanie. Zwykle nie zachowuję się w ten sposób. Na pewno miałam teraz plamy nie tylko na szyi i dekolcie, ale na wszystkich częściach mojego bardzo rozdygotanego ciała.

Kiedy wygodnie leżałam, jeśli to, co teraz się działo, w ogóle można było wygodą nazwać, usłyszałam lekką muzykę. Poczułam, że jest mi wszystko jedno.

Chciałam mieć tę wizytę za sobą.

Na terenie kliniki wszystko działo się szybko, o wiele za szybko. Jednak odkąd znalazłam się w gabinecie doktora Chojnackiego, było zupełnie odwrotnie. Świat ponownie zwolnił, a kula ziemską wcale nie obraca się wokół słońca. Wszystko stanęło. Totalny koniec świata. Nigdy stąd nie wyjdę! Zmartwiłam się na poważnie, wsłuchując się w ciche słowa „tylko Ziemia się nie zmienia” Kory Jackowskiej.

Nie wyjdę stąd, jeśli Ziemia znowu nie ruszy swoim naturalnym trybem po orbicie. Nie włączą się wszystkie zegary świata, a ja, do jasnej cholery, w końcu się nie uspokoję. Znowu nawrzeszczałam na siebie. Na szczęście tylko w myślach.

Badanie trwało, trwało i trwało. Wydawało mi się długie. Było męczące jak cholera, bardzo nieprzyjemne. Koszmarne! Może gdybym potrafiła się rozluźnić? Jakaś masakra! Kiedy lekarz wreszcie skończył tę samolotową podróż, poczułam wielką ulgę.

Musiałam jeszcze przeżyć badanie USG, a potem ubrałam się szybko i nieśmiało dziękując panu Chojnackiemu, wyszłam z gabinetu. Nie zapytałam nawet, co dalej.

– Nie ma sprawy, pani Leno. Polecam się na przyszłość. Do zobaczenia – lekarz krzyknął w moim kierunku.

Drzwi zatrzasnęły się za mną i wpadłam prosto w ramiona Marcina. Na szczęście oprócz nas na korytarzu nie było nikogo. On i tak by się nie przejmował, nawet gdyby byli ludzie. Ciągłe zachowywał się tak, jakby co najmniej dwadzieścia lat był moim mężem. Teraz zaczęło mnie to bardzo irytować. Byłam mocno podenerwowana i zła na cały świat.

– Już po wszystkim? Aż tak strasznie było? Przeżyłaś, kochanie? Mówiłem, żebyś się nie zamartwiała. Lena, wszystko jest dla ludzi. Badanie ginekologiczne jak najbardziej. Myślisz, że ryzykowałbym, jeśli groziłoby ci niebezpieczeństwo? – Przytulił mnie do siebie i kilka razy pocałował moje włosy.

– Jak widzisz, jakoś wytrzymałam wszelkie katorgi, które zafundował mi twój przyjaciel. A pośrednio to twoja sprawka – odparłam bez entuzjazmu.

Teraz nie wrywałam mu się z objęć tak jak wówczas, gdy poznaliśmy się na schodach. Potrzebowałam jego wsparcia. Chciałam być blisko Marcina i czuć jego obecność. Pragnęłam bezpieczeństwa i ciepła. Czując jego zapach, byłam spokojna niczym noworodek, który węchem rozpoznaje własną matkę. Bardzo chciałam, oczekiwałam, żeby mnie obejmował, pieścił, całował. Pocieszał i kochał.

Wyczuwał moje zagubienie. Wiedziałam, z całą pewnością czułam, że on też czuje.

– Skarbie, zaczekaj. Zaraz wracam – oznajmił stanowczo mój znawca chorób kobiecych. Następnie zniknął w gabinecie, tym samym, z którego ja dopiero co wyszłam.

Zanim się zorientowałam, podał mi jakąś filigranową paczuszkę. Co ja mówię! Rzucił nią we mnie! Wciąż jeszcze trochę oszołomiona usiadłam na korytarzowym krzeselku. Byłam z siebie dumna i przede wszystkim zadowolona, że już po wszystkim. Szczęśliwa czekałam na Marcina. Nie czułam nawet specjalnego zmęczenia.

Co to jest? Popatrzyłam na nietypowy prezencik. W tym samym czasie przypomniało mi się, że ja też mam niespodziankę dla Marcina. Kupiłam dwa bilety na kabaret Marcina Dańca i chciałam jak najszybciej zdradzić mu mój sekret. Zaczęłam ich szukać. W mojej torebce panował totalny bałagan. Zresztą podobnie jak w głowie.

Co się ze mną dzieje? Zrobiło mi się duszno. Zignorowałam własne samopoczucie. Rozejrzałam się, by się upewnić, czy nikt mnie nie obserwuje, i odpakowałam prezent. Mój darczyńca nie był zbyt oryginalny. Perfumy. Co prawda te, które lubię najbardziej. Ciekawe, skąd wiedział, że takie mi się podobają? W przeciwieństwie do Witka wiedział o mnie sporo jak na tak krótką znajomość, w zasadzie bardzo dużo. Ciągle mnie rozpieszczał. Do diabła! Miałam go nie porównywać z moim byłym. Nie będę idiotką! Obiecuję sobie, że to ostatni raz.

A swoją drogą, czy wszyscy mężczyźni o imieniu Marcin są zdolnymi i inteligentnymi facetami? Trochę się rozmarzyłam.

Długo czekałam na Marcina, a mimo to nie udało mi się w żaden sposób dotrzeć do biletów w torebce. Może położyłam je zupełnie gdzie indziej? Nie mogłam sobie teraz przypomnieć.

W końcu Marcin wyszedł z gabinetu.

– Lenka, załóż płaszcz – rozkazał, pospiesznie pomagając mi się ubrać. – Idziemy – dodał krótko.

– Coś się stało? Zrobiłam coś nie tak? Marcin, ktoś nas goni? – Nie rozumiałam jego zachowania.

Nie odpowiedział. Zignorował moje pytania. Miałam wrażenie, że wolałby, aby w ogóle nie padły.

– Podobają ci się? – Spojrzał na perfumy, które wciąż leżały na krześle, gdyż nie zdążyłam ich schować do torebki. Jeszcze moment, a zupełnie bym o nich zapomniała.

Co mu jest? Dlaczego tak nagle przyspieszył? O co chodzi? Pokłócili się z Arturem czy...? Zrobiło mi się strasznie duszno.

– Marcin, niedobrze mi. Źle się poczułam. Muszę stanąć gdzieś przy oknie. Nabrać świeżego powietrza. Pomóż mi.

Wzięłam perfumy do ręki i próbowałam wstać. Chciałam pochwalić go, że bardzo mi się podobają.

W zasadzie co to za dziwny pomysł, żeby akurat w klinice obdarowywać

mnie prezentami? Przecież dzieckiem nie jestem.

– Marcin, dlaczego tak... – nie dokończyłam, bo zobaczyłam ciemność przed oczami i reszty nie pamiętam.



## Co się ze mną dzieje?

Obudziłam się w łóżku. Leżałam pośród wszechobecnej bieli. Poczułam, że chce mi się pić. Panicznie bolała mnie głowa. Niczego nie rozumiałam. Marcin nachylał się nade mną. W pobliżu zauważyłam Artura, mojego nowego ginekologa, jakąś pielęgniarkę i jeszcze kogoś... kogoś... kogoś... Nie wiem. Przemieszczało się tu mnóstwo ludzi. Obrazy przed moimi oczami nieustannie się zmieniały. A mnie coraz bardziej kręciło się w głowie. Do mojej prawej ręki przytwierdzona była ogromna kroplówka. Miałam wrażenie, że na stałe. Kompletnie nie wiedziałam po co.

– Co się stało? Gdzie ja jestem?

Ścisnęłam dłoń Marcina. Była ciepła i dawała poczucie bezpieczeństwa.

– Kochanie, cichutko. Nie powinnaś się teraz denerwować.

– Marcin, boję się...

– Zemdlałaś. Jest coraz lepiej – pocieszał mnie mój kochany.

– Coraz lepiej? A było gorzej? Boże, Marcin, przecież ja nigdy w życiu nie zemdlałam. Dlaczego teraz? Co to wszystko ma znaczyć?

On przecież nieczęsto zwraca się do mnie „kochanie”. Boże, co się dzieje? Czy ja już jestem poza rzeczywistością? Nie ma mnie wśród żywych?

Marcin przez jakiś czas się nie odzywał. Trzymał moją dłoń w swoich rękach. Wyczuwałam u niego totalne podenerwowanie.

– Marcin, co się stało? – Spytałam ponownie.

– Szkoda, że nie wiedziałem, że aż tak słabo się czujesz. Postarałbym się jakoś wcześniej temu zapobiec. Nie musielibyśmy teraz być tu, gdzie jesteśmy. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Mówiłam, że nie chcę się badać, ale mnie nie słuchałeś – wyrzuciłam z siebie.

– Nie miałem pojęcia.

– To ze mną jest aż tak źle? Czy to prawda? Chcę ją poznać. Powiedz mi. Muszę ją znać. Proszę – skamlałam jak maluch.

– Na razie za dużo nie wiem, wszyscy wiemy niewiele. Musimy czekać. Bądź cierpliwa – zakomunikował ze stoickim spokojem. Zachowywał się tak, jak zachowuje się lekarz przy swojej pacjentce, a nie jak bliska mi osoba.

– Na co mamy czekać? Marcin, na kogo? – Ponawiałam pytanie za pytaniem, bo nic nie rozumiałam.

– Musimy odebrać twoje wyniki. Są w laboratorium. Potem wszystkiego się dowiemy.

– W jakim celu zleciłeś te niedorzeczne badania? Czyli jest aż tak źle? Musi być źle... – próbowałam odpowiedzieć sama sobie.

– Niekoniecznie – Marcin był innego zdania.

– Jak to czekać? Czyli źle jest ze mną? Na co mam czekać? Marcin, powiedz mi, proszę... – znów pytałam jak nakręcona.

Chciałam wstać z łóżka.

Marcin gestem ręki kategorycznie mi zabronił. Nie pozwolił mi się ruszyć.

– Musisz spokojnie poleżeć – przykazał.

– Nie mam zamiaru! Nie będę! Chcę, żebyś wiedział... musisz wiedzieć... Ja powinnam...

– Oj, Lenka, Lenka. Uspokój się – przerwał mi i uśmiechnął się łagodnie.

Lubiłam ten jego uśmiech. Kochałam. Od początku, gdy go poznałam, zawsze mnie uspokajał. Koił moje nerwy. Ale nie teraz. Nie w tej chwili, nie, kiedy moje życie ważyło się na jakiejś cholerniej lekarskiej szali.

– Chcę konkretnej informacji! Chcę, żebyś mnie oświecił! Nie będę dłużej leżała w niepewności! Chcę... Powiedz mi natychmiast! – Zniecierpliwiona, coraz bardziej podnosiłam głos.

– Wiem, że jesteś szaloną osobką, ale ciekawe, w jaki sposób zamierzasz wstać z łóżka, jak chcesz tego dokonać? – Marcin wskazał ręką na wiszącą nade mną kroplówkę. Poczynał sobie śmiało.

– Wszystko mnie boli. Dłużej nie wytrzymam.

– Na razie powinnaś poleżeć. Musi zejść lekarstwo – próbował dogadać się ze mną. Coś mi tłumaczył, ale niewiele z tego rozumiałam.

Nie było mi łatwo. Przestałam się odzywać. Było mi słabo. Nie podobało mi się, że Marcin wszystkim rządzi. Przejął stery i statek był jego. A ja nie byłam w stanie nic zrobić. Jeśli go zdenerwuję, może nawet wyrzucić mnie za burtę. Tak to odczuwałam.

\* \* \*

Po dwóch godzinach wyniki były gotowe, a moje samopoczucie na tyle dobre, że chciałam wracać do domu. Do mojego mokotowskiego mieszkania.

Nieźle bolał mnie tyłek, za przeproszeniem. To od zastrzyków, które mi zaaplikowano. Chyba cały arsenał mi wstrzyknięto. A teraz znów zbliżała się do mnie pielęgniarka.

– Chcesz, żebym ja zrobił czy wolisz pielęgniarkę? – Marcin spytał łagodnie, z powagą w głosie.

– Wszystko mi jedno. Nie wiem. Nie wiem, czego chcę... Raczej wolę pielęgniarkę. Niech ona się mną zajmie.

Miałam wybór bez wyboru. Nic dziwnego, że nie mogłam się zdecydować. Czułam igłę jak z drewna. Obawiałam się, że tępy ból nigdy się nie skończy! Wycierpiałam się za wszystkie czasy. Już wspominałam, że jestem nieziemską panikarą.

– I po krzyku. Możesz się ubrać. Na szczęście nie musiałem mieć nic

wspólnego z tym, co tu się teraz działo – ucieszył się Marcin, gdy pielęgniarka wychodziła z sali.

– Ja naprawdę staram się być dzielna. Nie mam zamiaru przysparzać ci kłopotów. Nikomu nie zamierzam ich dostarczać. Nie użalam się i nie rozklejam. Nie widzisz, ile mnie to kosztuje?

– Lenka, nie przysparzasz mi żadnych kłopotów, przecież wiesz.

– Marcin, ja tak nie chcę. Nie chcę, żebyś ciągle się o mnie martwił.

Bardzo go kochałam, tyle dobrego dla mnie zrobił. Miał ogrom cierpliwości. Niestety z liczbą zastrzyków przesadził. Byłam pewna, że przesadził. A może nie miałam racji? Wiedział o moim samopoczuciu więcej, niż się spodziewałam. Przecież to doświadczony lekarz. Nie rozmawialiśmy jednak o tym dłużej. Z wielu powodów nie poruszaliśmy żadnego drażliwego tematu.

– Lena, naprawdę jestem z ciebie dumny...

– Nie będę tego wysłuchiwała. Nie chcę wiedzieć...

Nie słuchał mnie.

– Lena, dlaczego mi nie powiedziałaś? – Zadał pytanie, przysiadając na brzegu mojego łóżka.

– O czym ci nie powiedziałam? Marcin? Słyszysz? O czym?

Byłam słaba, ale emocje nie malały. Patrzyłam zdziwiona.

– O tym, że jesteś ode mnie starsza.

– Że co? Jak to starsza? Co to znaczy? – Zdziwiło mnie usłyszane pytanie. – A jeśli nawet? Dla ciebie jest to jakaś bariera? Granica nie do przejścia? Skąd masz pewność, że jestem starsza? – Spytałam po chwili zastanowienia.

Lubię zadawać wiele pytań i prawie nigdy nie czekam na odpowiedź. Czasami mam wrażenie, że nie potrafię słuchać ludzi.

– Wyczytałem z karty pacjenta i stąd wiem. Musiałem odnaleźć twój dowód. Znalazłem go w torebce. Przepraszam, ale byłem zmuszony ją przeszukać. Masz w niej... bałagan masz... – stwierdził poważnie.

– Czy mój wiek coś zmienia? Ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie? – Zaniepokojona pytałam dalej, choć nie zauważyłam w pobliżu żadnej karty pacjenta. Marcin mnie wkręcał, a ja mu uwierzyłam. Nie potrafiłam myśleć logicznie.

– Nie, dla mnie to bez znaczenia – uśmiechnął się żartobliwie. – Jedyne być może zrobiłbym ci niespodziankę. Kupiłbym prezent. Życzenia złożył. A tak...

– Marcin, mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie?

Pewności jednak nie miałam.

– W takim razie o ile jestem starsza?

Zezłościłam się, bo kobietom podobno lat się nie liczy. Oczy ze zdziwienia powiększyły mi się do rozmiaru pięciozłówek.

– Wyobraź sobie, że o cały dzień, Lenka. O calutki...

– No wiesz co! Naprawdę? – Zaśmiałam się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Reasumując, mój sędziwy wiek nie miał dla niego znaczenia. Marcin po prostu chciał mnie rozweselić i udało się.

– Lena, uwielbiam cię.

– Ja ciebie też – szepnęłam.

\* \* \*

– Lena, zaczekaj, proszę! Muszę odszukać Artura. Zanim weźmiemy wypis, powinienem z nim porozmawiać jeszcze raz. Nie ruszaj się stąd nigdzie! Zaraz wrócę! – rozkazał.

– Chciałabym iść z tobą. Chcę być obecna przy rozmowie. Muszę słyszeć, o czym rozmawiacie – oznajmiłam cicho, ale Marcin mnie nie słuchał. Zostawił na łóżku i zniknął za ścianą.

Przypomniałam sobie, że ponownie jestem przytwierdzona kroplówką jak gwoździem do muru. I nie ruszę się stąd, dopóki mnie nie uwolnią.

Boże, co ja mam robić? Obleciał mnie strach. W mojej biednej głowie kłębiły się przeraźliwe myśli. Okropnie się bałam. Nigdy wcześniej nie czułam takiego lęku. Czy naprawdę był to największy strach w moim życiu? Dowiedziałam się tego znacznie później...

Upłynęło sporo czasu. Boże, co ja mówię, wieki całe, zanim Marcin wrócił. Nie miał dobrych wiadomości. Niczego nie ukrywał. W wielkim skrócie przedstawił mi prawdę. Jego przyjaciel podejrzewał u mnie endometriozę, właściwie był pewny. Wcześniej Marcin też mi wspominał o swoich podejrzeniach. Obaj panowie mieli to samo zdanie.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że życie nie jest usłane płatkami róż. Wręcz przeciwnie, jest jak wulkan: dopóki nie daje o sobie znać, jest dobrze. U mnie erupcja nastąpiła właśnie teraz. Czułam, że balansuję na krawędzi.

– Lena, musisz zadbać o siebie. Szczególnie teraz powinnaś dobrze się odżywiać, nie przemęczać, zwolnić obroty... – powoli mi tłumaczył, oszczędzając większości przykrych szczegółów.

– Dobrze. Przysięgam, zrobię to. Będę dbała. Zatrzymam się – byłam zgodna co do zaleceń. – Marcin, proszę, powinniśmy już stąd wyjść. Kroplówka dawno zeszała. Możesz mnie jak najszybciej zabrać? Jedźmy...

– Tak, oczywiście. Zaraz opuszczamy szpital. Wyjeżdżamy do domu. Do mojego domu. Tam odpoczniesz.

O powrocie do własnego mieszkania w moim stanie, według opinii mojego lekarza nie było mowy. I chyba tym razem miał rację. Nie opierałam się, i tak nie miałyoby to sensu. Potrzebowałam pomocy i wsparcia.

– Dobrze, jeśli naprawdę muszę, jeśli chcesz, pojadę do ciebie. Nie chcę być

teraz sama – zgodziłam się.

– Pójdę po twoje rzeczy. Zaraz wracam – ucieszył się, że chociaż tyle zrozumiałam bez tłumaczenia.

– Marcin, poczekaj – złapałam go za rękę, gdy podnosił się z krzesła.

– Tak – spojrzał na mnie z niepokojem.

– Marcin... O czym ty mówisz? O co chodzi z tym...? Dlaczego muszę zadbać...? A może jeszcze usłyszę, że muszę się leczyć? Czy los zawsze musi płatać mi figle? Akurat teraz mam się czegoś domyślać i brać za jakieś leczenie, kiedy poznałam takiego fajnego faceta jak ty? Jak nie urok, to przemarsz wojska... To niesprawiedliwe – mówiłam z lekką pretensją.

Marcin uśmiechnął się i pocałował moje wilgotne czoło. Było widać, że spodobał mu się żal w moim głosie i to, co przed chwilą usłyszał.

– Lena, czy już ci mówiłem, że wciąż mnie zaskakujesz? Uwielbiam być zaskakiwany. Uwielbiam twoje zachowanie. Uwielbiam ciebie...

Udawałam, że nie słyszę tej deklaracji. Spoglądałam na telefon.

– Marcin, mam nadzieję, że to, co się teraz dzieje, jest tylko złym snem i że gdy się obudzę, za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko wróci do normy.

– Tak będzie. Obiecuję ci. Na pewno tak będzie. Nie chcę, żebyś ciągle się zamartwiała. Proszę cię, chociaż na chwilkę się uśmiechnij.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Spełniłam jego prośbę, choć zupełnie nie byłam w nastroju.

## U Marcina

Marcin był właścicielem domu na przedmieściach Warszawy, niedaleko Józefowa. Podmiejski autobus z łatwością tu dojeżdżał. Powietrze było w tym rejonie dużo zdrowsze niż w mieście. Czuło się przyjemny powiew wiatru.

To cholernie daleko od mojego mokotowskiego mieszkania – zastanawiałam się. Ale czy kwestia topografii ma jakiegokolwiek znaczenie, jeśli w grę wchodzi prawdziwe uczucie? Mam nadzieję, że nie. Odpowiedziałam sobie, wychodząc z samochodu. Pewności jednak nie miałam.

Marcin zamknął za mną drzwi i zaprosił na swoje włości.

W środku dom urządzony był z wielkim smakiem. Było w nim i ciekawie, i przytulnie. W kominku trzaskało drewno, a wydobywające się ciepło dawało poczucie bezpieczeństwa i spokojny nastrój.

– Kto napalił ogień?

Zdziwiłam się. Nie wydawało się, żeby przed nami ktoś tu był i żeby w ogóle oprócz nas ktokolwiek odwiedzał to miejsce. Nic na to nie wskazywało. Na zewnątrz też nikt się nie kręcił. W zasadzie nie miałam możliwości obejrzeć obejścia. Niestety, gdy Marcin mnie tu przywiózł, na dworze było ciemno.

Już w progu zauważyłam, że mój ukochany posiada pianino. Poczułam się dość swobodnie. Zapomniałam nawet o chorobie. Mogę nie zauważyć nowego samochodu, ale pianino zawsze, zawsze... Taka jestem.

Stare, piękne, z duszą. Westchnęłam i szybkim krokiem podeszłam do tego cudeńka.

– Czy to własność Paderewskiego? – Spytałam żartobliwie.

– Jak zwykle ta sama – uśmiechnął się.

– Mogę spróbować?

Nie miałam pewności, czy ten antyk w ogóle można dotykać. Uwielbiam pianina, uwielbiam kompozytorów. Ania jest na pierwszym miejscu, to zrozumiałe, że anioły są najwyżej. Dalej inni, sławni... Od zawsze fascynował mnie ich wyłączny świat, niebywały talent i unikatowość osobowości. Interesowały mnie ich biografie, nie przebiegając, bez wyjątku. Wśród nich uwielbiałam Wojciecha Kilara i jego arcydzieło „Smugę cienia”. Pisał wielką muzykę do filmów. Nadzwyczajny talent i wspaniały człowiek. Posiadał dar Boży. Nic dziwnego, przecież często tworzył na Jasnej Górze. Wszystko, co osiągnął, przypisywał Bogu, nigdy sobie. Zawsze wyłącznie Bogu. Bóg odwdzieczył się i dał mu niezwykły dar komponowania i niezwykłą skromność. Kilar wierzył w to bardzo, ja też...

– Muszę cię zmartwić. Niestety nie Paderewskiego. Mojej babci... – Marcin dopiero teraz udzielił odpowiedzi na moje pierwsze pytanie. Czuć było na odległość, że ma dobry humor.

– Proszę, graj, ile dusza zapragnie. Lena, jest twoje – rzekł od niechcienia, uśmiechając się serdecznie. Ręką wskazał mi krzeselko, które wydawało się równie antyczne jak sam instrument.

– A jest nastrojone czy... – zagadnęłam, bardziej czekając na zaprzeczenie niż na potwierdzenie. Byłam zmęczona, ale i ciekawa.

– Sama oceń. Ja się na instrumentach nie znam. Sprawdź, czy jest w porządku, a ja tymczasem zaparzę herbatkę. Coś ciepłego dobrze nam zrobi. Zrobię kilka kanapek. Powinnaś coś zjeść.

Mój lekarz otaczał mnie opieką. Robił to z dużym entuzjazmem jak na tak ciężki dzień. Troszczył się, i to bardzo.

Najprawdopodobniej oddalił się następnie do kuchni, gdyż, jak wydedukowałam, w kuchni robi się herbatę...

Podeszłam blisko pianina, bez większego namysłu zatopiłam palce w biało-czarnej klawiaturze. Wydawała mi się swojska, jakby od zawsze należała do mnie. To dziwne, ale coś takiego poczułam. Rozpoczęłam koncert. Grałam długo. Nieźle mi szło moje brzdąkanie. Pomimo sporej przerwy dobrze grałam. Ale to wiedziałam tylko ja. Dawno nie miałam styczności z instrumentem, a jednak udawało mi się.

Nie zauważyłam, że Marcin w międzyczasie usiadł nieopodal na sofie. Obserwował mnie. Słuchał i słuchał. Nie zbliżał się, jakby się bał, że mi przeszkodzi i przestanę robić to, co robię. Bał się, że bańka pryśnie, a Kopciuszek zniknie we mgle – żartowałam w myślach.

– Lubię ci się przyglądać. Mogę obserwować cię godzinami. Fajnie stukasz w klawisze. Nie przestajesz mnie zaskakiwać. Cała jesteś zagadką. Jesteś niesamowita. Lena, jesteś prawdziwym geniuszem. Piękna i utalentowana. Gdzie się nauczyłaś muzykować? – Pytał z zachwytem, gdy skończyłam.

– To nic nadzwyczajnego. Wielu ludzi potrafi tak grać, nie jestem nikiem nadzwyczajnym. Słaby ze mnie muzyk – przekonywałam mojego słuchacza.

– Jak zwykle skromna, a dla mnie... wyjątkowa. Nie zdawałem sobie sprawy, że spotykam się z pianistką dobrej klasy. Nie miałem pojęcia – kontynuował zachwycony i naprawdę mile zaskoczony.

– Marcinku, nie przesadzaj, onieśmielasz mnie. To jest zaledwie brzdąkanie.

– Nie bądź taka skromna, kochanie, nie powinnaś... – podszedł do mnie z tyłu, pomógł wstać i przytulił do siebie. Tylko tyle, a ja poczułam się najbezpieczniejszą kobietą na ziemskim globie.

Potem znów usiadłam.

– Czy to Chopin? Świetnie, jestem pod wrażeniem – powtórzył z ogromnym podziwem, gdy ponownie spod moich palców wydobyły się czarujące dźwięki. Nie czekał na odpowiedź. – Doskonale, muszę przyznać, doskonale...

Czuł się jak w niebie i wcale nie udawał. Nie spodziewał się pewnie, że

trochę potrafię grać, że właśnie taką umiejętnością go zaskoczę. Byłam dumna, że udało mi się go zachwycić. Uwielbiam grać i wiem, że nie najgorzej to robię. Gry na pianinie uczyłam się od dziecka. W swoim mniemaniu mogłabym robić to jeszcze lepiej. No ale skąd mógł o tym wiedzieć mój Marcinek?

– Może i pięknie, nie mam bladego pojęcia, czy mówisz prawdę. Ale musisz wiedzieć, że twoje pianino samo w sobie ma klasę. Sprawia, że w taki właśnie wyjątkowy sposób można wydobywać z niego dźwięki. Tym samym można zaskakiwać ludzi – powiedziałam przekonująco, z niezwykłą jak do tej pory skromnością. – Lubię grać na pianinie. Sprawia mi to dużą przyjemność. Są sytuacje, kiedy pianino potrafi mnie uspokoić, odstresować. Grając, można uciec od rzeczywistości, zapomnieć, zatracić się... Wszystko można. Tak działa magia muzyki. Bo to magia, prawda?

– Masz rację, magia – Marcin uśmiechnął się ciepło.

Pomógł mi ponownie wstać od pianina, podając własne dłonie. Był tak blisko, że bliżej się nie da. Przytulał mnie, całował moje włosy, czoło, szyję, w pośpiechu rozpinął mój sweterek. Zupełnie nie kontrolował swoich poczynań. Po kolei całą mnie rozgrzewał. Powoli stawałam się jego własnością. Brał mnie w niewolę i... i... i...

Nie broniłam się. Bardzo potrzebowałam świata marzeń, pragnień... Potrzebowałam miłości na cito. Chciałam mieć Marcina jak najbliżej. Czułam się szczęśliwa i spokojna. Ale czy tak będzie zawsze, przekonałam się znacznie później.

Oprócz pianina pan doktor podobno posiadał w swoim domku mały gabinet lekarski. Na pewno posiadał. Nieraz mi o nim wspominał. Tej nocy mi go nie pokazał. Nie mieliśmy nastroju do zwiedzania. Nie chcieliśmy rozpocząć tematu chorób. I bardzo dobrze. Dosyć miałam medycznych wrażeń i ginekologicznych gabinetów. I tak bym dzisiaj tam nie weszła, za żadne skarby świata.

Tej nocy nie kochaliśmy się zbyt intensywnie. Wszystko mnie bolało. Marcin wiedział to lepiej ode mnie. Pewnie jednak ta miłość nie zagrażała mojemu życiu.

Rano był dziwnie zamyślony. Przez dłuższy czas przeglądał jakieś dokumenty. Siedział po uszy w laptopie i tych swoich mądrych medycznych papierach.

O nic go nie pytałam. Niczego nie chciałam wiedzieć. Chciałam odpocząć i zapomnieć. Strasznie się bałam. Gdy skończył pracować, ukryłam się w jego ciepłych ramionach i powoli zasypiałam. Czułam się taka bezpieczna, odpływając w krainę snów...

\* \* \*

Obudziłam się wczesnym rankiem. Postanowiłam poznać prawdę, nawet



jeśli byłaby najgorsza z najgorszych. Musiałam.

– A więc poproszę kawę na łąwę. Powiesz mi w końcu dokładniej, co mi dolega? Czy dam sobie radę? Jak bardzo jestem chora? Czy wyzdrowię? Co to w ogóle jest ta cała endometrioza? – Zadawałam pytania, oczekując natychmiastowej odpowiedzi.

Marcin stał w progu salonu z dwiema gorącymi kawami. Postawił je na stole i zapalił papierosa. Prawie nigdy nie częstował mnie papierosami, jednak gdy poprosiłam, nie odmawiał.

Lekarz, który popała? Coś się tu gryzie. Co? Nie wiem. Dowiem się niebawem.

– Na które pytanie najpierw mam ci odpowiedzieć? – Spytał oficjalnie.

– Na wszystkie, jeśli możesz.

– OK, wyzdrowiejesz i postaram się, żeby szybko. Mam nadzieję. Jednak nie możemy polegać jedynie na nadziei. Jestem pewien, że dasz radę. Lena, jesteś silna. Pomogę ci. Razem jakoś z tego wybrniemy. Obiecuję. Razem przejdziemy tę drogę. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

– Tylko tyle?

– To mało? – Marcin wyraził zdziwienie.

– Nie wiem. Myślę, że to wierzchołek góry lodowej. Powiedziałeś mi tak niewiele.

– Nie przesadzajmy! O co w tym wszystkim chodzi? Czy jesteś aż tak bardzo chora? Wkrótce dowiemy się tego ze szczegółowych badań. Dobrze byłoby zrobić laparoskopię.

– Kto ją wykona? Te wszystkie badania, kto zrobi?

– Zależy, komu pozwolisz.

– Mam jakiś wybór?

– Oczywiście, że masz.

– Nie wiem, czy mogę ci ufać. Ale jeśli wszystko, co mówisz, jest prawdą, chyba mając ciebie, nie powinnam szukać innego lekarza?

– Wciąż jeszcze nie wiesz, wciąż masz wątpliwości? – Marcin się uśmiechnął.

– Tak, ciągle... ale w końcu muszę zdobyć się na odwagę.

– Jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, myślę, że teraz jest najwyższy czas. To będzie dobra decyzja. Zobaczysz. Nie zawiodę cię.

Nie lubiłam dymu papierosowego. Ta niechęć pozostała mi z poprzedniego małżeństwa. Marcinowi dzisiaj dziwnym trafem ten papieros pasował.

Oczy same mi się zamykały. Cierpliwie czekałam, mając nadzieję, że Marcin mnie oświeci, coś ciekawego jeszcze powie. Milczeliśmy, milczeliśmy... Potem zasnęłam. Byłam jeszcze bardzo osłabiona.

\* \* \*

Leżałam w Marcina łóżku. Definitywnie postanowiłam wracać do własnego.

– Nie mogę u ciebie mieszkać. Przecież to niedorzeczność...

– Lena... – roześmiał się.

– Nie jesteś moim mężem. Co na to powie moje dziecko?

Dorośle zresztą, które, właśnie przypomniałam sobie, mieszka od dawna z chłopakiem. I co z tego? W myślach usprawiedliwiałam moją córkę. Przecież ona jest młoda, to co innego. A ja, stara baba, tak się wyglupiam. Nie mogłam sobie jakoś tego wszystkiego wybaczyć. Byłam bezradna, zakłopotana, załamana i w beznadziejnym nastroju.

– Myślę, że to nędzny argument. Jeśli chciałaś mi dopiec, to ci się nie udało. Nie przypuszczałem, że możesz do tej pory nie uważać mnie jeszcze za kogoś bliskiego.

– Nie to chciałam powiedzieć. Źle mnie zrozumiałeś. Przepraszam.

– Oczywiście, że możesz... Lena, możesz u mnie zostać, jak długo zechcesz. Możesz tu zamieszkać. Powinnaś. Bardzo chcę, pragnę... Marzę, by tak się stało.

Milczeliśmy.

– Nie kończ! To nieprawda. Nie powinienam... Zapewne zrozumiesz, że nie wypada, abym zamieszkała u ciebie. Zbyt krótko się znamy. To, że los wysadził mnie na życiowym zakręcie, w niczym chyba mnie nie usprawiedliwia. Wracam do domu.

– Lena, jesteśmy dorosłymi ludźmi. Sami wyznaczamy granice. Nie wałkujmy w kółko tego samego – Marcin sięgnął po kieliszek i dopił łyk wina z jego dna.

– To nie jest takie proste, jak myślisz.

– Jestem przekonany, że właśnie jest. Sama komplikujesz większość spraw. Lena, sama sobie nie ufasz... Przecież wiesz, że cię kocham, że chcę być z tobą. W dzień i w nocy chcę się tobą opiekować. Jestem zdecydowany.

– Posłuchaj. Nieważne, że mnie obrażasz, że robisz to na każdym kroku. Traktujesz jak smarkulę. Przeżyję to jakoś, ale musisz wiedzieć... powinieneś... chcę, żebyś wiedział, że wszystko, co teraz się dzieje, dzieje się za szybko i wyłącznie z twojej winy.

– Przesadzasz.

– Nie widzisz, że ty ciągle na coś nalegasz? Przez ciebie ciągle coś muszę, coś powinienam. Nie chcę, żeby tak było... To nie tak powinno być. Wszystkie moje kłopoty zaczęły się, gdy cię poznałam. A było tak dobrze. Mój świat był taki poukładany. Taki... – podnosiłam głos w hysterii.

– To jaki był ten twój świat? Opowiedz mi o nim, chętnie posłucham. No zacznij, proszę – Marcin ironizował.

– Nie bądź nieprzyjemny.

– Nie zamierzam, choć po części mnie zmuszasz. Lena, tak nie możesz...  
Proszę, żebyś się uspokoiła. Wyciszyła emocje.

Jego zachowanie było nie do zniesienia.

W pokoju zrobiło się chłodno. Podszedł do okna, lekko przymknął jedno ze skrzydeł. Zbliżył się do mnie.

– Gdybyś zechciała mi chociaż trochę zaufać... – poskarżył się.

– Dlaczego nie mówisz mi prawdy? Oszukujesz... Traktujesz niepoważnie. Czuję się przy tobie jak dziewczynka – wyrzucałam słowo po słowie. Irytował mnie. Milczał. Widać było żal w jego łagodnym spojrzeniu. Ale ciągle milczał. Pozwolił mi się wykrzyczeć. Wciąż mi na wszystko pozwalał. Nie wiem, czy właściwie nienawidziłam go za to, czy kochałam?

Słyszałam krople deszczu uderzające o parapet. To takie banalne. Padało, a ja jak zwykle nie miałam parasolki.

Wstałam i chciałam założyć płaszcz. Nie pozwolił mi. Kategorycznie zabronił.

– Chcę wracać do domu. Odwieszysz mnie czy mam wezwać taksówkę?

– Nigdzie nie pojedziesz! Mam lepszy pomysł. Zostaniesz tu! – Ręką wskazał na szary dywanik leżący pod naszymi nogami.

– Marcin, muszę jechać. Wiesz, że mam rację – przekonywałam cicho.

– Nieprawda, niczego nie musisz. Przynajmniej na jakiś czas powinnaś zostać u mnie. Lena, nigdzie cię teraz nie wypuszczę. Zrozum, nie mogę. Nie szarp się ze mną, nie chcę zrobić ci krzywdy. Nie będę używał wobec ciebie siły. To nie jest w moim stylu. Nie potrafiłbym – powiedział stanowczo.

– Nie powinieneś mnie zatrzymywać. To wbrew... – urwałam zdanie. Wciąż słyszałam krople deszczu za oknem.

– Mylisz się. Któreś z nas musi myśleć przytomnie. Ty zachowujesz się jak nastolatka, jak dziecko, które niczego nie rozumie, nie ma doświadczenia, a świat ciągle zaskakuje je nowymi wyzwaniem... Nie uciekaj od problemów. To niczego nie zmieni – po raz pierwszy uniósł się dość mocno.

Gdy upierałam się, kierując swoje kroki ku wyjściu, zagroził drzwi całym sobą. Wydał mi się taki potężny, taki silny, taki...

– Marcin, czuję, że powinnam. To, co się teraz dzieje, przecież nie ma sensu. Nasza przyszłość nie ma sensu, to wbrew logice. Przyznasz, że tak jest – szeptałam.

– Nie, niestety nie zgodzę się. Zależy mi na tobie. Muszę się tobą zaopiekować. Posłuchaj, zależy... Lena, kocham cię. Myślę o tobie poważnie. W dzień i w nocy myślę o nas, o tym, co było, co jest teraz, co będzie... Biorę za ciebie odpowiedzialność. Wierzę, że jest sens, byśmy byli razem. Tylko ty niczego nie widzisz. Wszystko negujesz. Bądź rozsądna... – wyciszał mój gniew.

– Jeśli chodzi o facetów, mam niewielkie doświadczenie. Właściwie wcale go nie mam – próbowałam się usprawiedliwić.

– Jestem przekonany, że jest wręcz przeciwnie. Dlatego, że takowe masz, reagujesz bardzo ostrożnie. Rozumiem to i staram się uszanować wiele twoich decyzji – stwierdził Marcin.

Zrobiło mi się gorąco. Pot spływał mi po plecach.

– Usiądź, proszę, bo mi zemdlejesz. Jesteś blada jak ściana i cała mokra od potu.

Posłuchałam.

Deszcz rozlewał się po szybach, a moje łzy lały się po policzkach. Nigdy tak rzęsiście nie płakałam. Uświadomiłam sobie, że nie dość, że w życiu zawsze byłam sama, to jeszcze tak naprawdę nigdy nie było mi dane być prawdziwą kobietą. Ani mieszkając z Witkiem, ani potem, po rozwodzie. Teraz nareszcie mogłam się nią poczuć. Mogłam nią być. Mogłam płakać przy moim mężczyźnie. Tak dobrze się przy nim czułam. Nie wstydziłam się swoich łez. Mogłam płakać tyle, ile potrzebowałam. Miałam całkowite pozwolenie od mojego ukochanego. Ogarnęło mnie przecudowne uczucie. Płakałam jak kobieta i czułam się jak kobieta, która jest kochana. Ten paradoks był najwspanialszym uczuciem, jakiego doświadczyłam w życiu. Wspaniałe doznanie. Fenomenalne... Uczucie, którego nie dało się z niczym porównać. Płakałam ze względu na swoje nieszczęście, a jednocześnie byłam szczęśliwa. Wypłakałam chyba całe wiadro łez. Można by nimi umyć podłogę w całym domu Marcina. Jak zwykle dzięki swojej bogatej wyobraźni plotę trzy po trzy. Na szczęście tylko w myślach, które przerwał Marcin.

Podszedł do mnie i pogłaskał mój mokry policzek.

– Niczego nie musisz. Lena, uwierz, naprawdę... Ja tylko proszę, żebyś u mnie została. Pozwól sobie pomóc. Bądź rozsądna.

– Nie wiem. Nie wyobrażam sobie... Marcin, wszystko dzieje się tak szybko. Ja tego nie ogarniam. Wierzysz mi? Nie ogarniam...

– Wystarczy, że ja sobie ze wszystkim radzę. Wszystko rozumiem. Lena, naprawdę staram się rozumieć, ale nie mogę pozwolić, żebyś dłużej się upierała. Wiesz, że cię kocham, że mi na tobie zależy. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Zaufaj mi, mam wszystko pod kontrolą.

Przytulił mnie mocno. Ten gest był niezwykle miły. Potrzebowałam męskiego dotyku.

– Przepraszam. Marcin, pogubiłam się... Przepraszam, ale nie mam już siły. To strasznie trudne – szeptałam.

Nie pozwolił mi się dalej tłumaczyć. Położył swój palec na moich ustach. W końcu zdobyłam się na odwagę. Patrzyłam mu prosto w oczy. Po raz pierwszy dostrzegłam, jakie piękne oczy ma mój kochanek. Lekko niebieskie? Niebieskoszare? Szare? Tak, szare. Szare jak nieodgadniona morska głębia. Dojrzałe jak oczy mędrca. Nieznane jak ocean. I kochane... O czym zaczynałam przekonywać się coraz częściej. W przyciemnionym świetle lampki były po prostu

rewelacyjne. Z charakterystycznym, rozpalonym blaskiem.

Byłam ostrożna. O tym, jak bardzo podobają mi się jego oczy, dowiedział się znacznie później.

– Marcin, kolejny raz przepraszam... za wszystko. Jestem niepoważna. Źle cię potraktowałam. Nie zasługujesz na takie... Nie powinnam... Dziękuję, że jesteś, że mnie wspierasz – wciąż szeptałam. Zachowywałam się tak, jakbym zdradzała swój najgłębiej skrywany sekret. Jakbym się bała, że nas ktoś usłyszy. Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale chciałam, żebyśmy mieli siebie na wyłączność, tylko dla siebie, żeby nam nikt nie przeszkadzał. I tak też się stało.

– Lenka, już dobrze. Nie musisz. Nie gniewam się. Wcale się nie gniewam. Coś takiego nie przyszło mi nawet do głowy.

Mój lekarz otoczył mnie swoim ramieniem. Doskonale wyczuwał nastroj.

– Nie bój się, przy mnie nic złego ci się nie stanie. Biorę pod uwagę twoje obawy i twoją wrażliwość. Nie potrafiłbym cię skrzywdzić. Obiecuję, że zrobię wszystko, byś się czuła jak najlepiej. Chyba mi ufasz? Bardzo cię kocham, Lena, tak bardzo...

Nie wiem, jak długo trwały nasze pocałunki. Ile ich było? Jakie to były pocałunki? Nic nie wiem... Jednego byłam pewna: mój ginekolog znakomicie potrafił obchodzić się z kobietami. Cudowny facet.

– Kochanie, nie sądzisz, że raczej ja powinienem cię przeprosić? W końcu poważnie namieszałem w twoich życiowych sprawach – przyznał Marcin.

Leżeliśmy pod kołdrą, tak jak nas Pan Bóg stworzył, wsłuchując się w muzykę Patrycji Markowskiej i Piaska.

– Narobiłem ci tyle kłopotów w twoim bądź co bądź poukładanym świecie i zobowiązuję się wszystko jak najszybciej naprawić. Pani dyrektor, przepraszam, przepraszam panią, że ośmieliłem zburzyć pani spokój. Bardzo, tak bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

Marcin uklęknął przede mną. Byłam pewna, że żartuje.

– Wstań, proszę cię. Nie chcę tak... Nie klęcz... Zawstydzasz mnie. Czuję się niezręcznie.

– Nie musisz się tak czuć. Nie chcę, żebyś...

– Naprawdę mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Marcin, ja teraz dochodzę do wniosku, że mój świat właściwie przy tobie dopiero zaczyna się układać. Zaczyna być normalny. Nigdy dotąd taki nie był. Oszukiwałam się wcześniej.

– Cieszę się, że to dostrzegłaś.

– Czy można odnaleźć zagubione klocki? Marcin, czy można? Dzieciom w przedszkolu często się nie udaje, a czy mi się uda? Nam, czy się uda?

Zdziwiłam się, że nareszcie coś zrozumiałam. Nie czekałam na odpowiedź.

Uśmiechnęłam się do Marcina i mocno przytuliłam. Potrzebowałam go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Bardzo potrzebowałam.

A on, całując moje dłonie, zastanawiał się i był prawie pewien, że to moje nie zawsze poważne zachowanie musi mieć jakiś związek z moim byłym mężem, z moją przeszłością. Głośno myśląc, postanowił, że jeszcze wrócimy do sprawy.

– Lena, jeśli uda ci się odnaleźć choć kilka z tych kłoców, będę najszczęśliwszym facetem. Pomogę ci je odszukać. Poskładamy je wspólnie. Zgadzasz się? Razem zbudujemy naszą przystań – zaproponował.

– OK – uśmiechnęłam się. Wiedziałam, o czym mówi. Filozofia to moja specjalność.

Marcin zrobił jeszcze tego wieczora, a w zasadzie tej nocy, mocną herbatkę. Ten trunek w jego wykonaniu to prawdziwa rewelacja kulinarna. Potrafił wyczarować cuda.

Długo rozmawialiśmy o mojej niedyspozycji zdrowotnej. Przypuszczenia Marcina się potwierdziły. Po pierwsze miałam anemię, co wykazało badanie krwi. Po drugie było poważne podejrzenie o endometriozę. I to było gorsze. Właśnie to przeszkadzało mi podczas zbliżeń. Trzeba było jak najszybciej coś z tym zrobić, zacząć się leczyć. Te moje niedomagania były po części powiązane ze sobą.

– Operacja?

– Zobaczymy...

– Jak to? – Byłam coraz bardziej przestraszona.

– Jeszcze nie wiem, wspominałam ci o laparoskopii.

– Boję się, Marcin. Myślisz, że sobie poradzę? Dam radę? Że wytrzymam te ginekologiczne tortury? To takie... okropne!

– Lena, nie przesadzaj. Wierzę w ciebie. Poradzisz sobie. Jesteś silną kobietą. Nie z takimi sprawami sobie radziłaś – przerwał mi.

– Marcin, przecież wiesz, że to trudne. Wiele widziałeś. Na co dzień obserwujesz, jak kobiety cierpią i się męczą. Ile muszą przejść. Przecież nie jesteś lekarzem od dziś, więc nie mów mi, że laparoscopia to bułka z masłem. Nie zmuszaj mnie, bym w to uwierzyła. Nie wierzę w cudowne moce uzdrowienia.

– Chcę ci tylko pomóc. Nie bój się i nie martw na zapas. Jedynie mi zaufaj.

– Jak mam ci zaufać, skoro nawet nie zaprzeczyłeś, że będę musiała poddać się operacji. Zachowujesz się jak oportunistą.

– Nie operacji, tylko laparoskopii. Nie skomentuję tego – Marcin był zszokowany moim porównaniem.

– Przepraszam. Nie panuję nad sobą.

– Dlaczego od razu myślisz o operacji? Dzisiejsza medycyna ma tyle innych rozwiązań, że może coś innego wymyślimy. Znacznie bardziej przyjaznego...

– Marcin, nie chcę...

– Do niczego cię nie zmuszę. Każda decyzja będzie wyłącznie twoją własną,

obietuję. Tej wersji będziemy się trzymali przede wszystkim – obruszył się.

– Dziękuję, że starasz się mnie rozumieć. Dziękuję za wszystko – skinęłam głową i pocałowałam go niewinnie w policzek.

– Spróbuję skonsultować się z moim ojcem i zobaczymy. Najprawdopodobniej zastosujemy leczenie antybiotykami, zastrzykami rozgonimy twoje problemy...

Nie dokończył, gdyż zadzwoniła komórka.

– Kto to, o tej porze?

Nie doczekałam się odpowiedzi, gdyż Marcin złapał telefon i wyszedł do kuchni. Za chwilę był z powrotem.

– Kto to? Spodziewasz się gości? – Zaciekawiałam się.

– Lenka, kochanie, nikogo się nie spodziewam. To tylko pacjentka, w ciąży. Zaraz mąż ją podwiezie. Badanie potrwa dosłownie dwadzieścia minut, do pół godziny. OK?

– Tak, rozumiem, ale... Marcin, jesteś już bardzo zmęczony, ledwo trzymasz się na nogach. Musisz być na każde zawołanie tych wszystkich bab?

– To moja pacjentka. Nie mam możliwości jej nie przyjąć. Miło, że się o mnie martwisz. Wizyta nie będzie długa. Szybko wrócę. Obietuję – rzekł beztrasko.

Musiałam powoli przyzwyczajać się do wizyt panienek u mojego ginekologa, i to o różnych godzinach dnia i nocy. Cóż, nikt nie pozostawił mi wyboru. Chciałam związać się z ginekologiem, to mam. Życie podało mi go na tacy, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

\* \* \*

Wkrótce rozległ się głośny dźwięk dzwonka, który niestety definitywnie przerwał wieczorną sielankę. Marcin na szczęście zdążył się już doprowadzić do jako takiego porządku. Szybko otworzył drzwi. Nie widziałam nikogo, jedynie słyszałam jakiś damski, przyjemny, aczkolwiek niski głos.

Po chwili Marcin ponownie pojawił się w pokoju i oznajmił, że musi iść z pacjentką do gabinetu i że przyszła jakaś jedna niezapowiedziana. Pocałował mnie w policzek, po czym zniknął w przedpokoju, bez śladu.

Musi to musi, niech przyjmuje swoje panie, przecież nie będę protestowała. Doskonale to rozumiem. Sięgnęłam po książkę i zatopiłam się w świecie fantazji. Ogromnie lubiłam czytać. Odpoczywałam przy książkach. Świat fikcji to najwspanialszy świat...

## Wizyta Magdy

- Magdalena?
  - Nie, to nie ja, to mój duch, Marcinku – zażartowała przybyszka.
  - Oszalałaś?
  - Spodziewałam się miłszego przywitania. Mimo wszystko dzień dobry, kochany. Cieszę się, że cię widzę.
  - Coś się stało? Czemu zawdzięczam twoją wizytę w moich skromnych progach?
  - Marcin, daj spokój. Nie obawiaj się. Nic ci nie zrobię. Przyjechałam pokojowo. Mówię zupełnie serio – dodała.
  - Po co ten cały teatr? Magda, co ty tu w ogóle robisz? O tej porze? Jesteś niepoważna! Dlaczego tak późno? Wiesz, która jest godzina? Nie powinnaś przecieżyć?
  - Za dużo pytań. Stanowczo za dużo ich zadajesz. Już wspomniałam, po co tu jestem, ale ty jak zwykle mnie nie słuchasz. Zawsze ten sam...
  - Magda, ostrzegam cię! – Marcin zagroził.
  - A co do godziny... Nie wiem, która jest w tej chwili. Zakochani czasu nie liczą. Nie obchodzą mnie jakieś kreski na cyfrowej tarczy! Zrozum. Nie wnika! Musiałam cię zobaczyć. Marcin, musiałam. Właśnie po to tu jestem.
  - Magda, zwariowałaś? Ty zupełnie oszalałaś! Tak?
  - Być może. Nazywaj to, jak chcesz. Mnie doprawdy jest wszystko jedno.
  - Mocno przesadziłaś. Piłaś coś? – Marcin z niedowierzaniem spojrzął na swojego gościa, znacząco kręcąc głową.
  - Niech ci będzie, że przesadziłam. Niczego nie piłam, ale teraz chętnie napiję się wina albo szampana i najchętniej z tobą.
  - Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie. Zdajesz sobie sprawę, że twoja wizyta jest co najmniej niestosowna? – Marcin był bezpośredni aż do bólu.
  - Marcinku, kochanie, uspokój się. Więcej luzu. Proszę cię. Nie bądź taki spięty.
- Magda pogłaskała go po ramieniu. Odsunął się szybko.
- Przestań. Nie powinnaś.
  - Zadajesz za dużo pytań. Nie jesteś zbyt gościnnie. Spodziewałam się tego po tobie. To przez tę małą lafiryndę. Ona cię tak odmieniła? Kiedyś było inaczej, pamiętasz?
  - Przez kogo? Zabraniam ci tak mówić o Lenie! Nie będę tego słuchał. I proszę cię, nie obrażaj jej. Nie życzę sobie, żebyś źle wyrażała się o mojej kobiecie.
  - Marcin, jestem przekonana, że mówię prawdę, której ty nie dostrzegasz i boisz się jej jak ognia. Przecież oboje wiemy, że ta cała Lena to nie jest partia



dla takiego doktora jak ty. Czyż tak nie jest? Nie mam racji? Marcin, mam... – zawiesiła głos.

– Magda! Nie będę cię ani słuchał, ani przekonywał. To wyłącznie moja sprawa, z kim się spotykam i dlaczego. Do rzeczy, po co tu przyjechałaś? Czy tylko po to, żeby mi dokuczyć?

– Przecież wiesz, jaki jest cel mojej wizyty. Oboje dobrze wiemy. Nie udawaj niewiniątka. Kochamy się.

Samperska próbowała przytulić się do Marcina, lecz ten zdążył w porę odsunąć się na bezpieczną odległość.

– Że co? Nie bądź śmieszna. Magda, wycisz emocje, bardzo cię proszę, bądź rozsądna.

– Nagle wszystkiemu zaprzeczasz?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Przecież wiesz, jak cię... jak bardzo cię kocham. Nikt tak cię nie kocha.

– Nie, nie wiem i nie interesuje mnie to. Proszę, żebyś się nie wygłupiała. Magdaleno, nic z tego nie będzie. Wiesz, że nie odwzajemniam twojego uczucia, nie kocham cię. Już to przerabialiśmy. Nie mam do ciebie cierpliwości.

– Kto tu mówi o idealnej miłości, pełnej omdleń i wzruszeń? Marcin, na jakim ty świecie żyjesz? Może być miło, przyjemnie i to wszystko. Wiesz dobrze, że taki komfort tylko ja ci mogę zagwarantować. Żadna inna kobieta tak nie potrafi. Nie pójdzie na taki układ – Magda nie dawała za wygraną.

– Nie rozśmieszaj mnie. Zakoduj wreszcie, że ja jestem z kimś innym. Nikt tego nie zmieni. Tym bardziej ty. Kocham Lenę. Sorry, żadne twoje układy mnie nie obchodzą.

– A zastanawiałeś się nad tym, czy ona kocha ciebie? Pomyślałeś o tym?

Nastąpiła cisza.

– Nie będę ci się tłumaczył.

– Marcin, proszę cię, przecież doskonale wiesz, że nie ma takiego wagonika, którego nie dałoby się odczepić. Nie odrzucaj mnie, proszę. Chcę być z tobą, być razem. Być blisko ciebie. Ta Lena, ona tak naprawdę cię nie kocha. Nie widzisz, jak sobie z tobą pogrywa? Zabrała mi ciebie. Nie mogę na to pozwolić. Musisz do mnie wrócić. Będę o ciebie walczyła. Powinieneś...

– Ty jednak coś piłaś. Mówisz jak nietrzeźwa.

– Nie i żałuję, że się nie napiłam...

– Nie przekonuj mnie, Madziu. Nie mów głupstw. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Marcin starał się przywołać swoją rozmówczynię do porządku. Nie było to proste.

– Przecież możemy się z naszym uczuciem ukrywać. Jeśli tylko tego zechcesz, ja zgodzę się na każdy układ. Nawet jeśli z tej... z niej nie zrezygnujesz. Nie będzie mi to przeszkadzało. Obiecuję, że się dostosuję.

– Nie ma żadnego naszego uczucia. Nie ma żadnych nas. Magda, posłuchaj uważnie. Nie powinnaś się wygłupiać. Nie przystoi w taki sposób zachowywać się kobiecie z klasą, a za taką osobę cię uważam. Nie psuj własnego wizerunku. Nie chcę cię poniżać, więc proponuję, żebyś i ty tego nie robiła. Szanuję cię jako koleżankę po fachu, lubię, nawet bardzo, ale nie Kocham. Zrozum, nie Kocham. Nie będziemy się z niczym i przed nikim ukrywać – powtórzył nieco głośniejszym głosem.

– Marcin, robisz błąd!

– Nie mógłbym działać na dwa fronty. Znasz mnie, jak twierdzisz. To nie w moim stylu. Wiesz dobrze. Wiesz, prawda? Kocham Lenę. Musisz to przyjąć do wiadomości. Musisz się z tym pogodzić. – Niczego nie muszę. Powtarzasz się, Marcinku. A mogłoby być tak dobrze i nikt by o tym nie wiedział. Mielibyśmy własną tajemnicę. Ta Lena to prawdziwa czarownica. Zabrała mi ciebie. Zawładnęła tobą. Nie daruję jej tego.

– O czym ty mówisz? Ty nie jesteś sobą, Magda! Oszalałaś! Co się z tobą dzieje? Przecież to są groźby...

– Ja nie oszalałam, raczej ty postradałeś zmysły dla tej dyrektoreczki. To ona cię omotała. Mam rację?

– Mam nadzieję, że twoja wizyta dobiega końca. Powinnaś już iść do domu. Magda, przecież u mnie jest Lena. Na górze – wskazał głową na sufit.

– I co z tego? Odpowiedz, co z tego? – Magda pytała lekceważąco.

– To, że jest kobietą, którą Kocham, najbardziej na świecie uwielbiam. Jest dla mnie świętością, wszystkim, co mam... Nie zdradzę jej. Nie mógłbym zdradzić Leny – dodał zupełnie przekonany.

– Lena, Lena, Lena, ciągle ta Lena. Zwykła nauczycielka. W czym ona jest lepsza ode mnie? W czym? Odpowiedz mi. Możesz szczerze odpowiedzieć? A może jest ładniejsza? Bo mądrzejsza raczej wątpię. Wtedy, gdy spałeś ze mną, to ja podobałam ci się najbardziej, pamiętasz? – Magda podniosła głos.

– To stare dzieje. Nie wracajmy do przeszłości. Poza tym nie znałem wtedy Leny. Obydwoje byliśmy samotni, była Wigilia, nakręciliśmy się niepotrzebnie. Nie ma czego roztrząsać.

Marcin bał się, żeby Lena niczego nie usłyszała. Chciał ją chronić przed tą chorą sytuacją.

– Proszę cię, zakończmy naszą rozmowę.

– Wigilia... teraz tak mówisz. Wtedy było inaczej, nie zaprzeczaj, proszę. Miej odwagę. Nie postrzegalesz tego dnia w kategorii błędu.

– Nie wracajmy do czegoś, co minęło, czego dawno nie ma. Magda, nie ma sensu.

– Tak jest najłatwiej. Zostawiłeś mnie jak starą, zepsutą zabawkę. Nie czujesz, że mnie skrzywdziłeś? Zrobiłeś to dla niej i przeciwko mnie. Wszystko przez nią, przez tę twoją dyrektorkę, zawróciła ci w głowie. A ty? Ty zadurzyłeś się

w niej po same uszy. Zadurzyłeś, a nie zakochałeś, a to zasadnicza różnica.

– Możesz ciszej? Przecież ja cię nie zostawiłem, niczego ci nie obiecywałem, nigdy nie byłaś moją kobietą.

– Ach tak? Nie, nie mogę tego dalej słuchać. Przyjrzyj się, ona nawet nie chce się u ciebie leczyć. Nie wierzy ci jako lekarzowi, a co dopiero... Mógłbyś się trochę bardziej szanować. Zupełnie cię nie rozumiem. Taki fajny facet, nie pojmuję... Marcin, co się z tobą stało? Świat jest taki pokręcony... – Magda zawiesiła głos.

– Magda, proszę, daj spokój! Nie powinnaś...

– Nie kocha cię wcale. Bawi się tobą. Wykorzysta cię. Zobacysz, że tak będzie. Zostawi cię, nawet nie będziesz wiedział kiedy. To wyrafinowana... – nie dokończyła. Nie panowała nad emocjami.

– Dosyć! Magda, to nie jest twoja sprawa. Nie masz prawa.

– Już dobrze, OK, Marcin, nie moja – odpuściła.

– Zbadasz mnie? – Spytała zniecierpliwiona, zmieniając niewygodny temat.

– Co się dzieje? Nigdy nie potrzebowałaś ode mnie porady medycznej. A teraz akurat musisz? Przecież ty jesteś lepszym ginekologiem niż ja. Sama potrafisz sobie pomóc. Nie potrzebujesz niczyich wskazówek.

– Nie bądź taki skromny i nie schlebiaj mi. Wolałabym, żebyś mnie nie chwalił, ale kochał.

– A ja wolałabym cię nie badać i pozwól, że o własnych uczuciach sam będę decydował.

– Dobrze, decyduj. Ale jesteś lekarzem. Nie możesz odmówić pacjentce. A ja nią teraz jestem – uśmiechnęła się cynicznie. – Do zbadania mnie zobowiązuje cię etyka lekarska. Nieprawdaż? – Dodała.

– Wiem i zrobię to badanie... z przymusu zresztą. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Spojrzał jej w oczy.

– Udam, że tego nie słyszałam.

– Przestań już. Zanim cię zbadam, powiedz, co się dzieje. Co cię niepokoi, że tak pilnie potrzebujesz mojej konsultacji?

– Bolał mnie jajniki. Może to coś poważnego? Proszę, pomóż mi.

– Dobrze, zobaczę, postaram się. Możesz wejść na fotel – nie dowierzał. – Nie widzę tu nic strasznego. Nic się nie dzieje. Przepiszę ci globulki i to wszystko. Tyle zupełnie sama jesteś w stanie dla siebie zrobić. Jesteś zdolniejsza ode mnie. Masz o wiele większą wiedzę medyczną. Doświadczenia też ci nie brakuje.

– Moje zdolności nie mają tu nic do rzeczy. Chciałam, pragnęłam, potrzebowałam spotkać się z tobą. Być blisko ciebie. To dla mnie bardzo ważne. Nie rozumiesz? – Magda złapała Marcina za rękę.

– Magdaleno, nie możesz się tak zachowywać!

Delikatnie ściągnął jej dłoń ze swojej ręki. Spojrzał w jej oczy. Iskrzyły,

płonęły...

– Marcin...

– Chciałbym, żebyś znalazła sobie innego ginekologa. Ja nie będę cię leczył. Uprzedzam, żebyś na nic więcej nie liczyła. Nie spotkamy się już w takich okolicznościach. Nie możemy. Musisz to w końcu zrozumieć. I nie próbuj żadnych sztuczek.

Po raz drugi zdjął jej dłoń ze swojej ręki. Tłumaczył i przekonywał.

– Nie obiecuję ci niczego. Na miłość nie wypiszę sobie recepty. Dla zakochanych nie ma przecież lekarstwa. Znasz takie? Ale obiecuję, że zastanowię się nad wszystkim, co mi dziś powiedziałaś. Nie ukrywam, że czuję się upokorzona.

– Bądź rozsądna, proszę. Ubierz się! Zakończmy tę dzisiejszą rozmowę jak najszybciej – dodał.

– Ty ją naprawdę kochasz? Nie do wiary. A ja myślałam... miałam nadzieję... Nieważne. Nie martw się, nic jej nie powiem o naszej dzisiejszej randce.

– Nie było żadnej randki. Poza tym nie mam przed Leną tajemnic. Sam jej o wszystkim opowiem. Po prostu powiem, że mnie nachodzisz. Zrozumie. Jest rozsądna. Wiesz o tym doskonale.

Nie zdążyli nic więcej powiedzieć, gdyż rozmowę przerwał dzwonek i do przedpokoju weszła właściwa pacjentka, ta umówiona przed pół godziną telefonicznie.

– Pa, Marcin. Do następnego razu.

– Pa. Mam nadzieję, że takiego nie będzie...

Marcinowi trudno było pozbierać się po wizycie Magdy Samperskiej. Jakoś musiał. Na górze czekała na niego Lena. Jego Lena. Tylko jego, upragniona, ukochana, najdroższa mu kobieta... Chciał jej o wszystkim powiedzieć, wyznać... ale spała, więc jej nie budził.

Niech śpi. Innym razem jej opowie. Wszystko – obiecywał sobie. Tak bardzo ją kochał, była mu taka bliska. Patrzył na nią. Długo nie mógł zasnąć z nadmiaru wrażeń.

\* \* \*

Nie wiem, nie wsłuchiwałam się, czy w dalszej części wieczoru coś ciekawego działo się jeszcze w domu Marcina lub w jego gabinecie, gdyż zasnęłam kamiennym snem i obudziłam się dopiero rano. Ku własnemu zdziwieniu wstałam już około siódmej. Marcin jeszcze smacznie chrapał. Mój kochany odpoczywał. Nie chciałam mu przeszkadzać.

## Lubię robić niespodzianki

Dzisiejszy ranek był cichy, spokojny, błyszczący promieniami słońca.

Obudziłam się w doskonałym nastroju. Wierzyłam, że nikt mi dziś tego spokojnego dnia nie odbierze. I tej wersji zamierzałam się trzymać. Pragnęłam być szczęśliwa. Ale czy to wystarczy? Jak na pesymistkę naprawdę miałam wyśmienity humor.

Skoro Marcin smacznie śpi, zrobię mu niespodziankę. Przyszykuję coś pysznego na śniadanie – pomyślałam z radością.

Dziwnie kręciło mi się w głowie, ale byłam już po badaniu laparoskopowym, ustawiona na leki, więc wierzyłam, że to nic, że zaraz przejdzie. To pewnie ta anemia – myśli nie dawały mi jednak spokoju. Przecież nigdy nie wirowało mi aż tak jak teraz. Postanowiłam nie skupiać się na sobie i nie przyznawać się Marciniowi co do swoich dolegliwości. W końcu nie musi wszystkiego wiedzieć. Znów będzie mnie męczył tymi swoimi badaniami. Nie ma mowy! Na nic już się nie zgodzę! Na nic mu nie pozwolę – obiecywałam sobie, krzątając się w kuchni.

Moje rozmyślenia bardzo szybko przerwał mój ukochany, wchodząc do kuchni zdenerwowany jak jasna...

– Lena, co ty wyprawiasz? Przecież miałaś odpoczywać. Nie powinnaś wstawać z łóżka. Co się z tobą dzieje? Dlaczego ty wcale mnie nie słuchasz?

– Nie powinnam tego, nie powinnam tamtego, siamtego i owego. A czy coś w ogóle powinnam? Mogę cokolwiek? Czy mam wiecznie leżeć i czekać? W zasadzie na co? Ja chciałam... Myślałam, że się ucieszysz. Przygotowałam coś, co lubisz. Nienawidzę bezczynności. Statyczność mnie zabija – wyjąkałam cicho, wskazując ręką na talerz z jajecznicą na bekonie.

– Niestety, jak widzisz, nie ucieszyłem się. Nie pochwałam tak nieodpowiedzialnego zachowania. Lena, proszę cię, czasami trzeba przystopować. Uwierz – Marcin westchnął głęboko.

– Nie chodziło mi o to, żeby cię zdenerwować, wręcz odwrotnie, chciałam ci zrobić przyjemność. A leżeć w łóżku dłużej nie zamierzam, nie będę...

– Może chciałaś, ale sama widzisz, wyszło inaczej. Lenka, kiedy nareszcie zaczniesz rozumieć, że zdrowie, a zwłaszcza ty jesteś najważniejsza? Dla mnie dużo ważniejsza niż to naprawdę zbędne śniadanie. Nie zachowuj się tak, jakbyś w dalszym ciągu mieszkała ze swoim mężem. Na mnie nie robi wrażenia jakieś głupie jedzenie, które przyszykujesz ostatkiem sił, tylko dlatego, że chcesz mnie zadowolić. To jest niepoważne. Chcę mieć ciebie. Zdrową i szczęśliwą chcę mieć. Rozumiesz? Kochanie, wiesz, o czym mówię? Dwa razy nie będę powtarzał. Wezmę cię w końcu na kolano i... – uśmiechnął się jak zwykle; choć szarpały nim nerwy, żartował.

Zrobiło mi się przykro. Marcin właśnie przywołał wspomnienie o moim

byłym mężu. Trudne wspomnienie. A przecież wcale nie krzyczał. Ustalił prawdę, najprawdziwszą z możliwych. Nie mogłam zaprzeczyć, przecież zawsze byłam, na każdy, nawet najmniejszy rozkaz Witka. Nigdy nie chciałam się przyznać do tej chorej sytuacji, nie chciałam tego rozpamiętywać, ale prawda istniała. Teraz nie chciałam o tym pamiętać. Te wspomnienia bolały, wciąż tak bardzo bolały. Moje rany chyba nigdy się nie zbliznią. Jestem tak bardzo pokaleczona w środku, mam tak bardzo poranioną duszę...

– Ale... ja...

– Co ty? Lenka, wiesz, że nie ma żadnego ale, nie w tym wypadku.

Pocałował moje czoło, po czym usiadł na krześle. Milczałam, stróżki łez spływały mi po policzkach. Całkiem mnie zatkało. Chciałam być dzisiaj szczęśliwa, a Marcin zupełnie nieświadomie sprawił, że stało się wręcz przeciwnie.

– Przecież chyba nic mi się nie stało, że wstałam i zrobiłam ci przyjemność? Ile można leżeć? – Spytałam niepewnie.

– Nie chcę takich przyjemności! Musisz... Po prostu, najzwyczajniej w świecie nic dla mnie nie znaczą. Zrozum to.

– Przecież nie mówiłeś, że po tych twoich zabiegach, po zastrzykach powinnam dużo wypoczywać. Mało chodzić, więcej leżeć. To talna beznadzieja. Poza tym, Marcin, czy nie zauważyłeś, że nie jesteśmy w szpitalu? Miałam nadzieję, że w domu może być inaczej, bardziej po ludzku, normalniej.

Znów źle się poczułam. Zawirowało, jakbym wypila ze trzy setki naraz.

Sytuacja podbramkowa między nami trwała dość długo. Napięcie sięgało zenitu. W końcu mój lekarz ponownie zapalił papierosa, a mnie zrobiło się wszystko jedno. Po dłuższej chwili Marcin umył ręce i zaczął czegoś szukać. Znalazł tę swoją białą walizeczkę, podręczny zabiegowy kuferek. Podszedł do mnie. Przytulił mocno do swojej ciepłej klatki piersiowej i kilkakrotnie pocałował moje włosy.

– Nie gniewam się. Naprawdę, już mi przeszło. Chodź do salonu. Będzie wygodniej. Mam już dosyć tej kuchni – szepnął mi do ucha.

– Dobrze. Cieszę się, że odpuściłeś w końcu.

– Oj, Lenka, Lenka, tak bardzo cię kocham. Co ty ze mną robisz? Ja oszalałem. Wszystko dla ciebie. Jestem gotów...

– I w związku z powyższym na okrągło torturujesz mnie zastrzykami? Marcin, spójrz na mnie. To jest ta twoja gotowość? Nie zbywaj mnie milczeniem. Po co to wszystko?

– Nie torturuję, lecz pomagam. Jestem lekarzem. Leczę. Zauważasz różnicę?

– Dłużej nie wytrzymam tych cholernych strzykawek! Już na sam ich widok robi mi się niedobrze. Czuję się po zastrzykach coraz bardziej chora.

– Połóż się, kochanie. Posłuchaj mnie – zlecił stanowczo, wodząc oczami po kanapie, a mnie się zdawało, że mi rozkazał.

– Nie, Marcin, zaczekaj!

Udawał, że nie słyszy mojego protestu. Pachniał. Tak cudownie pachniał. Wiedziałam jednak, co się święci. Strzykawka była już na wierzchu, a za chwilę w rękach Marcina. Powoli, zgrabnie wsysał do niej płynne lekarstwo, po czym jeszcze wolniej wypuszczał powietrze. Wykonywał tę czynność bardzo profesjonalnie.

– Nie słuchasz mnie. Nie zgadzam się na zastrzyki. Tak bardzo się ich boję. Marcin, ja... ciągle odczuwam lęk, niepokój, dziwną obawę. Nie męcz mnie. Mam dosyć. Mam po dziurki w nosie tych twoich zabiegów. Powinnam ci już dawno o tym powiedzieć. Jeśli mnie kochasz, to... – protestowałam.

– Nie wierzę, że mówisz poważnie. Raczej pieścisz się ze sobą. Doskonale wiesz, że nie musisz się niczego bać. To wszystko dla twojego dobra.

– Mówię bardzo poważnie. Najpoważniej w świecie. Nigdy nie byłam bardziej poważna. To raczej ty robisz sobie żarty.

– Lena, rozśmieszasz mnie do łez. O co ci chodzi?

– Już o nic. Ty i tak nie zrozumiesz – odpowiedziałam z rezygnacją.

– No, najprawdopodobniej nie, masz rację, choć bardzo się staram.

– Nic, co najgorsze w życiu, nie może mnie ominąć. Więc dlaczego miałbyś odpuścić te przekłete zastrzyki? Jak zwykle to samo – mówiłam do siebie.

Łzy perliły mi się w oczach. Płynęły po policzkach, choć bardzo nie chciałam. Nic nie mogłam na to poradzić.

– Lena, proszę. Przecież aż tak bardzo nie boli. Kochanie, przecież można taki dramat wytrzymać, po co te histerie? Mam wyrzuty sumienia, że robię ci straszną krzywdę, aplikując zastrzyki, gdy tymczasem chcę zwyczajnie pomóc. Chyba wolałbym, żeby zajęła się tobą jakaś pielęgniarka. Rozważam taką ewentualność coraz częściej. Nie zrobię ci więcej krzywdy. Nie chcę, żebyś kojarzyła mnie jedynie z lękiem – tłumaczył się Marcin.

Kiedy było po wszystkim, mój lekarz oznajmił mi, że to dopiero początek zabiegów i że jestem prawdziwym wrakiem. Tak mniej więcej ujął mój stan. Żartował, a mnie wcale nie było do śmiechu.

– Wymień mnie na lepszy model. Zrób to jak najszybciej. Nie musisz się nade mną litować. Jest wokół ciebie tyle fajnych, zdrowych lasek. Możesz mieć wszystkie – podpowiadałam mu zdenerwowana.

Włączyłam telewizor.

– Nie zamierzam tego słuchać. Nie będę cię zamieniał. Nie zrobię tego – zareagował po przyjacielsku.

Zbadałam go wzrokiem.

– I przepraszam, jeśli czujesz się urażona, przepraszam – zadeklarował stanowczo i rzeczowo, a ja wiedziałam, że to dalszy ciąg jego żartów.

– Dlaczego nie możesz mnie sobie wymienić? Co znowu wymyśliłeś, panie

doktorze? Pan jest przecież taki przystojny, mógłby pan znaleźć sobie kogoś o niebo atrakcyjniejszego ode mnie. Mam na myśli kobietę idealną.

Marcin się uśmiechnął.

– Oj, Lena, Lena... Bzdury opowiadasz, ale jestem w stanie wszystko ci wybaczyć – westchnął.

– Przecież przez twój gabinet przewija się codziennie spory harem dziewczyn, i to dużo młodszych ode mnie. A ty musiałeś uprzeć się akurat na mnie? Dlaczego?

Lubił, gdy się z nim droczyłam.

– Tak, to prawda, mam do czynienia z mnóstwem kobiet, ale jak dotąd nie udało mi się spotkać cudowniejszej od ciebie. Zakończyłem więc poszukiwania. Skupię się wyłącznie na tobie. Powtórzyć ci kolejny raz, dlaczego? Mam powtórzyć?

– Właśnie, jestem ciekawa.

– Lena, czy mówiłem ci już, że cię kocham, bo sobie nie mogę przypomnieć?

– Tak i przestań żartować.

– Teraz wiem, nieraz mówiłem, prawda? Z tobą jestem w prawdziwym niebie.

Musnął ustami najpierw moje dłonie, następnie usta, dekolt, wszystko we mnie całował... Tak fajnie, cudownie, uroczo...

Powoli oboje zatracaliśmy się w swym pożądaniu, w szczęściu, w naszej miłości. Oboje wiedzieliśmy, że nie jest to miłość ani udawana, ani łatwa. Najważniejsze, że się zdarzyła, że właśnie nam dane było ją przeżywać, choć nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Byliśmy szczęśliwi, bo mieliśmy siebie. Niezbadane są wyroki boskie, oj, niezbadane...

O Jezus, zrobiło mi się strasznie głupio. Marcin przecież mówił szczerze. Nie chciał wypuścić mnie ze swych objęć. Przyssał się niczym pijawka. Bardzo to lubiłam. Był taki delikatny, męski, kochany...

– Lena, jaki masz plan? Wybierasz się gdzieś jeszcze? – Zapytał, przytrzymując mnie w swoich ramionach, takich silnych i pachnących, że... o Boże! Uśmiechał się ciągle. Był przeszczęśliwy.

– Nie. Nie, już nie. Na pewno... – pisnęłam cichutko jak myszka. Nie miałam najmniejszej szansy, żeby uwolnić się z jego objęć i od jego pocałunków.

– Skoro nie mam żadnej możliwości, żeby stąd wyjść, uciec od ciebie, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko położyć się i grzecznie chorować. Mam takiego fachowca przy sobie, że nie powinnam się niczego obawiać – zażartowałam, ale Marcin chyba nie do końca wsłuchiwał się w moje słowa albo tak mi się zdawało.

Nie wiem, jak długo spałam. Było mi dobrze. Przestałam myśleć o swoich problemach zdrowotnych. Może same się wreszcie skończą? Żyłam nadzieją.



\* \* \*

Obudziłam się w zupełnej ciszy. Był dość późny rano. Marcina nie było w pokoju. Nie miałam pewności, czy jest w domu. Nie będę go szukała. Najprawdopodobniej jest zajęty pacjentkami. Przecież bez nich nie potrafi żyć. Postanowiłam, że bez niego też sobie poradzę.

Wstałam, podniosłam roletę w oknie i pomyślałam, że dość leżenia w łóżku. Nawet jeśli Marcin planuje przetrzymywanie mnie w swoim domu, to ja nie mam zamiaru dłużej chorować. Nie jestem przyzwyczajona do wiecznego leniuchowania.

Nagle usłyszałam zgrzyt kluczy. Drzwi otworzyły się niczym sezam. Mój pan i władca właśnie skądś wrócił.

– Nie będę dłużej leżała, nawet jeśli ci się to nie podoba, nie będę! Nie i koniec! Mam już wszystkiego serdecznie dosyć! Tak postanowiłam – pokrzyczałam sobie nieco, bojąc się, że Marcin zrobi to pierwszy.

Ku mojemu zdziwieniu, Marcin w ogóle się nie odzywał, zupełnie ignorując moje zachowanie. Dopiero po jakimś czasie, kładąc świeże pieczywo na kuchennym blacie i jednocześnie wysypując z siatki górę mandarynek, oznajmił wesoło:

– To bardzo dobrze, że znacznie lepiej się czujesz i nie chcesz już leżeć w łóżku, gdyż mam dla ciebie ekstraniespodziankę – rzekł beztrąsko, włączając zmywarkę.

– Marcin, błagam, żadnych niespodzianek – stanowczo zaprotestowałam.

Spojrzał na mnie badawczo.

– Muszę wracać do pracy. Nie mogę wiecznie przebywać na zwolnieniu. Mam stos zaległości. Powinam zacząć pracować. W miarę normalnie pracować. W końcu mnie zwolnią!

Starłam się mówić bardzo rzeczowo. Miałam wrażenie, że ostatnio bardzo zaniedbałam obowiązki służbowe.

– Pani dyrektor, zupełnie nie rozumiem pani sprzeciwu. Wiem, że ciągnie wilka do lasu, ale proszę sobie odpuścić – Marcin żartował, potakując głową. – Jestem przekonany, że się uda. Uda się pani wyrwać z moją skromną osobą na trzydniowy urlop? Żyję nadzieją, że mi pani nie odmówi. Nie musi się pani niczego obawiać. Jedzie pani ze swoim osobistym lekarzem. I obiecuję, że tam, gdzie panią zabieram, nie będzie żadnych samolotów – pocałował mnie w ramię.

– Co masz na myśli? – Uśmiechnęłam się.

– Lenka, dobrze wiesz, że nie mówię o lotnisku...

– A o czym?

– Obiecuję, że na naszym wyjeździe nie będę lekarzem. Będę twoim mężczyzną. Po prostu zero chorowania, ginekologii i klinik. Zgoda?

- Marcin, kolejny raz proszę cię, zejść na ziemię.
- Ani myślę. Nie, tym razem ani po schodach, ani po linie. Będę siedział na drzewie, dopóki się nie zgodzisz. Kochanie, proszę, przemyśl moją propozycję – dalej żartował.
- Co ty sobie myślisz? Dlaczego się tak uparłeś? Marcin, mów do rzeczy! O co chodzi z tym wyjazdem? – Zaciekawiałam się.
- To niespodzianka. Zabieram cię do Zakopanego. Wyjeżdżamy w piątek po południu albo w sobotę rano. Wracamy w środę wieczorem. Zarezerwowałem górskie powietrze, domek, górali... Co ty na to? Powiedz jedynie, że się zgadzasz. Proszę – Marcin złożył ręce, jakby za chwilę zamierzał zmówić pacierz.
- Dlaczego takich niespodzianek nie konsultujesz wcześniej ze mną?
- Nie byłyby wtedy niespodziankami. To logiczne chyba?
- Nie do wiary. Naprawdę? Ty masz zawsze na wszystko odpowiedź – uśmiechnęłam się.
- Elokwentny jest ten Marcinek. Nie miałam nic do powiedzenia. Usiadłam mu na kolanach i wyszeptałam jak na romansie w kinie.
- Kocham cię, Marcin. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa. Czym sobie zasłużyłam na ten wyjazd?
- Właśnie nie zasłużyłaś i dlatego zabieram cię do Zakopanego. W celu poprawy – mój ukochany jak zwykle żartował.
- Naszym pocałunkom nie było końca. Nadrabialiśmy miłosne zaległości.

## Szare dni

Od poniedziałku do piątku non stop siedziałam w pracy. Intensywnie działałam w administracji. Popychałam do przodu niepozałatwiane sprawy. Dłużej nie mogłam być nieobecna. Nie chciałam kontynuować kolejnego zwolnienia lekarskiego. Za dużo tego dobrego. Choć nie najlepiej się czułam, musiałam nadrabiać stracony czas. Nazbierało się całkiem sporo zaległości. Robota w pracy była dosłownie nie do przerobienia. Góry pism, papierów i korespondencji. Miałam wrażenie, że wszyscy nagle uwzięli się na mnie. Wszyscy jednocześnie czegoś ode mnie oczekiwali, czegoś chcieli. Dostarczali mi jakieś dokumenty. Odbierałam tysiące maili, faksów i telefonów. Cóż, musiałam sobie radzić i nieźle się nagimnastykować, żeby wszystkich zadowolić. Takie jest życie szefa. Z boku wydaje się, że pija on ciepłą kawkę i nic nie robi. Podobne bzdury opowiadają tylko ci, którzy nie znają się na pracy w polskich przedszkolach.

Do pracy przeważnie przyjeżdżałam swoim samochodem, potem mój pojazd przechwytywał Kazimierz, a ja wracałam do domu z Marcinem. Bardzo późno wracaliśmy. Zanim docieraliśmy do domu, po drodze sami się docieraliśmy. Odwiedzaliśmy kina, teatry, galerie, kawiarnie i restauracje. Wcale mnie to nie dziwiło. Wręcz przeciwnie, do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja.

Poza tym oprócz zastrzyków, które regularnie aplikował mi Marcin, nic nadzwyczajnego nie działało się w moim życiu. No, może tylko tyle, że znów dosyć często dzwoniła do mnie moja mama. Jakby intuicyjnie wyczuwała, że dzieje się ze mną coś złego.

Jednak nic a nic jej nie powiedziałam. Uznałam, że jeszcze nie teraz. Nie chciałam jej obarczać moimi problemami. Skrzętnie starałam się ukryć przed nią moje złe samopoczucie. Sama przed sobą je ukrywałam. Nie chciałam jej martwić. Nie zdawałam sobie sprawy, że to, co się obecnie działało w moim życiu, to dopiero wierzchołek góry lodowej.

## Wyprawa w góry

W piątek po południu podjechaliśmy do mnie na Mokotów. Musiałam zabrać ubrania, jakieś drobiazgi i kilka najpotrzebniejszych dupereli. W międzyczasie przeczytałam pocztę, świeżo wyciągniętą ze skrzynki. Przeważnie same rachunki. No cóż! Jeśli żyje się i egzystuje w wielkim mieście, trzeba słono płacić. Nie ma innego rozwiązania – westchnęłam.

Podlałam kwiaty i zmyłam naczynia. Odkurzyłam dywany. Właściwie Marcin doprowadził je do porządku. Zjedliśmy rozmrożone pierogi z serem. Wypiliśmy gorącą czekoladę. Przegryzaliśmy niezdrowe chipsy. Kochaliśmy się zdrowo, już mogłam... Nie spieszyliśmy się wcale.

Po wspomnianych harcach udaliśmy się do domu Marcina. Pospiesznie zbieraliśmy do walizki najpotrzebniejsze rzeczy. Okazało się, że niełatwo spakować się w góry w polskiej strefie klimatycznej. Nam w końcu się udało i choć padał deszcz ze śniegiem, co ja mówię: lało do oparu, najprawdziwsza powódź stulecia, na przekór pogodzie i wszystkim innym meteorologicznym przeszkodom i tak postanowiliśmy rano wyruszyć przed siebie. Jak mówi stare polskie porzekadło: „Słowo się rzekło, kobyłka u płotu”.

Po drodze Marcin przypomniał sobie, że nie mamy moich zastrzyków, zapomniał ich zabrać z domu. Trzeba więc było dokupić. Nie byłam szczęśliwa z tego powodu. Wchodząc do apteki, doszczętnie popsułam sobie humor. Dlaczego właśnie teraz przypomniało mu się o zastrzykach? Po co komplikować sobie życie, które już i tak jest poplątane?

– Marcin, nie rób mi na złość. Obiecywałeś, że nie będziesz lekarzem na naszym wyjeździe.

– Kochanie, owszem, obiecywałem, że w ten weekend nie będę lekarzem, ale nie obiecywałem, że definitywnie przerwiemy leczenie. Tak nie można. Taka sytuacja mogłaby ci jedynie zaszkodzić. Nie mogę do tego dopuścić – przytulił mnie mocno do siebie.

– Czy ja w dalszym ciągu powinnam je przyjmować? Przecież te zastrzyki kompletnie mi nie pomagają. Nie chcę przeżywać ciągłego stresu. Chcę mieć spokój w górach – nie wiem, na co liczyłam.

– Obiecywałem, zgadza się, jak najmniej zajmować się chorowaniem, obiecywałem. Powinnaś jednak przyjmować zastrzyki, bez dyskusji. O tym, że je przerwiemy, nie było mowy. Tak trzeba, Lena. Wiesz, że mam rację? – Marcin nie wypuszczał mnie ze swych objęć.

– Zawsze to samo, jak zepsuta płyta w starym patefonie.

– Nie przesadzaj. Ufasz mi przecież.

– Ufam, ale nie o to chodzi.

– Więc o co?

– Nie będę... Nie mam już siły. W końcu z nas dwojga to ty skończyłeś medycynę. Ja się na tym nie znam. Marcin, czyń więc swą powinność! Ja się poddam!

Niech mnie leczy, jeśli to konieczne.

– Zrozum, kochanie, to naprawdę potrzebne.

\* \* \*

Powietrze na dworze zrobiło się lodowate. W przyrodzie czuć było zimę. Takie okoliczności nie zachęcały do wypadów w góry. Nas jednak nic nie było w stanie powstrzymać.

Zdobyliśmy nawet wiernego towarzysza w drodze do stolicy gór. Mówię o radiu. Całe szczęście, że ktoś kiedyś coś takiego wymyślił. Ta niewielka grająca puszcza niejednemu uratowała życie, pomogła przetrwać podróż, a przede wszystkim nie zasnąć za kierownicą. Często, gęsto, na przeróżne sposoby uatrakcyjniała monotonną jazdę. Wyśmienicie pełniła też funkcję tak zwanej przebudzanki.

Wśluchiwalismy się w nadawane audycje. Raz po raz w wiadomości i raz po raz w muzykę. W różne wiadomości i równie różną muzykę. Oboje w żadnej wymienionej dziedzinie nie byliśmy wybredni. Ja, owszem, miałam piosenkarkę, którą kochałam nade wszystko, ale nie puszczała jej utworów w polskim radiu. Ale o tym innym razem. Nie teraz.

Za szybą samochodu przemykały coraz nowsze krajobrazy. Piękna Polska. Co za cudo! I jaka zróżnicowana. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, co posiadamy. Tak naprawdę dopiero udział w wycieczkach uświadamia nam, jaka Polska jest ciekawa. Zwłaszcza tym wrażliwszym.

Dopóki się nie ściemniło, mogłam te cuda podziwiać, i tak nie miałam nic innego do roboty. Marcin kategorycznie zabronił mi prowadzenia samochodu.

Najbardziej uwielbiam miniaturowe wiejskie, przydrożne kapliczki. Prawdziwe perełki małej architektury. Misternie wykonane, ze wszystkimi szczegółami, które artyści chcieli uwiecznić dla potomnych. Najciekawsze jest to, że nie znamy tych twórców. A przecież każdy z nich musiał być kimś wyjątkowym, oryginalnym. Artystą z krwi i kości. Człowiekiem mającym prawdziwie wrażliwą duszę. Mało prawdopodobne, że jeszcze gdzieś żyją. Może jedynie w pamięci tubylców.

Uwielbiam gapić się przez okno w czasie, kiedy podróżuję, zwłaszcza gdy mam osobistego kierowcę. Nie czytam wtedy, nie rozwiązuję krzyżówek, nie rozmawiam prawie wcale, tylko oglądam, oglądam, podziwiam, podziwiam. Łapię każdą chwilę całą sobą. Taka właśnie wariatka ze mnie. Zawsze, to znaczy odkąd sięgam pamięcią, tak się zachowywałam, podróżując. Bez miary pochłaniały mnie nowe, nieznane widoki. Potrafiłam zachwycić się dosłownie wszystkim. Każdą

chmurką na niebie, każdym źdźbłem trawy, każdym kolorem liścia, napotkanym człowiekiem, wszystkim, co dostrzegały moje oczy. Taka jestem. Cholerna romantyczka. Po co mi to? Skarciłam się w myślach. Przez tę swoją romantyczną duszę już nieraz miałam kłopoty, i to potężne, daję słowo.

– Lenka, tu Ziemia... Słyszysz mnie? Kotek, co ty się tak rozmarzyłaś? – Marcin przerwał moje rozmyślenia, kładąc dłoń na moim kolanie. Dziwne byłoby, gdyby tego w końcu nie zrobił. Przecież to właśnie z nim byłam w samochodzie. Zrobiło mi się głupio, że tak beznadziejnie się zachowywałam, zamyślałam. Nie miałam nawet pewności, czy nie zdrzemnęłam się w międzyczasie. Podczas podróży mój Marcin nie miał ze mnie najmniejszego pożytku.

– Kochanie, musimy zrobić przerwę. Odcedzimy kartofelki. Czas odpocząć. Uważam, że to świetne miejsce na postój. Mam nadzieję, że też ci się podoba?

Kilka razy pocałował moją dłoń. Pierwszy wysiadł z samochodu, otworzył moje drzwi. Pomógł mi zarzucić kurtkę i wykaraskać się z wozu. Jak zwykle szarmancki.

– Mam ochotę na papieroska. Mogę? Marcin, proszę...

– Lena, nie powinnaś. Przecież nie denerwujesz się niczym, a ty tylko wtedy...

– Jak widać na załączonym obrazku, niekoniecznie wtedy. Wielu rzeczy nie powinniśmy robić, a robimy. Na pewno zgodzisz się ze mną?

– Ty jak zwykle swoje. Daję ci wolną rękę. Nie chcę, żebyś postrzegała mnie w kategorii wroga.

– Marcin, tylko ten jeden raz, obiecuję, że nie wezmę więcej papierosa do ust.

– Nigdy?

– Nie że nigdy. Na wyjeździe już nie zapalę.

– OK, proszę, przekonałaś mnie, choć wolałbym, żebyś wcale nie paliła tego świństwa. Wiesz, jakie mam zdanie o paleniu – poczęstował mnie fajką.

– Mimo że szkodzi zdrowiu, a ty jesteś lekarzem, lubisz sobie puścić dymka. Mam rację?

– Owszem, czasami lubię lub bardziej muszę...

– Świetna wymówka. W sam raz dla ordynatora ginekologii – zakpiłam.

– Jak widzisz, nie jestem ideałem.

– No nie jesteś. Nikt z nas nie jest kryształowy – stwierdziłam.

Moim oczom ukazał się zajazd z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Noc była rzeczywiście, a baśń? Baśń żyła w mojej wyobraźni. W towarzystwie Marcina czułam się jak księżniczka właśnie.

– Pozapinaj się. Jest bardzo nieprzyjemnie. Piżdzi... to znaczy wieje, a ty tak bardzo boisz się zastrzyków. Lenka, posłuchaj mnie, zrób to, o co proszę – Marcin zwrócił się w moim kierunku.

– Oczywiście, tatusiu – żartowałam.

Odwzajemnił mój uśmiech.

– Nareszcie słuchasz, co do ciebie mówię.

– Marcin, nie mam najmniejszej ochoty...

– Czyli niepotrzebnie się ucieszyłem?

– Nie o to chodzi. Przyznam ci się, że tak naprawdę właściwie wcale nie chce mi się wysiadać z samochodu. Zostańmy tu. Mogłabym jechać i jechać. Z tobą mogłabym jechać choćby na koniec świata i jeszcze dalej też. Byłabym nie musiała opuszczać ciepłego samochodu. Nie chciałabym również wysiadać z twojego życia, już nigdy. Chcę być zawsze jego częścią. Marcin, kocham cię. Tak bardzo cię kocham – pocałowałam go w usta.

Po tak odważnym wyznaniu mój rozmówca czuł się zaskoczony i zaszczycony. Kilka razy pocałował moje czoło. Po tym, co usłyszał, nie wypuszczał mnie ze swych ramion. Czułam, że jest w siódmym niebie. Ja też tam byłam razem z nim.

Nauczyłam się prawić Marcinowi komplementy. Nawet nie wiem, skąd u mnie takie zdolności. On też nie był mi dłużny. Ale czy tak było naprawdę, czy naprawdę pragnęłam dzielić z nim życie już zawsze? Tego dowiedziałam się znacznie później.

– Kocham cię, Lenka. Kotuś, jestem taki szczęśliwy... Bardzo mi miło, że w końcu mi ufasz, ale coś trzeba jeść. Bez jedzenia nie będziesz miała siły przejść ze mną przez to cholernie skomplikowane życie, a tym bardziej trudno ci będzie jutro hasać po górach – roześmiał się. Przytrzymał mnie w swych ramionach i pocałował kilkakrotnie moje zimne wargi.

Kotuś? Zdziwiłam się, że tak się do mnie zwrócił. Dawno mnie tak nie nazywał. Zaczynałam lubić ten zwrot.

Ze sporymi oporami weszłam do restauracji, która od progu zachęcała zapachami polskiej kuchni. Mdlilo mnie i było mi niedobrze. Staralam się nie przyznawać do swojego nie najlepszego samopoczucia. Udawałam, że wszystko jest w porządku.

Zjedliśmy przepyszną obiadową kolację. To znaczy ja najzwyczajniej w świecie zmusiłam się do niej. Nie udało mi się w żaden sposób wykręcić przed jedzeniem. Marcin pilnował mnie jak dzieciaka. Myślałam, że zwariuję i wszystko zwymiotuję.

Zajazd był rzeczywiście super, obsługa boska. Piliśmy wyborną kawę. Raczylismy się ciasteczkami. Paliliśmy cienkie papieroski, chociaż ja obiecywałam, że nie będę. Wypiłam nawet lampkę czerwonego wina, Marcin zwolnił mnie całkowicie z prowadzenia samochodu. Postanowił w dalszym ciągu być driverem naszej wycieczki, aż po same góry. Szkoda!

Podczas kolacji rozmawialiśmy o wielu sprawach, sprytnie omijając temat

mojej choroby. Trochę się zasiedzieliśmy. Nie chciało nam się ruszać z ciepłutkiego miejsca. Na zewnątrz znów trzeba było spotkać się z zimnym powietrzem, w miarę szybko wsiąść do samochodu i ruszyć w dalszą trasę. Byłam bardzo szczęśliwa. Marcin niczego mi nie zabraniał, o dziwo – doprawdy niczego. Po prostu mnie kochał...

\* \* \*

Nareszcie dotarliśmy na miejsce, do nieziemskiej chatki. Przywitała nas swoją góralszczyzną w całej swej okazałości. Prawdziwie nastrojowo. Budynek zewsząd oświetlały fikuśne lampy, dające przyjazne światło. Dzięki temu oświetleniu nasze oczy mogły cieszyć się niezwykłym widokiem. Domek wyglądał tak, jakby ktoś wybudował go na środku jeziora, i w dodatku zrobił to specjalnie na nasz przyjazd. Dosłownie przed chwilą. Sprawiał wrażenie, że zaraz po naszym odjeździe zatonie. Zewsząd otaczały go gigantyczne kałuże i tony błota. Tak lało, że zaczynałam się zastanawiać, czy to aby na pewno dobry pomysł, żeby tu przyjeżdżać. Szybko przypomniałam sobie, że jestem z Marcinem i tylko to się liczyło.

Mimo wszystko niepewnie wysiadłam z samochodu. Zanim Marcin otworzył bagażnik i zaczął wypakowywać walizki, nasze oczy spotkały się na chwilę. Bez słów było nam najlepiej. Dawno nie czułam się tak dobrze. Boże, jak ja go kocham!

– Okropnie zdrętwiały mi nogi. Ledwo się poruszam. Właściwie wcale nie mogę...

- Brak magnezu, droga pani – popisywał się pan doktor.
- Pomimo wielu braków i niedoskonałości czuję się cudownie.
- Bardzo mnie to cieszy.
- Mówiłeś, że ci się podobam taka, jaka jestem.
- Tak mówiłem?

Oboje żartowaliśmy. Szmat drogi za nami, a mnie było tak przyjemnie pod opieką i w ramionach mojego ginekologa. Jego pocałunki rozgrzewały mnie do czerwoności, nie chciałam, żeby przestawał. Pragnęłam więcej i więcej. Nie miałam zamiaru ruszać się z tego zaczarowanego miejsca.

– Chodź szybko do środka, bo zamarzniesz! Jesteś teraz taka podatna na przeziębienia – zatroskał się mój pan i władca.

– Oczywiście, panie doktorze, pana prośba jest dla mnie rozkazem.

Posłusznie wykonałam polecenie. Zresztą gotowa byłam spełniać wszystkie życzenia Marcina. Zrobiłabym dla niego wszystko. Kochałam go najbardziej na świecie, jeśli nie liczyć oczywiście mojej matczynej miłości do własnej córki.

Wewnątrz było całkiem w porządku. Przytulnie. Dom wyposażony był w ciepły kominek i góralskie meble, które poustawiano, gdzie się tylko dało. Na



środku dużego salonu stało olbrzymie drewniane łóże z rzeźbionymi bokami i z przepiękną krochmaloną pościelą w kolorze błękitu. Obok pokoju była dość przestronna niebieska kuchnia, z wyjściem na taras. Po drugiej stronie widać było drzwi łazienki. Wspaniale! Czego chcieć więcej?

Była już noc, gdy jedliśmy kolację u górali. Naszym południowym sąsiadom zupełnie nie przeszkadzała późna godzina na spożywanie posiłku. Marcin doskonale ich znał. Był przyzwyczajony do ich zwyczajów. Często wiali nas grzanym winem. Ja nie mogłam pić z racji zastrzyków, a Marcin, owszem, mógł, lecz z jakiejś przyczyny odmówił. Może po prostu nie miał ochoty na alkohol. Był zmęczony. Czułam, że był.

– A to żeś se nareszcie babę naraił, Marcinku. I to jaką swarną! A my tu myśleli, że ty już na zawsze som ostaniesz się, jako ta sirota Marysieńka albo lepiej jeszcze: jak przy płocie koleceek – zażartował gospodarz, góral z krwi i kości.

Marcin spoglądał tajemniczo.

– Pan Bóg w końcu i nade mną się zlitował. Nic, nic, nic, długo nic, aż tu nagle sownie mnie wynagrodził tą oto niewiastą – wskazał wzrokiem na mnie, po czym uśmiechnął się szczerze, w ten sposób podtrzymując dobry nastrój rozmowy. Zwyczajnie po cepersku żartował.

Następnie, zupełnie nie zwracając uwagi na to, czy wypada, czy nie, przytulił mnie mocno do siebie i pocałował kilka razy bardzo namiętnie w same usta, nie mówiąc o dłoniach, dekolcie i policzkach, które całował bez opamiętania. Wykonywał te czynności powoli, na oczach wszystkich górali, którzy siedzieli przy wspólnym stole. Byli chyba nieco zaskoczeni, choć, jak mówią, nie tak łatwo górala zaskoczyć.

– Gorzko, gorzko... – biesiadnicy jak na komendę zaczęli skandowanie.

– Kocham cię – szepnął mi do ucha. Taki właśnie był mój Marcinek.

Przyrzekłam sobie, że nie odpuszczę mu tej sceny i zemszczę się przy najbliższej nadarzającej się okazji. Ale tak naprawdę wcale tak nie myślałam. Byłam bardzo szczęśliwa, że w taki właśnie sposób mój kochany mnie adoruje.

– No to napijmy się za wasze zdrowie, młodzi. Chluśniem, bo uśniem... – kontynuował góral, który właściwie był niewiele starszy od nas.

Zauważyłam, bo nie dało się nie zauważyć, że Marcin nieźle orientował się w Zakopanem. Znał tu bardzo dobrze nie tylko tereny, ale i ludzi na nich żyjących. Znał ich zwyczaje i zachowania. I wiedział, co wypada przy nich robić, a czego nie. W przeciwieństwie do mnie. Ja w góry w ogóle nie jeździłam. Ostatnio byłam w Poroninie na obozie harcerskim jeszcze w liceum. Spotykałam się wtedy z pewnym Krzyśkiem. Był we mnie zakochany. Cały czas mi to powtarzał. Ciągłe mówił, że się ze mną ożeni. Owszem, fajny chłopak, ale mnie wtedy nie w głowie były żeniaczki. Nie kochałam go. Po prostu polubiłam, to wszystko. Nie wiązałam z nim planów na przyszłość. Z nikim wtedy nie wiązałam żadnych planów.

Zwyczajnie ich nie miałam. Marcin w przeciwieństwie do mnie był częstym bywalcem górskich szlaków. Jeździł w Tatry od dziecka. A nawet po górach się wspinał, czyli styrmał, jak mówią górale.

\* \* \*

W końcu zostaliśmy sami. Mogliśmy spokojnie wykąpać się po podróży i położyć do łóżka. Prawie zasypiałam, zmęczona dniem i skonana kolejnym zastrzykiem, kiedy Marcina znów zebrało na kłopotliwą dla mnie rozmowę.

– Lenka, powinniśmy porozmawiać – poprosił.

– Teraz?

– Tak, teraz.

– O czym?

– Lena, nie o czym, tylko o kim.

– Więc o kim powinniśmy?

– O tobie, kochanie.

– Znowu o mnie? Nie możemy chociaż raz o tobie? Wołałabym...

– Jeszcze będzie niejedna okazja, żeby o mnie. Może później. Obiecuję.

Teraz chcę konkretnych informacji od ciebie.

– Co takiego natychmiast musisz wiedzieć?

– Chciałbym sporo, spytam wprost.

– Więc od czego zaczniesz to swoje wprost?

– Muszę wiedzieć, czy zawsze odczuwałaś ból. Jak dawno zauważyłaś podobne dolegliwości? Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak myślałam i nie pomyliłam się. Wiedziałam, że zaczniesz. Czulałam... – westchnęłam.

– Powiniennem...

– Co powinieneś? Znowu przesłuchanie? Marcin, jestem na Pawiaku?

Nie miałam pojęcia, że wisi nade mną gradowa chmura i zanoszą się na burzę z piorunami.

– Lena, nie nazywałbym zwykłej przyjacielskiej rozmowy aż tak drastycznie.

– A jak mam to rozumieć? Przesłuchujesz mnie coraz częściej. Nie zauważyłaś, że tak jest? Więc jak mam określić taką rozmowę? Nie znajduję słów. Marcin, proszę cię. Nie zachowuj się jak policjant. Przyjechaliśmy, żeby odpocząć, a nie naprzykrzać się sobie. Zostaw na chwilę w spokoju tę cholerną medycynę i mnie też zostaw. Możesz? Obiecywałaś przecież.

– Wiem, że obiecywałam, ale się martwię. Ciągłe się o ciebie martwię. Myślę i się martwię. Nie dajesz mi spokoju. Dnie i noce mi zajmujesz. Nawet o tym nie wiesz.

– Marcin, przecież wiesz, że wiem, ale nie o to chodzi.

Stałam naprzeciwko niego. Popatrzyłam uważnie.

– Kochanie...  
– Nic nie mów, proszę – zabroniłam, kierując wzrok na podłogę.  
– Lena, popatrz na mnie! Jeśli mi zaufasz, porozmawiamy, nic złego ci się nie stanie.

Złapał mnie za obydwie dłonie. Był taki ciepły.  
– Nie będę się zwierzała z tego, co było dawniej, kiedyś.  
– Obiecuję, że nic złego się nie stanie – powtórzył raz jeszcze.  
– Nie jestem tego pewna.  
– Chcę tylko odrobiny dobrej woli z twojej strony. Czy o tak wiele proszę? Czy nie zasługuję na to, żebyś powiedziała mi prawdę?

– Jaką prawdę?  
– Prawdziwą.  
Co on taki detektyw? Kurczę, zamiast nie myśleć teraz o niczym, odpoczywać, na przeszpiegi go zebrało.

– Marcin, przecież ty znasz prawdę. Jesteś lekarzem.  
– Nie pytałbym. Przeceniasz mnie.  
– Bardzo doceniam to, co dla mnie zrobiłeś i w dalszym ciągu robisz, ale w końcu pozwól mi żyć. W miarę normalnie egzystować. Na miłość boską, przestań się wiecznie mną zajmować! Bolało mnie zawsze, przeważnie podczas zbliżeń. Ale przed tobą wiele lat z nikim nie byłam, nie współżyłam, więc niczego nie odczuwałam. Zdążyłeś się już przecież dowiedzieć. Sam mi kiedyś zwróciłeś na to uwagę. Zadowolony z odpowiedzi? Wyczerpałam temat dla ciebie? Może jeszcze coś musisz wiedzieć? To wszystko jest dla mnie takie trudne, spróbuj sobie wyobrazić...

Zapewne chodzi mu o to, by mnie zdemaskować, ośmieszyć. Chce wiedzieć, w jakim okresie współżyłam z kimś innym. Ile tego było?

– Kochanie, nie chcę robić ci przykrości. Interesuje mnie twoje życie intymne przedtem, zanim się poznaliśmy, tylko pod względem odczuć, doznań... Czy też tak bolało? Nie mam prawa wypytywać cię o przeszłość z twoim mężem i nie będę tego robił. Pamiętam, obiecywałem nie zajmować się medycyną na naszym wyjeździe, ale na twoje nieszczęście przyjechałaś tu z lekarzem, który martwi się o ciebie, dlatego pytam. Nie ma w tym żadnego podtekstu – odezwał się, gdyż ja milczałam zajęta własnymi myślami.

– Nie przesadzasz? Marcin, zawsze odczuwałam dyskomfort – byłam zrezygnowana, wiedziałam, że mi nie odpuści.

Podszedł do mnie.

– Zawsze i nigdy nie miałam satysfakcji ze współżycia. Mówię o czasie po cesarce. Od tego porodu coś się stało. Nie wiem co – kontynuowałam.

Chce wiedzieć, to będzie wiedział. Nie mam zamiaru niczego dłużej ukrywać. Zresztą przed nim nic nie da się ukryć, przecież nieraz się o tym

przekonałam, więc po co miałam kłamać.

– Dlaczego w kółko mnie męczysz?

Niestety odpowiedzi się nie doczekałam. Zupełna cisza.

– Bo bierzesz zastrzyki i nic. Lena, czy będę mógł obejrzyć cię w końcu? Wiesz, o czym mówię.

– Marcin, nie zaczynaj od nowa. Proszę cię. Czy my musimy na okrągło prowadzić tę nudną, niczego niewnoszącą dyskusję? – Wyszeptałam, ręce całkowicie mi opadły. – Nie psujmy sobie nastroju. Jest tak miło. Tak przyjemnie. Tak... Proszę. Odłóżmy sprawy choroby. Marcin, możesz to dla mnie zrobić? Czy jest to awykonalne? Musimy właśnie teraz poruszać ten temat? Marcin, proszę, po raz ostatni... Nie zachowuj się ciągle jak lekarz pierwszego kontaktu. Coraz częściej zastanawiam się, czy ja właściwie jestem twoją kobietą, czy tylko pacjentką z oddziału ginekologii. Na miłość boską, czy ciągle muszę się czuć jak w szpitalu? Zrób to, bądź dzisiaj moim facetem, kochankiem i kimś, z kim mogę poczuć się najszcześniejszą babką na świecie. Tego właśnie oczekuję – złożyłam ręce jak do modlitwy. Mówiłam długo, cicho i spokojnie.

Chyba go uprosiłam, gdyż szybko zakończył niezręczną rozmowę. Uśmiechnął się, pokiwał głową. Był bezradny. Sięgnął po nasze komórki, aby je naładować na jutrzejszą wyprawę. Ciągle jeszcze jednak nie usiadł przy mnie. Bardzo tej bliskości potrzebowałam, a on się nie domyślał.

– Dobrze, przekonałaś mnie.

Nie położył się jeszcze do łóżka. Chodził i chodził, sprawiając wrażenie, jakby coś zgubił, czego szukał.

– Może napijemy się po lampce wina? – zaproponował, schylając się do barku.

– No ale ja chyba nie powinnam pić? Jest noc, biorę zastrzyki. Nie mogę, jestem niezdrowa. Chyba się zgodzisz, że nie mogę? Mogę czy nie mogę, bo już się pogubiłam? – Krygowałam się jak grzeczna dziewczynka.

– Lenka, wino w niewielkiej ilości na pewno ci nie zaszkodzi. Jedyne rozszerzy naczynia krwionośne, a narzekałaś przed chwilą, że ci zimno. Przecież sama prosiłaś, żebym dał ci trochę więcej swobody. Podobno nie chcesz czuć się jak moja pacjentka. Prawda? Przecież to twoje słowa.

Uśmiechnął się niewinnie i bardzo mnie tym uśmiechem przekonał do tego picia. Uwierzyłam, że mogę sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa.

– Możesz mi zaufać – powiedział przeciągle i głośno, jednocześnie idąc do kuchni po lampki do wina.

Marcin wypił o wiele więcej niż ja. Potem... To, co było potem, to była ta moja upragniona bliskość z mężczyzną, którego tak bardzo kochałam. Boże, jak mi było dobrze. Nigdy w życiu tak dobrze się nie czułam, a trochę tego życia miałam za sobą. Odnosiłam wrażenie, że góry mnie ozdrowiły, a na pewno dodały mi

nowych sił witalnych. Ale wciąż bolało.

Marcin bardzo chwalił chwilę, która pozwoliła mu mnie poznać. Tak mu w głowie zaszumiało, że skłonny był zaraz po naszym powrocie do Warszawy wyciągnąć schody, na których o mało się nie zabiłam, a dzięki którym mnie poznał. Na szczęście nie było ich w pobliżu, więc zaczął całować mnie. Wariat! Wariat! Wariat! Na sto procent wariat!

A ja przecież zaprezentowałam się jak prawdziwa jędrza na tych schodach. Było mi głupio, ale nic nie mogłam na to poradzić. Nie da się odkręcić biegu historii.

\* \* \*

– Kochanie, co zrobimy z tak miło rozpoczętym dniem? – Marcin spytał entuzjastycznie.

– Nie mam bladego pojęcia. Nie wiem. Najlepiej odespałabym dzisiejszą noc – odpowiedziałam poważnie, chociaż wcale nie byłam poważna.

– Lena, nie wierzę, że ty możesz nie mieć pomysłu. Jest piękna pogoda. Możesz wziąć aparat. Zrobisz zdjęcia. Przecież lubisz fotografować. Będziesz w żywiole. Idziemy na długi spacer.

– Już mniej. Ostatnio nie jestem kreatywna, niewiele rzeczy wychodzi mi dobrze.

– Uważam, że nie masz racji. Więcej wiary w siebie. Lena, więcej odwagi. Usłyszeliśmy telefon. Dźwięk dobiegał z kuchni.

– Zaczekaj, odbiorę – Marcin oddalił się w kierunku sygnału.

– To z kliniki – zakomunikował po powrocie.

– Czemu mnie to nie dziwi? Kto tym razem zawraca ci głowę? Artur, Magda czy...?

– Nieważne. Nie muszę się zajmować kliniką. Jestem teraz z tobą.

– Marcin, może to coś naprawdę poważnego?

– Ważne, nieważne, będzie musiało poczekać.

– Skoro się upierasz, dobrze.

– Lenka, gdzie położyłaś aparat?

– Zostańmy dziś w domku. Nie mam siły na robienie zdjęć i na dalekie wyprawy – powiedziałam, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

– Nie przyjechaliśmy tu leniuchować. Zabierz sprzęt i idziemy na szlak.

– Jeśli mówię nie, to właśnie dokładnie znaczy nie.

Po krótkiej lekcji przekomarzania się w końcu się dogadaliśmy i zaraz po śniadaniu i codziennych porannych czynnościach wystartowaliśmy przed siebie.

Ciągle bolały mnie od zastrzyków moje cztery litery. Ten dyskomfort powodował, że nie potrafiłam zapomnieć o chorobie. Nie potrafiłam odpoczywać jak człowiek. Gospodyni, od której wynajmowaliśmy dom, obiecała, że wieczorem

coś na te moje dolegliwości zaradzi.

Pogoda się poprawiła i swobodnie mogliśmy zdobywać nowe tereny. Przecież nie jestem obłożnie chora. Mogę chodzić na spacer. Nawet humor mi się poprawił. Zmieniłam zdanie i nabrałam ochoty. Bez większego celu zapragnęłam łązić po „górach i dolinach”...

Od czasu do czasu powracały myśli. Nie dawał mi spokoju telefon do Marcina. Może to od niej, od Magdy, z kliniki? Staralam się odpierać uporczywe myśli. W jakiś sposób zapomnieć. Było trudno...

\* \* \*

Wokół panował magiczny nastrój. Przezroczyste powietrze kłuło w oczy. Przed nami roztaczały się coraz ciekawsze widoki. Faktycznie wymarzony dzień na robienie zdjęć. Miałam zamiar zatrzymać te chwile wyłącznie dla nas.

– Marcin, tu musi być jeszcze piękniej latem, nie sądzisz?  
– Myślę, że masz rację – zgodził się.  
– Pięknie i pachnąco – rozmarzyłam się.  
– Zwłaszcza pachnąco – zażartował mój kompan niepotrafiący poczuć zapachów.

– Wyobraź sobie pola pełne kwiatów, ziół. Dywany z żółtych kaczeńców, słoneczników i czerwonych maków. Wszystko zasypane owadami, pokryte pajęczą siecią. Gdzieś tam przezroczyste potoczki i co tylko kto chce. A wczesną jesienią pewnie najpiękniejsza jest w tym miejscu pierzyna z babiego lata – gestykulowałam, puszczając wodze fantazji. Trwałam w swym zachwycie i od razu zrobiło mi się ciepło.

Dość często zatrzymywałam się, podziwiając smutną o tej porze roku przyrodę, która mimo wszystko zaskakiwała. Pomieszana ze śniegiem mieniła się w oczach srebrnymi blaskami. Raczyła swym pięknem. Marcin prawdopodobnie chciał iść szybciej, ale jakoś te moje przystanki dzielnie znosił.

– Z kwiatów można by było zrobić wianki i bukiety na stoły. Ozdobić nimi stare chaty i przydrożne gościńce – na głos marzyłam.

Marcin patrzył na mnie. Na jego twarzy wymalowane było zdziwienie.

– Lenka, nie wiedziałem...  
– O czym?  
– Że z ciebie aż tak romantyczna dusza. Przecież ty potrafisz widzieć lato, chociaż wokół walają się zwały śniegu. Przytul się do mnie, będzie ci ciepło.

Pocałował mnie. Czułam, że mnie nie rozumie. Byliśmy jak zderzenie pioruna, jak ogień i woda, jak blaski i cienie. Dwie dusze zupełnie niepokrewne, umysł ścisły i artystka. Tak dalekie i tak bliskie zarazem.

– Marcin, tak tu pięknie...

– Naprawdę?

Długo, długo trwały nasze amory. Zachowywaliśmy się jak para szczeniaków chcących wymienić pocałunki na zapas. Zatrzymać je, by nikt nam ich nie ukradł. Nie przejmowaliśmy się, nikt nas przecież nie widział. Czas zatrzymał się tylko dla nas. Spacerowaliśmy po dywanie ze srebrnych gwiazd.

– Lenka, może opowiesz mi coś o sobie. Lubię cię słuchać – zaproponował.

Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc, dlaczego tak ni stąd, ni zowąd teraz.

– Co byś chciał?

– Tylko to, co chcesz, żebym wiedział – nie nalegał zbyt mocno. Znał granice.

– A jeśli ci powiem, że nie mam ochoty na zwierzenia, zrozumiesz?

– Jak najbardziej...

– Marcin, ja chyba nie powinnam... Boję się wracać do przeszłości. Już dawno zamiotłam ją pod dywan. Nie chcę. Dziś nie! W tej chwili nie jestem gotowa.

– Rozumiem. Nic na siłę. Robi się zimno. Czuję, że zmarłaś. Wracajmy. Zaraz się ściemni i pogonią nas niedźwiedzie.

Nie zamęczał mnie pytaniami. Nie naciskał. Złapał za rękę. Ściągnął z niej rękawiczkę. Pocałował kilka razy moje zimne palce, jakby chciał się upewnić, czy na pewno jeszcze żyję. I pociągnął za sobą, gdyż tak naprawdę nie miałam ochoty iść dalej. Wolałam pozostać na łonie natury już na wieki. Ta wędrówka pozbawiła mnie sił do życia.

– Polska jest urocza i piękna. Nigdy nie chciałabym na stałe z niej wyjeżdżać.

Co chwilę wpadałam w zachwyt. Odzywał się we mnie patriotyzm. Wokół słyhać było jedynie ciszę i nasze dwa równo brzmiące oddechy. Śnieg skrzypiał pod nogami. Na białym puchu zostawialiśmy nasze ślady, a one w coraz szybszym tempie znikwały gdzieś z tyłu.

To dziwne: w górach leżał śnieg, a nisko w dolinach solidnie lało. Widoczność stawała się coraz słabsza. Rzeczywistość przesłoniła gęsta mgła.

– Marcin, zatrzymajmy się na chwilę – poprosiłam.

– Nie powinniśmy.

– Na chwilę.

– Coś się stało? Jesteś zmęczona? – Zapytał troskliwie, odgarniając z mojej twarzy kosmyk włosów przesłaniający mi oczy.

– Nie. Wszystko w porządku. Nie martw się.

Posłuchał mojej prośby i przystanął. Odwróciłam się do niego przodem i powoli odpinałam zamek jego kurtki. Wsunęłam pod nią rękę, obejmując go mocno w pasie. Zupełnie nie zwracałam uwagi, że jest zimno. Mój kompan osłupiał. Był zdziwiony moim zachowaniem. Stał nieruchomo. Milczał. Zaskoczyłam go swoim gestem. Przytuliłam się do niego, czułam bicie serca mojego mężczyzny.

Podobała mu się ta scena i wszystko, co się z nią wiązało. Nasze pocałunki trwały szalenie długo...

Czułam się cudowne. Przeżywałam magiczny dzień i nie po raz pierwszy czułam się przy Marcinie bardzo szczęśliwa.

– Tak bardzo cię kocham – wyszeptałam zupełnie szczerze, chowając się w jego ramionach. Płatki śniegu leciutko posypywały nasze twarze.

– Wiem, Lenka, ja też... też... Przecież czujesz.

Całował moje mokre włosy i zimne policzki. Z nieba bez ustanku bezszelestnie opadały białe płatki. Wyglądaliśmy jak dwa przed chwilą ulepione bałwanki. Dla górskich olbrzymów znaczyliśmy tyle co kropka nad i. Dla siebie znacznie więcej...

Człowiek w górach jest zupełnie bezbronny. Ja też się tak czułam, pomimo że miałam przy sobie ukochaną osobę.

– Pospieszmy się, kochanie, zanim zamienimy się w dwa sople.

– Dobrze – zgodziłam się.

Szybszym krokiem ruszyliśmy w dolinę.

\* \* \*

Wreszcie dotarliśmy do upragnionej karczmy. Byłam bardzo zmęczona.

– Jak dobrze – poczułam ulgę.

– Cieszę się, że jesteśmy na miejscu. Obawiałem się, że nie dojdiesz tu o własnych siłach – Marcin spoglądał na mnie badawczo.

– Udało się, kochanie, doszłam. Helikopter nie był mi potrzebny. Widzisz? Nic mi nie jest – zakręciłam się w kółko, aby dodać wiarygodności własnej wypowiedzi.

– Jak dzieciak, a ja myślałem, że trzeba będzie ściągnąć GOPR – pokiwał głową Marcin.

Wewnątrz gospody pachniało ludźmi i góralską kuchnią. Było kolorowo i przestronnie. Wszędzie naturalne drzewo, a pośrodku olbrzymi kominek. Na ścianach ogrom stylowych obrazów i malowideł. Pod nami prawdziwie góralska podłoga, skrzypiąca pod kierpcami krzątających się kelnerów. Skrzypiała, poskrzypywała, wystukując rytmy na różne sposoby. Łączyła się z delikatną melodią skrzypiec, tworząc najprawdziwszą muzykę. Góralski klimat. Można było wreszcie odpocząć.



W zasadzie tylko ja potrzebowałam chwili wytchnienia. Marcin wcale nie był zmęczony. Był zafascynowany górami, mną pewnie jeszcze bardziej. Sprawiał wrażenie bardzo szczęśliwego faceta.

– Marcin, te spacerki są fajne, ale czy ja powinnam się tak bardzo forsować? Czy dla mnie te wycieczki to nie za wielki wysiłek? Nie za dużo wrażeń i nie za wiele wszystkiego?

– Kochanie, świeże powietrze nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Dotleniasz się. Zaufaj swojemu osobistemu lekarzowi.

Szybko zmienił temat, czytając na głos tablicę ostrzegającą o niedźwiedziach. Nie był oryginalny, ale udało mu się mnie rozśmieszyć.

\* \* \*

Jedliśmy coś na szybko. Podobno to, co nam serwowano, było pyszne, ale ja nie czułam smaku. Zresztą tylko podziobałam w talerzu, zostawiając na nim większość jedzenia. Robiło mi się coraz duszniej.

– Dlaczego nie jesz? Nie smakuje ci to, co zamówiliśmy? Jeśli chcesz, mogę poprosić o coś innego.

Nie zareagowałam.

– Marcin, czy możemy wracać? Jestem zmęczona. Boli mnie głowa.

Oparłam się łokciami o stół. Obydwie dłonie położyłam na spoconym czole.

– Czy moglibyśmy? Chciałabym... jak najszybciej bym chciała... Muszę odpocząć.

Marcin słuchał mnie z uwagą, nie przerywał.

– Jest mi cholernie niedobrze. Mam okropne dreszcze. Raz jest mi zimno, za chwilę gorąco, sama nie wiem. Jestem chyba przeziębiona. Źle się czuję. Coraz gorzej – przyznałam zrezygnowana.

– Chcesz wracać, wracajmy. Lena, nie mam zamiaru się sprzeciwiać. Nie będę cię przetrzymywał. Jeśli źle się czujesz, chodźmy. W domku odpoczniesz. Nabierzesz sił. Zaraz będzie dobrze. Zgoda? – Marcina nie opuszczał entuzjizm.

Kiedy wstawałam od stołu, lekko zawirowało mi w głowie. To chyba nie od wczorajszego grzańca? Zresztą nie wypiałam go zbyt dużo. To niemożliwe, żeby trunek wypity wczoraj w śladowych ilościach trzymał mnie aż do tej pory. A więc, do diabła, dlaczego tak mi się kręci w głowie? Zaczęłam się martwić.

Nie miałam zamiaru do niczego się Marcinowi przyznawać. Nie chciałam psuć nastroju. Mój pan i władca był taki szczęśliwy. Jednocześnie zdobywał

przecież mnie i góry. Postanowiłam ukryć przed nim paskudną dolegliwość, która mnie dopadła. Przypomniałam sobie słowa często powtarzane przez moją babcię: „Samo weszło, samo wyjść musi”. I tej wersji postanowiłam się kurczowo trzymać.

Okazało się, że Marcin był innego zdania. Przecież to nie tylko dobry ginekolog, lecz jeszcze lepszy obserwator, a już na pewno świetny psycholog.

– Lena, widzę, że coś się dzieje. Chcę wiedzieć co? Więc? Dowiem się? Dlaczego tracisz równowagę? Powiesz mi? Ledwie trzymasz się na nogach. Może usiądź z powrotem – ręką zaproponował mi krzesło.

Nie posłuchałam. Nie usiadłam.

– To nic. Zaraz wszystko przejdzie. To chwilowe.

– Nie jestem tego pewien. Źle się czujesz? Jesteś zmęczona? Coś się stało?

Był niespokojny. Pytał z troską. Wstał od stołu i podszedł do mnie. Zadawał pytanie za pytaniem, wcale nie oczekując odpowiedzi. Delikatnie dotknął mojej zimnej dłoni, po czym przytrzymał mnie, abym nie upadła tuż przed nim. Stałam przy nim i czułam się jak kostka lodu. Byłam zimna, krucha i pod wpływem gorączki topniałam.

– Naprawdę dziękuję za troskę. Marcin, nie przejmuj się, nic złego się nie dzieje. Wracajmy do domu. Nic mi nie jest. Zaraz minie. Nie musisz się martwić. Jestem przemęczona, to wszystko – przekonywałam go coraz ciszej.

Dłużej już nie miałam siły przekrzykiwać głośnej góralskiej muzyki, naszpikowanej dźwiękami skrzypiec. Czułam się bardzo niekomfortowo. Złapałam Marcina za ramię. Bałam się, że rzeczywiście się przewrócę.

Mój lekarz ponownie delikatnie dotknął mojej dłoni. Patrzył na mnie z niepokojem.

– Lenka, skarbie, ty się cała trzęsiesz. Nie musisz mnie oszukiwać. Proszę cię, powiedz coś! Chcę ci pomóc. Co się dzieje? Co mam robić? – Kolejny raz pytał i pytał... Przyglądał mi się badawczo, lekko szarpiąc za ramiona. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Nie męcz mnie. Wyjdźmy na powietrze, tu jest tak duszno i te skrzypce... Za chwilę rozsądzą mi głowę. Jedźmy! Proszę cię, Marcin, jedźmy.

Teraz jeszcze mocniej trzymałam go za ramię. I coraz bardziej obawiałam się omdlenia. Bałam się. Czuł mój niepokój.

– Na dworze będzie lepiej, zaraz będzie lepiej. Jestem pewna. Potrzebuję świeżego powietrza. Orzeźwi mnie. Zaraz powinno być dobrze...

Przytrzymał mnie pod rękę. Kiwał głową z niedowierzaniem. Robił sobie wyrzuty, że niczego wcześniej nie zauważył.

– Muszę wyjść na dwór, bo zwymiotuję. Marcin, wyjdźmy... Pomóż mi – rzucałam jakieś nieskładne, poszarpane, coraz mniej logiczne zdania.

– Co się z tobą dzieje? Jesteś strasznie blada. Muszę wiedzieć, w przeciwnym razie nie odjedziemy stąd, Lena – stanowczo zakomunikował mój

ginekolog, wciąż trzymając mnie prawie w pół z obawy, bym mu nie upadła.

– Zostaw, Marcin! Zostaw mnie! Proszę cię, daj mi spokój – teraz chyba podniosłam głos, nie wiem. Broniłam się, jak mogłam. Wychodziło mi to bardzo niezdarnie.

– Lena, to ty się uspokój! Popatrz na mnie!

– Na litość boską, daj spokój, nie trzeba – poprosiłam łagodnie.

Nastąpiła cisza. Męcząca, cholernie męcząca cisza, którą przerwałam pierwsza.

– Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Kręci mi się w głowie. Coś się dzieje z moją równowagą. Wcześniej robiło mi się tak tylko czasami. Ostatnio coś takiego odczuwam coraz częściej. Nie znam przyczyny. Nie mam pojęcia dlaczego. Zadowolony?

Usiadłam na krześle w holu. Byłam rozbita i zrozpaczona. Nie mogłam dłużej ukrywać złego samopoczucia. Niech wie, że po tych jego zastrzykach wcale nie jest dobrze, lecz raczej słabo.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Czy coś jeszcze przede mną ukrywasz?

– Nie, już nic. Przysięgam. Mam dosyć! Chyba chcę wracać do mojego mieszkania w Warszawie.

– Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, musimy wszystko sprawdzić. Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś? Pierwszy raz słyszę, że masz zawroty głowy. Lena, czy ty zawsze musisz stawiać na swoim? Zobacz, do czego prowadzi twój upór. Nie mogłaś powiedzieć mi w Warszawie, że kręci ci się w głowie, że źle się czujesz? Powinnaś wiedzieć, że jeśli chodzi o zdrowie, nie ma drogi na skróty – Marcin zaczął mnie pouczać.

– Przepraszam, że nie przyznałam się wcześniej. Nie wiedziałam, że to się tak rozwinie. Myślałam, że nie powinnam ciągle... że nie powinnam ci truć, że to nie w porządku zatruwać ci życie moim złym samopoczuciem i moimi problemami – wzruszyłam ramionami.

– Powinnaś, dawno powinnaś mi powiedzieć. Ja myślę, że powinnaś mi truć. Wiesz, że w ogóle by mi to nie przeszkadzało, a teraz nawet pomogło. Czasami czy ciągle ci się kręci? Muszę wiedzieć! No to jak to z tą twoją głową bywa? Co? Dowiem się w końcu czy nie? – Znowu zaczęły się pytania, których naprawdę nie znosiłam.

Marcin był bardzo opiekuńczy. Nie denerwował się. Nie krzyczał. Zwracał się do mnie ze stoickim spokojem. Ja na jego miejscu wyszłabym chyba z siebie. Powoli opuściliśmy gospodę. Na dworze ciągle padało. Mój lekarz wpuścił mnie do samochodu. Usiadłam na siedzeniu obok kierowcy. Nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Co gorsza, nie czekał na żadne wyjaśnienia. Wydawało mi się, że nie miał zamiaru mnie słuchać. Zamknął za mną drzwi. Usiadł za kierownicą. Nie

odzywał się. Pospiesznie wyciągnął słuchawki lekarskie. Odwrócił się w moją stronę. Rozpiął guziki swojego kożuszka i przebijając się przez wszystkie warstwy ubrań, jakie miałam na sobie, zaczął osłuchiwać moje serce. Dość długo i dokładnie wyszukiwał przyczyny mojego złego samopoczucia.

Nie protestowałam ani nie broniłam się. Nie wypadło, przecież chciał mi pomóc. Rozumiałam.

– Co tak długo? Co tam słyszysz?

– Nie mów. Wytrzymaj jeszcze...

Wolałam nie zabierać głosu. Czułam, że zaraz będzie komentarz do tej jego akcji reanimacyjnej. I nie pomyliłam się.

Skąd ma ten stetoskop? Czy wszyscy ginekolodzy wożą ze sobą akcesoria kardiologów? Nie mogłam dłużej się zastanawiać, gdyż Marcin zaczął mnie umoralniać.

– Kochanie, posłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia.

– Marcin, daj spokój. Mam dosyć twoich pouczeń i propozycji. Daj mi w końcu odpuszczenie!

– Nie pouczam cię. Lena, ja niczego ci nie proponuję, ja ci zalecam. Nie przerywaj, chcę skończyć. Spójrz na mnie. Popatrz – mówił spokojnie, nie pozwalając mi dojść do głosu. Wymuszał na mnie kontakt wzrokowy, a mnie tak ciężko było spojrzeć mu teraz prosto w oczy.

Czułam, że jest wściekły, ale starał się na mnie nie wyżywać. Nie miałam zamiaru nic mówić, przerywać mądrego wykładu też nie, tym bardziej że znacznie lepiej się poczułam. Jeszcze mnie jednak nie znał. Przecież to nie w moim stylu, żebym komuś przerywała rozmowę. Mam chyba trochę kultury, trochę taktu? Z chęcią posłucham tego, co chce mi przekazać mój wszechwiedzący pan doktor.

– Moja kochana, już więcej razy nie zapytam, czy pozwolisz mi się zbadać. Kiedy wrócimy do Warszawy, od razu to zrobię. Zlecę też dodatkowe badania. Zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak. Lena, ile ty masz lat? Dosyć tego dobrego. Biorę sprawy w swoje ręce. Nie pozwolę, aby coś ci się stało. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Czy to jest jasne? – Głośno i powoli wypowiadał każde słowo.

W końcu zdawało mi się, że nie mówi, lecz wrzeszczy na mnie. Rzadko tak się zachowywał. A tak niegrzecznie chyba jeszcze nigdy nie wyrażał swojego zdania. Poczulałam, że nieźle go zdenerwowałam. Zrobiło mi się przykro. Łzy same napływały mi do oczu, które robiły się coraz bardziej mokre, przy okazji zraszając policzki.

Udawał, że tego nie widzi. Nie chciał widzieć, że płaczę. Nie zamierzał mnie pocieszać. Zależało mu na mojej reakcji. Pozytywnej reakcji. Na moim „tak”, mojej zgodzie. Cierpliwie na to czekał.

Byłam po pierwsze nieco zaskoczona, a po drugie zdziwiona jego

zachowaniem. Przestraszyłam się, gdy tak szalał. Marcin doskonale zdawał sobie sprawę, że znacznie przesadził z tym podnoszeniem głosu, ale był nieugięty.

– Nie, Marcin, ja... – próbowałam się bronić. Nie wychodziło mi. Nachylił się nade mną. Czulałam jego zapach. Delikatnie dotykał moich włosów.

– Lena. Nie bój się mnie. Doskonale wiesz, że nie musisz. Powinienem wiedzieć, co dalej zamierzasz. To wszystko.

– Nie wiem, nie wiem, czego chcę. Faktycznie, boję się, ale nie ciebie, tylko lekarzy. Nie chcę się leczyć. Nie chcę nawet... Zostaw mnie w spokoju. Chcę być sama. Wszystko przemyślę, poukładam sobie. Muszę!

Pogrążyłam się w płaczu. Niczego nie udawałam. W tej chwili łzy wyrażały moją zranioną duszę.

– Co ty wygadujesz, Lena?! Nie wiesz? To nawet dobrze, że nie wiesz. Pomogę ci podjąć właściwą decyzję. Bo tak się składa, że ja akurat jestem doskonale zorientowany, co jest dla ciebie najlepsze! Może zechcesz się w końcu uspokoić i mnie wysłuchasz? Lena, ja nie zrezygnuję. Twój szloch zupełnie mnie nie wzrusza. Koniec twojego rządzenia. W pracy możesz, nawet musisz, ale przy mnie? Wyobraź sobie, że zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze zawieźć cię do szpi tala. Tu, w Zakopanem. Najchętniej bym cię w nim zostawił. Niech tam się tobą zajmą.

– Zrobiłbyś to?

– Nie, wiesz, że nie... Nie ma powodu się rozklejać.

Po tych mocnych słowach nastała cisza. Rzeczywiście uspokoiłam się i milczeliśmy, milczeliśmy, milczeliśmy....

– Marcin, ty nigdy nie odpuszczasz? – Szeptalam.

– Nie wiem, co sugerujesz – uśmiechnął się tajemniczo.

– Już nie ma znaczenia, o czym pomyślałam.

– Ochłonąłem nieco, na szczęście mi przeszło, nigdzie cię nie zostawię. Nie musisz się obawiać obcego szpitala. Sam sobie z tobą poradzę. Zaraz zmierzę ci ciśnienie, OK? Podam ci leki. Wzmocnią cię i postawią na nogi. Podjedziemy do apteki. Kupimy też coś na gorączkę – nie dawał za wygraną.

– Zostaw mnie, Marcin! Chcę, żebyś mnie zostawił. Nie potrzebuję lekarstw! Nie chcę niczego! Chcę, żebyś dał mi spokój. Możesz? Nie strasz mnie jakimś szpitalem – po raz drugi powtórzyłam zdanie, którego Marcin prawdopodobnie nie słuchał.

– Nie, nie mogę cię zostawić. Ciebie nie można spuścić z oka. Chyba nie zaprzeczysz, mam rację? Przecież ty zachowujesz się jak... – nie dokończył.

– Nie czujesz, że ciągle mnie obrażasz? Jest mi przykro, że tak pogardliwie o mnie myślisz.

– Chcę ci pomóc, Lenka. Daj sobie pomóc. Traktuję cię w ten sposób, bo nie mam na ciebie i twój upór żadnego pomysłu – prosił.

– Nie pomagasz, Marcin.

– Wiem doskonale, dlaczego tak się zachowujesz. To przez... – znowu przerwał. Nie miał zamiaru niczego popsuć. Nie chciał powiedzieć niczego, czego potem mógłby żałować. Miał wielki takt. Był taki kochany.

– Tak więc, moja księżniczko, zastanowiłaś się? Co dalej zamierzasz? Będziesz mnie tak w kółko oszukiwać i zwodzić? Dowiem się w końcu, co dalej? Zaczniemy cię leczyć? Zaufasz mi? Przystaniesz się mnie bać? Radzę, pospiesz się z decyzją, bo ani myślę zbyt długo czekać. Znasz moje zdanie. Nie zmienię go, na pewno nie....

– Czy ja mam jakieś inne wyjście? Obydwoje wiemy, że nie – westchnęłam. Trzęsłam się jak osika na wietrze.

– Lena, błagam.

– Nie pozostawiasz mi wyboru. Jak zwykle stoję pod ścianą. W takim razie dobrze. Zgoda. Niech będzie tak, jak zaplanowałaś. Obiecuję, że nie będę robiła żadnych przeszkód. Zbadasz mnie, jak tylko wrócimy do Warszawy. Kiedy tylko będziesz chciał i ile razy będzie to konieczne. Będę twoją grzeczną pacjentką. Będę cię o wszystkim informowała. Mówiła całą prawdę o swoim samopoczuciu. Wszystko, co będziesz chciał wiedzieć, przekażę ci wyczerpująco. Myślę, że aż do znudzenia. Przysięgam. Słowo harcerza. I wcale się ciebie nie boję. Dlaczego miałabym?

Nie wierzyłam sama sobie. Zdawałam sobie sprawę, że tak będzie najlepiej. Marcin miał całkowitą rację: najbardziej bałam się szpitala, a jeszcze bardziej lekarzy.

– Kamień z serca, Lena, kamień z serca – cieszył się Marcin.

– Ale przecież mam prawo czuć się czasami gorzej od ciebie. Przecież jestem od ciebie starsza o całutki dzień. Sam tego dowiodłeś. Pamiętasz? – Powiedziałam nieśmiało. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nie chciałam, żeby Marcin wciąż się na mnie gniewał. Zależało mi, aby oczyścić atmosferę. Zapadła zupełna cisza.

– Oj, ty moja harcerko! – Marcin uśmiechnął się, przytulił mnie mocno do siebie i pocałował moje włosy.

Sam chyba był nieco zaskoczony tym, co powiedziałam.

– Spryciara z ciebie. Czy mówiłem ci już, jak bardzo cię kocham?

– Nie, nigdy – uśmiechnęłam się.

– Lena, przepraszam – szepnął mi na ucho, nadgryzając je swoimi ustami.

– Trudno. Nie panujesz nad sobą. Jakoś to zniosę – udawałam, że się gniewam.

– To było konieczne. Musiałem krzyknąć. Nic do ciebie nie docierało. Lena, ty jesteś niemożliwa. Potrzebowałaś terapii wstrząsowej – dodał.

– Myślę, że nie była konieczna. Przesadziłeś. Są inne metody. Nie musiałeś

– droczyłam się.

Byłam szczęśliwa. Czułam, że Marcin już się na mnie nie gniewa. Miałam ochotę bardzo mocno mu podziękować za to, że zabrał mnie w te góry. Zastanawiałam się, jak to zrobić. Nic oryginalnego nie przychodziło mi do głowy. Poczekam na dogodną sytuację i wtedy... Właśnie podjeżdżaliśmy pod aptekę. W górach wszystko jest takie prawdziwe, takie do końca...

\* \* \*

Góry, natura, krystalicznie czysta woda – mogliśmy to wszystko dzisiaj podziwiać. Ale nie to było najcenniejsze. Najważniejsze, że mogliśmy być razem, tak blisko, że bliżej się nie da. We własnym towarzystwie czuliśmy się naprawdę dobrze. Mogliśmy uwielbiać się do szaleństwa.

Wróciliśmy do chałupy. Stara góralka dawno już czekała na nas z kolacją i butelką spirytusu dla mnie. Z werwą wręczyła mi trunek, mówiąc prawdziwą góralszczyzną. Zrozumiałam tylko tyle, że muszę sobie te moje obolałe miejsca rozcierać spirytusem, bo inaczej będzie niedobrze.

Posłuchałam. Nie potrafiłam oprzeć się starej góralskiej metodzie, bo kto się sprzeciwi prawdziwej góralce? No kto? Nie znam takiego.

Tego wieczora Marcin długo siedział przy laptopie. Zaczytał się. Coś analizował. Czegoś szukał. Nic mnie to nie obchodziło. Byłam zbyt zmęczona, chciało mi się spać. Podał mi leki i zasnęłam. Miałam za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

Z tym podziękowaniem mojemu Marcinkowi poczekam, gdy wrócimy do Warszawy. Nie mam teraz nastroju – pomyślałam, gdy na chwilę się przebudziłam, by znów zasnąć w ramionach mojego lekarza.

\* \* \*

Obudziłam się w środku nocy. Nie mogłam spać. Od dłuższego czasu miałam kłopoty ze snem. Spojrzałam na Marcina. Spał jak niemowlak, od czasu do czasu lekko sapał. Nie miałam sumienia go buzić. Pragnęłam jedynie go pocałować. Właśnie teraz chciałam mu podziękować, za wszystko, zwłaszcza za to, że jest. Delikatnie dotknęłam jego ręki. Nie zareagował. Wzięłam jego dłoń w swoje ręce i zaczęłam delikatnie całować opuszki jego palców. Sprawiało mi to wielką radość. Poczułam wewnętrzny spokój. Marcin otworzył oczy. Mruczał jak leniwy kot. Podobało mu się to, co się działo.

– Lenka, proszę cię, bo zaraz nie wytrzymam – zagroził w żartach.

Nie przestawałam. Byłam coraz bardziej pewna tego, co robiłam.

– Lena – ostrzegł mnie po raz kolejny.

Nie miałam zamiaru go słuchać. Chciałam go całować i pragnęłam, żeby on odwzajemniał pocałunki.

- Naprawdę chcesz? – Spytał z lekkim niedowierzaniem.
  - Jak niczego bardziej na świecie. Po prostu pragnę...
- Całował moje włosy, oczy, usta, ramiona, dłonie i... Dawno nie było mi tak dobrze, gdy... i gdy...
- Dziękuję ci, Lena, za wszystko.
  - To ja tobie powinnam podziękować. Kocham cię, Marcin.
  - Śpij, głuptasie. Rano musimy wstąpić. Ja też kocham cię najbardziej na świecie. Ciesz się, że już się lepiej czujesz.
- Było nam cudownie. Oboje złapaliśmy wiatr w żagle.



## Szara rzeczywistość

W drodze powrotnej do Warszawy zakomunikowałam, że koniecznie chcę wrócić do swojego mieszkania. Marcin nie protestował i posłusznie zawiózł mnie tam, gdzie sobie życzyłam.

– Wracam do pracy – oznajmił spokojnie. Był przemęczony. Mało rozmowny. Zamyślony. Bez humoru.

– Wielka mi nowina. Ja od czwartku też muszę wracać do swojej.

Rozmowa się nie kleiła. Zdarza się, że nawet z weekendu można wracać nie do końca zadowolonym. Ja taka właśnie wróciłam, bez żadnej nadziei na przyszłość.

Nie widziałam się z moim ginekologiem przez cały dzień.

– Proszę.

Tylko tyle usłyszałam od Marcina na przywitanie. Stał w drzwiach wejściowych i przyglądał mi się z uwagą.

– To dla ciebie. Piękne kwiaty dla pięknej kobiety – dodał. Był wieczór, a on wpadł na chwilę.

– Wejdz – zaprosiłam go do mieszkania.

Posłusznie wykonał polecenie. Ściągnął płaszcz i buty. Później nie był już taki posłuszny.

– Nie, tylko nie dzisiaj – poprosiłam.

– Przecież wiesz, że muszę. Lena, nie bądź uparta. Nie utrudniaj tego, co i tak jest trudne.

– Nie jestem uparta i ty przecież też nie musisz... Gdybyś tylko zechciał mnie choć raz posłuchać.

Nie posłuchał. Zaaplikował mi kolejny zastrzyk i pouczył o tych swoich medycznych mądrościach. Był męczący.

– Gdybyś się źle poczuła, zadzwoń – poprosił.

– Dobrze – zgodziłam się i tyle się widzieliśmy.

– To pa...

– Pa, Marcin – odetchnęłam z ulgą.

Następnego dnia miał ostry dyżur w klinice. Nie mógł się ze mną spotkać. Podesłał rano pielęgniarkę. Była nią młoda, piękna dziewczyna. Wyglądała tak efektownie, jakby przybiegła do mnie prosto z wybiegu dla modelek. Wcale nie żartuję. Założę się, że jej uroda była przyczyną westchnień niejednego lekarza w klinice. Obrączki nie miała, więc może?

\* \* \*

W kolejnych dniach także się nie widzieliśmy. Krótko mówiąc, zaczęłam się martwić. Obawiałam się, że dzieje się coś niedobrego, że z nami dzieje się coś

złego. Miałam wrażenie, że Marcin chciał mi coś udowodnić. Może to, że najlepszy facet to taki, którego nigdy nie ma w domu. Nie wiem. Ja tak nie uważałam. Chciałam mieć go blisko.

Moja wyobraźnia nie próżnowała ani przez chwilę. Wymyślałam przeróżne scenariusze. Być może miał dość mojego marudzenia, mojego pesymizmu? Przecież ja wiecznie zachowywałam się jak jakiś rozhisteryzowany dzieciak. Nie potrafiłam przy Marcinie być dojrzałą kobietą. Byłam na siebie wściekła.

Przez cały czwartek i piątek miałam ogrom pracy. Zalegałam ze wszystkim. Nie miałam czasu, żeby ciągle się nad nami zastanawiać. Moje samopoczucie nie było najlepsze. Było złe. Moje hormony szalały. Matko Boska! Prawdziwy dramat! Nie powiadomię Marcina. Nie dam mu satysfakcji. Poradzę sobie bez niego. Koniec z narzekaniem. Tak postanowiłam.

## Wizyta Urszuli

W sobotę rano rytualnie przysłała do mnie pielęgniarka. Wiadomo po co. Tylko z grzeczności zaprosiłam ją na małą czarną. Nie chciała niczego wypić, wykręcając się pracą i brakiem czasu. Została chwilę. Zamieniłyśmy kilka słów. To wszystko.

– Bardzo delikatnie wykonuje pani zastrzyki – pochwaliłam ją, bo naprawdę się starała.

– Dziękuję, jest pani taka miła, pomimo że moje wizyty wcale do przyjemnych nie należą – uśmiechnęła się.

Była jeszcze ładniejsza, gdy się śmiała.

– No, niechże pani nie przesadza. Nie jest tak źle. Cieszę się, że to właśnie pani się na mnie wyżywa – zażartowałam.

– Mnie też jest bardzo miło. To zasługa pana doktora.... – przytaknęła nieśmiało.

– Nie bądźmy drobiazgowi i zostawmy pana Prajsa w spokoju – przerwałam jej.

– Jak pani sobie życzy.

Była bardzo grzeczna, aż do granic. Ja nieco mniej.

\* \* \*

Dziś prawdziwą niespodziankę sprawiła mi moja przyjaciółka Urszula, odwiedzając mnie w domu. Szybko okazało się, że niepotrzebnie się ucieszyłam. Wizyta wcale do przyjemnych nie należała. To znaczy Ulka nie była miła. I te jej wywody też były nie na miejscu.

– Lena, martwiłam się o ciebie. No ale ty jak zwykle jesteś niewzruszona – oznajmiła z pretensją na przywitanie, kładąc ciasto na kuchennym blacie.

Nie zważając na to, że właściwie ja powinnam być gospodynią we własnym domu, zaczęła szarogęsić się w kuchni. Szybko znalazła talerzyki deserowe i położyła na nich pokrojone kawałki pysznych słodkości. Wstawiła czajnik z wodą i nie wiadomo kiedy zaserwowała dwie kawy. Zapaliła papierosa. Nawiasem mówiąc, nigdy nie pytała o pozwolenie.

Pyszności! Więc nie protestowałam.

Zresztą znałam Ulkę dobrze. Wiedziałam, że jej asertywność nie zna granic.

– Nie dajesz żadnych oznak życia. Lena, do jasnej cholery, co się z tobą dzieje? – Spytała wprost, zapraszając gestem ręki, bym usiadła przy stole.

Wyraźnie było widać, że jest zmartwiona i poddenerwowana. A zła to na pewno.

– Po co te nerwy? Ostatnio trochę niedomagałam. Nie chciałam nikogo widzieć. Nikomu nic mówić. Po prostu tak było lepiej. Ula, uwierz mi – zagadałam

niepewnie.

- Dla kogo było lepiej?
- Dla wszystkich chyba – ucięłam.
- Nie ściemniaj, Lena, starej przyjaciółki nie oszukasz. Jak to chorowałaś?

Przecież ty nigdy... Raczej nie chorujesz przecież. Okaz zdrowia jesteś.

Tu jej przerwałam.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz – rzuciłam niezbyt mądrze.
- Zgłupiałaś! Co ty bredzisz? Co ci jest? Lena, mów do mnie jaśniej. Może włącz capsloka, to zacznę rozumieć. Duże litery mogą pomóc w wyjaśnieniu wszystkiego.

- Sprawa nie jest prosta.
- A więc oświeć mnie. Cokolwiek wyprostuj – naciskała Ula.
- Zakochałam się, jeśli chcesz wiedzieć. Tak, to prawda. Nie patrz tak...
- Żartujesz? Powtórz to, bo nie wierzę! Przecież...
- Przestań, Ula! Jesteś moją kumpelą czy nie? Zakochałam się. Zwyczajnie jestem szczęśliwa. Czy to zabronione?

Pytanie nie było zbyt mądre. Zorientowałam się, że przesadziłam. Po prostu chciałam, żeby Ulka zaakceptowała to, co robię. Wiedziałam, że łatwo nie będzie. Pilnie potrzebowałam jej zgody. Dosłownie tak, jak spragniony potrzebuje wody na pustyni.

– To ma być żart? Żartujesz? Wściekłaś się? – Ula pytała niepewnie, czekając, że zaprzeczę.

– Nie, to nie jest żart. Jest lekarzem. Jest cudowny. Kocha mnie tak ja jego. I ma na imię Marcin – odpowiedziałam poważnie.

– Tak więc brawo, gratuluję, Lena, gratuluję. Głupoty ci gratuluję. To, co wyczyniasz, jest super... A gdzie się podziały twoje zasady? Co z nimi? Zapodziały się niczym „tamte prywatki” ze znanej piosenki? Zapomniałaś się ich trzymać? Nagle wyparłaś się wszystkich czy może na zawsze postanowiłaś zapomnieć, co ci zrobił Witek? Ile przeszłaś przez tego wariata? Nie pamiętasz już?

– Ula kpiła sobie ze mnie, po czym powoli sięgnęła do torebki po papierosa. To była oznaka, że jest maksymalnie wkurzona.

- Urszula błagam cię, nie rozmawiaj ze mną w ten sposób.
- Owszem, mogę, a nawet powinnam. Nie mogę tylko uwierzyć, że tak szybko się zakochałaś. To jest niepodobne do ciebie.

– Widać zdarzyło się...

– Do dzisiejszego dnia wierzyłam w ciebie. Ufałam, że tak się nigdy nie stanie. Wierzyłam w ciebie, Lena. Rozumiesz? Wierzyłam. Przecież ty nie będziesz miała siły drugi raz przechodzić przez rozwód. Nie będziesz miała siły rozstawać się z ukochaną osobą, która, znając twoje szczęście w miłości, okaże się kolejnym palantem.

– Jeśli chcesz wiedzieć, ja dwanaście lat sama ubierałam choinkę. Nie było mi wtedy do śmiechu. Dłużej nie zamierzam. Uważasz, że dwanaście lat to krótko? Że powinnam dalej tkwić w celibacie? Czekać? Uwierz mi, że twoja wiara nie ma tu nic do rzeczy.

– OK, ale ubierałaś to drzewko z córką. No, może potem sama – zastanawiała się moja przyjaciółka.

– Ula, musisz mi pomóc. Nie bądź zołą. Ja nie mam zamiaru rozstawać się z Marcinem. To nie wchodzi w grę. Kocham go i będę z nim, czy tego chcesz, czy nie. Tylko mi nie utrudniaj, Ula, proszę cię.

– Nie pomogę ci. Wiesz, że tego nie zrobię. To jakbym chciała cię zdradzić i żywcem pogrzebać. Z przyjaciółmi tak się nie postępuje... Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz?

– Nie przesadzaj! Ulka, do diabła, ja też chcę być szczęśliwa. Nie rozumiesz tego czy udajesz, bo nie wiem? Jestem kobietą, a ty kimś dla mnie bardzo bliskim. Marzę o twojej akceptacji. Śni mi się po nocach. Czy żądam zbyt wiele? – Uniosłam się. Sama sięgnęłam po papierosa.

– Nie będzie żadnej zgody na to, co wyprawiasz! Zostaw tego papierosa, przecież ty nie palisz.

– Nic o mnie nie wiesz – zrezygnowana pokiwałam głową.

– Przecież dla ciebie, odkąd cię znam, zawsze wszystko było albo białe, albo czarne. Nigdy inne! Co, może chcesz powiedzieć, że teraz wszystko ci się przez tego kolesia rozmyło? Zidiociałaś, Lena? – Złośliwie spytała moja przyjaciółka.

– Nie wszyscy są tacy jak Witek. Marcin jest inny. Nie mam zamiaru od niego odchodzić. Będę z nim. Dlaczego od początku zakładasz czarny scenariusz? Ula, czy ja nie mam prawa być szczęśliwa?

Podniosłam głos. Ulka udawała, że nie słyszy.

– Każda tak mówi, dopóki się nie przekona. Nie pamiętasz, ile krzywdy wyrządził ci ten idiota mąż? W jakim piekle wylądowałaś z własnym dzieckiem? Zapomniałaś już? Nie spodziewałam się, że ty możesz... Nie, Lena, po innych może tak, ale nigdy po tobie... – Ulka naprawdę czuła, że ją zawiodłam. Mocno się nakręciła.

Było mi głupio. Ale nic nie mogłam poradzić. Takie były fakty. Nie mogłam i nie chciałam niczemu zaprzeczać. Było mi dobrze z Marcinem. Kochałam go.

– Ula, posłuchaj! Myślę, że nie przysłaś prawić mi kazań. Nie sądzisz, że jestem na to za stara? Lepiej przestań biadolić i przytul mnie. Sama widzisz, jak bardzo potrzebuję ciepła. No, Ula – zwróciłam się do przyjaciółki. Szukałam u niej jakiegokolwiek akceptacji, choćby cienia zrozumienia. Cały czas próbowałam uzyskać jej wsparcie. Bardzo potrzebowałam błogosławieństwa przyjaciółki.

– Lena, ty zwariowałaś! – Ula pogłaskała mnie po włosach.

– Nieprawda. Wcale nie. Marzę tylko, byś zaakceptowała mój wybór. Bardzo mi na tym zależy. To przecież ty jesteś najbardziej oczy tana na świecie. Tobie wierzę najbardziej. Powinnaś wiedzieć, że miłość jest wszystkim tym, co tracimy bez miłości. Czy to nieprawda?

Postanowiłam wjechać na ambicję mojej przyjaciółce i tym samym ratować samą siebie.

– Owszem, tak. Słowa Jana Pawła II – Ulka zaskoczyła mnie nie po raz pierwszy i zamiast przytulić do siebie, tak jak tego pragnęłam najbardziej na świecie, klepnęła lekko po pupie.

– A! – jęknęłam.

– Co ty jesteś taka delikatna? Co jest? O co chodzi?

– To ja pytam, Ula, o co tobie chodzi. Mówiłam ci, że jestem chora. Biorę zastrzyki. Obydwa półdupki mam bolące. Nie chcę się o tym rozwodzić, to nic przyjemnego. Jutro muszę pojechać do wydziału i uprzedzić, że wybieram się na dłuższe zwolnienie, i poprosić, żeby dali za mnie jakieś zastępstwo. Dalsze moje leczenie pewnie jeszcze trochę potrwa. Co ja mówię? Długo potrwa...

Siedziałyśmy naprzeciwko siebie i patrzyłyśmy sobie w oczy.

– Może zapodasz bardziej wiarygodną bajeczkę? I wyłącz te swoje mroczne piosenki. Mam ich dosyć – Ula spojrzała na laptopa.

– Nie mroczne, tylko płynące z serca.

– Zawsze byłaś fantastką krążącą między chmurami.

– Taką mam duszę, nic nie poradzę. To prawda, wiesz to najlepiej. A co tam u ciebie w pracy słyhać? Opowiadaj prędko!

Chciałam jak najszybciej zmienić temat. Udawałam zniecierpliwioną.

– Czeka, czeka. Powiedziałaś, że on jest lekarzem, a ty jesteś chora.

Moja przyjaciółka nie miała najmniejszego zamiaru zakończyć tematu. A już na pewno opowiadać o sobie. Najpierw postanowiła do końca wycisnąć ze mnie wszystkie soki.

– Co jest grane? Mów mi tu zaraz szybko i ze szczegółami!

– Nie – nie miałam siły dłużej się przed nią spowiadać. A ona najwyraźniej nie miała ochoty kończyć naszego spotkania.

– Lena, pamiętasz? – Ulka wróciła do starych dziejów. – Sama mówiłaś, że pewien psycholog powiedział ci kiedyś, że twojego przypadku nigdzie nie można sklasyfikować. To było tuż po twoim rozwodzie z tym baranem. Chodziłaś do lekarza na jakąś terapię. To było wtedy, gdy wspomniany psycholog przyznał się, że nie potrafi ci pomóc i jest zmuszony wrzucić cię do jednego kosza z innymi przypadkami, też beznadziejnymi zresztą. Byłaś na niego wściekła, gdyż potraktował cię jak pomiętą kartkę papieru, na której była jakaś pomyłkowa adnotacja. A ty zapłaciłaś mu tyle kasy. Nie mogłaś się wtedy zdecydować, czy odejść od Witka, czy mimo że tyle krzywdy ci wyrządza, zostać z nim. Nieźle

wkurzyłaś się na tego doktora. Nieprawdaż?

– Masz świetną pamięć – syknęłam.

– Nie zawsze – Ulka odparła mój atak z lekkością w głosie.

A teraz co się dzieje? Nie przesłyszałam się chyba, że jesteś zakochana i chora jednocześnie. Czyli co? Chora na tę chorą miłość? Bo nie rozumiem? I po co jeszcze mieszasz w to wszystko pracę? Mogą być z tego same kłopoty – stwierdziła.

– Nie przesłyszałaś się. I to, i to... Ula, jestem zakochana, ale i chora, i wcale teraz nie ściemniam. Muszę iść na zwolnienie. Koniecznie.

Na mojej spowiedzi i plotkach czas biegł nam dość szybko. Przestałam boczyć się na moją przyjaciółkę. Ona też trochę spuściła z tonu. Zjadłyśmy razem pizzę.

– Jak chcesz. To twoje podwórko i ty je sprzątasz. Twoje życie. Nic mi do tego. Nie zamierzam ci niczego rozpieprzać. Ja tylko chciałabym cię uchronić. Nie zniosłabym, gdyby znowu ktoś cię skrzywdził.

– Wiem, Ula, wiem. Cenię to. Jesteś przecież moją najlepszą przyjaciółką.

Urszula nie mogła przecież wiedzieć, że Marcin stał się moją miłością, która nie stawiała warunków tak jak poprzednia. To nie była jałmużna od Witka, lecz najprawdziwsze uczucie prawdziwie dojrzałego, wrażliwego faceta. Marcin rozdawał mi swoją miłość garściami.

W końcu koleżanka musiała mnie opuścić, bo oprócz moich zmartwień miała jeszcze mnóstwo własnych kłopotów.

Zostałam sama. Potrzebowałam samotności, jak nigdy potrzebowałam. Musiałam przemyśleć wiele spraw. A więc zakochałam się. Kto by pomyślał, że mnie też mogło się przytrafić to uczucie, po tylu latach? Trafiła mnie strzała amora. Koniec, kropka. Cudowne doznanie, siejące spustoszenie w duszy, cudowne spustoszenie... Kochałam, coraz bardziej kochałam. Byłam szczęśliwa i kochana.

## Szara rzeczywistość

Moje przemyślenia przerwał mi telefon od córki. Oznajmiła, że wyjeżdża ze swoim Leszkiem na wycieczkę do Australii.

Martwiłam się, bo to tak daleko, a ja nie miałam wpływu na jej życie. Zastanawiałam się, kiedy ona tak szybko dorosła. Kiedy nam uciekł wspólny czas jej dzieciństwa. Okres, gdy była przy mnie tak blisko, że bliżej się nie dało.

Nie wtajemniczyłam jej na razie w moje osobiste sprawy, ale zamierzałam jej w końcu o Marcinie powiedzieć. Zwierzyć się. Teraz było jeszcze za wcześnie.

Marcin przyjechał prawie na czas, ale tylko z obowiązku. Nadeszła pora mojego zastrzyku. Służba nie drużba. Miałam nadzieję, że zostanie ze mną na dłużej. Nie potrafiłam prosić.

– Mam dyżur w klinice. Nie mogę pobyć z tobą. Jest dużo chorych. Porody, zagrożone ciążę. Same ciężkie przypadki. Lena, mam nadzieję, że to rozumiesz. Kotek, taką mam pracę – najzwyczajniej w świecie tłumaczył się, oczekując ode mnie akceptacji.

Pocałował moje mokre czoło. Uważał, że sprawa jest załatwiona. Nie wiem, dlaczego ciągle zalewały mnie poty. Może powoli przekwitałam?

– Rozumiem, obowiązkowy jak zawsze, ale wołałabym, to znaczy chciałabym... Nieważne, co bym chciała...

Chciałam przyznać się, że bardzo za nim tęsknię, ale nie potrafiłam tego wyrazić.

– Lena, o co chodzi? Coś się stało?

– Zupełnie się nie domyślasz?

– Kochanie, naprawdę nie. Powiesz mi? Masz jakiś kłopot? Spieszę się, wiesz dobrze.

– Nieważne. Innym razem porozmawiamy. Przecież to nic nowego, że masz dyżur. Już się przyzwyczaiałam. Ratuj te swoje pacjentki. Czyn swoją powinność – głośno myślałam.

Nie komentowałam dłużej zachowania Marcina. Nie miałam siły. Byłam załamana, ale nie dałam tego po sobie poznać. Nie przyznałam się, że mi zależy, że chcę, żeby był przy mnie. Właśnie teraz, żeby był. To nie w moim stylu, żebym prosiła o cokolwiek. I tak by tego nie zrobił.

Jestem twardą i zimną kobietą. Nie lubię rozczulania i użalania się nad sobą. Upierałam się wciąż przy swoim.

W gruncie rzeczy wcale tak nie było. Byłam normalną, wrażliwą babką i jak wszystkie inne, gdy są chore, potrzebowałam wsparcia na męskim ramieniu.

\* \* \*

Rano strzykawka leżała na stoliku. Była w gotowości do użycia. – Marcin,



znowu? Nie możesz zrobić przerwy? Nie możesz odpuścić? Tyle razy cię proszę.

– Przecież wiesz, że nic na to nie poradzę. Te zastrzyki to konieczność.

– To jest tylko twoje zdanie.

– Potrzebujesz konsultacji u innego lekarza? Tego właśnie potrzebujesz?

– Proszę cię, Marcin, nie kłóćmy się. Jeśli musisz, to chociaż postaraj się nieco... Tak, żeby nie bolało. I dajmy temu spokój.

Spojrzał na mnie, jakbym prosiła o coś z kosmosu.

– Sugerujesz, że nie jestem delikatny? Naprawdę aż tak źle mnie odbierasz?

– Naprawdę cierpię. Nie wytrzymam kolejnego razu. One tak bardzo bolą – wskazałam na przezroczyste buteleczki z płynem.

Ponownie spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Lena, nie potrafisz. Nie zrobię inaczej – odparł nieco lekceważąco.

Tak mi się zdawało. W ogóle ciągle zdawało mi się coś złego. We wszystkim upatrywałam katastrofy.

– Jeśli chcesz, przyślę ci jeszcze raz Elizę, tę pielęgniarkę, i będziesz miała delikatnie. OK?

To owa pielęgniarka ma imię? Zdziwiłam się w myślach jak kretyńka. Całe szczęście, że tylko w myślach.

– Marcin, nie o to chodzi. Nie chcę żadnej pielęgniarki. Mam dość obcych ludzi kręcących się przy mnie. Serdecznie mam tego dosyć. Mówię szczerze. Naprawdę bardzo mnie bolą te zastrzyki. Co za okropieństwo. Proszę, nie patrz tak na mnie. Czy to cię dziwi? Chyba nie powinno. Przecież wiesz dobrze, że akurat te, które mi wstrzykujesz, są bardzo bolesne? Jesteś przecież lekarzem. Musisz to wiedzieć – odważyłam się na ostrzejszą wymianę zdań z moim ginekologiem.

Marcinowi najprawdopodobniej spodobała się ta moja deklaracja szczerości. Przytulił mnie mocno i pocałował.

– Co mam ci powiedzieć? Wytrzymaj, jeśli możesz, wytrzymaj jeszcze, proszę. Nie denerwuj się. Bądź cierpliwa – tym razem pocałunek złożył na mojej dłoni.

– Wytrzymam, a przynajmniej spróbuję. Tylko nie wiem, jak długo jeszcze dam radę – uwielbiałam pocałunki Marcina.

– Muszę wracać do kliniki. A ty odpoczywaj. Dużo odpoczywaj.

– Dobrze, będę – zgodziłam się.

Widocznie są jeszcze bardziej beznadziejne przypadki niż mój, skoro Marcin musi zajmować się nie mną, lecz innymi kobietami w klinice. Pewnie to prawda.

## W klinice Marcina

– Cześć, Artur. Jestem. Dotarłem. Piekielne korki. Coś się dzieje w centrum. Jakiś wypadek czy inne лихо. Kilka straży, policja... Dużo, cały peleton – Marcin zdawał przyjacielowi relację z trasy. W pośpiechu zakładał fartuch i szpitalne chodaki. W pokoju lekarskim byli już tylko we dwóch. Inni doktorzy dawno gdzieś się porozchodzili. Nikt nie miał czasu siedzieć na dyżurce. Nie mogli dzisiaj dać sobie rady z liczbą chorych pacjentek i wciąż uciekającym czasem.

– Myślałem, że już nie dotrzesz. Dobrze że się zjawiłeś, mamy sajgon. Chodź, zapalimy po jednym i do roboty.

– Dlaczego tak pędzisz? Co się dzieje? Już sobie wyobrażam.

– Dużo, o wiele za dużo. Masakra. To się dzieje.

– Mówisz o tych pacjentkach z intensywnej?

– Tak, dokładnie o tych samych, ale nie tylko.

– Coś jeszcze? Jakieś niespodzianki? Artur, nie załamuj mnie, obiecałem Lenie, że dziś wrócę wcześniej. Jestem jej to winien. Ostatnio w ogóle nie mam dla niej czasu. Obiecałem.

– To zadzwoń i odwołaj obiecanki. Powiedz, że są nieaktualne, niestety. Sorry, taki mamy klimat. Co się tak patrzysz, jakbyś ducha zobaczył? Odwołaj to, co naobiecywałeś, i będzie po sprawie. Pospiesz się. Niedawno przywieźli nową pacjentkę. Cięża bliźniacza. Jest sama. Facet ją zostawił. Zły stan psychiczny i nie tylko. Lena zrozumie.

– Co nas to obchodzi? To robota dla psychiatry. Artur, do cholery, chyba się ze mną zgodzisz? Nie możemy zbawiać świata. To rola Boga. Co ty odstawiasz?

– Zbadaj ją i przestań gadać. Wściekłeś się? Pierwszy raz tu jesteś? Mam ci coś tłumaczyć?

– OK, spokojnie. Zaraz to zrobię.

– Bo już myślałem, że ci coś padło na mózg... Przypuszczam, że trzeba jej będzie podać kroplówkę. Myślę, że natychmiast, ale sprawdź fachowym okiem. Marcin zerknij na nią.

– OK, zajmę się nią. Zadecyduję.

– Magda jak zwykle upiera się, że kroplówka nie jest konieczna. A ja mówię, owszem – przekonywał Artur.

– A gdzie spotkam Magdę? Co teraz robi?

– Wszędzie, Marcin, może być wszędzie. Wiesz, że wiecznie się angażuje. Pracuje ponad siły. Z nią jest tak zawsze. Chyba nie muszę ci tłumaczyć. Wiesz lepiej ode mnie.

– Przestań.

– Jak ty przestaniesz.

– Dobrze, wszyscy powariowaliście do reszty – Marcin się nie poddawał.

- A może z tobą coś się dzieje – zasugerował Artur.
  - OK, nie będę rozgrzebywał tematu Magdy. Sam mówisz, że nie ma czasu. Zawołam pielęgniarkę, niech ją znajdzie. Muszę się z nią zaraz widzieć. Chcę natychmiastowej konsultacji!
  - Dobrze. Szybko! Obaj jej potrzebujemy. Powietrze jest ważne, ale ona jeszcze bardziej – Artur uśmiechnął się po przyjacielsku.
  - Coś w tym jest...
- \* \* \*

- Witaj, Magda.
- Cześć, słońce ty moje, Marcinku ukochany – lekarka odpowiedziała radośnie.
- Bardzo cię proszę, Magda, nie przerabiamy tego co chwilę.
- Czego?
- Może mi się zdawało?
- No dobrze, dobrze. Jesteś przewrażliwiony.
- Obiecuję, że już nie będę... Co robimy?
- To co zawsze.
- Ja zostałbym przy kroplówce. Trzeba poczekać na reakcję pacjentki – stanowczo powiedział Marcin.
- Myślę, że kroplówka nie jest konieczna. Nie upieraj się, nie musimy, powinniśmy...
- Nie pozwolił jej dokończyć zdania.
- Magda, nie zgadzam się z tobą. To nie jest dobry moment na taką rozmowę. Zaufaj mi. Nie sprzeciwiaj się. Nie możemy eksperymentować. Mamy leczyć, po to tu jesteśmy – przypomniał swojej koleżance.
- Dlaczego? Bo ty tak nie lubisz? Bo ja chcę inaczej? Bo...
- Nie o to chodzi. Moje ja akurat teraz się nie liczy.
- Marcin, ty jak zwykle swoje. Chcesz, żeby jak najszybciej zeszło lekarstwo i był spokój. Pomyślałeś o dwójce dzieci, które pacjentka nosi pod sercem? Chcesz jeszcze bardziej ich wszystkich osłabić? Typowy samiec – Samperska przerwała rzeczowo.
- Magda, twój argument sięga poniżej pasa. Nie masz racji. Uwierz, naprawdę w tym wypadku nie masz. Pacjentka musi dostać kroplówkę, i to jak najszybciej. Nie powinniśmy czekać. Trzeba wzmocnić jej serce, bo ich zabijemy. Mam na myśli matkę i dzieci. Przemyśl to.
- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? Tym razem to ty się mylisz. Cholernie się mylisz.
- Musi mieć siłę rodzić, to prosty argument – Marcin nakręcał się coraz bardziej.

– Nie, nie zgadzam się z tobą. Podczas porodu uruchamiają się siły natury. One pozwolą jej urodzić, a nie jakaś chemia w plastikowej butelce.

– Widzę, że pacjentka bardzo cierpi. Nie widzisz, w jakim jest stanie? Magda, jeśli ja mam ją prowadzić, to kroplówka musi być podana. To nieodwołalne. Pani doktor, nie będę ryzykował tylko dlatego, że mamy odmienne zdania. To jest ciąża o podwyższonym ryzyku. Uczyliśmy się o tym na studiach. Zresztą bez nauki też powinniśmy to wiedzieć i oboje wiemy, że siły natury nie wystarczą podczas skomplikowanego porodu.

– Dobrze. Nie będę się upierała. Rób, jak uważasz, obyś miał rację. Zawołam pielęgniarkę, niech podłączy lekarstwo. Potem zrobię ci kawę. Nie mam do ciebie siły, Marcin. Nie chcę się kłócić – odpuściła.

– Jeśli możesz, to zrób, będę wdzięczny. Czuję zmęczenie. I jeszcze coś: najlepiej, żebyśmy sobie nie przeszkadzali na dzisiejszym dyżurze.

– Masz rację, nie będziemy. Mogę zrobić tę kawę i nie oczekuję wdzięczności. Marcin, dla ciebie zrobię po przyjacielsku... Wiele zrobiłabym dla ciebie. Dobrze to wiesz i chyba naprawdę byłoby dobrze, żebyśmy sobie nie wchodzili w drogę. Nie chcę, żebyśmy się pozabijali.

Marcin spojrział na Magdę z uwagą. Ich oczy się spotkały. Udawał, że nie słyszy deklaracji przyjaciółki.

– Dobrą, mocną, dzięki... Zaraz przyjdę wypić. Idę zorientować się w sytuacji... i przepraszam.

– OK, nie gniewam się. Drobiazg. Cała przyjemność po mojej stronie. Zaparzę czarną. Poczekam na ciebie. Damy sobie trochę luzu. Lubię z tobą rozmawiać. Tylko tyle mi zostało. Przecież tylko ja wiem, jaką kawę lubisz najbardziej na świecie.

– Magda, proszę, nie zaczynaj od nowa.

– Obiecuję, że będę grzeczna. Wyłącznie sprawy służbowe. Praca to praca. Koniec tematu – zadeklarowała.

– Trzymam cię za słowo.

– Idź, wydaj polecenia i zaraz wracaj, bo wystygnie.

Włączyła ekspres.

\* \* \*

Dni kapały: jeden, drugi, trzeci, znikwały niczym krople topniejącego lodu na dachu. Nam upływały różnie. Gdy czułam się lepiej, było całkiem OK. Ale miewałam również dość często złe stany zdrowotne. Moja psychika szalała.

Kiedy rozpoczęłam kolejne zwolnienie lekarskie, Marcin pomógł mi się spakować i zamieszkałam u niego. Musiałam opuścić swoją ostoję na Mokotowie i przyjechać do ukochanego.

– Mam cię nareszcie pod swoimi skrzydłami – wiecznie żartował.

Lubił nade mną czuwać. Uwielbiał się mną opiekować. Mnie to ciągle krępowało. Nienawidziłam litości.

– Lena, zostawiam cię dziś samą. Mam dyżur w klinice. Nie wiem, o której wrócę. Nie czekaj na mnie. Mam kilka porodów. To potrwa – zakomunikował, zanim zniknął za drzwiami, i tyle go widziałam.

Nic nowego, często tak się zachowywał. Był lekarzem. Musiałam zaakceptować fakt, że ciągle gdzieś znikał.

\* \* \*

W zasadzie nie powinnam narzekać na nudę. Marcin bardzo często ciekawie organizował nasz wspólny czas. Uwielbialiśmy przebywać we własnym towarzystwie. Nigdy nie nudziliśmy się ze sobą. Zabierał mnie do kina, teatru, kawiarni, sklepów, na kolacje. Odwiedzaliśmy wspólnych znajomych, oni odwiedzali nas. Nie byłam przecież obłożnie chora i mogłam czynnie uczestniczyć w życiu towarzyskim.

Któregoś razu byliśmy na recitalu Heleny Vondráčkovej. Uwielbiam ją. Wiele razy Marcin zabierał mnie na moją ulubioną Danusię Stenkę. Nie wspomnę o Krystynie Jandzie, którą kocham, choć ona o tym nie wie. Uwielbiam jej osobowość. Dzięki częstym spotkaniom w teatrze stała się prawie moją koleżanką.

Marcin wiedział, co lubię, co może sprawić mi frajdę. Ale skąd aż tyle o mnie wiedział?

Bywaliśmy też częstymi gośćmi w domu Artura. Ostatnio zaprosił nas na swoje imieniny. Miał mnóstwo książek. Na pewno jeszcze więcej niż Marcin. No, może tyle samo. Uwielbiam książki. Zwłaszcza, gdy jest ich dużo. Podobają mi się takie olbrzymie domowe biblioteki.

Moje książki zostały u byłego męża. Pożegnałam je wraz z rozwodem. Było ich naprawdę sporo. Nigdy już ich nie odzyskam. Wiem, że nie. Tęskniłam za ich zapachem. Pomarzyć zawsze można. A może zdarzy się jakiś cud i będę je miała ponownie u siebie? Przecież, jak się okazuje, cuda się zdarzają. Tak bardzo chciałabym je mieć...

Tak bardzo kochałam Marcina.

## Znów trudne pytania

– Czy jeszcze długo zamierzasz mnie więzić w swoim domu? – Pewnej soboty zdobyłam się na odwagę i zapytałam wprost.

– To nieprawda, nie jesteś w więzieniu. Lenka, co ci przyszło do głowy? Chodź tu do mnie. Podejdź bliżej, Lenusia... – Marcin nie odpowiedział na moje pytanie, chciał mnie przytulić, ale mu nie pozwoliłam.

– Boże, Marcin, kiedy nadejdzie kres tej twojej medycyny, tych zastrzyków? Nie pamiętam, ile już wybrałam tego świństwa. Moje półdupki są dziurawe jak sito. Nie mam na czym siedzieć. Marcin, zlituj się, na miłość boską... Musisz się zlitować. Na więcej się nie zgodzę. Przecież to nie może trwać wiecznie. Zastanawiam się, czy dobrze się stało, że cię poznałam. Nie byłoby ciebie, nie byłoby zastrzyków. To proste. W co ja się wplątałam?

– Nie może wiecznie trwać i nie będzie. Już koniec. Koniec, kochana. Tak jak sobie życzysz. Dziś cię zbadam i ocenię twoją kondycję zdrowotną – odpowiedział jakby nigdy nic na pierwszą część moich wywodów, o drugiej nie wspomniał.

Nagle poczułam, że wszystkie ważne dla mnie sprawy dla mojego Marcinka nic nie znaczą. Może tak mi się tylko wydawało?

Po wizycie Ulki dużo o nas rozmyślałam. O mnie i o nim. Czułam się dziwnie rozdrażniona. Mocne słowa przyjaciółki ciągle dudniły mi w głowie niczym kościelne dzwony, które zazwyczaj obwieszczają coś ważnego, ale przeważnie złego.

– Żartujesz, Marcin? Powiedz, że to najzwyczajniejsze żarty. Ja jestem ciężko chora, a ty wciąż żartujesz. Nie traktuj mnie w ten sposób – oburzyłam się.

– Nie tak znowu ciężko. Lena, nie przesadzaj. Możesz do mnie podejść? – Marcin przeciągnął się na kanapie.

– Chwileczkę, zaczekaj! Marcin, rozmawiajmy poważnie. Chcę wiedzieć, co zamierzasz dalej. Proszę, wyjaśnij mi. Chyba mam do tego prawo.

– Najpierw podejdź do mnie, proszę – Marcin wskazał ręką miejsce obok siebie.

– Co dalej? Chcę wiedzieć. Muszę. To chyba normalne? Nie powinno cię dziwić – zignorowałam jego zaproszenie i wciąż stałam w bezpiecznej odległości od mojego rozmówcy.

– Co się tyczy zastrzyków, słowo daję, że nic a nic nie żartuję. Z zastrzykami koniec. Dzisiaj, kochanie, jeśli mi pozwolisz, spróbuję ocenić, co dalej.

– Marcin, proszę cię. Nie zgadzam się.

– Lenka, to ja ciebie proszę, a właściwie nie zamierzam. Bądź wreszcie poważna! Zachowuj się odpowiedzialnie.

– Uważasz, że mogłabym teraz robić sobie żarty? Jestem jak najbardziej

poważna i przekonana, że nie ma potrzeby, abyś musiał cokolwiek sprawdzać. Daję ci słowo, że nie ma takiej potrzeby. Nie będę na ten temat dłużej dyskutowała. Niepotrzebnie tracisz czas – stwierdziłam stanowczo.

Marcin się uśmiechnął.

– Znacznie lepiej się czuję. Chyba nie zdążyłam ci się jeszcze pochwalić. Jestem już w niezłej formie.

– O, to chyba jakaś nowość? Zdecyduj się w końcu, jakie jest twoje samopoczucie. Raz mówisz, że jesteś ciężko chora, a za chwilę już w niezłej formie. Lena, czy ty się słyszysz? Już nie mam do ciebie cierpliwości. Słowo daję, że tracę cierpliwość.

– Możesz nie łapać mnie za słówka?

– OK. Spodziewałem się po tobie podobnej reakcji. Czuję, że nie zechcesz mojej pomocy i wsparcia. Nie ufasz mi. Przykro mi. Jutro umówię cię z Arturem Chojnackim. On ci odpowiada? Już raz dowiodłaś, że ci odpowiada. Chyba że wolałabyś jeszcze jakiegoś innego lekarza. Przecież ty rzadko kiedy dotrzymujesz słowa.

Marcin nie żartował i nie żałował przykrych słów, które jak petardy rozbijały moje komórki mózgowe. Brzmiały nieprzyjaźnie. Było w nich sporo ironii. Bolały i raniły. Nie lubiłam takiego tonu u Marcina.

– Błagam, bądź przyjemniejszy...

– Lena, w twoim małżeństwie musiało dziać się coś bardzo niedobrego. Nigdy cię nie pytałem, ale... Jestem pewien – kontynuował.

– Nie chcę o tym rozmawiać!

– Nie szkodzi, że nie chcesz. Sam się dowiem. Bóg mi świadkiem na niebie, że się dowiem. Muszę znać podłoże twojego zachowania. Bo chyba mnie się nie boisz? Lena, to niedorzeczne, żebyś jako osoba wykształcona, dyrektorka i inteligentna kobieta w taki sposób reagowała na lekarzy. To jest chore. Zakrawa na fobię. Dowiem się wszystkiego wkrótce – obiecał sobie z nadzieją.

Zrobiło mi się głupio i przykro jednocześnie. Rozpłakałam się. Przecież nie mam tajemnic przed Marcinem, więc dlaczego tak się ciągle upieram? Dlaczego ma mnie badać obcy facet? Dlaczego nie on, Marcin?

O Boże! Nie powinnam przeginać, czuję, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Przecież w Zakopanem obiecywałam Marcinowi, że go nie zawiodę. Obiecałam, że będę się u niego leczyła. Nigdy nie wycofuję się z danego komukolwiek słowa. Nieraz powtarzam, że to nie w moim stylu.

– Marcin, posłuchaj...

– Nie, to bez sensu.

– Dobrze, obiecałam, że cię nie zawiodę, więc nie zawiodę. Dotrzymam słowa. Proszę, nie gniewaj się. Dobrze, będę twoją pacjentką. Obiecuję, że od dziś będę cię słuchała. Zgadzam się na wszystko. Słowo harcerza. Przepraszam za moje

zachowanie. Jestem wiecznie nie do zniesienia. Przyznaję, często mam wszystkiego dosyć. Naprawdę przepraszam... Panie doktorze, niech się pan na mnie nie gniewa...

Niepewnie usiadłam obok swojego lekarza. Objął mnie ramieniem i westchnął głęboko.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Lena, nie gniewam się. Pewnie, że się nie gniewam. Na ciebie nie można się gniewać – żartował.

– Dziękuję i przepraszam, bo przecież to pan wie, co dla mnie najlepsze. Ja na medycynie się nie znam – podlizywałam się Marcinowi.

Mówiłam zdecydowanie, chcąc rozładować nieprzyjemną atmosferę. Ale byłam chyba za mało przekonująca, gdyż Marcin przez dłuższy czas się nie odzywał. W końcu mu przeszło. Był taki dobry. Całował moje włosy. Cudownie...

– Nie znasz się na medycynie, ale masz sporą intuicję... Nie gniewam się, Lena. Słowo harcerza, kochanie, że się nie gniewam. Jak można gniewać się na dyrektora? – Zaczął mnie przedrzeźniać.

– Marcin, przestań.

– Nic a nic się nie gniewam. Proponuję zawarcie porozumienia. Ja postaram się uważniej cię słuchać. Pozwolę ci czasami decydować o sobie, nie wyłączając medycyny, oczywiście w rozsądnych proporcjach. Lenka, w zamian za to ty będziesz grzeczna. Zacznesz mnie słuchać. OK? – Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Był naprawdę dobrym człowiekiem. Przekonywałam się o tym coraz częściej. Miał do mnie wielką cierpliwość.

– OK, zacznę słuchać. Ciebie na pewno. Obiecuję.

– Już to słyszałem.

– Ale teraz się nie zawiedziesz.

– Czyżby?

– Marcin, daję słowo.

– Zobaczymy – nie dowierzał.

– Nie zaprzeczysz jednak, że przecież zwykły dyrektor nie jest partnerem do rozmowy dla ginekologa takiej rangi jak ty... – starałam się poluzować atmosferę.

– Zaprzeczę, księżniczko moja. Wiesz, jak na mnie wpłynąć – pokręcił głową. Jego usta były takie ciepłe...



## W prywatnym gabinecie Marcina

Po kolacji, na którą – szczerze mówiąc – miałam średnią ochotę, za to Marcin najadł się za nas dwoje, udaliśmy się do jego prywatnego gabinetu, mieszczącego się w południowej części domu. Było w nim niesamowicie biało, czysto i sterylne, aż do przesady.

Obiecałam mojemu lekarzowi tę wizytę, więc musiałam stawić czoła wszelkim przykrościom, które się z nią wiązały...

– Kto tu sprząta? Tak tu błyszcząco, kryształowo. Pełen blask – byłam lekko zdziwiona.

– Mam babeczkę, która codziennie zajmuje się porządkami.

– Jak to? Nie widziałam tu nigdy żadnej babeczki, nie mówiąc o pani Adeli, a trochę już mieszkam u ciebie – zadziwił mnie jak zwykle.

– Bo to niewidzialna babeczka – Marcin ciągle rozluźniał atmosferę. Chciał, żebym czuła się jak najbardziej swobodnie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dla mnie ta cała sytuacja jest bardzo stresująca.

– Nie rozumiem.

– Zupełnie niepotrzebnie się denerwujesz – przytulił mnie i pocałował w czoło.

Cała drżałam.

– Łatwo ci mówić. Marcin, dla mnie to naprawdę nie jest proste.

– Lenka, tyle razy rozmawialiśmy...

– I co z tego?

– Maglowaliśmy każdy szczegół, każde za i przeciw. Miałem nadzieję, że cię przygotowałam...

– Wiem. Tylko to pozwala mi ufać. Tobie ufać, Marcin.

– Cieszę się – pocałował mnie w policzek.

– Ja mniej. Wcale nie jest mi wesoło – uśmiechnęłam się lekko.

Nie zareagował.

– Już wiesz, jak wygląda mój gabinet, zatem do dzieła. Miejmy to badanie jak najszybciej za sobą – szepnął mi do ucha. Pocałował moje usta najdelikatniej, jak można.

Propozycja Marcina nie była dla mnie ani oczywista, ani łatwa do zaakceptowania. Wiedziałam, że to, co się kryło pod hasłem „do dzieła”, dla niego było bułką z masłem. Dla mnie oznaczało przełamanie bariery strachu, intymności, było niewygodne, aż do granic, i nie wiem, czego mogłam się spodziewać po jego zakończeniu. Dla niego to zwykła praca ginekologa. A dla mnie dalszy ciąg babskich tortur. Bałam się. Do tego jeszcze dochodziło skrępowanie.

– Marcin, chyba się wycofam, nie dam rady. Czuję... Czuję się źle i niezręcznie.

– Lenka, na litość boską...  
– Zaczekaj, zaczekaj chwilkę, jeśli możesz, to... – złapałam go za rękę.  
– Poczekam tyle, ile będzie trzeba. Nie bój się – zapewnił, znów całując mnie z czułością.

– Chwilka. Daj mi chwilkę.  
– Kochanie...  
– Mały moment.  
– Nie czuj się zażenowana. Pomyśl tylko: przecież nie planowaliśmy takiej sytuacji. Oboje nie wiedzieliśmy, że będziemy musieli zmierzyć się z dość trudną rzeczywistością.

– Masz rację, nikt nie miał pojęcia...  
– Lena, ja naprawdę próbuję cię zrozumieć.  
– Czy koniecznie muszę? Marcin!

Szukałam potwierdzenia dla tego, co i tak było nieodwracalne.  
– Musisz, chociaż wiesz dobrze, że w ogóle nie zamierzałem cię leczyć. Tę endometriozę dość ciężko zdiagnozować. Przecież wiesz, że nawet tak nie myślałem. Nic nie zapowiadało, że będę zmuszony. Po prostu tak wyszło. Samo życie napisało nam scenariusz. Skoro już tak jest, to obiecuję, że nie wydarzy się nic złego. Czy myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić? – Dodawał mi otuchy.

– Marcin, ale ja...  
– Co się dzieje? Masz jakiś kłopot, jakiś problem?  
– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Wciąż chyba nie jestem gotowa. To wszystko jest za trudne, takie... skomplikowane.

– Lena, przecież mi ufasz. O co znów chodzi?  
Staął naprzeciwko mnie i palcem powoli podniósł moją brodę do góry. Dobrze wiedział, o co mi chodzi.

– Ufasz, tak? – Bacznie mi się przyglądał.  
– Tak, ufam, bardzo ufam, ale myślę o czymś innym. Oczywiście, że ci ufam. Jest mi nawet głupio, że kiedyś w ciebie zwątpiłam, że nie pozwoliłam ci się zbadać, że pierwszy był Chojnacki. Teraz najchętniej cofnęłabym czas.

– Nie rób sobie wyrzutów. Miałaś prawo. Rozumiem tamtą decyzję. Wiele razy rozmawialiśmy na ten temat. Przerabialiśmy go tysiąc razy. Dzisiaj skupmy się na tym tu i teraz. Obiecywałaś, że mi pozwolisz. Lena, bardzo cię proszę, nie wracajmy do początku. Chcę, żebyś była rozsądna. Twierdzisz, że masz do mnie zaufanie. Więc o co chodzi?

– O strach, o zwykły strach. Boję się, znów się boję. Wiem, że powinnam doceniać, co dla mnie robisz. I oczywiście doceniam. Nie zamierzam cofać się znowu na początek drogi. Wiem, ile przeszłam, ile mnie kosztowało podjęcie decyzji, tej dzisiejszej właśnie. Wiem, Marcin, wiem, że to dla mojego dobra. Jednak czegoś się boję...

- Czego?
- Nie wiem.
- Lenka, proszę. Zaczniemy wreszcie.
- Za moment...

Spojrzałam na fotel. Byłam przerażona. Wcale nie udawałam.

– Niepotrzebnie się nakręcasz. Naprawdę nie musisz.

– Za chwilę. Chciałabym się jeszcze odświeżyć. Chyba rozumiesz? A potem pozwolę ci... będziesz mógł...

– Tak, oczywiście. Zaczekam tu na ciebie. Pospiesz się. Nie budujmy niepotrzebnego napięcia – wskazał mi drzwi łazienki.

Głupie myśli przychodziły mi do głowy pod prysznicem. Miałam nawet zamiar zamknąć się na klucz i pozostać w brodziku na zawsze. Na szczęście rozsądek wygrał z głupotą.

Kiedy wróciłam, Marcin stał w pełnym rynsztunku. Miał na sobie biały fartuch, coś na głowie i wydawał mi się dziwnie obcy. Cisza i sterylna biel wkoło potęgowały niepotrzebnie niepokój.

– Lena, podejdź, proszę. Czekam na ciebie. Chodź bliżej. Nie traćmy czasu – mówił zmęczonym, nieco błagalnym tonem.

– Dobrze.

– Chodź wreszcie! Szybko zaczniemy, szybko skończymy i po kłopotcie. Postaram się, żebyś czuła jak najmniejszy dyskomfort. Będę się starał. Obiecuję. Zrobię to badanie delikatnie, jak nigdy dotąd – nie żartował, wskazując ręką miejsce mojej tortury.

Byłam w szoku. Mechanicznie wykonywałam wszystko, czego mój lekarz sobie życzył. Zgadzałam się na wszystko wbrew sobie. W końcu ulokowałam się na fotelu. Nie mogłam opanować drżenia ciała. Wstydziłam się, ale nie mogłam nic zrobić. Marcin czuł wszystko, jestem pewna, że czuł. Nie reagował. Zapanowała zupełna cisza. Patrzyłam w biały jak śnieg sufit, gdy poczułam, jak Marcin całuje moją dłoń. Wiedział, że bardzo to lubię. Teraz nic na mnie nie działało. Nie pomagało ani trochę.

Nic nie mówiliśmy, gdy zniknął z mojego pola widzenia.

– Teraz będzie nieprzyjemnie. Postaraj się rozluźnić. Powinnaś. Poczekać. Będzie mniej bolało – rzekł nieco surowo.

I tak właśnie było, gdy wziernik był we mnie. Kobieta musi znieść wszystko, dosłownie wszystko – westchnęłam.

Począł chwilę. Dał mi odetchnąć. Badanie było dosyć długie i męczące. Nieprzyjemne i bolesne. Po prostu porażka. Nie było żadnego komfortu. Wiedziałam, że to nie jest wina Marcina.

Wokół panowała zupełna cisza. Wydawało mi się, że cała ta sytuacja trwa wieki. Było mi zimno, oddychałam głęboko i miarowo. Starłam się wytrzymać,

być dzielna. Chciałam choć raz zachować się jak dojrzała kobieta. Nie wiem, co Marcin o mnie sądził. Myślę, że tylko trochę mi się udało. To sprawka Marcina, przy którym czułam się jak małe, bezbronne dziecko. Nic w tym dziwnego. Był przecież nie tylko moim facetem, ale też najbliższym przyjacielem.

– Panie doktorze, co dalej? – Spytałam oficjalnie, gdy Marcin skończył swą powinność.

– Nie wygłupiaj się! Niczego złego nie przewiduję. Uwierz mi, że nic złego nie znalazłem. Nie bój się. Nie pozwolę zrobić ci krzywdy. Byłaś taka... Kocham cię.

Umył ręce w niewielkiej umywalce i wytarł je jednorazowym ręcznikiem.

– Marcin, chcę, żebyś wiedział, że bardzo doceniam wszystko, co dla mnie robisz. Ale czy te zastrzyki coś dały?

– To wszystko jest trudne do zdiagnozowania, endometrioza jest trudna.

– A więc?

– Spokojnie.

– OK.

– To miłe, że nareszcie mnie doceniłaś – uśmiechnął się.

– Jest mi głupio...

– To niech ci nie będzie. Lenka, cieszę się, że dojrzałaś do pewnych spraw, że potrafisz o nich mówić.

– Czy to jest normalne, że ja cały czas czuję jakiś lęk? Marcin, to jest normalne?

– Jest. Jak najbardziej. Wy, panie, już tak macie.

– Więc nie odbiegam od normy?

– Nie, ani trochę... Wręcz przeciwnie, jesteś prawdziwą kobietą. Taką cię kocham.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Przestań w kółko się zamartwiać. Teraz nie powinnaś uzalać się nad sobą. Musisz być silna. Będzie dobrze – stwierdził ciepło.

Wydawało mi się, że to on był bezradny i zakłopotany.

– Wstawaj, nie zamierzam dłużej cię męczyć.

Podał mi rękę i mój śnieżnobiały szlafroczek, jednocześnie pomagając mi zejść z fotela lekarskiego.

– Dziękuję. Doceniam to, co dla mnie robisz – szepnęłam po raz drugi.

– To ja dziękuję, Lena. Dziękuję za zaufanie. Zachowałaś się naprawdę profesjonalnie. Szanuję to. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Nie chciałam tego komentować. Pośpiesznie zarzuciłam szlafroczek, gdyż trzęsło mną zimno. Marcin powoli odwrócił mnie do siebie i nic nie mówiąc, pocałował moje usta. Długo nie przestawał.

– Dziękuję, kochanie, jeszcze raz ci dziękuję. Byłaś bardzo dzielna – szepnął

mi do ucha.

– Nie musisz – odwzajemniłam szeptem.

Zgasił światło, przekręcił klucz w drzwiach gabinetu i udaliśmy się do mieszkania, gdzie nastąpił dalszy ciąg moich tortur.

Po ostatnim obiecanym zastrzyku, który mimo moich próśb niestety dziś również mnie nie ominął, poczułam się znacznie lepiej. Za to Marcin był bardzo zmęczony. Nie okazywał tego, ale ja to po prostu czułam.

– Połóż się spać, odpocznij. Nie możesz być ciągle zmęczony – zwróciłam się do niego równie zatroskana jak on o mnie.

– Skoro prosisz, nie powinienem odmawiać. W takim razie chodźmy się wykąpać i wyśpijmy się dzisiejszej nocy – zgodził się ze mną.

– OK – przytaknęłam, choć wiedziałam, że łatwo z tym moim zasypianiem nie będzie. – Może dasz mi coś na dobre spanie? – Spytałam, przeczuwając, że to raczej zły pomysł.

– Lena, lepiej nie. Brałaś tyle zastrzyków. Może ci zaszkodzić jakaś tam tabletką. Nie powinnaś nadużywać tych śmieci. Wiesz dobrze, że nie lubię, gdy odżywasz się tabletkami przeciwbólowymi. Za dużo ich pochłaniasz.

– Przecież wiesz, że tylko one mi pomagają. Dzięki nim trwam jeszcze.

– Potrafisz mnie rozśmieszyć, kochanie. Właśnie obraziłaś cały medyczny świat. Wszystkich lekarzy, którzy ciężko zakuwali, by nimi zostać.

– Nie miałam najmniejszego zamiaru nikogo obrażać.

– Lena, myślę, że ty asekurujesz się niepotrzebnie.

– Nie będę się upierała. Już to sobie obiecywałam. Ty jesteś lekarzem. Ty znasz się najlepiej. Koniec, kropka.

– Nareszcie powiedziałaś coś mądrego. Chodź, zmierzę ci ciśnienie.

I nie zwracając na mnie uwagi, Marcin przyniósł aparat. Okazało się, że mam dobre, prawie dobre. Trochę mnie to uspokoiło. W końcu położyliśmy się spać. Zasnęłam szybciej, niż przypuszczałam.

## W klinice Marcina

Drzwi były lekko uchylone. Personel szpitala, wśród nich lekarze, przygotowywał się do codziennych zajęć. Był to zwyczajny, regularnie powtarzający się rytuał. Marcin tworzył dziś duet z Magdą. W asyście czuwał Chojnacki.

– Jeśli jest taki skład, wszystko musi się udać – zakomunikował anestezjolog Jacek Pawlicki.

Marcin uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał przyjaciela po plecach. Powoli i dokładnie mył ręce. Był zamyślony i spokojny.

– Czym się martwisz? – Zagadła Magda, chcąc rozpocząć czynność, którą właśnie kończył Marcin.

– Zdaje ci się, Madziu, nie mam powodów do zmartwień – odparł od niechcenia.

– Tym lepiej. Łatwiej będzie się nam dogadać przy stole. Nie lubię, gdy krzyczysz i szarogęsisz się na sali operacyjnej.

– Mam nadzieję, że spełni się to, o czym mówisz. Na pewno się dogadamy.

– Przynieśli już wyniki z laboratorium? – Magda zmieniła temat.

– Tak, przed chwilą zapoznałem się z nimi. Leżą na stoliku.

– Zdradź mi szczegóły.

– Magda, przecież ty znasz te detale o niebo lepiej ode mnie. Nie będę się kompromitował.

– Chcę, żebyś to ty prowadził całość. Ja będę trzymała haki.

– Nie bądź taka skromna. Sama sobie poradzisz z tak błahą operacją. Nie jestem pewien, czy w ogóle jestem ci potrzebny.

– Zawsze jesteś – uśmiechnęła się zalotnie.

– Przestań, czas już skończyć... Poza tym nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Powinieneś, Marcin, lecz wolisz się oszukiwać.

– Magda, musisz w końcu odpuścić. Tak nie można. Ułożysz sobie życie, zobaczysz, jeszcze będziesz szczęśliwa. Ja w to wierzę i szczerze ci tego życzę.

– Obawiam się, że bez ciebie nie będzie to takie oczywiste. Wciąż nie mogę się pogodzić, że nas już nie ma. Boże, jaka ja byłam głupia. Dlaczego do tego dopuściłam? Mogłam wcześniej ci się oświadczyć.

– Magda, przecież kobieta nie oświadcza się mężczyźnie, jest dokładnie odwrotnie – zdziwienie Marcina zdawało się nie mieć końca.

– Ale ja zwariowałam. Mam powód, kocham cię. Nie możesz mi tego zabronić.

– Magda, powinnaś... Skup się na pracy. Zaraz operujemy. Nie rozklejaj się, nie możesz. Teraz pacjentka jest najważniejsza. Myślę, że to rozumiesz.

– Nie chcę rozumieć. Nie wiem, czy dam radę operować w spokoju.

– Musisz. Chodź, już czas na nas. Niech Chojnacki się nie domyśla Bóg wie czego. Nie chcę plotek w klinice.

– Masz rację, ja też tego nie chcę. Chcę zupełnie czegoś innego, ale wiem, że to dla mnie nieosiągalne.

– Wszystko przygotowane. Magda, proszę cię, musimy zaczynać. Życz nam powodzenia.

– Życzę, uda się. Sam mówiłeś, że to nie takie trudne. Przy tobie wierzę w to jeszcze bardziej.

## Szara rzeczywistość

Jak wskazywały wszelkie znaki na niebie i ziemi, nazajutrz miałam wrócić do pracy. Przynajmniej na jakiś czas. Tak właśnie się stało. Wróciłam. Czułam się już całkiem nieźle.

Zaraz w progu powitały mnie sterty papierów, pism, listów, korespondencji i paczek. Tego dnia wykonałam kawał dobrej roboty. Byłam na spotkaniu z panią prezydent. Weszłam też na chwilę do koleżanek z oświaty. Musiałam nadrobić zaległości, które piętrzyły się jak książki na zaniedbanym strychu. Nie było łatwo poradzić sobie ze wszystkim. Musiałam działać w dość ekspresowym tempie. Dałam radę. Nie było ze mną wcale tak źle. Coraz bardziej zaskakiwałam sama siebie.

Teraz czekała mnie intensywna praca. Mieliśmy zapowiedzianą kontrolę z warszawskiego kuratorium oświaty. To była prawdziwa harówka. Razem z nauczycielami musiałam przygotować przedszkole na tip-top. Zaangażowali się wszyscy. Kilka dni siedzieliśmy w przedszkolu do dziewiątej wieczorem.

Wkrótce okazało się, że jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy. A jako grono pedagogiczne wybiegamy daleko do przodu. Co mam na myśli? Otóż dużo! Teraz nie, ale może kiedyś o tym opowiem.

Dziś był mój szczęśliwy dzień. Właśnie zostałam powiadomiona o zamiarze przedłużenia mi kontraktu na dyrektora na kolejnych pięć lat. Szybko wykręciłam numer telefonu do Marcina.

- Dzień dobry, kochanie.
- Dzień dobry. Jakie wieści?
- Jestem bardzo szczęśliwa.
- Gratuluję. Lenka, cieszę się razem z tobą. Musimy to jakoś uczcić.
- Może kiedyś...
- Nie mówisz poważnie? Nie będziemy tego przekładać. Przyjadę po ciebie do przedszkola. Potem coś wymyślimy.
- Ale Marcin...
- Co się dzieje?
- Jakoś dziś mi się nie chce.
- Będę po piętnastej na parkingu i nie chcę słyszeć marudzenia. O samochód nie musisz się martwić. Nie wyobrażam sobie sprzeciwu.

Marcin jak obiecał, tak zrobił. Zawsze było podobnie, więc się nie zdziwiłam. Podjechał punktualnie razem z Kazimierzem. Podeszli do mnie obaj. Marcin z kwiatami, a Kazimierz z gratulacjami i pocałunkiem złożonym na mojej dłoni. Zawsze witał się w ten sposób. Nigdy ze mną nie rozmawiał, chyba że o coś spytałam. Właściwie nigdy nic nie mówił. Posłusznie wykonywał polecenia Marcina. Tak też było tym razem. Odebrał ode mnie kluczyki, które mu podałam



po chwili grzebania w torebce. Pożegnał się z nami i niczym robot oddalił się do mojego samochodu, którym odjechał w kierunku Mokotowa. My pozbyliśmy się zbędnego sprzętu i Marcina samochodem wyruszyliśmy świętować moje zawodowe sukcesy. Humor znacznie mi się poprawił.

– Dziękuję, że mnie tu zabrałeś – byłam w rajach...

\* \* \*

Za oknem księżyc świecił srebrzystą barwą. Leżeliśmy w łóżku. Było mi dobrze.

– Lenka, coraz bardziej martwię się o ciebie...

– Dlaczego? – Przerwałam wypowiedź Marcina.

– Kochanie... – uniósł głowę znad poduszki i przyglądał mi się z uwagą.

– Znowu zaczynasz? Marcin, daj spokój, nie bądź monotematyczny. To takie nudne.

– Lena, zastanawiam się, czy ty w ogóle masz siłę do pracy. Nie powinnaś się zbyt mocno forsować. Przesadzasz z tymi obowiązkami służbowymi. Za dużo na siebie bierzesz. W pracy – praca, w domu – praca. Jesteś niepoważna!

– Daję słowo, już dawno nie czułam się tak świetnie. Praca bardzo mi pomaga. Uwierz, to najprawdziwsza z prawd. Jest dla mnie balsamem na rany. Kocham pracować. Nie wyobrażam sobie inaczej. Bez pracy dawno bym nie żyła, przynajmniej nie tak dobrze.

– Skoro tak mówisz, nie mam powodów ci nie wierzyć, choć nie mam pojęcia, co masz na myśli.

– Nic nadzwyczajnego. Nie chce mi się teraz o tym mówić – odetchnęłam z ulgą.

– Lena, przepraszam, dzwonią do mnie z kliniki – Marcin złapał telefon. – Czy to coś pilnego? Jestem trochę zajęty. Jeśli tak... Dobrze, będę za godzinę. Niedługo wyjeżdżam. Dajcie jej doraźnie kroplówkę, na razie... Zobaczmy, co dalej. Nie wiem, nie jestem duchem świętym...

– Nie zrobisz mi tego? Marcin, nie zrobisz?

– Muszę...

– Ciągle mnie uświadamiasz, że to ja za dużo haruję, a ty? Popatrz tylko, co ty wyprawiasz.

– Lenka, muszę pojechać, przecież wiesz...

– Oczywiście, niezastąpiony pan doktor.

– Przecież rozumiesz...

– Nie, nie rozumiem. Nie tym razem. Mam dosyć. Przecież my się ostatnio prawie nie widzimy.

– Miałem nadzieję...

– To źle myślałeś.

– Zapowiada się pracowity dyżur. Nie mogę odmówić. Nie teraz... Nie gniewaj się. Wszystko ci wynagrodzę, jak wrócę, obiecuję.

– W kółko to samo. Pouczasz mnie, a sam nie jesteś lepszy.

I tyle widziałam mojego Marcina. Obydwoje zwariowaliśmy. Cholerni pracoholicy.

\* \* \*

Życie co jakiś czas dawało mi do zrozumienia, że sielanka nie trwa wiecznie. Nie ma bata. Po czymś dobrym musi przyjść zło. Tak się okazało i w moim przypadku. Całe szczęście, że właśnie to, co najgorsze, stało się przy Marcinie, w jego domu, a nie u mnie w pracy czy na ulicy.

Znowu pewnego popołudnia w sobotę zrobiło mi się niedobrze. Właśnie kończyłam smażyć naleśniki, kiedy nagle zachciało mi się rzygać, jakbym była w ciąży.

– Nie jesteś. Na pewno nie. Mogę ci przysiąc – zapewniał Marcin.

– Nie mamy pewności. Marcin, obawiam się. A jeśli to ciąża? W moim wieku... Nie chcę o tym nawet myśleć.

– Przestań się nakręcać. Jestem pewny, że nie jesteś w żadnej ciąży – skarcił mnie.

– Nie jesteś jasnowidzem. Obydwoje wiemy, że tak mogło się zdarzyć – westchnęłam.

– Ale ginekologiem jestem. Lena, znam się na tych sprawach.

– To nie ma nic do rzeczy. Ginekolodzy też mają dzieci. To wola bardziej boska niż lekarska.

– Lenka, czy ty zawsze musisz mieć powód do zmartwień?

– Dobrze, jeśli chcesz się przejmować, zostawiam ci to zmartwienie.

– Myślę, że odpowiedzialność powinna być wspólna. Nie sądzisz?

– Jeśli będziesz miała rację z tą ciążą, to przyłączę się do odpowiedzialności za nasze dziecko. Ale na razie nie myśl o tym.

– Ale my jesteśmy już za starzy na dzieci.

– Zobaczymy – uśmiechnął się.

Zajadaliśmy naleśniki. Uściślając, Marcin jadł je z apetytem, a mnie cały czas mdliło. Straszne uczucie...

– Lenka, dlaczego ty jesteś taka uparta? – Pomrukiwał.

Nie zdążył o nic więcej zapytać, gdyż zadzwonił telefon. Tym razem stacjonarny. Kto to może dzwonić? Akurat teraz? Byłam szczęśliwa, że nie muszę odpowiadać na głupie pytania Marcina. Jednak ciekawiło mnie, kto tak późno do niego wydzwania. Ufałam Marcinowi, ale zaciekawienie nie malało. Marcin nie może mnie oszukiwać. Jest za uczciwy. O tym, czy tak było na pewno, przekonałam się nieco później.

Mój partner długo rozmawiał z kimś o mnie, jak zdążyłam się zorientować, o mojej kondycji zdrowotnej. Nie ukrywał tego. Poczekalam cierpliwie. O nic pierwsza nie pytałam. To on w końcu wymyślił u mnie chorobę, niech więc teraz to piwo sam wypije. Byłam nieco złośliwa. Taka to ze mnie zadra.

\* \* \*

Szczęście w nieszczęściu zadzwoniła moja mama. Jest mistrzynią w dzwonienu o najbardziej niewłaściwej porze. Przeważnie wtedy, gdy najbardziej tego nie chcę lub zwyczajnie nie mam czasu z nią rozmawiać. Oczywiście połączyła się ze mną, na moją komórkę, bo przecież o Marcina telefonie stacjonarnym nic nie wiedziała. Co ja mówię, ona w ogóle o istnieniu Marcina nic nie wiedziała. Jeszcze jej nie powiedziałam.

– Czemu się w ogóle nie odzywasz, córeczko? Martwimy się. Myślimy z ojcem... – zaczęło się.

– Oj, mam, daj spokój. Przecież wiesz, ile mam pracy. Nic złego się nie dzieje. Pracuję, śpię, oddycham i tak w kółko – szybko dałam rutynową odpowiedź.

– Klasyka. Jak zwykle zapracowana. Praca i praca. Czas ucieka ci między palcami... A może byś nas odwiedziła, córeczko? Tęsknimy za tobą – miała na myśli siebie i tatę.

– Mamo, teraz nie, naprawdę nie mogę. Jestem zajęta. To zły moment.

Nie chciałam jej w nic wtajemniczać. Uważałam, że na wszystko przyjdzie czas.

– Pracuj, pracuj, a garb ci sam wyrośnie. Znasz takie powiedzenie? – Mama nie dawała za wygraną.

– Znam, ale nie mogę nagle odłożyć obowiązków i przyjechać do was. Nie mam urlopu. Mamo, musisz mnie zrozumieć. Spróbuj. Wiesz, że mam rację?

– Wiem, wiem. Praca, praca, a co z twoim życiem osobistym? – Mama westchnęła głęboko.

– Mamo, proszę cię, nie zaczynaj od nowa...

– Dlaczego tak się bronisz?

– Nie mam czasu na głupoty.

– Znalezienie sobie drugiej połowy nazywasz głupotą?

– Tak, mam, właśnie tak to nazywam.

– Nie mam do ciebie siły. Ty się nigdy nie zmienisz.

– Nie rozmawiajmy już na temat moich związków. Nie chcę się kłócić.

– Zawsze mnie zbywasz, przyzwyczaiłam się.

– Mamo, nie zbywam cię. Źle to odbierasz. Proszę, żebyś tak nie myślała.

– A jak mam myśleć, skoro ty w ogóle nie myślisz?

– Nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć.

– Jeśli masz opowiadać bzdury, to lepiej nic nie mów.

Rozmowa potrwała jeszcze chwilę, gdyż okazało się, że mama ma jakieś darmowe minuty i chce je wykorzystać. Oczywiście wpadła na genialny pomysł, że może to zrealizować, dzwoniąc do mnie.

OK, niech tak będzie. W końcu jestem jej córką. Zapytała też o moje zdrowie, ale nic jej nie powiedziałam. Po co mam ją martwić? Niezła ze mnie kłamczucha. Żeby nie było nieporozumień: zrobiłam to tylko dla dobra swojej rodzicielki.

\* \* \*

Wreszcie, gdy nagadałam się z własną mamą, usiadłam wygodnie na kanapie tuż obok Marcina. Siedzieliśmy przed telewizorem wpatrzeni w zmieniające się klatki reklam. Wtuliłam się w niego, gdyż zrobiło mi się zimno. Najprawdopodobniej z wrażenia. Sama nie wiem.

Jakiś czas milczeliśmy, wreszcie Marcin zaczął mówić.

– Pewnie twoja mama dzwoniła? Rozmawiałaś z nią? Mam rację?

– Tak, to ona.

– Pani dyrektor, ciekaw jestem, kiedy będę mógł poznać starszą panią osobiście.

Uśmiechnęłam się szelmowsko.

– Przyjdzie czas, będzie rada – odpowiedziałam wymijająco.

– Zgadzam się, kochanie. Będzie dokładnie tak, jak sobie życzysz.

– Marcin, proszę cię, nie mam ochoty na żarty.

– Jestem bardzo poważny. Lena, dzwonił do mnie ojciec. Mój ojciec. Słuchasz mnie? Rozmawialiśmy o tobie – zmienił temat.

– No i, panie doktorze? Co z tego? – Zapytałam, udając niezrozumienie.

– Czy zgodziłabyś się na konsultację u niego? Powinnaś, jesteś mądrą dziewczynką.

– Marcin, nie lubię! Nie nazywaj mnie dziewczynką. Do czego dążysz? Co masz na myśli?

– Konsultację ginekologiczną. Musisz. Już ci mówiłem, że ta endometrioza jest trudna do zdiagnozowania. Ty pomimo kuracji antybiotykowej wciąż masz bóle. On jest lepszy ode mnie. Mam na myśli ojca.

– Proszę cię, nie każ mi tego słuchać.

– Lena, bądź rozsądna...

– Nie, nie wymagaj rzeczy niemożliwych – powiedziałam stanowczo.

– Jak zwykle ta sama... – Marcin westchnął głęboko.

– To konieczne? Naprawdę nie ma innego wyjścia? Naprawdę muszę? Przecież zapewniałaś, że z moim zdrowiem jest coraz lepiej. Po co jakieś konsultacje?

– Nie bądź zdziwiona. Chciałbym, żeby ojciec zaproponował coś konkretnego w twojej sprawie. Ciągłe ci niedobrze, boli cię w dole brzucha, masz chwilowe niedyspozycje, coraz częstsze problemy ze zdrowiem. To nie jest normalne. Chciałbym, żeby ojciec wypowiedział się w sprawie twojego dalszego leczenia i... Lena, nie słuchasz mnie. Nie obiecywałem nigdy tego, że... – nie dokończył.

– Jak to w mojej sprawie? Dlaczego? Marcin, naprawdę myślisz, że powinnam jechać do twojego taty? To ja niepotrzebnie brałam tyle tych zastrzyków? To chcesz mi powiedzieć? Bo nie wiem.

– Tak, przykro mi. To jedyna słuszna alternatywa.

– Marcin, czy ty nie za dużo ode mnie wymagasz? Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie, to nic nadzwyczajnego.

– Uważasz, że to normalne? Przecież to twój własny ojciec.

– Tak, mój. I co?

– Przecież będę się krępować, czuła przy nim niezręcznie, w ogóle przy was obydwu. Nie potrafiłabym. Po prostu nie wierzę, że coś takiego wpadło ci do głowy. Nie do wiary! Zapomnij o tak nedorzecznym pomysle. Udam, że tego nie słyszałam.

– Lena, nie uciekniesz przed problemami. Musisz to w końcu zrozumieć.

– Nie zgadzam się! Niczego nie muszę i nie zamierzam. Zostaw mnie w spokoju! Nie proponuj mi więcej podobnych bzdur. Ja nie mam aż takich problemów, a jeśli ty je masz, musisz poradzić sobie z nimi beze mnie.

– Daj sobie pomoc. Przecież masz mnie. Nie skrzywdzę cię. Powinnaś już dawno wiedzieć. Posłuchaj, zrozum, uwierz, to najlepsza propozycja z możliwych.

– Szczerze w to wątpię.

– Boję się o siebie.

– To się nie bój.

– Dlaczego ty się tak upierasz?

– Zawsze coś powinnam, coś muszę, coś mi każesz, zalecasz. Marcin, ja przy tobie czuję się jak twoja mała córeczka. Zauważyłeś? Teraz nawet bardzo.

– To ty przesadzasz.

– Nie. Nie, to nedorzeczne. Ciągłe coś drążysz. Czegóż wymagasz. Wiesz, trudno mi uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że sam to wymyśliłeś. A może wspólnie z Chojnackim? Wam nie wyszło, niech się ktoś inny pomęczy. Nie, mam tego dosyć!

– Lenka, błagam, to naprawdę nie było trudne.

– Nie przerywaj mi! Znasz mnie już trochę. Nie umiałabym... Marcin, opanuj się. Nie możesz żądać ode mnie jakichś poronionych badań. To nie w porządku. To bardzo nie w porządku – zdenerwowałam się.

Wstałam z kanapy i wyszłam do kuchni. Marcin pozwolił mi wyrazić swoje zdanie, które w zasadzie znał doskonale. Wiedział dokładnie, co sądzę o leczeniu

się w ogóle, a już u jego ojca – katastrofa jakaś!

– Lena, nie bądź obrażona. Ja nie żądam, ja proponuję. I mówię to z całkowitą odpowiedzialnością za ciebie, zupełnie poważnie. Powinnaś pojechać. Powinnaś się zdecydować. Krótka piłka. Nie wol no nam dłużej czekać. Szanuję twoje zdanie, wiesz dobrze, że tak jest, liczę się z nim, ale musimy, gdyż twoje zdrowie szanuję jeszcze bardziej. Proszę. A o Arturze nawet mi nie wspominaj, bo się pogniewamy.

– Niczego nie muszę. Na nic się nie zgadzam. Nie namówisz mnie. Chyba cię to nie dziwi?

Rozpłakałam się. Nie potrafiłam udźwignąć tego, co proponował Marcin.

– Lena, nie płacz, wiesz, że nie lubię, gdy... Ale jeśli łyzy miałyby ci pomóc, OK, możesz sobie ulżyć.

– Dzięki za łaskawość – zadrwiłam.

Marcin udął, że tego nie słyszy.

– Kuracja zastrzykami się nie powiodła. Dała niewielki rezultat. Bierzesz drugą serię. Nie ma sensu męczyć cię trzecią. Wiele razy ci tłumaczyłem. Musimy rozpocząć inny sposób leczenia. Zresztą sama masz dosyć strzykawek – zdecydował za mnie któryś raz z kolei.

Mówił coraz głośniej do kuchennej ściany. Siedziałam teraz na bombie zegarowej. Moja egzystencja uzależniona była od nieustannego jej tykania. Powinnam się modlić, żeby nie nastąpił wybuch. Nie miałam pojęcia, kiedy tak się stanie i czy w ogóle. Bałam się wszystkiego. Paraliżował mnie strach.

– Marcin, posłuchaj, ja naprawdę jestem w rozterce. To dla mnie bardzo niekomfortowa sytuacja. Spróbuj znaleźć się na moim miejscu, chociaż przez chwilę. Wczuj się w to, co ja czuję. Pomyślałeś trochę? I nie męcz mnie. Na razie zostaw w spokoju. Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić. Prześpię się z tematem i dam ci odpowiedź. Jutro ci odpowiem. Na razie nie dowierzam, że coś takiego wpadło ci do głowy. To niewiarygodne. To nie może być prawdziwe. Obiecywałeś, że sama będę decydowała o sobie. Ciągłe kłamiesz.

– Obiecywałem, faktycznie... Jeśli nie zgodzisz się na dalsze leczenie w klinice mojego ojca, nie zmuszę cię. Wolałabyś, żeby kto inny cię leczył? Uszanuję twój wybór. Decyzja należeć będzie tylko i wyłącznie do ciebie.

– Marcin, ja nie mam do ciebie siły! Niczego nie wolę, jedynie być zdrową. To właśnie wolę – odpowiedziałam najgłupiej, jak mogłam.

Ponownie usiadłam na kanapie i wtuliłam się w poduszkę. Nie chciałam rozmawiać. Potrzebowałam świętego spokoju, niebiańskiej ciszy i ogromu czasu. Zwłaszcza tego ostatniego. Milczeliśmy. W końcu Marcin wznowił rozmowę.

– Kochanie, spójrz na mnie. Nie skrzywdzę cię. Obiecuję, dotrzymam słowa. Nie zamartwiaj się. Nie może się stać nic złego. Przysięgam. Proszę, posłuchaj mnie! Wszystko się ułoży. Pamiętasz słowo harcerza? To z gór. Ja ci takie właśnie

dzisiaj daję. Przysięgam.

Kilka razy pocałował moje mokre oczy. Nie miałam siły ani bronić się, ani trzymać Marcina na dystans. Pragnęłam, żeby był blisko mnie. Czułam się przy nim bezpiecznie.

Zanim poszliśmy spać, jeszcze długo kręciłam się po domu. Rozmyślałam i płakałam, i znów rozmyślałam, i... na przemian.

Po długich negocjacjach z moim lekarzem w końcu zawarliśmy ugodę. Nie miałam innego wyjścia. Przecież nie znałam się na tej skomplikowanej medycynie. Nie mogłam wiedzieć, czy koniecznością jest konsultacja u ojca Marcina, czy lepiej się wycofać, bo może być jeszcze gorzej. Czy leczenie jest dla mnie niezbędne czy zbędne? A Marcin był przecież ginekologiem, i to nie byle jakiej klasy. Na pewno chciał dla mnie dobrze. Musiałam mu zaufać i tak zrobiłam. Czy to była dobra decyzja w moim życiu? Jak zwykle dowiedziałam się znacznie później.

– Zgoda, niech ci będzie, pojedę do twojego ojca, chociaż to dla mnie strasznie trudne, niezmiernie żenujące... Dramat jakiś! Katastrofa w przestworzach.

Pocałował moje ramię. Potem dłonie i szyję kilkakrotnie.

– Marcin... – prosiłam, ale nie przestawał.

– Cieszę się, że się wreszcie zdecydowałaś. Zobaczysz, że to najlepsze, czego możemy teraz dokonać. Będę z tobą. Kocham cię, Lenka, tak bardzo cię kocham.

– Może położmy się już spać – zaproponowałam nieśmiało.

– Jeśli myślisz, że pozwolę ci spokojnie zasnąć, to się mylisz. Lena, muszę się dzisiaj tobą nacieszyć. Kto wie, jak długo będziesz mi kazała na siebie czekać po wizycie u mojego ojca?

– Zakładasz, że może być aż tak źle? Wariat. Stuprocentowy wariat. Marcin, nie wiedziałam, że możesz być aż tak niepoważnym facetem.

Uśmiechał się łagodnie.

– A mówiłaś, że mnie znasz.

– Nie wiem, pewnie się myliłam.

Było mi tak dobrze, tak dobrze...

## W klinice Jeremiasza

Ustaliliśmy urlopy i podobno na cały tydzień mieliśmy wyruszyć na Śląsk, do kliniki sławnego ojca Marcina Prajsa.

Mój kompan był całkowicie wyluzowany, a mnie towarzyszyło ciągle napięcie. Odczuwałam nieustający niepokój. Czułam się wykończona i zmęczona. Ciągle trzęsłam się z zimna. Nie mogłam spać. Nie mogłam jeść. Nie mogłam się kochać. Niczego nie mogłam. Całe szczęście, że jeszcze oddychałam. Przeżywałam prawdziwe tortury. Wiecznie było mi niedobrze, a ciągła niepewność zżerała mnie od środka. Tak w skrócie przedstawiało się moje samopoczucie.

Mniej więcej o dziewiątej rano wyjechaliśmy z Warszawy. Marcin chciał jak najszybciej dotrzeć do Katowic. Taki miał plan i nikt nie śmiał mu go zburzyć.

– Marcin, czy my poruszamy się po torze wyścigowym? – Spytałam, gdy szalał za kierownicą, wyprzedzając wszystko na drodze.

– Nie, kochanie, to tylko autostrada. Przypominam, gdybyś się pogubiła – odparł bez troski.

– Przestań. Nie musisz się popisywać. Wiesz, że nie lubię szybkiej jazdy.

– To jakaś nowość. Czy może nie jadę z panią Zawrocką? Gdy występujesz w roli kierowcy, zmieniasz zdanie. Zamieniasz się w pirata drogowego, a ja nie marudzę.

– Co sugerujesz?

– Nic nie sugeruję, jedynie nieśmiało nadmieniam.

– Marcin, nie będę tego słuchała! Zwolnij!

– Lenka, samochody mają jeździć, a nie stać w miejscu.

– Zwolnij, błagam. Mam złe przeczucia – skamlałam.

– Kochanie, spieszmy się. Mamy mało czasu. Nie powinniśmy się spóźnić – przypomniał.

– Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Słyszałeś o tym? – Nigdy – nie opuszczał go entuzjazm.

– Marcin, chcę się z tobą zamienić. Wpuścisz mnie za kierownicę albo wysiadam.

– Nie mogę się zatrzymać na autostradzie, to niemożliwe. Przecież wiesz.

– Więc zmniejsz prędkość. Tyle możesz...

– OK. Zaraz zacznę za mną trąbić. Chcesz się przekonać?

– Nie dbam o to.

– Ale ja muszę. Zwłaszcza zadbać o twoje, o nasze bezpieczeństwo. Chcę nas dowieźć w całości do mojego ojca – poprawił się szybko.

– Marcin, dlaczego jesteś taki uparty? Przecież wiesz, że mam dość adrenaliny. Jadę do szpitala. Nie wiem, co mnie tam czeka. Nie chcę się dodatkowo denerwować. Jesteś lekarzem, powinieneś zrozumieć. Przeżywam wizytę w klinice



i dodatkowo mam się stresować jazdą z tobą? To jakiś horror! Miałam nadzieję, że mnie będziesz wspierał.

– Nie musisz niczego przeżywać. Panuję nad wszystkim. Nie wydaje mi się, żebym jechał za szybko i przekraczał granicę bezpieczeństwa. Nie jestem uparty. Jestem zakochany.

– Jakoś dziwnie wyrażasz swoje uczucia.

– Nie powinniśmy się spóźnić. Oto cała strategia.

– Już to słyszałam. Jak długo jeszcze to będzie trwało?

– Co?

– No ta niepewność, te wizyty, te lekarstwa, zastrzyki, badania...

Rozmowę przerwała nam melodia z komórki.

– Chwileczkę, muszę odebrać – zakomunikował mój kierowca. – Słucham cię, Magdo. Nie, nie będzie mnie w pracy, mam urlop. Nie będzie mnie dziś. Przykro mi. Jestem w trasie. Jadę do ojca, to znaczy jedziemy z Leną. Jutro nie wiem. Musisz sama sobie poradzić. Nie pomogę ci. Pa. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Pa. Oczywiście, że możesz... Pa. Nie wiem, kiedy uda mi się wrócić do Warszawy.

Marcin odłożył telefon.

– To ona? – Zdobyłam się na odwagę.

– Tak, Magda, jeśli o nią pytasz.

– Jak zwykle.

– Lena, nie przesadzaj, to tylko sprawy służbowe. Z kliniki wydzwania. Nie martw się. Proszę. Nie masz powodu. Jeśli nie chcesz, nie będę więcej od niej odbierał.

– To nie chodzi o ten durny telefon.

– A o co?

– Myślisz, że nie powinnam się przejmować tym, że ciągle cię podrywa?

– Lenka, proszę, bądź rozsądna...

– Marcin, takie są fakty. Gdziekolwiek byśmy się nie znajdowali, ona wszędzie potrzebuje twojej pomocy. Wiecznie odbierasz od niej cholerne telefony. Nie czujesz się osaczony?

– Lubię, gdy jesteś o mnie zazdrosna, ale naprawdę nie masz powodu do zamartwiania się. Przecież wiesz, że rozmawiam z nią jedynie służbowo.

– No właśnie nie jestem pewna, czy tylko...

– Lena, ja ciebie naprawdę bardzo kocham. Ciągle mi nie wierzysz? Nie masz do mnie zaufania?

Pocałował mnie w ramię.

– OK. Skoro zapewniasz, przestaję się martwić.

– Magda to tylko koleżanka z pracy. Przecież wiesz, że nic nas poza pracą nie łączy – patrzył na mnie.

– Pilnuj kierownicy. Wcale nie jestem zazdrosna – odparłam niepewnie, patrząc przed siebie. Ona wszędzie go znajdzie. Co za baba, jeszcze to mi potrzebne! Byłam wściekła.

\* \* \*

Po dwunastej dotarliśmy na miejsce, do prywatnej kliniki w Katowicach.

Pan Jeremiasz Prajs, szef ginekologii, tato Marcina, przywitał się z nami serdecznie. Wyczałował mnie jak własną córkę, gdzie się tylko dało, i chyba sprawiało mu to sporo radości. Marcina zaś poklepał swą ojcowską ręką po ramieniu. Gołym okiem było widać, jak bardzo go kochał. Długo, długo przebiegała nasza konwersacja. Odnosiłam wrażenie, że znamy się od wieków. Ale po kolei.

– Pani Leno, najpierw proponuję odetchnąć po podróży, a następnie pozwolić, że popytam. Interesuje mnie kilka istotnych szczegółów, które będą mi niezbędne do postawienia właściwej diagnozy. Muszę porozmawiać z panią sam na sam. To będą bardzo osobiste pytania. Dopiero w dalszej kolejności, jeśli pani wyrazi chęć, przeprowadzę badanie. Na wszystko, co zamierzam zrobić, potrzebuję zgody pacjentki. A pani od tej chwili jest moją podopieczną. Prawda?

– To prawda, jestem – przytaknęłam. Wyboru mi nie dał.

– Kochani, zapraszam do gabinetu – zwrócił się do mnie i Marcina. Zachowywał się profesjonalnie i rzeczowo. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej o mnie samej i moich dolegliwościach. Długo rozmawiał z Marcinem. Coś ustalali między sobą. Nie wszystko do mnie docierało, nie wszystko rozumiałam. Terminologia lekarska zawsze była poza zasięgiem mojej inteligencji. Nie potrafiłam zapamiętać nawet najprostszyc nazw leków, a co dopiero dyskutować o jakiejś endometriozie, na której w tej chwili obaj panowie byli bardziej skupieni niż na mnie. Wreszcie skończyli.

– Tak jak się umawialiśmy, będę musiał panią zbadać i porozmawiać. Zrobię to w odwrotnej kolejności. Najpierw rozmowa, potem reszta. Zgoda? – Ojciec Marcina zwrócił się do mnie.

– Dobrze, ale muszę się odświeżyć. Po podróży brakuje mi poczucia komfortu – oświadczyłam równie rzeczowo.

– Oczywiście, rozumiem, kobiety – pan Jeremiasz się uśmiechnął.

– W takim razie umówmy się za godzinę w moim gabinecie. A teraz mój syn zaprowadzi panią w miejsce, gdzie będzie się pani mogła przygotować. Poproszę, żeby później weszła pani do mnie sama. To ważne. Bez Marcina.

– Dobrze – spojrzałam na ukochanego, szukając w jego oczach potwierdzenia, że robię dobrze.

– Lenka, chodźmy, szkoda czasu.

Marcin podniósł z podłogi podręczną torbę, objął mnie swym ramieniem i

udaliśmy się do nieznanego mi pomieszczenia.

– Byłam oszołomiona. Nie bardzo wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. Posłusznie wykonywałam polecenia obu panów.

– Marcin, jestem gotowa, możemy wracać do twojego ojca. Nie szkodzi, że wszystko robię wbrew sobie. Chodźmy, bo zaraz się rozmyślę. Nie mam pewności, czy dobrze postąpiłam, że w ogóle tu przyjechałam.

– Lena, znowu? Nie możesz ciągle się zamartwiać – Marcin przytulił mnie do siebie.

Do gabinetu na szóste piętro pojechaliśmy windą. Pan Jeremiasz długo ze mną rozmawiał. Pytał, pytał, pytał. Ponieważ oboje czuliśmy się gotowi, lekarz wykonał obiecane badanie. Po prostu zaczęło się to, czego kobiety nie lubią najbardziej.

Okazało się, że ta ginekologiczna wizyta nie była aż tak bardzo przykra. Jak to się mówi? Nie taki diabeł straszny, jak go malują. A może to ja przyzwyczaiłam się już do tych samolotowych wizyt? W końcu trochę ich miałam za sobą. Ostatnio dużo więcej niż kiedykolwiek wcześniej w swoim życiu. Potem jeszcze USG i koniec.

Ojciec Marcina obiecał, że postara się jak najszybciej wykonać analizę danych i wyjaśni mi wszystko, co wiąże się z moją niedyspozycją. Potwierdził przy mnie diagnozę z Warszawy. Endometrioza. To miałam na pewno. W podjęciu decyzji co do mojego dalszego leczenia miał mu pomóc mój Marcinek. Musieli zwołać małe konsylium. Porównać stanowiska. Fachowo pogadać. Na razie obydwaj dali mi spokój. Nareszcie!

W końcu znaleźliśmy czas na niezobowiązujące spotkanie w szpitalnym barze i wypicie kawy. We trójkę uczestniczyliśmy w degustacji czarnego trunku. Pycha!

Na szczęście nie rozmawialiśmy już o chorobach. Odetchnęłam z ulgą. Trochę się rozluźniłam, gdyż wiedziałam, że przynajmniej na dziś koniec tych trudnych badań. Co prawda miałam świadomość, że jestem w najlepszych rękach, jednak w mojej głowie było wiele znaków zapytania. Musiałam wierzyć Marcinowi i ufać jego ojcu. Cóż, nadzieja umiera ostatnia. Nie byłam pewna, czy moja jeszcze żyła.

\* \* \*

Ojciec Marcina niczego nie owijał w bawełnę. Bardzo rzeczowo oznajmił, że w moim przypadku operacja jest konieczna. Leczenie antybiotykami niestety nie pomogło, nie powinnam się spodziewać cudu i liczyć na to, że choroba sama ustąpi. Bo tak się nie stanie.

Wystraszyłam się, gdy z wielką powagą mówił o tym, co zamierza. Nie chciało mi się wierzyć, że sytuacja, w której obecnie uczestniczyłam, nie jest

wyłącznie złym snem. To była zła jawa. Jednak to działo się naprawdę, tu i teraz. Czułam się zdruzgotana i pokonana. Nie były to zdarzenia aż tak tragiczne, jak mi się wydawało, ale prawdziwe na pewno.

– Muszę się zastanowić. Powinam przemyśleć za i przeciw. Nie potrafię uwolnić się od ciągłego strachu. Nie wiem, czy powinnam podpisać zgodę na operację – przyznałam się całkiem spokojnie.

– Oczywiście. Doskonale rozumiem, co pani czuje. Byleby nie zwlekała pani za długo. Nie wolno nam wszystkim opóźniać... Trzeba szybko podjąć stosowne kroki – pan Jeremiasz się uśmiechnął.

– Marcin, bardzo się boję. Nie wiem, jak to wszystko przeżyję... – rozkleiłam się przy obu panach.

– Nie trzeba się bać – pocieszał mnie ojciec Marcina.

– Jestem przy tobie. Nie pozwolę, żebyś... Nie musisz żyć w ciągłej panice. Wiesz, że ci pomogę. Przez wszystko przejdziemy razem. Kocham cię. Kochanie, wiesz dobrze, że tak jest – zapewniał Marcin.

– Marcin, to dla mnie zbyt trudne. Nie potrafię podjąć decyzji. Nie umiem. Nie dam rady. Przepraszam, nie dam rady. Nie wiem, co mam robić. Nie wymagaj ode mnie rzeczy niemożliwych.

– Nie przepraszaj, zrób to, o co prosimy, ja i mój ojciec, powinnaś się zgodzić. Nalegam. Pamiętasz, co ci obiecałem? Zawsze dotrzymuję słowa – ścisnął moją dłoń. Dotknął jej ustami. W tej pozycji zastygł na dłużej. Obserwował mnie uważnie.

– Nie wiem, już nic nie wiem.

– Niczego się nie obawiaj. Masz swoich dwóch osobistych ginekologów. To chyba komfortowa sytuacja? Komfortowa, prawda?

– I co z tego, że tak jest, że mogę na was liczyć? Wiem o tym doskonale, ale co z tego? Wiem, że wszyscy uważają mnie za panikarę, ale ja już taka jestem i inaczej nie potrafię.

– Nieprawda. Nikt tak nie uważa. Sama sobie coś wmawiasz. Każdy boi się iść pod nóż. Jesteśmy ludźmi... Jeśli to za mało, co mówi mój ojciec, to pamiętaj, nie zapominaj chociaż o tym, że cię kocham – zakończył dyskusję. Najprawdopodobniej uznał, że nie ma sensu dalej ciągnąć czegoś, co i tak nie ma końca. Objął mnie swoim ramieniem i pocałował w czoło.

Chciał mi tym gestem dodać otuchy. Wiedziałam, że mnie nie zostawi. Bardzo się bałam. Czułam jednak wsparcie. Gdybym nie miała Marcina, pewnie znacznie trudniej byłoby mi podjąć jakąkolwiek decyzję. Bezgranicznie mu ufałam. Ostatecznie wyraziłam oficjalną zgodę. Nie miałam innego wyjścia. Musiałam się poddać. Tak też zrobiłam.

Pan Jeremi – tak kazał się zwracać do siebie ojciec Marcina – szybko zauważył, że jestem dla jego syna najważniejszą osobą. Zachowanie i gesty

Marcina zdradzały go na każdym kroku i wskazywały, jak bardzo jest zakochany.

– Pani Leno, proszę mnie uważnie posłuchać. Umówmy się, od tej chwili postara się pani poddać wyłącznie moim zaleceniom. Marcina zostawimy na boku. OK? On jest zakochany. Nie myśli racjonalnie. Czy pani się zgadza? Możemy tak zrobić?

– Tak, oczywiście, zgadzam się. Dobrze – nie patrzyłam na lekarza.

– Na pewno? – Lekarz przywoływał mnie do porządku. Chciał mieć pewność, że całkowicie akceptuję jego decyzje i zalecenia.

– Oczywiście. Ma pan moje słowo – uśmiechnęłam się.

– Będę słuchała – zapewniłam.

– Myślałem, że już nie zobaczę pani uśmiechu.

– Przyznaję, panie doktorze, że nie jest mi do śmiechu.

– Wiem, wiem, zdaję sobie sprawę, ale proszę mi zaufać i nie myśleć wyłącznie negatywnie. Może mi to pani obiecać?

– Spróbuję.

– Cieszę się. Nie trzeba się bać...

Na początku ojciec Marcina opowiedział mi sporo o endometriozie, którą u mnie zdiagnozował. Uświadomił mi przede wszystkim, że muszę przez jakiś okres zostać w jego klinice. Następnie powinnam się zgodzić na wszystko, czego ode mnie zażąda. Potem zaś będę mieszkała u niego w domu, czyli w rodzinnym domu Marcina. A na końcu pojedę sobie do Warszawy. Wszystko wydawało się takie proste, takie poukładane.

Tylko ja niczego wcześniej nie planowałam. Dlaczego mnie nikt o nic nie pytał? Wszyscy zachowywali się tak, jakby moje zdanie nie miało żadnego znaczenia. Nikt się ze mną nie liczył. Czulałam się jak dziecko, potwornie oszukana. Rozpłakałam się. Dopadła mnie prawdziwa histeria. Chciałam być sama. Chciałam sobie wiele przemyśleć. Miałam nadzieję, że mi się uda.

– Marcin, zostaw na chwilę swoją kobietę. Ona potrzebuje więcej spokoju. Musi sobie wszystko ułożyć – rzekł ojciec.

Czulałam, że mnie rozumie.

Wyszli na papierosa.

– Lena, tyle razy cię proszę, nie martw się, nie przeżywaj i nie wyolbrzymiaj tego, co się dzieje. To niczego nie zmieni. Nie zostawię cię. Cały czas będę z tobą. Obiecuję, że nic złego ci się nie stanie. Przecież wiesz, że nie pozwoliłbym cię skrzywdzić – podał mi chusteczki, bo rozszlochałam się i rozmazałam makijaż.

– Będiesz tu miała najlepszą opiekę. Myślę, że nie muszę ci tego powtarzać. Wiem, że nie są to dla ciebie łatwe sprawy. Powinnaś pobyć sama i jeszcze to wszystko przemyśleć. Podjęłaś dobrą decyzję. Nie musisz się wahać – przytulił mnie mocno.

– Po co ci to, Marcin?

– Kocham cię – szepnął, zanim zadzwonił telefon.

– Muszę odebrać.

– Ta wiadomość nie może zaczekać? – Spytałam.

Przecząco pokiwał głową.

– Magda, nie mogę rozmawiać. Poradzisz sobie sama? Mam teraz inne sprawy. Nie dzwoń, proszę. Jestem bardzo zajęty. Sprawy prywatne. Pa.

Nastąpiła cisza.

– Marcin, muszę zostać sama, czuję, że za chwilę zwariuję.

– Musiałem porozmawiać. Już nie będzie nam zawracać głowy, obiecuję ci. Chodź, odprowadzę cię do pokoju, w którym odpoczniesz i nabierzesz dystansu do całej sytuacji.

Zgodziłam się, byłam zmęczona i oszołomiona. Ta Magda nie da spokoju Marcinowi. Wszystko jej wygarnę przy najbliższej okazji – obiecałam sobie w myślach.

\* \* \*

Wieczorem poznałam mamę Marcina, żonę Jeremiasza. Przesympatyczna, miła osoba, drobna, nieduża kobietka, elegancka, zadbana, piękna, cudowna.

Najważniejsze było w niej to, że miała duże, co ja plotę: ogromne serce i w niczym nie przypominała mi mojej byłej teściowej. Nawet jej imię rewelacyjnie pasowało do niej. Wszyscy zwracali się do niej Zosia. Bo właśnie taką Zosią była. Uczynna i dobra Zosia. Z jej oczu biła ogromna mądrość życiowa. Choć muszę przyznać, że aż tak pięknych oczu jak Marcin nie miała.

Długo rozmawiałyśmy. O życiu. Tak krótko ją znałam, w zasadzie wcale, a czułam, że mogę powierzyć jej swoje najskrytsze tajemnice. To było niesamowite. Opowiedziałam jej sporo o własnych sprawach i sekretach. Nie przerywała mi. Choć trwało to długo, ona słuchała. Słuchała wszystkiego z uwagą. Potrafiła słuchać. Dzięki temu na pewno dowiedziała się o mnie dużo więcej, niż Marcin o mnie wiedział. Gdy skończyłam, pogłaskała mnie po głowie i niczego nie komentowała. I to mi wystarczyło. Bardzo dobra kobieta. Fantastyczna i niepowtarzalna. Utkwiły mi w pamięci jej słowa, którymi zakończyła naszą rozmowę.

– Musisz wiedzieć, drogie dziecko, że bagaż doświadczeń nosimy ze sobą zawsze, niezależnie, gdzie uciekniemy. Ciągnie się za nami do końca życia. Leno, nie wymażesz złych wspomnień, musisz to wiedzieć. Dopóki się z tą prawdą nie pogodzisz i nie zaakceptujesz jej, nie będziesz mogła dalej normalnie żyć. Nie zawrócisz Wisły kijem. Nie wymażesz przeszłości gumką. Pomyśl o tym.

Były to na pewno najprostsze i zarazem najmądrzejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałam. To znaczy, słyszałam je kiedyś od innych ludzi, ale w ustach mamy Marcina nabrały nowej jakości. Coś ważnego mi uświadamiały.

Brzmiały bardzo prawdziwie. Potrzebowałam tej rozmowy, bardzo potrzebowałam... Czułam wsparcie ze strony mamy Marcina. Polubiłam tę kobietę i chyba z wzajemnością.

\* \* \*

Ciągle jeszcze przebywałam w klinice w Katowicach. Marcin pomieszkiwał wówczas u swoich rodziców. Poświęcał mi cały swój czas. Całe dni czuwał przy moim łóżku, pocieszał, obiecywał, był... Przychodził codziennie rano, gdy się budziłam, a gdy wieczorem zasypiałam, był ze mną. Zupełnie nie byłam przyzwyczajona do podobnych wygód. Jak on to robił? Nigdy nic mu nie przeszkadzało spotkać się ze mną. Najwyraźniej można.

– Zamknij oczy – poprosił któregoś ranka na przywitanie.

Zaniepokoiłam się jak zwykle. Jego słowa nie wróżyły nic dobrego. Nagle poczułam coś zimnego na szyi. Za chwilę Marcin podał mi lusterko.

– Podoba ci się?

Naszyjnik był bardzo gustowny, zupełnie w moim stylu. Wtuliłam się w jego ramiona. Mowę mi odjęło. Pewnie, że mi się podobał. Ale nie chciałam się rozpląkać ze szczęścia. Ciągle brakowało mi męskiego ciepła. Łapałam je całą sobą. Marcin wszystko doskonale wyczuwał. Był szczęśliwy, że w końcu zacznę mu ufać.

– Dziękuję – szepnęłam mu na ucho. Byliśmy sami, więc mogłam go całować, ile chciałam i gdzie chciałam. Nikt nam nie przeszkadzał.

– Kocham cię – dodałam po chwili.

– To ja ci dziękuję, kochanie.

– Za co? Nie musisz...

– Za to, że jesteś ze mną.

Uśmiechnęłam się.

– Marcin, ja też miałam dla ciebie niespodziankę. Mieliśmy iść na Dańca, ale... to nieważne. Już któryś raz mi się nie udaje.

– Och, ty wielbicielko kabaretów. Niczym się nie przejmuj. Nadrobimy stracony czas w Warszawie. Teraz powinnaś więcej myśleć o sobie. To, że nie poszliśmy na kabaret, nie ma żadnego znaczenia. Pójdziemy kiedy indziej – pocieszył mnie i przytulając do siebie, całował.

Miał rację, to naprawdę nie było ważne. A co było? Byłam pogubiona w otaczającej mnie rzeczywistości.

– Odpoczywaj. Musisz nabrać sił.

– Postaram się zasnąć. Jestem zmęczona.

– Będę czuwał.

– Marcin, nie musisz...

– Chcę...

Potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Najpierw badania, podczas których Marcin wiernie mi towarzyszył. Wszędzie mnie woził. Tak rozrabialiśmy w szpitalu, że zapomniałam chwilami, gdzie jestem i ile mam lat.

Któregoś późnego popołudnia klamka zapadła. Jutro odbędzie się mój zabieg, nie operacja. Nieważne. Jak zwał, tak zwał.

– Bardzo się boję. Marcin, rozumiesz mnie? Wiesz, o czym mówię? Boję się. Na nic się nie zgodzę. Jestem zwykłym tchórzem. Ja w ogóle nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

W końcu pękłam i przyznałam się. Wcale nie musiałam tego robić. Marcin czuł, co się ze mną dzieje.

– Powtarzam ci po raz setny: Lena, nic złego ci się nie stanie. Wydawało mi się, że już dawno coś ustaliliśmy.

Był stanowczy. Wiedział, jak bardzo przeżywam pobyt w klinice. Wiedział wszystko, wszystko czuł. Było mu coraz trudniej tłumaczyć mi i przekonywać mnie, że po takiej operacji żyje się normalnie i co za tym idzie – w o wiele większym komforcie.

– Po co to wszystko? Marcin, to bez sensu przecież...

– Lenka...

– Obiecujesz, że...

– Tak, obiecuję – przerwał mi rozpoczęte zdanie.

– A czy będzie...?

– Nie, nie będzie... Przynajmniej nie tak, jak sobie wyobrażasz.

– Powinam ci wierzyć – stwierdziłam.

– Tak byłoby rozsądnie.

– Obiecujesz, że nic mi się nie stanie, że się uda?

– To też obiecuję. Jestem przekonany, że tak właśnie będzie. Nie przewiduję żadnej innej opcji.

– I to, że się obudzę?

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałyby być inaczej? Przecież wczoraj cały dzień męczyli cię na kardiologii. Sprawdzali kondycję twojego serca. Pamiętasz chyba, jaka byłaś niezadowolona? Nie robili tego dla zabawy. Tłumaczyłem im, że z twoim sercem jest wszystko w porządku. Ja nie mam żadnych zastrzeżeń, ale nikt nie chciał mnie słuchać – Marcin żartował.

– Nie potrafię się teraz śmiać. Nie jestem w nastroju – głos mi drżał.

– Wszystko będzie dobrze, Lena, będzie – obiecywał i dodawał otuchy.

– Proszę cię, Marcin. Na miłość boską, proszę... Co ty mówisz? Nie możesz być pewny, nie możesz wiedzieć wszystkiego, nie jesteś Bogiem. Nie przewidzisz przyszłości. Wiesz, że może być różnie. Nikt nie może dać mi gwarancji. Nie jestem sprzętem grającym, tylko człowiekiem – denerwowałam się bardziej i bardziej.



– Masz rację. Gwarancję daje się na przedmioty. Nie pomyślałem nawet. Ale jeśli chcesz stąd wyjść jak najszybciej, to musisz słuchać lekarzy – stwierdził rzeczowo, przytulając mocno. Tłumaczenie i tak niczego by nie zmieniło.

Nie wiem, jak długo zastygliśmy w miłosnej pozie. Ale musiało to trwać, gdyż nie zauważyliśmy pielęgniarki, która weszła i zakomunikowała, żebym jutro rano przed operacją nic nie jadła.

Pokiwałam głową na znak zgody, wyslizgując się z objęć Marcina. W końcu zebrałam się w sobie. Nie chciałam, żeby mój ukochany ciągle mnie pocieszał. Nienawidziłam litości.

Wkrótce okazało się, że zabieg przeprowadzi pan Jeremiasz. W całym tym zamieszaniu Marcin będzie asystował, będzie też jego brat i sto innych ludzi. Coraz mniej mnie to obchodziło. Chciałam mieć te męki jak najszybciej za sobą.

Nie zdawałam sobie sprawy, że prawdziwy koszmar dopiero nadchodzi. Okazało się, że Marcin nie miał racji. Obecna medycyna, oprócz bólu, leków, zastrzyków, kroplówek, nie miała w sprawie mojej choroby nic konkretnego do zaoferowania.

Niech się dzieje, co chce – myślałam, gdy przygotowywali mnie do operacji. Wcześniej zdobyłam się na odwagę i poprosiłam Marcina, by pozwolono mi zostać we własnej koszuli nocnej.

– Nie chcę zakładać tej szpitalnej. W moim ubraniu będę się czuła bezpieczniej. Marcin, proszę. Załatw to – błagałam mojego kochanego.

– Lenka, to niemożliwe – rzekł zupełnie niezdziwiony. – Nie pozwolą ci. Na sali zabiegowej panuje przesadna sterylność. Poza tym musieliby ci tę koszulkę rozcinać. Nie, to nedorzeczne. Lenka, coś ty wymyśliła?

– Czułabym się lepiej, gdybym miała coś swojego przy sobie. A w zasadzie na sobie. Marcin, to dla mnie bardzo ważne.

– A ja? Ja ci nie wystarczę? Przecież ja jestem twój. Ja będę przy tobie. Nie zostawię cię nawet na chwilę. Ze mną zaśniesz w narkozie i przy mnie się obudzisz. Będę cię trzymał za rękę. Czy to nie jest komfortowa sytuacja?

Pocałował kilka razy moje chłodne dłonie.

– Dobrze – zgodziłam się.

Marcin zawsze wie, jak pocieszyć.

– Czy będzie bardzo bolało? Co będzie później, gdy się obudzę, po narkozie?

Marcin, co wtedy?

– Będzie dobrze. Chcę tego tak samo jak ty.

– Tylko tyle?

– Tyle, gdyż nie wiem, jaka będzie reakcja twojego organizmu. Nie potrafię tego przewidzieć. Gdy się obudzisz, będziemy się martwić. OK?

– Nic nie jest OK. Przecież widzisz.

– Lena, po raz kolejny proszę.

Oprócz golenia intymnych części ciała, nieustannego mierzenia temperatury i ciśnienia, kilkakrotnego pobierania krwi i dwukrotnego badania ultrasonografem nie pamiętam, co ze mną robiono...

\* \* \*

Wybudziłam się z narkozy. W pokoju panował półmrok. Oddychałam miarowo, choć momentami brakowało mi powietrza. Było po wszystkim, a mnie było ciężko.

– Boże... – westchnęłam.

– Skarbie, co się dzieje?

Marcin siedział przy moim łóżku. Obiecał i był. Zawsze dotrzymywał słowa. Teraz też nie zawiódł. Nie odstępował mnie na krok. Czuwał jak harcerz.

– Lena, jesteś, wróciłaś... Niepokoiłem się. Nawet nie masz pojęcia, jak... Dobrze, że to już jest za nami.

– Za nami? Za mną chyba – zdziwiłam się cichutko.

– Dobrze, oczywiście, masz rację.

– Pić, chce mi się pić...

– Zaraz zwilżę ci usta. Już lepiej?

– W porządku. Tylko te dreszcze... Marcin, zimno mi. Dlaczego tak głośno mówisz? – Zamknęłam powieki, były zbyt ciężkie.

– Postaram się ciszej.

– Możesz zasłonić roletę? Przeszkadza mi światło.

– Tak, zrobię to zaraz.

– Wszystko mnie boli...

– Cieszę się, że się udało.

– Nie chcę niczego słuchać.

– Poza bólem, jak się czujesz?

– Koncertowo, jak widzisz...

– Lena, błagam...

– Mówię prawdę. Okropnie, czuję się okropnie. Trzęsę się cała. Tu jest tak zimno. Wszystko mnie boli i ciągnie.

– Nie przesadzasz? Przecież nie ma tragedii. Dobrze zniosłaś sam zabieg operacyjny. Jesteś silna.

– Marcin, ty nie masz serca...

– Nie wiesz wszystkiego.

– Nie chcę niczego wiedzieć, słuchać też nie chcę. Daj mi spokój. Jest mi niedobrze. Potrzebuję odpoczynku. Może powinnam zmierzyć gorączkę?

– To normalne, że tak się czujesz.

– Wcale nie było i nie jest tak miło, jak mnie zapewniałeś. A teraz, zaraz się wykończę. Tak mnie wszystko boli, że nie wytrzymam – zaprotestowałam cicho.

Grymas na twarzy przemawiał sam za siebie. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

– To też normalne.

– Marcin...

– Słucham, kochanie.

– Nie, to nic ważnego.

– A może dokończysz, chętnie rozwieję twoje wątpliwości.

– Nie. Muszę odpocząć.

– Potrzebujesz czegoś przed snem?

– Tak, tabletek – kiwnęłam głową na znak zgody. Rzeczywiście potrzebowałam usypiaczy.

\* \* \*

– Marcin... – szepnęłam.

– Zaraz zawołam pana doktora. Proszę spokojnie leżeć – odezwała się pielęgniarka. Pewnie czuwała nade mną, nie wiem.

– No co tam, kochana? Wyspana? – Marcin zjawił się z naddźwiękową prędkością.

– Nie musiałeś tak szybko.

– Ale chciałem.

– Powinam przeprosić cię za moje niestosowne zachowanie. Zobowiązuję się do poprawy, postaram się nie nadwyręzać więcej twojego...

– Lena, spokojnie, cichutko... Nie mów, nic nie mów. Rozmowa cię męczy, odpoczywaj – Marcin dotknął mojej dłoni. Nie pozwolił dokończyć zdania.

– Rzeczywiście jest mi słabo. Dziwnie się czuję. Marcin, boli mnie coś tam, jest mi niedobrze. Możesz coś z tym zrobić?

– To klasyczna reakcja po narkozie. Nie martw się, to minie.

– Nie jestem tego taka pewna. Zresztą nie mam cierpliwości – westchnęłam.

– Wiem, wiem, że nie masz, ale musisz... Przynieść ci coś przeciwbólowego? – Delikatnie musnął ustami moje gorące czoło.

– Nie trzeba, wytrzymam – chciałam się odwrócić, lecz nie miałam siły. – Marcin, co to jest?

Trzymając się kurczowo dłoni mojego lekarza, ruchem głowy wskazałam na ogromny bukiet stojący w koszu obok mojego łóżka.

– Kwiaty, takie jak lubisz. Wszystkie dla ciebie. Są twoje – odpowiedział beztrąsko.

– Tyle wiem, domyśliłam się, że są dla mnie. Ale przecież tu nie można wnosić żadnych prezentów.

– Nie można, masz rację. Prezentów nie, ale kwiaty owszem. Co prawda nie pozwalają niczego, ale...

– I?

– I nic. Złamałem przepisy, to wszystko.

– Jesteś niepoważny. Na sto procent. Marcin, ty działasz na mnie podprogowo... A gdzie są słynne nenufary? Nie postarałeś się.

Chciałam się uśmiechnąć, lecz ból mi nie pozwolił, jęknęłam cicho. Ponownie złapałam Marcina za rękę. Ścisnęłam ją mocno.

– Boli?

Kiwnęłam głową. Byłam zdruzgotana i w środku bardzo poraniona. Cały dół mi dokuczał. Jeszcze chwila i eksploduję niczym bomba.

– Marcin, jednak przynieś mi coś przeciwbólowego i wodę. Dużo... Muszę się napić – po raz pierwszy w życiu to ja prosiłam o zastrzyk.

Nie odmówił.

– Proszę – podał mi plastikowy kubeczek z wodą. Zawołał pielęgniarkę. Sam nie miał sumienia znęcać się nade mną.

Młoda dziewczyna zaaplikowała mi leczniczy płyn, szybciej już się chyba nie dało. Była przy tym bardzo delikatna i miła.

W klinice miałam opiekę, jaką mogłam sobie tylko wymarzyć. Wszyscy chodzili koło mnie na palcach. Była to zapewne zasługa szefa, ojca mojego faceta, a także mojego faceta. Byłam dumna, że mam Marcina.

Niestety mój pobyt w szpitalu niespodziewanie się przedłużył. Wiecznie miałam wysoką gorączkę i cały świat mi gdzieś uciekał. Czułam się jak w wirówce. Ciągle kręciło mi się w głowie.

Doktor Jeremiasz i jego lekarze zastanawiali się nad przyczyną takiego stanu mojego zdrowia. Ciągle nie wiedzieli, dlaczego tak jest. Szukali, szukali i niczego nie mogli znaleźć. Miałam jakieś powikłania pooperacyjne, to na pewno.

– Obawiam się, że będziemy musieli powtórzyć badania – Jeremiasz zakomunikował krótko.

– Wolałabym do tego nie wracać – broniłam się.

– Nie mamy jednak wyjścia.

– Kiedy?

– Myślę, że jeszcze w tym tygodniu. Wcześniej uprzedzę panią.

– Dobrze.

Mój organizm dziwnie reagował po operacji. Ciągle byłam w kiepskiej formie. Na szczęście dużo spałam, zwłaszcza po lekach przeciwbólowych.

Mijały dni i noce. Marcin bezustannie przy mnie czuwał. Próbował tłumaczyć. Wziął dodatkowy urlop, by się mną opiekować.

Byłam słaba, wciąż tak bardzo słaba. I te zawroty głowy, które dobijały mnie najbardziej. Czułam się jak powiewająca chorągiewka. Marcin uspokajał. Twierdził, że to normalne. Być może miał rację. Tego nie wiem. Nie znam się na medycynie. Nawet jeżeli to, co mówił, było prawdą, to nie chciałam współczucia, nie chciałam, żeby litował się nade mną. Miałam dosyć...

\* \* \*

– Dzisiaj, gdy wróci pani z laboratorium, podamy pani tlen. Na pewno pomoże w oddychaniu. Niech się pani nie zamartwia, to nic straszego. Szybciej powróci pani do zdrowia – ojciec Marcina uspokajał mnie czule.

Nie dyskutowałam z nim. Nie było sensu, to taki słynny gość.

– A teraz proszę wziąć tabletki i popić wodą – nakazywał mój doktor, wskazując wzrokiem przezroczyście kieliszek z kolorowymi pastylkami.

– Znowu te świństwa? Czy muszę? Jest mi po nich tak niedobrze...

– Pani Leno, przecież zastrzyków pani nie proponuję, bo ich pani nie znosi. Chyba się nie mylę? Proszę więc nie licytować się ze mną i szybko wziąć proponowane leki – ponaglał. Był bardzo cierpliwy. To dobry człowiek.

– Dobrze, zrobię wszystko. Marcin nie rozpieszczęłby mnie tak jak pan.

Przełknęłam arseniał pigułek przeróżnej wielkości i w kolorach tęczy, popiłam wodą.

– Supersprawa, Leno. Teraz odpoczywaj, kochanie. Marcin jest już w klinice, zapewne zaraz się u ciebie zjawi. Nie trzeba mówić mu o tych tabletkach, zgoda? To nasza tajemnica – mrugnął do mnie i się uśmiechnął. Powiedział do mnie po imieniu, fajnie...

– Zgadza się, panie doktorze.

Było mi bardzo przyjemnie przebywać w towarzystwie ojca Marcina. Odwzajemniłam się uśmiechem.

\* \* \*

– Marcin, czy to konieczne? Chodzi mi o tlen. Muszą mi podłączyć ten cholerny tlen? Będę się czuła, jakbym samodzielnie nie mogła oddychać, a tak przecież nie jest. Boję się, że nie mówisz mi, co się faktycznie dzieje – wyszeptalam, gdy zostaliśmy sami. Musiałam powiedzieć mojemu kochanemu o swoich obawach.

– Nie oszukuję cię. Lena, co ty wymyśliłaś? Nic tragicznego się nie dzieje. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Będzie ci lżej oddychać. To na tyle. Powinnaś się zgodzić, mamy obowiązek ci pomóc. Jesteś jeszcze trochę słaba. Czas robi swoje i w końcu nastąpi poprawa – Marcin pocieszał mnie, dotykając jednocześnie mojego czoła zwilżoną chusteczką. Na przemian całował moje dłonie i usta, usta i dłonie...

– Marcin, przestań, proszę cię. Powiedz, kiedy się to wszystko skończy? Czy ja wreszcie stąd wyjdę? Kiedyś wypuszczą mnie stąd? I czy w ogóle? Marcin, błagam, zdradź mi choć rąbek tajemnicy, co się dzieje. Co mi tak naprawdę jest? Boże, nie wytrzymam tego dłużej. Nie dam rady. Jestem przerażona.

– Kochanie, wystąpiły małe powikłania pooperacyjne. Teraz dużo będzie

zależać nie tylko od nas, ale i od ciebie, Dasz radę, jestem o tym święcie przekonany. Musisz mnie tylko informować, jak się czujesz. Jakie jest twoje samopoczucie. Znalezienie złotego środka na błyskawiczną poprawę twojego zdrowia jest mało prawdopodobne. Nie będę cię oszukiwał. Czeka cię leczenie. A ten tlen to jeden z elementów walki z chorobą, z osłabieniem twojego organizmu, z wyczerpaniem po operacji.

– Marcin, okropnie, czuję się okropnie!

– Lena, przesadzasz, prawda?

– Nie oszukuję...

– Niepotrzebnie się denerwujesz. Twoje leczenie będzie o wiele bardziej skuteczne pod warunkiem, że sama sobie będziesz chciała pomóc. Nie możesz się teraz poddawać. Nie możesz tak po prostu wysiąść z pędzącego pociągu. Obiecuję, na dniach poczujesz się znacznie lepiej. Nastąpi poprawa.

Do pokoju, w którym leżałam, weszła pielęgniarka. Przerwała naszą rozmowę. Wiedziałam, w jakim celu przyszła.

– Proszę pani, muszę. Proszę się przygotować – zaszcebiotała jak skowronek na wiosnę. Była młoda i ładna.

– Odmawiam. Nie pozwolę zrobić sobie już ani jednego zastrzyku. Niech to będzie jasne. Marcin, zrób coś, proszę cię.

– Tak, oczywiście. Za chwilę. Poproszę panią za chwilę.

Pielęgniarka spojrzała na Marcina, a ten wzrokiem nakazał jej opuścić pokój.

– Jeśli nie chcesz jej, sam to zrobię. Sam dam ci ten cholerny zastrzyk – podniósł nieco głos.

– Nie, nie chcę, nie będzie żadnych następnych razów! Od tej chwili już nie pozwolę nikomu – zakomunikowałam Marcinowi.

– Lena, proszę, nie utrudniaj. Bądź rozsądna! Maglujemy i maglujemy, i nie rozumiemy się zupełnie. Bez zastrzyków możesz doprowadzić do zakażenia okołooperacyjnego.

– Marcin, niczego więcej nie przyjmę, tym bardziej zastrzyków. Koniec – owinęłam chusteczkę wokół palca.

– Musisz, bez dyskusji! Zawołam ojca – zagroził.

– Nie mam siły. Zostaw mnie. Proszę. Zostaw mnie samą. Chcę pobyć sama – dodałam zrezygnowana.

– Lena, wiesz, że tego nie zrobię. Nie teraz.

– Uszanuj moje zdanie. Zrób chociaż raz to, o co proszę. Mam dużo przemyśleń.

– Lena, wiem, że masz wszystkiego dosyć. Ja też... też mam wszystkiego po kokardę. Wierz mi, że mi jest ciężko. Też się wkurzam, ale proszę cię, musisz mi zaufać do końca. Nie możesz się teraz poddać. Wytrzymaj.

– Nie, już w nic nie wierzę. Sytuacja wszystkich nas przerosła. Rozumiesz?

Przerosła mnie, przerosła ciebie, przerosła twojego ojca. Zupełnie nie wiem, co dalej sądzić.

– Cenię twoją szczerość.

– No i co z tego? To bez znaczenia.

– Kocham cię, to właśnie. Nie poddamy się. Do momentu twojego wyzdrowienia przejdziemy przez wszystkie kłopoty razem, ty i ja. Rozumiesz?

– Słyszałam to już wiele razy. Nie, to bez sensu. Nie mówisz mi wszystkiego. W zasadzie niczego mi nie mówisz. Chcę wracać do Warszawy. Dłużej nie wytrzymam – udawałam, że nie obchodzi mnie jego romantyczne wyznanie.

– Wrócisz do Warszawy, Lena, niedługo. Obiecuję, że tak się niebawem stanie, ale teraz muszę. To konieczne. Te zastrzyki ci pomogą. Pomyśl optymistycznie i zostaw tę chusteczkę w spokoju. Masz wciąż stany podgorączkowe. Jesteś słaba. Pozwól sobie pomóc.

– Czy to się nigdy nie skończy? Marcin, nigdy?– Spytałam zrezygnowana.

– Skończy, obiecuję ci.

Nastąpiła cisza.

Musiałam się zgodzić, choć nienawidziłam tych cholernych wkuwań. Nawet gdy Marcin mi je robił, też się bałam. Zazwyczaj jeszcze bardziej.

\* \* \*

Byłam szczęściarą. W klinice odwiedzała mnie cała rodzina państwa Prajsów. Mama Marcina ciągle mnie dokarmiła, choć wcale nie miałam ochoty na jedzenie. Przynosiła mi smakołyki własnej produkcji. Nie mogłam jeść, nie miałam apetytu.

Jednak najczęściej przychodził do mnie Ksawery. Poświęcał się do granic. To brat Marcina. Był młodym, niezłe zapowiadającym się lekarzem. W klinice już go cenili. Skąd on znajdował dla mnie tyle czasu? Przecież pracował, i to ciężko zasubał. A mimo wszystko to on właśnie pod nieobecność Marcina pełnił przy mnie wartę, spędzając ze mną mnóstwo czasu. Był zabawny i uroczy. Po prostu cudowny facet. Bardzo go polubiłam. Niczego mi nie zabraniał, na wszystko pozwalał. Oczywiście w granicach rozsądku.

– Musisz coś zjeść. Nie można się tak głodzić.

Dziś po raz kolejny mój niedoszły szwagier postanowił namówić mnie na posiłek.

– Nie będę jadła. Ksawery, ja w ogóle nie czuję głodu. Zlituj się – prosiłam.

– No właśnie widzę, że nie czujesz bluesa do jedzenia, i coś muszę na to zaradzić. W przeciwnym razie mój ukochany braciszek zabije najpierw mnie, a potem ciebie.

– Marcin nie może się o niczym dowiedzieć – zabroniłam.

- Obiecuję, nic mu nie powiem – żartował.
- Ksawery, nawet się nie wysilaj, nic nie poradzisz, nie mogę jeść, daję słowo. Nie będę... Nie zmuszaj mnie – powtarzałam.
- A ja wierzę, że jest sposób, abyś odzyskała apetyt.
- Jestem oporna na wszelkie smaki i zapachy. Może, gdy wrócę do domu, zacznę się lepiej odżywiać. W szpitalu nie dam rady.
- Co to znaczy? Mamy obiadków też nie chcesz jeść.
- Wiem, że pewnie robię twojej mamie przykrość. Ale spróbuj mnie zrozumieć. Jeśli mówię nie, to znaczy nie. Nie zmusisz mnie do jedzenia. Jest mi niedobrze.
- Trzeba więc będzie zrobić dodatkowe badania. Wspomnę ojcu. Jutro rano przyjdzie po ciebie pielęgniarka. To ta twoja anemia pewnie.
- Nie, proszę, Ksawery, nie rób tego.
- Nigdy nie wyzdrowiejesz, jeśli nie będziesz się w miarę dobrze odżywiać. Tego chyba nie muszę ci tłumaczyć?
- Owszem, nie musisz. Pozwól mi jedynie, żebym sama decydowała, kiedy jestem głodna.
- Lena, dosyć tego dobrego. W taki sposób możesz pieścić się przy Marcinie, ja nie dopuszczę, abyś pod moją opieką zagłodziła się na śmierć, i to w najlepszej klinice na Śląsku. Muszę dbać o reputację rodziny Prajsów – żartował.
- Wiedziałam, że nie mówi serio. Uwielbiałam go za jego poczucie humoru. Za wszystko go uwielbiałam. Odetchnęłam z ulgą.
- Może masz ochotę trochę się przejść? Spaceruje są bardzo wskazane dla niejadków.
- Ksawery, daj spokój, przecież ty masz swoich pacjentów, swoje sprawy. Nie możesz wiecznie mi towarzyszyć. Powiedz, jak ty godzisz te wszystkie obowiązki? – Podziwiałam młodego lekarza.
- To tajemnica, a tajemnic się nie zdradza. Zresztą to nieważne. Ty jesteś ważna – pocałował moją dłoń kilkakrotnie. Chyba się trochę zapomniał.
- Ksawery – obruszyłam się nieco.
- Chcę cię zaprosić na spacer, czy to źle? Spacer połączony z degustacją kawy w bufecie. Co ty na to, kochana bratowo.
- Co ja na to? Zgadnij!
- Czyli tak?
- Jestem chętna, bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia. Mam ogromną ochotę na prawdziwą, mocną kawę. W twoim towarzystwie, Ksawery, wypić takie pyszności to... brakuje mi słów.
- No z tą mocną, to lekko przesadziłaś. Nie możesz mocnej.
- Znowu nakazy i zakazy. Miałam nadzieję, że może ty będziesz bardziej wyrozumiała i pobłażliwa od Marcina.



- Dla ciebie mogę taki być. Postaramy się złamać wszelkie konwenanse.
- Chodź, Ksawery, może być nawet słaba ta kawa. Byleby była. Wypita w twoim towarzystwie będzie dla mnie wielką przyjemnością. Chodź, nie mogę się doczekać. Marcin o niczym się nie dowie. Ksawery, przysięgam ci. Cieszę się, że zabierasz mnie do bufetu. To tak, jakbyś chciał pokazać mi Księżyc z bliska.
- Lena, ja się w tobie zaraz zakocham. Jesteś niesamowita. A może już cię kocham?
- Nie powiemy Marcinowi, przysięgam ci, Ksawery – nie opuszczał mnie dobry humor.
- I poszliśmy.
- \* \* \*

Zdecydowanie najczęściej odwiedzał mnie ojciec Marcina. Nic dziwnego, to jego klinika. Miał do mnie największe prawo. Leczył mnie i męczył, i tak na przemian. Mimo wszystko miał moje uznanie: wspaniały lekarz i człowiek, o czym nieraz miałam się okazję przekonać. To wielkie szczęście, że byłam jego pacjentką, że wziął za mnie odpowiedzialność.

Pomimo najlepszej opieki ciągle czułam się fatalnie. Gorączka nie chciała ustąpić. Sama się zastanawiałam, o co chodzi. No, ale jeśli fachowcy nie wiedzą, jak mi pomóc, to co ja mogę? Moje samopoczucie było naprawdę bardzo niekorzystne, ale miałam nadzieję, że to minie.

Męczyła mnie szpitalna nuda. Ile można spać, odpoczywać, a przy lepszym samopoczuciu czytać?

- Marcin, co się ze mną dzieje? – Pytałam zrezygnowana.
- Próbujemy to ustalić. Lenka, bądź cierpliwa. Jutro zrobią ci dodatkowe badania i wszystko będziemy wiedzieli.
- To nie ma szans, że szybko stąd wyjdę?
- Nie będę cię oszukiwał. Nie wiem.
- Ksawery mówił, że...
- On udziela za dużo zbędnych informacji. Muszę z nim porozmawiać. Nie powinien ci dawać fałszywych nadziei – przerwał Marcin.
- Proszę cię, Marcin. Nie chcę żadnych kłótni przeze mnie. Obiecuj, że tego nie zrobisz. Nie będziesz prawil moralów swojemu bratu.
- Nie będę. A co ty tak bronisz tego mojego braciszka?
- Nie o to chodzi...
- A o co?
- Nie chcę nieporozumień. A teraz chcę odpocząć. Proszę cię, idź już, Marcin, zostaw mnie.
- Dobrze, jak sobie życzysz. Odpoczywaj. Pa, kochanie, do jutra – pocałował mnie w policzek i udał się w kierunku drzwi.

Lekko skinęłam głową, nic innego nie mogłam zrobić. Żyłam nadzieją.

– Marcin... – szepnęłam, gdy drzwi zamykały się za moim ukochanym.

Wrócił do mnie.

– No, co chcesz? – Spytał.

– Marcin, mam prośbę.

– Jest do spełnienia?

– Taką mam nadzieję.

– Co to za prośba?

– Potrzebuję... Mógłbyś mi przywieźć laptopa.

– To nie jest dobry pomysł. On ci nie pomoże w wyzdrowieniu. Odpoczynek jest dla ciebie zbawienny.

– Proszę... – popatrzyłam błagalnie.

– A co zamierzasz robić na laptopie? Bo chyba nie pracować?

– Nie, obiecuję, nie potrzebuję go, żeby zajmować się pracą. Przysięgam, że nie o to chodzi.

– OK, przywiozę jutro.

– Dziękuję.

Pocałował moją dłoń i wyszedł z pokoju.

Minęło jeszcze sporo czasu, zanim poczułam się znacznie lepiej. Rano, gdy się obudziłam, na stoliku leżał laptop. Przy moim łóżku siedział Marcin. Patrzył na mnie.

– Dzień dobry, kochanie – pocałował mnie w policzek.

– Dzień dobry. Dziękuję – spojrzałam na komputer.

– Jak samopoczucie?

– Jeszcze nie wiem. Nie zdążyłam się zorientować.

– Zaczekam, bo chcę wiedzieć, muszę wiedzieć.

– Dawno przyszedłeś? – Zmieniłam temat.

– Dosyć...

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Sen jest najlepszym lekarstwem. Nie miałem sumienia. Tak dobrze spałaś. Tak słodko. Nie mogłem. Lubię na ciebie patrzeć, mogę tak godzinami... – Marcin mówił spokojnie.

– Dziękuję za laptopa – powtórzyłam wyrazy wdzięczności.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale może... Chciałaś, a więc do usług, jak sobie życzysz.

– Jeszcze raz dziękuję – ucieszyłam się.

– W klinice jest internet. Możesz skorzystać, jeśli ci się do czegoś przyda.

– Podasz mi na łóżko? Chcę zobaczyć, jak działa.

Zgodził się. Był taki kochany.

– Lenka, muszę jechać dziś do Warszawy. Wrócę jutro.

- OK. Nie będę się nudziła. Mam przyjaciela – spojrzałam na komputer.
- A jak się dziś czujesz? Nie odpowiedziałś mi jeszcze.
- Dobrze, coraz lepiej.
- Mam nadzieję, że mówisz prawdę.
- Nie martw się, to prawda. Twój tata jest ze mnie zadowolony. Nowy zestaw leków daje rezultaty.
- Powiniennem z nim porozmawiać.
- Dobrze...

Marcin opuścił pokój, a ja włączyłam swoje okno na świat. Zabrałam się za przeszukiwanie stron internetowych. Anna German, film. Pospiesznie wpisałam hasło do przeglądarki i znalazłam to, co chciałam. Teraz byłam szczęśliwa. Obejrzę wszystkie odcinki, przeczytam wszystko, co o niej piszą, posłucham jej piosenek – obiecywałam sobie. Boże, jak ja ją uwielbiam. Kocham, kocham moją Anię...

\* \* \*

Wieczorem zjawił się Ksawery. Tak bardzo lubiłam przebywać w jego towarzystwie. Czasami Marcin robił się zazdrosny. Zupełnie niepotrzebnie.

– Cześć.

Przysiadł na łóżku i wziął moją rękę w swoje dłonie. Przyzwyczaiałam się do takiego powitania, gdyż zawsze witał się w podobnym stylu.

– Lena, dlaczego dziś się nie odzywałaś, nie dzwoniłaś do mnie? Coś się stało? Płakałaś? – Spytał, przyglądając mi się z uwagą.

W pośpiechu zamknęłam pokrywę laptopa.

– Nie, nic się nie stało. To nic... Nie płakałam... – pokiwałam głową.

– Przecież widzę. Lena, czy coś ci dolega? Coś cię boli? Dlaczego nie zawołałaś pielęgniarki? Mogłaś dzwonić po mnie, zawsze możesz, wiesz przecież. Nie musisz cierpieć – Ksawery był wyraźnie poddenerwowany i zmartwiony.

– Nic mi nie dolega, czuję się coraz lepiej. Ksawery, naprawdę, nie przejmuj się mną. Nie trzeba.

– Zrobić ci zastrzyk? – Nie słuchał, co do niego mówię.

– Nie.

– Ale i tak czas na leki. Musisz je wziąć.

– Wiem. Podasz mi? Nie będę wołała pielęgniarki.

– Co bierzesz o tej porze? Pamiętasz? Czy mam zerknąć w rozpiskę?

– Takie dwie niebieskie tabletki i jedną białą.

– OK, proszę – podał mi kieliszek z pastylkami i kubek wody.

– Zastrzyk też masz teraz czy później?

– Później.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Pokaż, co sprawiło, że tak płakałaś przed chwilą?

Ksawery ponownie podszedł do mnie i odebrał mi laptopa. Otworzył i roześmiał się.

– To dlatego, że oglądałaś ten film o German? – Zakpił.

– Nie musisz się śmiać. Nie powinieneś się dziwić, uwielbiam ją. Cały świat ją kocha – oburzyłam się.

– Chyba kochał? Zdziwiłaś mnie, i to bardzo.

– To moja sprawa, z jakiego powodu płaczę, a z jakiego się śmieję. Tobie nic do tego – byłam zła.

– I właśnie dlatego płakałaś? Z powodu filmu?

– Tak, z tego – przyznałam się.

– Dobrze, już dobrze... Oj, wy kobiety, trudno was zrozumieć.

– Nie proszę o zrozumienie – obruszyłam się.

– Lena, po co się tak emocjonować? Nie szkoda ci zdrowia?

– Ty i tak nie zrozumiesz... Ksawery, tylko proszę cię, nie mów o niczym Marcinowi. On by się wściekł, że ślęczę nad filmem.

– Bądź spokojna, nie powiem, to nie moja sprawa. Masz rację. Chodź, zabiorę cię na kawę – ponownie złapał mnie za rękę.

– A zastrzyk? A pielęgniarka? Co będzie, gdy Marcinowi ktoś doniesie? – Wahałam się.

– Nic z tych rzeczy. Wykluczone. Okrągłe zero. Mam nadzieję, że mnie nie wydasz?

– Masz moje słowo, Ksawery. Dziękuję ci.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Dlaczego to robisz? – Nie wiem. I poszliśmy.

\* \* \*

Leżałam, leżałam, leżałam. Był środek soplekowej zimy. Tak ją sobie nazwałam, gdyż leżąc bezustannie pod oknem, obserwowałam zewsząd zwieszone sople. Na dworze zrobiło się słonecznie, a one powoli się topiły, kurczyły i znikły. Miałam z tymi soplami wiele wspólnego. Coś mi mówiło, że moje dni w klinice też się kurczą. Ostatnio nie nadałam za kalendarzem. A w zasadzie za jego kartkami, które jedna po drugiej, nie wiedzieć kiedy, bezlitośnie, niczym ptaki, odlatywały w przeszłość.

– Dziś, pani Leno, wypuszczę panią do domu – pan Jeremiasz niespodziewanie rzucił upragnione słowa.

– Czy to prawda? Naprawdę to nie sen? – Ucieszyłam się szczerze.

– Do mojego domu. Marcin zawiezie panią do mojej posiadłości – poprawił się zaraz.

– Naprawdę już mogę? Już nie muszę? Czy to możliwe, że mnie pan uwolni?

– Pytałam z niedowierzaniem.

– Tak.

– Nie miałam nadziei, nie myślałam, że usłyszę te magiczne słowa kiedykolwiek...

– A jednak...

– Czy ja dziękowałam już panu, panie doktorze?

– Nie trzeba – lekarz machnął ręką.

– Ale...

– Naprawdę nie trzeba. Cieszę się, że jest dobrze, że pani marzenie stało się jawą. Tak, kochana, możesz już pożegnać szpital. Dalsze leczenie przeniesiemy do domu. Musi pani teraz nabrać sił. Dużo odpoczywać. A zwłaszcza niczym się nie denerwować. Dużo jeść. Spacerować. Et cetera. Et cetera. Dziękować nie trzeba. To zbyteczne – profesor nakazywał mi i zakazywał, a ja słuchałam jak zaklęta.

– Lena, jestem Lena. Zwyczajnie. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Zwrot „pani” jest dla mnie bardzo krępujący. Będzie mi bardzo miło. Już wcześniej chciałam zaproponować, ale nie miałam śmiałości. Nie wiedziałam, kiedy może być najlepsza okazja. I czy w ogóle powinnam? – Wyciągnęłam rękę do mojego ginekologa.

– Skoro tak stawiasz sprawę, jestem Jeremiasz. Również bardzo mi miło. Niezmiernie miło, Lenko. Byłaś nieznośna, ale bardzo cię polubiłem. Fantastyczna babka z ciebie – pan Prajs uśmiechnął się, podając mi swoją dłoń.

– Było aż tak źle? Tak bardzo dokuczałam?

– Nie przejmuj się, nie aż tak...

Odetchnęłam z ulgą. Dopiero teraz zauważyłam podobieństwo syna i ojca. Tak, Marcin był bardzo podobny do ojca. Ojciec miał równie piękne oczy.

– Ale czy nie zrobię kłopotu, jak u państwa zamieszkam?

– Trochę tak, będzie kłopot, ale tu mi łóżko zajmujesz. Tu jest z tobą nieporównywalnie większy kłopot. Uwierz. Mówię prawdę. Musisz stąd uciekać. Nowi chorzy czekają – żartował.

Rozśmieszył mnie. Jednak nie mogłam za bardzo się śmiać, byłam jeszcze obolała. Podeszłam i pocałowałam go w policzek. Następnie, niewiele myśląc, przytuliłam się do niego. Musiałam podziękować. Lekarz również mnie przytulił, tak jak ojciec przytula córkę.

– Co za wzruszająca scena – uśmiechnął się Marcin.

– Zabieraj Lenę. Zapewne masz dużo większe zaległości w przytulaniu swojej damy.

Jeremiasz pouczył syna, jak ma się mną opiekować. Potem dogadali się, jakie leki muszą przyjmować i w jakich dawkach. Doktor obejrzał mnie jeszcze pod swoim mikroskopem i nareszcie, i na szczęście, opuściłam klinikę.

W mojej torebce zadzwonił telefon.

– Nie odbierzesz?  
– To Ula. Nie chcę. Nie odbiorę. Nie będę się jej tłumaczyła. Z nikim nie będę rozmawiała.

– Myślę, że powinnaś. To twoja przyjaciółka. – Jestem innego zdania. Nie teraz. Tak postanowiłam. – Zawsze ta sama...

\* \* \*

Wyszliśmy przed klinikę. Nareszcie odetchnęłam świeżym katowickim powietrzem. Marcin otworzył drzwi samochodu.

– Ostrożnie, kochanie!

Pomógł mi wejść do środka i zakazał oglądać się za siebie. Posłuchałam. Oglądanie się na budynek szpitala podobno źle wróży. Też coś takiego słyszałam. Nie miałam więc zamiaru spoglądać na klinikę.

W samochodzie powoli przestawały działać leki, a mnie wszystko rozboleło na nowo, i do tego ze zdwojoną siłą. Aby odwrócić uwagę od przykrych dolegliwości, bez ustanku rozmawialiśmy. Marcin starał się jak najmniej wspominać o mojej chorobie. Gawędziliśmy o wszystkim po trosze. Chciał, bym się w miarę dobrze czuła. Nazbierało się różnych spraw, o których chcieliśmy porozmawiać, a w zasadzie musieliśmy.

– Bardzo się za tobą stęskniłam – przyznałam się.

Marzyłam, by z nim być jak najbliżej. Byłam słaba, ale szczęśliwa. Obawy były już poza mną. Nie myślałam, co będzie dalej. Nie teraz, kiedy poznałam wspaniałych ludzi na swojej życiowej drodze.

– Kochanie... – spojrzał na mnie badawczo.

– Nie, to pewnie głupio zabrzmiało – spieszyłam się.

– Lenka, wcale nie masz racji. Ja też się stęskniłem i cieszy mnie, że ty... Jedynie zdziwiło mnie, że mówisz o tym tak normalnie. Otworzyłaś się, to bardzo dobrze.

– Marcin, otworzyłam, nie otworzyłam, nieważne... Zabierz mnie na kawę do jakiejś kawiarenki – zapragnęłam pozaszpitalnej, prawdziwej małej czarnej.

– Dobrze – posłuchał.

Nigdy niczego mi nie odmawiał, przeważnie zgadzał się ze mną. Mijaliśmy się, i to znacznie, jedynie na polu medycyny. W tej dziedzinie mieliśmy zupełnie odmienne zdania. Tu iskrzyło między nami na odległość. Jeśli chodziło o moje zdrowie, Marcin nigdy nie dał się przekonać i potrafił mi wszystkiego odmówić, jeśli uznał własne argumenty medyczne za słuszne.

Nie mogliśmy się sobie doczekać. Po drodze całowałam Marcina, gdzie się dało, a on odwzajemniał pocałunki, jednocześnie uważając, aby nie spowodować wypadku.

Tak podjechaliśmy pod kawiarenkę, a ja cieszyłam się jak dzieciak.

Pragnęliśmy być jak najbliżej, musieliśmy nacieszyć się sobą. Całowałam, całowałam, całowałam. Było to trochę ryzykowne, ale chciałam ryzykować...

– Lena, czy już ci mówiłem, że ciągle mnie czymś zaskakujesz?

– Tak, owszem, nieraz, Marcin, nieraz mówiłeś. I co z tego? Życie jest pełne sprzeczności – uśmiechnęłam się do mojego lekarza.

– Szkoda, że teraz nie możemy nic z tym zrobić. Wiesz, co mam na myśli? Bardzo tego pragnę...

– Tak, doskonale wiem, za czym tęsknisz, wiem, ale na to musimy poczekać co najmniej, no nie wiem ile. Ty się na tym znasz o niebo lepiej. Ja też bym chciała. Ale jak nie można, to nie można. Na razie wszystko mnie boli. Nie byłoby to możliwe.

– Naprawdę? Teraz też cię boli? Dlaczego nic nie mówiłaś wcześniej? Jak ci pomóc?

– Wytrzymam. Nie przejmuj się. Nie aż tak bardzo.

– Nie musisz się męczyć. Nie pozwól na to.

– Z dwojga złego wolę się męczyć. Wiesz, co myślę o zastrzykach. Nie chcę się powtarzać.

– Nie proponuję ci zastrzyków. Możesz wziąć coś przeciwbólowego w tabletkach.

– Czyżby coś się zmieniło? Marcin, przecież ty... – nie pozwolił mi dokończyć.

– Kocham cię, Lena, najbardziej na świecie. Weź tabletkę, leży w szufladce. Na tylnym siedzeniu jest woda. Kupiłem specjalnie dla ciebie. Popij. Przypuszczałem, że może cię poboлеwać. Coś takiego zdarza się po operacjach. Czasami trwa długo – pocałował moją dłoń.

– Marcin, dziękuję. Jesteś kochany.

– Bardzo tęskniłem. Ty tego i tak nie zrozumiesz.

– Marcin, błagam, przecież wiesz, że jest całkiem inaczej. Rozumiem – zaczęłam tłumaczyć.

– Czasami myślę inaczej...

– Nie wierzę, że mógłbyś wątpić w cokolwiek.

– Wszystko się jakoś ułoży. Wierzę, że nam się ułoży.

– Mam nadzieję. Marcin, mam nadzieję...

Całował moje dłonie, usta i włosy. Było mi dobrze. Ból powoli ustępował.

## Dom rodziców Marcina

Dom rodziców Marcina był niebiańsko piękny i bardzo duży. Wcale nie przesadzam. Bogato urządzone sprawiał wrażenie prawie pałacu. Salony iście królewskie. Ja też dostałam ogromną komnatę z łazienką, werandą i jakimś dziwnym pokojem do masażu. Nie korzystałam z niego.

Boże, jak tu pięknie. Jestem królową. Brakuje mi tylko korony i berła. Kasa też by się przydała. I nowa karetka. Byłam w dobrym nastroju, więc pozwoliłam sobie w myślach na nieco żartów.

Marcin niestety tylko przez chwilę mieszkał ze mną, korzystając z królewskich wygód. Szybko wyjechał do Warszawy. Nie miał urlopu. Musiał pracować. Byliśmy dorośli, a seksu i tak nie mogliśmy uprawiać, więc można rzec, że niczego nie traciliśmy. Tęskniłam za nim. Bardzo chciałam być blisko niego.

U moich przyszywanych teściów mieszkałam kolejne dwa tygodnie. Byłam zupełnie sama. Poza kontrolnymi badaniami, które co jakiś czas serwował mi Jeremiasz i których miałam po dziurki w nosie, było całkiem sympatycznie.

Miałam wrażenie, że odpoczywam. Mogłam czytać do woli, przeglądać kolorowe magazyny, leniuchować, marzyć, ile chciałam i kiedy chciałam. Stałam się przyjaciółką psa Rolfa, który był traktowany jak członek rodziny Prajsów. Pocziwe psisko. To jemu wylewałam wszystkie swoje żale, kiedy Marcin był w Warszawie, a ja zostałam sama.

W wolnych chwilach rozmawiałam z mamą Marcina. Udawało nam się razem pić poranną kawę i miałam coraz większe wrażenie, że przypadłyśmy sobie do gustu. Nie miała jednak dla mnie zbyt dużo czasu. Zajmowała się całym dobytkiem. Gotowała, prała, sprzątała, prasowała, a na dodatek pracowała w ogrodzie i robiła zakupy.

Zastanawiałam się, dlaczego taka bogata kobieta nie ma służącej do pomocy. Dlaczego wszystko robi sama? Nie znajdowałam na swoje pytania żadnej sensownej odpowiedzi. Ale ponieważ tak autentycznie było, musiało mi wystarczyć własne towarzystwo.

Dużo więc odpoczywałam. Często rozmawiałam. Nie, to za dużo powiedziane. O wiele lepiej pasuje tu słowo „czasami”. Czasami rozmawiałam z Marcinem przez telefon albo na Skypie. Najczęściej nie miał dla mnie czasu. Klinika go pochłaniała. Strasznie mnie irytował, ale cóż mogłam zrobić? Był bardzo poukładany. Niesamowicie obowiązkowy i pracowity. Za to Ksawery zawsze miał dla mnie czas. Nie chciałam, żeby przeze mnie zawałał robotę, ale zapewniał, że nie muszę się martwić, nie robi tego.

Z dnia na dzień czułam się lepiej. Doczekałam się chwili, w której pan Jeremi, przy kolacji, oświadczył wszem i wobec, że mogę już wracać do Warszawy. Bardzo się ucieszyłam, a jeszcze bardziej Marcin, któremu zaraz



dumnie oznajmiłam nadzwyczaj dobrą wiadomość. Zrobiłam to przez telefon. Nie mogliśmy się nagadać...

A może tylko mi się zdawało, że się ucieszył? Bardzo chciałam się z nim spotkać, zobaczyć go i poczuć. Czy za dużo wymagałam?

Następnego dnia około południa Marcin przyjechał, by zabrać mnie do stolicy. Wspólnie z jego rodziną zjedliśmy obiad. Zostałam jeszcze raz gruntownie przebadana przez jego ojca. W gabinecie Jeremiasza spędziłam chyba ponad godzinę.

– Jest nieźle – przytulił mnie do siebie i pocieszył.

– Musisz teraz dbać o siebie, odpoczywać i się nie przemęczać – zalecił mi na koniec. – Obiecuj, że to zrobisz.

– Tak, oczywiście. Będę...

Podziękowałam mu za wszystko. Poprosiłam o podziękowanie w moim imieniu wszystkim osobom, które opiekowały się mną, i nareszcie udaliśmy się z Marcinem do Warszawy. Tak bardzo pragnęłam wracać do domu.

\* \* \*

Marcin niby cieszył się z mojego powrotu do zdrowia, lecz dziwnie się zachowywał.

– Jak się czujesz? – Zapytał, gdy siedzieliśmy w samochodzie. Jego słowa zabrzmiały bardzo oficjalnie.

– No, chyba dobrze. Już chyba dobrze, skoro twój ojciec nie bał się mnie puścić z tobą. Nie wierzysz własnemu ojcu? Marcin, trochę więcej wiary w ludzi – zażartowałam.

Moja wypowiedź najprawdopodobniej była nie na miejscu, ale stało się i nie miałam zamiaru tego odkręcać. Marcin spojrział na mnie badawczo i podejrzliwie.

– Dlaczego mi nie wierzysz? Dlaczego ciągle mi nie wierzysz? – Spytałam nerwowo. Poniekąd miałam do tego prawo.

– Wierzę ci, Lena, chociaż w zasadzie nie chodzi tu o wiarę, ale... – tu przerwał.

Zamiast pilnować kierownicy, patrzył na mnie. Czułam na sobie jego spojrzenie, chociaż byłam odwrócona w kierunku okna.

– Jest jakieś ale? Coś się stało? Powinam o czymś wiedzieć? – Zdenerwowałam się.

– Nie mam przed tobą tajemnic. Nie było żadnego ale. Zgoda?

– Coś jednak ukrywasz. Czuję to. Trochę cię znam. – Drażylałam temat, patrząc na niego zaniepokojona.

– Lena, błagam. Zaraz ukrywasz. Wszędzie wietrzysz tragedię. Upatrujesz katastrofy – odparł z pretensją.

Milczałam.

- Niczego nie ukrywam – spojrzał mi w oczy.
- Na pewno? To prawda?
- Tak, Tu staniemy. Zgoda? – Nagle zmienił temat.
- OK – zgodziłam się, bo musiałam skorzystać z toalety.

Zadzwoiła moja komórka

– Cześć, Ksawery. Miło, że dzwonicz. Jedziemy właśnie do Warszawy. Nie przejmuj się. Wkrótce na pewno się zobaczymy. Dziękuję ci. Za wszystko, zwłaszcza za kwiaty. Pa, Ksawery. Pa, pa. Będzie mi ciebie brakowało...

- Zaczynam być zazdrosny.
- Zupełnie niepotrzebnie.
- Skoro tak twierdzisz, zamówimy gorącą herbatę – zaproponował.
- Tak, zamówmy. Bardzo chętnie napiję się czegoś – zgodziłam się.

Miałam nadzieję, że wrócimy do przerwane go tematu. Było mi zimno. Chciałam się jakoś rozgrzać. Mój facet nie potrafił w tej chwili tego dokonać.

Dość długo czekaliśmy na kelnerkę. Marcin patrzył na wszystko i wszystkich, tylko nie na mnie. Wiedziałam, że coś się dzieje. Może kogoś poznał? Może chce mi powiedzieć, że to koniec, że jestem jego pomyłką, że Magda zawróciła mu w głowie? Przecież mnie przez dłuższy czas nie było w Warszawie. Różne historie mogły się przez ten czas zdarzyć. Czarne myśli nie pozwalały mi się skupić.

– Jesteś taka blada. Nie wyglądasz dobrze. Może coś zjesz? Zamówimy coś? Masz na coś ochotę, co?

– Najchętniej na wino lub drinka. Możesz zamówić? Nie mam ochoty na jedzenie. Naprawdę nie zjem niczego, nie każ mi – poprosiłam.

– O winie nie ma mowy, drinka wykluczam całkowicie. Musisz teraz dbać o siebie. Lena, to bardzo ważne. Jesteś po szpitalu, w trakcie brania leków – zatroszczył się.

– Tylko dlatego, przecież w ciąży nie jestem?

– Lena, wiesz, że nie o tym mówię – był stanowczy.

– Przeskakujesz z tematu na temat... Nie mam siły. Jeśli nie pozwalasz mi się napić, jedźmy, proszę.

Rozmowa się nie kleiła. Przecież nikt mi nie obiecywał, że szczęście będzie trwało wiecznie. Znowu myślałam. Fajnie było podróżować z Marcinem, ale coś mi mówiło, że to koniec dalszej drogi. Naszej życiowej drogi. Zresztą zawsze byłam pesymistką.

– Do kogo jedziemy?

– Posłuchaj mnie, Lena. Wolałbym zabrać cię do siebie. U mnie jest pani Adela. Pomoże we wszystkim. Będzie ci łatwiej.

– Nie chcę...

– Spójrz na mnie. Możesz popatrzeć w moją stronę? Potrzebujesz tej pomocy

– kontynuował.

Nie posłuchałam. Nie chciałam patrzeć w oczy Marcina. Bałam się.

– Marcin, zwariowałaś? W czym może mi pomóc starsza pani? Chcę do domu. Zawieź mnie na Mokotów. Tak będzie najlepiej.

– Dla kogo najlepiej?

– Dla mnie. U siebie to u siebie.

– Dobrze. Jeśli wolisz, jedźmy – nie zaprotestował.

Podjechaliśmy pod mój blok. Marcin wyjął moje rzeczy z bagażnika i weszliśmy do klatki. Winda zatrzymała się gdzieś między piętrami. Jak na złość, nie można jej było przywołać. Na górę musieliśmy wejść po schodach. Dla mnie to jakby wejść na Olimp. Marcin miał rację. Rzeczywiście byłam słaba. Moja kondycja była ograniczona, w ogóle jej nie miałam.

W mieszkaniu było duszno i szaro od kurzu. Marcin otworzył okna i usiadł na sofie. Włączył radio, w którym leciały jakieś bzdury.

– Chcesz się wykapać? Przygotować wodę? Trzeba tu będzie posprzątać – oznajmił.

– Marcin, co się dzieje?

– Nic. Nic się nie dzieje. Nie wiem, o czym mówisz.

– Przecież widzę.

– Usiądź wreszcie. Lena, możesz usiąść? Na chwilę chociaż. Nie biegaj, jak... Usiądź! – Poprosił dość nerwowo.

Posłuchałam i usiadłam blisko niego. Bałam się przytulić. On też nawet nie próbował się zbliżyć, choć bardzo tego potrzebowałam. Zastanawiałam się, co się z nami dzieje. Boże, co się dzieje?

## Szara rzeczywistość

W pokoju rozległ się dźwięk komórki. To znowu moja mama.

– Mamo, obiecuję, że zadzwonię później. Tak. Jeszcze dziś. Teraz nie mogę rozmawiać. Zrozumiem, jak tylko będę wolna, oddzwonię – zbyłam rodzicielkę.

– Lena, muszę ci o czymś powiedzieć. To ważne! – Marcin przeszył mnie wzrokiem bazyliuszka. Widać było, że coś go trapi.

– Czekam na tę wiadomość od samych Katowic – odparłam nieco zniecierpliwiona. Zdawałam sobie sprawę, że rozmowa nie będzie łatwa.

– Lenka, przestań być taka oficjalna. Nie domyślaj się Bóg wie czego. To nic strasznego.

– No to mów, zamieniam się w słuch.

– Po prostu przez jakiś czas nie będziemy się mogli widywać – beztrąsko zapowiedział pierwsze zdanie, krótko i zwięźle, bez emocji.

Miałam wrażenie, że jest zdziwiony, iż ja wciąż czekam na coś jeszcze.

A ja czekałam. Naprawdę czekałam – przynajmniej na szczere wyjaśnienia.

Najprawdopodobniej według Marcina powinnam w tej chwili rzucić mu się ze szczęścia na szyję i o nic nie pytać. Być szczęśliwa, że w ogóle podał mi jakiegokolwiek informacje dotyczące jego najbliższych planów. A mnie normalnie замуrowało. Cisza stawała się nie do zniesienia.

– Marcin, co się dzieje? Dlaczego tak nagle? Obraziłeś się na mnie? Znudziłam ci się? Zrobiłam coś nie tak? Przecież ty masz tyle cierpliwości. Zwłaszcza do mnie ją masz.

– Nic się nie dzieje. Nic, czym miałabyś się martwić.

– To dlaczego? Obraziłeś się za Ksawerego? Na mnie się obraziłeś? Chodzi o szpital? Przecież wiesz, to wszystko nieprawda... Z Ksawerym to tylko żarty. Przecież to jest dzieciak jeszcze.

Spodziewałam się po tych słowach czegoś najgorszego.

– Lena, błagam cię!

– Miejmy te wyjaśnienia nareszcie za sobą. Marcin, jeśli masz kogoś, to się przyznaj. Lepiej będzie, jak od razu mi powiesz. Nie oszukujmy się.

Nienawidzę kłamstwa. Brzydzę się nim.

Roześmiał się. A ja miałam ochotę się rozplakać.

– O czym ty mówisz? Lena, o co ty mnie posądzasz? Dobrze wiesz, że nie mam nikogo oprócz ciebie, nikogo. Przysięgam. Myślisz, że mógłbym?

– To dlaczego to wszystko? Czemu ma służyć ten cały teatr?

– Lena, ja po prostu muszę wyjechać. To pilne. Nie ufasz mi? To nie teatr, tylko życie.

Chciał mnie pocałować, ale mu nie pozwoliłam.

– Dlaczego musisz? Dokąd? Po co? Tak nagle, teraz właśnie, kiedy jesteś mi

potrzebny?

– Mam szkolenie w Wiedniu. Kongres lekarzy. Jestem ginekologiem. Muszę tam być. To konieczność. Delegacja z pracy. Zrozum. Nic poza tym.

Ponowił próbę pocałunku, lecz ja znów się odsunęłam. Zadałam najprostsze pytanie na świecie:

– A my?

Pomyślałam, że coś kręci, a ja nie miałam na to wpływu. Pocałował czerwone miejsce na mojej dłoni po wyjętym niedawno wenflonie.

– Kochanie, z nami wszystko w porządku. Martwię się jedynie, jak sobie poradzisz. Co będzie, jak wyjadę? Lena, naprawdę się obawiam. Ty przecież jeszcze nie doszłaś do siebie po operacji. Widać gołym okiem, i to mnie niepokoi. Rozmawiałem nawet z Arturem. Zgodził się zająć tobą na czas mojej nieobecności. Ale ty...

– Ale ja się nie zgadzam – stanowczo zaprotestowałam, uwalniając go od jakichkolwiek domysłów.

– To nierozsądnie.

– Nie martw się, nic mi nie będzie. Poradzę sobie. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Nie czuję się dobrze w towarzystwie Chojnackiego. Wiesz przecież, że za nim nie przepadam – przekonywałam Marcina.

– Lena, teraz nie możesz zostać bez opieki. To wykluczone. Nie wybaczyłbym sobie.

– Dziękuję za troskę. Będę miała opiekę. Wyjeżdżam do mamy, to znaczy do rodziców – zakomunikowałam.

– Teraz do rodziców?

– Tak, teraz... jutro.

– To niedorzeczne! Nie powinnaś. Nie możesz. Jesteś jeszcze zbyt słaba. Nie możesz do nich pojechać. Nie zgadzam się. Dalekie podróże na pewno ci teraz nie posłużą. Lena, nie bądź uparta.

– Nie przesadzaj, nie takie znowu dalekie. Marcin, nie będę się ciebie słuchała. Nie wysilaj się, proszę. Postanowiłam i pojedę. Zastanawiam się tylko, dlaczego Chojnacki nie jedzie z tobą do Wiednia. On już wszystko umie i nie musi się uczyć? Czy musi mnie pilnować? Nie bałbyś się mnie z nim zostawić?

– Lena, ktoś musi zadbać o klinikę, to proste i logiczne chyba. Nie wyobrażam sobie, aby przy Chojnackim mogło się coś złego wydarzyć. Ufam tobie i jemu. Zostań w Warszawie, proszę. Wolałbym, żebyś została pod opieką. Bądź grzeczną dziewczynką.

– Nie nazywaj mnie dziewczynką, bo nią nie jestem. Nie lubię, kiedy do mnie tak mówisz. Możesz wybić sobie z głowy swoje plany. Ja zamierzam realizować własne. Nie posłucham cię, nie tym razem. Ja i Chojnacki... Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, co proponujesz? Marcin, błagam cię, nie będę dalej

słuchała tych bzdur.

– Lena, proszę, bądź rozsądna. Nie możesz... – złapał mnie za ramiona. Był delikatny.

– Czego nie mogę? Za wiele ode mnie wymagasz.

Nie chciałam się wyrywać. Tkwiłam w bezruchu. Nie patrzyłam na Marcina. Brakowało mi odwagi.

– Nie wiedziałem, że możesz być aż taka nierozsądna. Zresztą zrobisz, jak zechcesz. Zawsze robisz, co chcesz. Jesteś uparta. Wiem, że mnie nie posłuchasz. Mimo wszystko proszę, żebyś została w Warszawie. Taka decyzja jest słuszna ze względu na twoje zdrowie. Nie powinnaś wyjeżdżać z domu. Nie teraz.

Wypuścił mnie z objęć i usiadł na kanapie.

– Moja decyzja jest nieodwołalna. Postanowiłam i pojedę. Czuję się już dobrze. No, prawie – wyjaśniłam Marcinowi.

– Właśnie, prawie czyni ogromną różnicę...

– To bez znaczenia.

– Mam inne zdanie.

– Teraz chcę zostać sama. Powiedz temu swojemu Arturowi, że nie musi się mną opiekować. Zwalniam go z tego przykrego obowiązku. Jutro wyjeżdżam i nie wiem, kiedy wrócę. Najlepiej wcale bym nie wracała. Nie mam ochoty wracać do Warszawy. Tu zawsze czekają na mnie wyłącznie kłopoty.

Byłam niezbyt miła.

– Najlepiej będzie, jak zostanę sama – powtórzyłam.

– Lena, co to znaczy? Wyrzucasz mnie? Chcesz, żebym sobie poszedł? Nie chcesz mnie widzieć? Lena!

– Pozostawiam ci wolność interpretacji.

– Lena! O co ci chodzi? Chciałem się jakoś porozumieć, dogadać...

– Jak widzisz, po prostu nam nie wychodzi. Wolę być sama.

– Mam wyjść? – W jego pytaniu pobrzmiwało niedowierzanie.

– Tak. Chyba tak będzie najlepiej – powiedziałam teraz najgłupszą rzecz na świecie.

– Możesz powtórzyć?

– Tak, mogę: chcę zostać sama.

– Skoro chcesz i tak postanowiłaś...

– Nie, to nie tak... Marcin, przepraszam. Nie musisz mnie słuchać, zostań... Nie chcę być sama. Zdenerwowałaś mnie tym Chojnackim – szepnęłam.

Nie słuchał albo nie słyszał mojej prośby, nie wiem. Wrócił jedynie na chwilę.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, Lena, słyszysz, jeśli czegoś będziesz potrzebowała, zadzwoń. Po prostu dzwoń. Proszę, to jedno mi obiecaj. OK? Uważaj na siebie.

Spuściłam głowę, milczałam. Nie radziłam sobie.

Marcin zatrzasnął drzwi, aż podskoczyłam. Wyszedł bez pożegnania.

Na jego miejscu postąpiłabym dokładnie tak samo. W ostatnim czasie on i jego rodzina poświęcili mi wszystko, co mieli, a ja kazałam mu tak po prostu opuścić moje mieszkanie.

Nie mogę teraz o tym myśleć. Dam sobie spokój. Jutro pojedę do rodziców. To już postanowione. Nikt nie będzie mną rządził! Zawsze liczyłam wyłącznie na siebie. Teraz też dam radę. Muszę!

\* \* \*

Włączyłam kawiarkę. Byłam spragniona mocnej czarnej. Musiałam się napić. Nie wiem, dlaczego akurat kawy mi się zachciało. Przecież planowałam wcześniej położyć się spać, a trunek podnoszący ciśnienie nie mógł mi w tym pomóc. Miałam ciągle huśtawki nastroju. Cóż, wkroczyłam już chyba w taki wiek.

Dużo rzeczy chciałam zrobić naraz, lecz chaos w głowie nie pozwalał mi niczego zacząć, niczego skończyć. Na niczym się skupić. W żaden sposób nie potrafiłam nic dokonać.

Po kofeinie nie miałam szansy zasnąć. Może by obejrzeć jakiś film? Może o Ani German? A potem? Co potem, całą noc płakać? Tu moje skaczące po głowie myśli przerwał nagły dzwonek do drzwi. Dźwięk był natrętny i długi. Kogo znowu diabli niosą?

– Marcin, nie wygłupiaj się. Przecież masz klucze. Otwórz sobie – krzyknęłam do zamkniętych drzwi. Byłam pewna, że to mój lekarz namyślił się i stoi za nimi.

– To ja, pani Leno – usłyszałam głos sąsiadki. Zdziwiłam się.

O tej porze? Co ona może ode mnie chcieć tak późno? Logika podpowiadała mi, że jeśli jej nie otworzę, to się zwyczajnie nie dowiem. Pamiętam, że z logiki w liceum byłam dobra. Postanowiłam więc otworzyć drzwi i zorientować się, czego sąsiadka ode mnie chce. Zdawałam sobie sprawę, że oryginalna nie jestem.

– Dobry wieczór, pani Leno. Przepraszam, że niepokoję panią właśnie teraz. Byłam wcześniej, ale trudno panią zastać. Przeważnie pani nie ma. Ostatnio w ogóle.

Wydawało mi się, że powiedziała to z lekką pretensją w głosie. Co ona sobie wyobraża? Śledzi mnie? Przecież ja mam własne życie i własne problemy. I mogę robić, co chcę, gdzie chcę, o której chcę i z kim mi się żywnie podoba.

– Dobry wieczór – przywitałam ją po czasie. Udałam zdziwioną i zaskoczoną jej nocną wizytą. Nie chciałam, żeby zobaczyła moje rozdrażnienie.

– Co się stało?

– Czy mogę dalej? – Przybyszka wskazała na mój przedpokój.

– Zalałam panią? Proszę poczekać. Pójdę sprawdzić łazienkę. Może nie

dokręciłam kurka? – Nie dawałam pani Jadzi dojść do głosu.

– Nie, nic z tych rzeczy, drogie dziecko – sąsiadka szybko mnie uspokoiła. – Mam do pani inną, całkiem osobistą sprawę.

– O co chodzi? – Spytałam nieco uspokojona. Ucieszyłam się, że nie będą musieli ściągać kasy z mojego ubezpieczenia na rzecz naprawy łazienki pani Jadwigi. Kamień spadł mi z serca. Myślę, że wszyscy to słyszeli, aż do samego parteru.

– Czy mogę wejść? Nie chciałabym tak na korytarzu. Wie pani, ściany mają uszy, i to słoniowe przeważnie.

Nie zważając na moją reakcję, rozejrzawszy się i upewniwszy, że nikt jej nie śledzi, wgramoliła się do środka mojego przedpokoju.

– Pani Jadziu, co się dzieje? – Ponowiłam pytanie.

– Chwileczkę, zaraz wszystko wyjaśnię, tylko nieco odetchnę.

– Może się pani czegoś napije? Zrobić kawy? Bo ja... muszę dopić swoją.

– Dobrze, pani Leno, niech będzie, ale raczej herbata. Kto to słyszał, żeby o tej porze pić kawę? To bardzo niezdrowe – zaczęła mnie pouczać.

– Dobrze, zrobię herbatkę.

– A więc co to za problem sprowadził panią do mnie? – Spytałam z kuchni.

– Pani Leno, wiem, że spotyka się pani z tym Prajsem, ginekologiem. Wszyscy wiedzą.

– Co to ma do rzeczy? Proszę się nie gniewać, ale to wyłącznie moja sprawa.

Pani Jadwiga drażniła mnie coraz bardziej. Była wścibska, ale żeby aż do tego stopnia? Boże, poradź mi coś na szybko, zanim wyrzucę ją z mojego mieszkania. A może ona wie coś złego o Marcinie, coś, czego ja nie wiem, i przyszła mnie ostrzec?

– Pani Leno, proszę się nie denerwować. Ja tylko chciałam spytać, a w zasadzie poprosić – tu przerwała na chwilę.

– Słucham? O co? Co to za prośba?

Postawiłam tacę z herbatą.

– Czy mogłaby mi pani umówić wizytę u pani... znajomego? Jest lekarzem, a ja potrzebuję pomocy. Czy nie byłby to dla pani zbyt wielki kłopot? U doktora Prajsa.

Uspokoila mnie.

– Dobrze, spróbuję. Jeśli tylko o to chodzi, to spróbuję pomóc. Postaram się coś załatwić.

Podalam sąsiadce filiżankę herbaty i nareszcie usiadłam naprzeciwko.

– Zależy mi, żeby jak najszybciej spotkać się z lekarzem. Czy to możliwe?

– Tak, chyba tak. Myślę, że to do załatwienia.

– To dobrze.

– Chwileczkę, zaraz zadzwonię do Marcina, to znaczy do pana Prajsa, i



spytam, czy przyjmie panią jutro.

Przecież sąsiadka nie powinna wiedzieć żadnych szczegółów z naszego prywatnego życia. Nie powinna się dowiedzieć, że się pokłóciliśmy przed chwilą i właśnie z moim Marcinem, a jej jutrzejszym ginekologiem, jestem na ścieżce wojennej.

Jakiś czas szukałam telefonu. Jak zwykle nie mogłam go nigdzie znaleźć. W końcu udało się wydobyć aparat spod sterty ciuchów. Spróbowałam połączyć się z Marcinem. Nie za bardzo wiedziałam, jak się zachować. Zupełnie nie na rękę było mi to wydzwanianie do niego w tej chwili. Ale przecież nie przyznam się pani Jadzi, że to koniec, że więcej nie spotkam się z panem Prajsem. Nie zdradzę jej, że ledwie wszystko się zaczęło, już nasz romans dobiegł końca. To byłoby czyste szaleństwo. Cały Mokotów jutro by o tym szeptał. Co więc mam robić? Spróbuję jeszcze raz.

Ponownie wybrałam numer telefonu, lecz Marcin nie odpowiadał. Czyli nie chce ze mną rozmawiać! Złe myśli przeleciały mi po głowie.

– Za chwilę spróbuję kolejny raz. W tej chwili Marcin, to znaczy pan Prajs nie odbiera... – znów poprawiłam się szybko. Nie zdążyłam dokończyć zdania, gdyż niespodziewanie rozbrzmiał dźwięk komórki.

– Słucham.

– Lena, to ja ciebie słucham. Co się dzieje? Dzwoniłaś.

– Tak, chcę... – wyjąkałam.

– Ciekaw jestem, czego możesz chcieć.

– Marcin, proszę cię.

– Zmieniłaś zdanie? Chcesz mnie przeprosić? Mimo wszystko nie przyjadę. Nie będę spełniał wszystkich twoich zachcianek. Nie licz na to! Nie, nie i jeszcze raz nie – nie pozwolił mi dojść do słowa.

Zrobiło mi się bardzo przykro. Mówiąc szczerze, замуrowało mnie. Milczałam. Marcin nigdy do tej pory tak mnie nie potraktował. Właściwie, czego ja się spodziewałam?

– Mam nadzieję, że to coś ważnego? Bo muszę kończyć. Jeszcze nie dojechałam do domu, a w samochodzie źle się rozmawia. Muszę pilnować kierownicy – zaczął ponownie.

– Marcin, to nie chodzi o mnie. Uspokój się. Zostawmy nas. Zostawmy nasze problemy.

– A my mamy jakieś problemy? Mamy, Lena? A może nie mielibyśmy ich, tylko ty sama się do nich przyczyniasz? – Marcin przerwał ironicznie.

Nie odpowiedziałam na jego zaczepki. Nie chciałam się kłócić. Nie teraz. Mówiąc szczerze, w ogóle nie chciałam. Chciałam przeprosić Marcina. Wiedziałam, że mi się nie uda.

– Mam do ciebie zupełnie inną sprawę. Właściwie prośbę. Ta prośba

zupełnie nie dotyczy mnie. Marcin, posłuchaj. Nie chodzi o mnie. Chodzi o moją sąsiadkę. Czy mógłbyś jej pomóc. Mógłbyś załatwić jej wizytę u siebie? Jutro. Koniecznie – poprosiłam niepewnie, nie odpowiadając na żadne zadane przez niego wcześniej pytanie.

– A co się dzieje z sąsiadką?

– Nie wiem. Nie będę się wypytywała. Nie jestem wścibska. Wiesz o tym. Przecież mnie znasz.

– Raczej w ogóle cię nie znam. Boję się, że nigdy nie poznam – był złośliwy, jakby nie on.

– Nie musisz być taki nieprzyjemny. Proszę, Marcin – zaskamlałam.

– Ty też byłaś. Nie pomyślałaś, jak się czułem? – Przypomniał mi.

Milczenie stawało się bardzo uciążliwe.

– Przepraszam. Nie chciałam zrobić ci przykrości. Naprawdę nie miałam takiego zamiaru.

– A jednak ci się udało.

– Marcin, posłuchaj...

– OK, postaram się. Jeśli to takie ważne, przyjmę tę kobietę. Ale jutro nie mogę. Jeśli musi być jutro, to jedynie wieczorem, bardzo późnym. Prywatnie, u mnie w domu. Daj jej mój adres. Inaczej nie dam rady. W klinice jestem strasznie zajęty. Najlepiej byłoby pojutrze... ale wyjeżdżam – na chwilę przerwał rozmowę.

– Zrób to dla mnie, Marcin, proszę cię. Bardzo mi zależy.

– Już powiedziałem. Najwyżej późnym wieczorem. Bardzo późnym. Muszę kończyć. Cześć – wyłączył telefon.

Zawsze udawało mu się bez trudu rozmawiać przez telefon, gdy prowadził. Teraz nie mógł? Czy nie chciał? Pewnie to drugie.

– Pani Jadziu, dam pani adres i pojedzie pani jutro do pana Prajsa, do jego domu. Umówiłam pani prywatną wizytę. Lekarz ma czas tylko wieczorem, późnym w dodatku. To wszystko, co kazał mi przekazać. Nic innego nie da się zrobić.

– Z nieba mi pani spadła. Bardzo dziękuję. Syn mnie zawiezie.

Zabrała kartkę z adresem Marcina, którą własnoręcznie jej napisałam i wręczyłam. I nareszcie pożegnałam moją wścibską sąsiadeczkę.

Sama bezradnie opadłam w fotelu i zaczęłam się zastanawiać, jak dużo złego zrobiłam. Dlaczego tak źle potraktowałam mojego Marcina? Wiedziałam jedno: to pewnie koniec. Całkowity koniec. Tej sytuacji nie da się już odkręcić. Płacz nic nie pomoże. A przecież wcale tego nie chciałam. Wcześniej trzeba było myśleć, a nie teraz, kiedy go poniżyłam i obraziłam. Zrobiłam to z premedytacją. Słusznie, że nie chciał ze mną rozmawiać. A najgorsze, że miał cholerną rację. Miałam wrażenie, że i tak łagodnie mnie potraktował.

Najbardziej zastanawiało mnie, jakie ważne plany ma jutro Marcin. Skoro cały dzień będzie zajęty, pewnie to naprawdę coś niecierpiącego zwłoki. Na pewno

zajmie go Magda. Było mi przykro. Wiedziałam, że nie da się już tego zmienić.  
Ona jest dla niego taka miła.

## Jadę do rodziców

Rano strasznie lało. Coś na kształt oberwania chmury. Gigantyczne krople dzwoniły o parapety okien. W rynnach działo się naprawdę coś niedobrego. Było mokro, smutno i ponuro. Chciało mi się płakać. Marcin nie dzwonił. Mój świat rozpryskiwał się na miliardy kawałków, niczym krople deszczu w kałużach. Wraciałam do początku.

To koniec bajki. Wszystko się skończyło. Czas pomyśleć o życiu na poważnie! Myślałam i myślałam, ale zamiast na poważnie, bardziej jak małe dziecko.

Usiadłam w fotelu i zapaliłam papierosa. W sytuacjach bez wyjścia zawsze palę.

Po krótkiej regeneracji organizmu ponownie zaczęłam się szykować do wyjazdu. Postanowiłam pojechać pociągiem. Nie miałam siły na prowadzenie samochodu. Zresztą moje auto nie nadawało się na dalekie trasy. Było zbyt stare i zbyt zużyte. Bałam się gdziekolwiek nim wyruszać.

Kończyłam pakować moje manatki, gdy usłyszałam dzwonek. Pospiesznie otworzyłam drzwi, gdyż nie zostało mi zbyt wiele czasu do wyjazdu. Staralam się wyrobić na pociąg, a nie mogłam nigdzie znaleźć parasolki. Dziś nie sposób było wyjść bez niej z domu.

– Mogę wejść? Chyba musimy pogadać – spytał Marcin, wchodząc w sam środek bałaganu. Nie czekał na moją zgodę.

– Co ty tu robisz? Miałeś być dzisiaj... Strasznie zajęty miałeś być. Nie mogłeś przecież, nie przewidywałeś spotkania ze mną – jęczałam jak uczeń przed nauczycielem.

– Lena... Tęskniłem i nic nie było ważniejsze od zobaczenia ciebie. Moje sprawy mogą poczekać, nie myśl o nich, są nieważne. Kocham... Wybaczyłem... Jestem i czekam... zrozumiałe... na ciebie czekam. Spakowałaś się, kochanie? Odwiozę cię. Nie powinno cię nic dziwić. Jestem odpowiedzialny, znacznie bardziej od ciebie, to na pewno – komunikował.

– Jak to? Przecież ja zaraz mam pociąg. Przecież ja... przecież... – Lena, nie bądź monotematyczna. Jaki pociąg? Jaka podróż? O czym ty mówisz? Bądź rozsądna! Odwiozę cię. Razem pojedziemy do twoich rodziców. Sądziłaś, że pozwolę ci pojechać samej jakimś rozgruchotanym wehikułem czasu?

– Nie przesłyszałam się? Jedziemy? My jedziemy? Razem do moich rodziców? Wy tłumacz mi, o co chodzi. A twój kongres? Już nie jest ważny? Co z twoimi planami? Marcin, co z nią? Co z tą... – tu przerwałam, po prostu bałam się wypowiedzieć imię lekarki, Magdy Samperskiej, z którą Marcin miał wyjechać tak daleko.

– Z jaką tą? Nie ma żadnej tej. Lena, ty coraz bardziej mnie rozbrajasz. Nie

wiem, co ci powiedzieć. Przecież nawet nie spytałaś, kiedy wyjeżdżam, a pochopnie wyciągasz wnioski. Za dużo pytań zadajesz. Stanowczo za dużo! – Uśmiechnął się jak zwykle, z całych sił przytulając do siebie.

Zrobiło mi się głupio. Pocałował mnie w czoło tak, jak całuje się własną córkę. Ciągłe traktował mnie jak dzieciaka. Nie potrafiłam z tym walczyć. Trudno, już taki był.

Po kwadransie pomógł mi wygramolić się z walizkami z domu. Oddałam mu klucze od mojego mieszkania. Wsunął je do kieszeni marynarki.

Niczego nie rozumiałam. Kompletny galimatias. Co on robi? O co mu chodzi? Czy to znaczy, że mną jest dzisiaj zajęty i dlatego przesunął wizytę pani Jadzi na późny wieczór? Wszystko się zgadzało. Na odpowiedź nie czekałam zbyt długo. Marcin szalał przed samochodem.

– Myślałaś, że pozwolę ci wyjechać tak po prostu, bez pożegnania? Tak? Właśnie tak myślałaś? – Przerwał naszą parkingową ciszę dwoma podobnymi pytaniami, jakby chciał podkreślić ich równoważność.

Nic nie odpowiedziałam. Ja przecież ostatnio w ogóle nie myślałam logicznie. Popatrzyłam na niego. Położyłam swoje dłonie na jego ramionach. Wyczułam, że ten gest mu się spodobał. Był niczym balsam na niedawno zadaną ranę. Pocałował je kilka razy, przechylając głowę raz w prawą, raz w lewą stronę.

– Ta podróż mogłaby cię zabić. Lena, ty masz pomysły jak dzieciak. Jak... Brak mi słów – skarcił mnie, wygłaszając dalszą część przemowy już w lżejszym tonie. – Wsiadaj – wskazał na drzwi samochodu. – Przecież ty nawet nie wiesz, jakie leki masz brać. Nie wiesz, jak je masz brać. Ile masz ich brać. Kiedy, dlaczego, po co. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialna – kontynuował z powagą lekarza.

Czułam się jak kiepska uczennica, gdy tak mnie pouczał i tłumaczył, przekonywał, co dobre, a co złe i jaka ze mnie idiotka.

– Jeśli chciałeś mnie obrazić, to właśnie to zrobiłeś. Ulżyło ci?

Moja duma nie wytrzymała. Wykrzyczałam mu na całe gardło.

– Lenka, ja nie chcę cię obrażać, ja tylko chcę ci uświadomić, że dopiero co miałaś poważną operację i nic sobie z tego nie robisz. Nie dbasz o siebie. To może się źle skończyć. Ja cię tylko ostrzegam! Jako lekarz cię ostrzegam! Pamiętaj, że to naprawdę nie są żarty. Mam na myśli zdrowie. Twoje zdrowie – nie dał się sprowokować babskimi krzykami.

– I co z tego? Przecież kiedyś muszę zacząć normalnie żyć. Nie uważasz, że powinnam? Nie będę użalała się nad sobą przez całe życie. O, co to, to nie. Za stara jestem na takie numery – byłam niegrzeczna.

– To nie jest użalanie się, tylko dbanie o zdrowie. Spróbuj oddzielić te dwie całkiem różne sprawy – poprawił mnie mój ideał.

– Dobrze, myśl sobie, co chcesz. Nazywaj to, jak chcesz – poddałam się, bo

wiedziałam, że Marcin ma rację. Ja natomiast przegięłam maksymalnie.

W tym czasie ktoś do niego zadzwonił.

– Przepraszam cię, Lena, muszę odebrać. To ważne.

Jeśli ważne, to odbieraj sobie – pomyślałam. Mimochodem słyszałam jego rozmowę z... No właśnie, z kim? Wsłuchiwałam się w słowa, których Marcin wcale nie ukrywał. A według mojej dedukcji powinien, przynajmniej wypadałoby przy mnie.

– Magda, teraz nie porozmawiamy. Jutro ustalimy szczegóły. Przyjadę po ciebie o szóstej rano. Tylko bądź już całkiem gotowa. OK? Zabierz skrypty i notatki. Będziemy się uczyli podczas drogi – roześmiał się.

A więc Magda? Będą się razem uczyli. Co to oznacza? Postanowiłam nie pytać. Uznałam, że Marcin sam mi powinien powiedzieć. Miałam się nie angażować i tej wersji będę się trzymała. Ale wiadomo, że zaczęłam myśleć intensywnie i Bóg wie co sobie wyobrażać. Moja wyobraźnia została spuszczonea...

– Nie martw się. Teraz nie powinnaś – Marcin mnie uspokajał.

– Dobrze, skoro tak mnie zapewniasz – zgodziłam się niepewnie.

\* \* \*

Podjechaliśmy pod dom moich rodziców. Było wczesne południe i dość ciepło na dworze. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. W przydomowych ogródkach było ją nawet widać.

– Wsiadamy. Pomogę ci zanieść bagaże i zaraz wracam z powrotem – krótko oznajmił Marcin.

Wydawał się przy tym zimniejszy niż marcowy lód na jeziorze. Chyba nie odważyłabym się go teraz dotknąć ze strachu przed zmrożeniem własnej ręki, która jak zwykle była całkiem zimna.

– Jak to, jedziesz z powrotem? Marcin, zastanów się. Jesteś zmęczony podróżą. Przenocujesz u moich rodziców. Rano wrócisz. Nikt cię przecież nie goni.

– Lena, nie mogę. Zapomniałaś – jutro rano wyjeżdżam. Kongres nie będzie na mnie czekał. Muszę jeszcze dziś wracać do Warszawy. No i ta twoja sąsiadka. Sama zamówiłaś jej wizytę u mnie, przecież pamiętasz.

Delikatnym ruchem ręki odsłonił moją grzywkę, nieznosnie nachodzącą na zdziwione oczy.

– Marcin, czy ty naprawdę nie możesz odpocząć jak człowiek?

– Nie tym razem. Powinnaś zrozumieć, ty też przecież mało kiedy odpoczywasz.

– Tylko tyle? To jest twój argument?

– Co jeszcze mam ci powiedzieć?

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami.

– Jadę, Lenka. Wiesz, że muszę...

- Czy to... czy to nasz koniec? Marcin, to chcę wiedzieć.
- Jaki koniec, Lena? O czym ty mówisz?
- Chcę wiedzieć, czy żegnasz się ze mną na zawsze, czy na chwilę?
- Lena, ja naprawdę nie mam ani czasu, ani siły tłumaczyć ci wszystkiego od początku. Nie bój się. Niczego złego nie zamierzam. Wrócę, obiecuję. Słowo.
- Przecież ty niczego mi nie wytłumaczyłaś. Zakomunikowałaś, że wyjeżdżasz, to wszystko...
- Nie dałaś mi szansy, bym ci wyjaśnił cokolwiek. Nie pamiętasz?
- Marcin, darujmy sobie szczegóły. Powiedz, czy między nami stała inna kobieta? Tak? Stała? Zapewne mniej marudna, bardziej atrakcyjna. Taka, z którą możesz być szczęśliwy – wciąż miałam na myśli Magdę. Obawiałam się jej od początku znajomości z Marcinem.
- Lena, jeśli będziesz dalej pytała o takie głupoty, to się naprawdę pogniewamy – zagroził Marcin.

Na szczęście moje koszarne myśli przerwała mi moja dobra mama, która kręcąc się po ogródku, dopiero teraz wypatrzyła, że przyjechaliśmy. Przywitałam się z nią serdecznie. Naprawdę bardzo się za nią stęskniłam. Potem podszedł ojciec i powtórzył rytuał powitalny.

Przedstawiłam im Marcina. Zwyczajnie, jako kolegę. Tak jakoś wyszło.

Niestety mimo usilnych starań mamy Marcin nie został na kolacji. Podobno nie mógł. Poodbierał kilka telefonów z kliniki. Zostawił mnie u rodziców i odjechał do Warszawy.

– Zadzwoń – obiecał.

Przed wyjściem wsunął mi recepty do kieszeni.

– Kocham cię – rzekł na pożegnanie.

Nie słyszał, gdy odpowiedziałam mu tym samym.

U rodziców miałam mnóstwo wolnego czasu. Nie wiedziałam, co z nim zrobić. Pogrążałam się w rozmyślaniach. Doszłam do wniosku, że nie uda się, że nam nie wyjdzie. Nieuchronnie rozdzielała nas Magda. Wyobrażałam sobie, jak razem spacerują po tym cholernym

Wiedniu, jak wspólnie chodzą na wykłady, jak razem się uczą, pracują, śmieją, jak się całują i całą resztę też sobie wyobrażałam.

– Mamo, to byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Nie będę z żadnym Marcinem, czy ci się to podoba, czy nie. To jest tylko przelotna znajomość. To mój kolega. Nic więcej. Chyba ja wiem najlepiej? Pomógł mi na życiowym zakręcie i to wszystko – któregoś dnia przy kolacji oznajmiłam.

– Co ty za bzdury pleciesz? Z twoim podejściem do życia nigdy sobie nikogo nie znajdziesz.

– Mamo, proszę cię. Lubię być sama. Przyzwyczaiałam się. Nie zmieniaj tego

za mnie.

– Zosia samosia i jak do tej pory na dobre ci to nie wyszło. Zawsze byłaś taka właśnie.

– Jaka, mamó? Jaka byłam, a może jestem? W końcu wyduś to z siebie, jaka?

– Szkoda gadać! Żadne argumenty do ciebie nie trafiały. Nie potrafisz wykorzystać żadnej, nawet największej szansy – skarciła mnie mama.

A więc postrzegala Marcina w kategorii szansy. Ja bym chyba na coś takiego nie wpadła. A może ona ma rację? Może Marcin to naprawdę moja ostatnia nadzieja? Ostatnia, żeby kochać i być kochaną. Dawać szczęście i być szczęśliwą. Żyć pełną parą, czerpać z życia, a nie bujać gdzieś w obłokach na pół gwizdka. Czy tak było naprawdę, dowiedziałam się znacznie później.

– Mamó, ale ja nikogo nie szukam. Jest mi dobrze. Samej. Nie potrzebuję kłopotów.

– Tak się tylko mówi. Mnie nie oszukasz. Widziałam, jak się na ciebie patrzył ten warszawiak. Tak nie zachowuje się zwykły kolega. A na przyjaźń między kobietą a mężczyzną w waszym wieku nie dam się nabrać – pokiwała głową.

– Mamó! – poczułam zażenowanie.

– A do tego lekarz. Boże! Supergość. Miły, spokojny, grzeczny... – moja rodzicielka się rozmarzyła.

– Mamó!

– Co mamó? Na odległość widać, że to dobry człowiek. Przystojny i wykształcony. Czego chcesz więcej? Fajnie by było, gdybyś zmartwiła i zajęła się nim na poważnie – westchnęła.

– Mamó, czego ty ode mnie chcesz? Nikim się nie będę zajmowała. A to, że jest lekarzem i przystojnym facetem, jeszcze o niczym nie świadczy.

– Jak chcesz. Zrobisz, co zechcesz. I tak mnie nie posłuchasz. Nigdy nie słuchałaś.

Na razie nie miałam zamiaru tłumaczyć mamie, ile Marcin dla mnie znaczy i czy w ogóle jest dla mnie ważny, a już na pewno nic jej nie powiem o moim zabiegu i pobycie w klinice. Nie może się dowiedzieć o operacji. To by ją zabiło.

Niestety przed moją mamą niczego się nie ukryje.

Pewnego dnia, sprzątając, znalazła moje tabletki, które ukradkiem udało mi się kupić.

– Co to za proszki? Po co je bierzesz? Antykoncepcyjnych nie powinnaś. Wiesz, że szkodzą? – Stawiała pytanie za pytaniem, nie oczekując odpowiedzi.

– Mamó!

– Może ona coś ukrywa przed nami? – Zwróciła się do ojca.

– Niczego nie ukrywam.



– Ona zawsze miała przed nami sekrety. Na każdym kroku miała tajemnice – mama histeryzowała.

– Basiu, co ty mówisz? Nie dasz dziewczynie dojść do głosu – bronił mnie ojciec.

Odkąd sięgam pamięcią, tato zawsze stawał po mojej stronie. Za to ceniłam go najbardziej. Był moim prawdziwym przyjacielem.

– Mamo, skoro chcesz wiedzieć, to ci powiem, ale nie bądź rozczarowana. Nie mogłam ci wcześniej o tym wspomnieć. Nie chciałam cię martwić. To tabletki, które muszę przyjmować. Muszę je brać zamiast zastrzyków. Marcin mi je przepisał, a w zasadzie jego ojciec. Nieważne...

– Jesteś chora? – Mama usiadła na taborecie.

– Tak, to prawda, mamo. I to, że jestem z Marcinem, też prawda, choć czasem wątpię, że to się dzieje naprawdę. Od jakiegoś czasu z nim jestem. Tak to można nazwać. Leczy mnie. To długa historia...

Rodzice z wielką ciekawością wsłuchiwali się w każde moje słowo. Kiedy skończyłam relacjonować moją bądź co bądź tragiczną przygodę, ojciec westchnął, a mama rozłościła się nie na żarty.

– I po co ty, dziecko, teraz do nas przyjechałaś? Mogłaś zostać pod opieką tego lekarza. W Warszawie. Jesteś niepoważna i nieodpowiedzialna. A zresztą zawsze byłaś uparta, jak twój ojciec – nakrzyczała na mnie jak zwykle, po czym zdenerwowana wyszła z kuchni. Przeważnie tak robiła, gdy ją czymś wkurzyłam.

– Lena, po co ci to wszystko? – Ojciec spytał z troską.

– Tato, ty też jesteś przeciwko mnie? Przecież ja tu do was przyjeżdżam naładować baterie, a nie się kłócić. Myślałam, że otrzymam wsparcie, a nie będę wyjeżdżała po awanturze – rozzarzyłam się do czerwoności. – Wychodzę. Nikt mnie w tym domu nie rozumie – zakomunikowałam. I tyle mnie widzieli.

Wyszłam przed furtkę. Powietrze lekko wirowało, a mnie całkiem mocno wirowało w głowie. Nie wiedziałam, co mam robić. Najpierw Marcin, potem mama, a na końcu jeszcze ojciec nie zgadzał się ze mną. Jestem dorosła i nie pozwolę, by wszyscy mnie pouczali. Buntowałam się, przechodząc obok kiosku.

Kupię papierosy. Siądę gdzieś na ławce. Muszę się wyciszyć, bo w przeciwnym razie zwariuję. Muszę rozładować złe emocje – postanowiłam się nie poddawać.

Marcin nie dzwonił.

Z rodzicami pokłóciłam się, choć tak dawno się z nimi nie widziałam.

Boże, pomóż! Zwróciłam się do najwyższej instancji.

W gruncie rzeczy nie dawałam sobie rady. Z życiem sobie nie radziłam. Coś złego działo się ze mną.

## Spotkanie po latach

– Witaj, Lena. Co za spotkanie. Kopę lat. Gdzie ty się, dziewczyno, podziewałaś? Co u ciebie? Boże, przecież ty się w ogóle nie zmieniłaś!

Ktoś mówił do moich pleców. Odwróciłam się powoli w stronę dobiegającego głosu.

– Nie do wiary, to naprawdę ty? Co za niespodzianka. Ostatnio widziałem cię... No właśnie, kiedy? Świetnie wyglądasz. Jak zawsze piękna i olśniewająca Lena.

– Tadeusz? Nie wierzę – patrzyłam ze zdziwieniem.

– We własnej osobie – zakomunikował mężczyzna w moim wieku.

– Zawsze umiałeś prawić komplementy. Oceniałeś książki po okładce. Sławny byłeś z tego już w podstawówce.

Wyciągnęłam do niego rękę. Odwzajemnił mi tym samym. Przywitaliśmy się, jak przystało na przyjaciół.

– Z pewnością szybciej spodziewałaś się ducha niż mnie – uśmiechnął się radośnie.

– Być może – odwzajemniłam uśmiech.

– Lenka, to jakieś zrządzenie losu, że się spotkaliśmy. Prawda, że mam rację?

– Boże, taki sam jak zwykle – westchnęłam.

– Nie jestem jeszcze duchem i jeszcze długo nie zamierzam, niestety – żartował.

– Tadeusz, co ty tu robisz? Skąd się tu wzięłeś? – Spytałam cicho.

– O to samo powinienem spytać ciebie – nie odpowiedział mi na pytanie.

– Ja przyjechałam do rodziny. Tu mam mamę i tatę, jakbyś zapomniał. To chyba cię nie dziwi?

– A ja, ja tu mieszkam, jeśli jeszcze kojarzysz – wciąż żartował.

Znałam go od dziecka. Zawsze się we mnie podkochiwał. Ja jakoś nigdy nic do niego nie czułam, nic mnie do niego nie ciągnęło. Był czas, że nawet go niespecjalnie lubiłam. Dlaczego? Nie wiem sama.

– Słuchaj, Lena, jeśli dane nam było się spotkać, to może uczcijmy jakoś to wydarzenie. Tu niedaleko jest fajna kafejka. Wiesz, tych Martyniaków. Tylko stary Martyniak już tam nie rządzi. Teraz szefową jest jego córka. Pamiętasz tę Gośkę? Rok starsza od nas.

Nie czekał na moją odpowiedź. Domyślał się chyba, że Martyniaków pamiętam i że się zgodzę.

– To ruszajmy. Prowadź, Tadeuszu. Śmiało. Poloneza czas zacząć – zapowiedziałam wesoło. Właśnie przypomniały mi się szkolne lata. I bardzo zapragnęłam oderwać się od rzeczywistości.

Och, jak wtedy było cudownie. W czasach, kiedy byłam dzieckiem. Nie miałam żadnych kłopotów i brałam życie całymi garściami. W dzieciństwie razem z Tadeuszem nauczyliśmy się grać na instrumentach. Chodziliśmy do tej samej szkoły muzycznej. Trochę występowaliśmy razem, w jednym zespole. Ja grałam na pianinie, a on na gitarze. Takie tam początki brzdąkania. Nie odnajdywałam w tym nic nadzwyczajnego, ale lokalnej społeczności podobały się te nasze koncerty. Tadeusz zawsze chciał ze mną występować. Marzył o karierze artysty.

„Do końca życia będę z tobą” – tak mawiał, gdy trochę podrosł. Miał marzenia o zespole muzycznym, dalekich podróżach i o mnie.

Mnie jakoś te jego pragnienia nie bawiły. Nawet nie wiem, jak to się stało, że w końcu przestałam z nim grać. Nie miałam nigdy parcia na szkło. I na chłopaków też chyba nie miałam chęci. Nie chyba, ale na pewno.

Okazało się, że w kawiarni czekały na mnie aż dwie niespodzianki. Jedna miła, druga mniej, ale to bez znaczenia. Najważniejsze, że spotkałam swoich dawnych kompanów doli i niedoli.

Tadeusz szybko zamówił dwa piwa. Miałam dużą ochotę napić się z nim, ale ze względu na moją sytuację zdrowotną musiałam odmówić. Za to papierosów tego wieczora sobie nie odmówiłam. Ciągnęłam jeden za drugim, jak nie ja.

Spotkałam się z Goską, właścicielką knajpki. We trójkę przypomnieliśmy sobie stare dzieje. Cały czas sugerowała mi, że Witek roz pił się przeze mnie. Zorientowałam się, że chce mi dokopać. To była ta gorsza niespodzianka, ale ja nie przejmowałam się jej paplaniną, miałam już zupełnie inną świadomość niż kiedyś. Byłam pewna, że Witek to towar z defektem, że nie mogę się przejmować tym, co gadają ludzie. Mam prawo żyć tak, jak chcę.

Miłą niespodziankę sprawił mi Tadeusz, kiedy sprytnie mnie obronił, wsiadając na Goškę, i wcale nie żartował. Wypił sporo piwa i język mu się rozwiązał. Bronił mnie bardzo zaciekle przed atakami koleżanki, aż sama byłam zdziwiona jego postawą. Przypomniało mi się, że on lubił stawać w mojej obronie. Taki mój bodyguard od zawsze.

Tego wieczora długo jeszcze rozmawiałam z Tadeuszem. Okazało się, że ma troje dzieci. Sami chłopcy. Z żoną rozwiódł się dwa lata temu i wrócił na ojcowiznę. Synów odwiedza co drugi tydzień i bardzo za nimi tęskni. Cóż, taki los.

Ja też opowiedziałam mu co nieco o swoim życiu. Ale tylko tyle, ile uważałam za stosowne. O Marcinie nawet nie wspomniałam. Uznałam, że tak będzie najlepiej. Sama nie byłam pewna niczego, więc postanowiłam nie wtajemniczać nikogo w moje sprawy damsko-męskie.

– Lenka, pamiętaj, że gdybyś kiedykolwiek potrzebowała faceta, chociażby kolegę, przyjaciela, kogoś do towarzystwa, to ja zawsze... Na każde twoje skinienie...

– Tadeusz, proszę cię. Zaszumiało ci w głowie. Proszę, żebyś się nie

wygłupiał – przywoływałam swojego kompana do porządku, kiedy ten nie mógł oderwać się od mojej dłoni, całując ją po stokroć.

– Nie ma sprawy, nie ma sprawy... – powtarzał.

Myślę, że chciał się zrehabilitować.

Gośka pozwoliła nam urządzić prawdziwy koncert na niewielkiej scenie. My się popisywaliśmy, a znajomi skandowali, zapraszając nas do śpiewu i grania. Poczuliśmy bluesa jak za dawnych, młodych lat. Nie śmieliśmy odmówić. Każde z nas pamiętało jeszcze kilka utworów i piosenek z minionej epoki. W zasadzie bardzo dużo pamiętaliśmy. Samą mnie to zdziwiło. Chyba się podobało, bo wszyscy klaska li. A może robili tak tylko z grzeczności? Nieważne! Najważniejsze, że w ogóle się pamiętaliśmy i że był fajny nastrój.

Po koncercie Tadeusz odprowadził mnie pod sam dom rodziców. Po drodze zorientowałam się, że w nieodebranych wiadomościach widnieje sześć razy imię Marcin. Szybko pożegnałam kolegę ze szkolnych lat i pobiegłam do domu.

– Zobaczymy się jeszcze? – Spytał Tadeusz, potykając się o schody, które ja zgrabnie pokonywałam, by w końcu zameldować się u rodziców.

– Nie wiem, Tadeusz, może... Życie pisze przecież różne scenariusze.

– Dobrej nocy, Lenka.

– Też ci dziękuję.

– Jesteś taka sama jak dawniej...

– Czyli?

– Cudowna...

– Przestań, nie możesz, nie powinieneś nawet...

– Ale marzyć mi nie zabronisz?

– Nie potrafię. Nie mam takiej mocy. Pa, muszę lecieć.

– Do zobaczenia – pomachał mi.

Długo nie mogłam zasnąć. Wiele wspomnień z mojego nieudanego małżeństwa powróciło jak bumerang. I nie wiem, czy to wszystko stało się za sprawą wizyty u rodziców, czy może dlatego, że spotkałam Tadeusza i wielu przyjaciół ze szkolnych lat. Chyba po trochu jedno i drugie.

## Trudne rozmowy z mamą

– Lena, jesteś taka nieodpowiedzialna. Gdzie ty byłaś? Co robiłaś tak długo poza domem? Martwiliśmy się o ciebie. A leki wzięłaś na czas?

– Tak, wzięłam, mamusiu – potwierdziłam jedynie końcówkę zapytań mamy.

– I jeszcze zadajesz się z tym rozwodnikiem. Do czego to podobne? Dlaczego ty mnie nigdy nie słuchasz? – Mama nie dawała mi dojść do słowa.

– Mamo, daj mi spokój. Sama o siebie potrafię zadbać. Nie jestem już małą dziewczynką. Nie musisz mnie kontrolować. Nie powinnaś – stwierdziłam zdenerwowana, trzaskając drzwiami do swojego dawnego pokoju.

Zawsze się tak zachowywałam, gdy nie potrafiłam porozumieć się z rodzicami. Właściwie prawie zawsze nie potrafiłam się z nimi porozumieć. Czy coś jest ze mną nie tak? Nie miałam czasu na przemyślenia. Nie miałam też ochoty odbierać jakichkolwiek telefonów, choć coraz bardziej dawały znać o sobie.

\* \* \*

– Nawet nie zapytałaś o Michała i Beatkę.

Następnego dnia przy śniadaniu mama wyrzucała mi, że o własnym bracie i bratowej zupełnie zapomniałam.

– Zjedz coś, Lena. Na miłość boską. Ona nic nie je – tym razem mama zwróciła się do ojca.

– Daj jej spokój. Niech lepiej opowiada, co słyhać u naszej wnuczki – tato zasadniczo zmienił temat, wybawiając mnie od niezręcznej rozmowy.

– Lenka, kiedy wesele Paulinki? – Kontynuował rozpoczęty temat.

– Czyś ty zwariował? Przecież Paula to jeszcze dziecko – znów wtrąciła mama, karcąc ojca.

– Ty zawsze ją rozpieszczałeś i teraz masz, zobacz, co się dzieje z twoją ukochaną Lenką?

– Mamo, na litość boską, przecież jestem dorosła, i to od dawna. Może skończysz z takimi tekstami, które możesz adresować już tylko do swych wnuków, i to tych młodszych.

– Ty jak zwykle przy swoim.

– Oj, przepraszam, zadzwonił mój telefon. Muszę was przeprosić. To Marcin. Idę do swojego pokoju. Zaraz wracam – zakomunikowałam krótko. Zawahałam się, czy odbierać. Rozmawiać z nim czy nie? Wybrałam drugą opcję. Rodzice nie wiedzieli o moim wyborze. Na szczęście.

Pobolewał mnie brzuch. Nieźle zmarzłam na tym piwie z Tadeuszem. Może to z tego powodu takie dolegliwości? Zastanawiałam się coraz bardziej przestraszona.

W czasie mojego dwutygodniowego pobytu u rodziców dużo ze sobą rozmawialiśmy, w zasadzie o wszystkim, i tyleż samo razy się kłóciliśmy. Jak to się mówi: różnica pokoleń. Pomimo tego i tak byłam szczęśliwa, że ich mam. Kochanych, dobrych staruszków.

Spotkałam się też kilkakrotnie z moim bratem, bratową i ich trójką dzieci; jednego z nich byłam matką chrzestną. Istny harmider. Wyzuły mnie te dzieciaki z całej kasy. Kompletna masakra i urwanie gwizdka, żeby nie wyrazić się jeszcze dosadniej.

Ale gdy po raz trzeci spotkałam się z Tadeuszem, moja mama już tego nie wytrzymała i postanowiła wybić mi go z głowy. Moje zachowanie przerażało ją.

Przecież ja nic złego nie robiłam. Nawet nie pomyślałam, że mogę stać się jego, powiedzmy, kobietą, a w następstwie żoną. Daleka byłam od takich decyzji, lecz moja mama mi nie ufała. Trudno – myślałam. Jej problem, nie mój. Niech się martwi ten, kto problemy stwarza.

Za to zaczęła coraz częściej podpytywać o Marcina. Podobał jej się, jak mówiła, ten warszawiak. Taki grzeczny i szarmancki. Taki przystojny, elokwentny i wykształcony. Same superlatywy. Taki superman według niej. Nieskazitelna biel, bez najmniejszej plamki.

Nie wyprowadzałam jej z błędu. Nie chciałam na razie nic o nim mówić, ani dobrego, ani złego. Wcale nie chciałam poruszać tematu mojego faceta. Nie wiedziałam nawet, czy jeszcze jest mój. Czy kiedykolwiek nim był? Sama nie jestem pewna Marcina, więc po co wtajemniczać we wszystko rodziców?

Co prawda uwielbiałam go i cały czas o nim myślałam. Coraz bardziej imponował mi on i jego bezpieczny świat. To świetny facet, a ja się w nim zakochałam – leżałam w łóżku i rozmyślałam.

Tęskniłam za nim, ale nie wypadało przyznawać się do własnych słabości.

Chciałam do niego zadzwonić, porozmawiać z nim, usłyszeć jego głos. Ostatnio ciągle się rozmijaliśmy. Albo on nie dzwonił, albo ja nie odbierałam od niego telefonów. Moja duma nie pozwalała mi na pierwszy krok. Taki to ze mnie uparciuch. Szczęściu nie potrafiłam nigdy dopomóc. Słaba byłam w te klocki. Marzyłam, by usłyszeć głos Marcina, ale niczego nie robiłam, żeby tak właśnie się stało.

To po tatusiu. Przypomniała mi się rozmowa z mamą. Przypomniałam sobie również, że nie wzięłam tabletek, a to tylko dlatego, że coś mnie jakby przed okresem zaczęło w brzuchu boleć.

Z kuchni dobiegał donośny głos mamy i znacznie cichszy ojca. W tle ich rozmowy słychać było radio. Moja komórka dawała o sobie znać. W końcu musiałam się do niej zbliżyć. Mama zaczęłaby się czegoś domyślać, a tego bym nie chciała.

– Cześć, Lenka. Witaj, kochanie. Dlaczego nie odbierasz komórki? Martwię

się o ciebie. Skarbie, od zmysłów odchodzę, a ty? Co z tobą? Lenka, szaleję i kocham. Wiesz, że tak jest? Zamartwiam się i Bóg wie co sobie wyobrażam. Bardzo się za tobą stęskniłem. Nie wyobrażasz sobie. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Czy coś się stało? Lena – mówił i mówił. Zadawał pytania i przerywał je jakimiś strzępami nieskładnych zdań. Na wszystkie sam sobie odpowiadał.

Chyba telepatycznie go wywołałam. Nie wiedziałam, że mam takie zdolności. Nie chciałam się przyznać, ale też bardzo się za nim stęskniłam. Naprawdę bardzo.

– Nie bój się. Nic się nie dzieje. Marcin, bądź spokojny. Nie chciałam ci zawracać głowy. Chciałam, żebyś miał spokój.

– Lena, o jakim spokoju ty mówisz? Właśnie dlatego, że się nie odzywałaś, nie miałem go.

– Nie wiem, co chcesz wiedzieć, o co pytasz. U mnie wszystko jest w porządku – milczałam.

– Lena, tak trudno się z tobą rozmawia. Masz jakiś kłopot? Powiedz mi, na miłość boską... Jutro wracam. Przyjadę po ciebie. OK?

– Dobrze.

– A jak się czujesz? Odpoczęłaś trochę? Nabrałaś sił? Dobrze ci u rodziców? Jesteś zdrowa?

Znów pytanie za pytaniem.

– Tak. Jest znacznie lepiej. Rzeczywiście dobrze się już czuję. Powinam wracać do pracy. Muszę wracać do Warszawy. Jutro wracam. Z tobą... – na tyle było mnie stać. Kłamałam jak z nut. Udawałam, że jest w porządku, a przecież wcale nie było.

– To dobrze. Tak się cieszę. Kochanie, bardzo się za tobą stęskniłem. Muszę cię jak najszybciej zobaczyć, muszę. Oszaleję chyba. Muszę cię przytulić i poczuć. Skarbie, marzę, żeby stało się to jak najszybciej. Wiesz, o czym mówię? – Emocjonował się.

– Marcin, to jest zwykły szantaż.

– Myślę, że skuteczny. Nie powinnaś mi zabraniać.

– Jak wrócisz, to porozmawiamy. OK. Poprzytulasz się, ile będziesz chciał. Muszę kończyć.

– Dobrze, kochanie. Nie mogę się doczekać – krzychał niemal.

– To pa, do jutra.

– Pa, najdroższa.

– Dobranoc, kochany.

Nasza rozmowa stanęła na niczym. Marcin miał przyjechać po mnie następnego dnia pod wieczór. Nie wiem, czy tak naprawdę chciałam tego spotkania. W ogóle nie mogłam się zdecydować, czego chcę. Byłam niesamowicie

rozbita. Rozsadzało mi głowę. Zawsze miałam wielkie ambicje, ale niestety byłam strasznie niepewna swoich decyzji. Niepewna tego, co robię, jak się zachowuję. Na każdym kroku brakowało mi pewności siebie. We wszystkim mi jej brakowało. Teraz też nie potrafiłam się zdecydować na żaden krok.

Zbliżały się wakacje. Trochę przesadziłam z tym, że się zbliżały. Było do nich po prostu bliżej niż dalej. Czułam, że do pracy w tym roku szkolnym nie dane mi będzie wrócić. Jak się później okazało, za bardzo się nie pomyliłam.

Ostatni dzień pobytu u rodziców zszedł mi na przygotowaniach do podróży. Na ukrywaniu przed mamą dolegliwości i na wysłuchiwanie głównie tego, jaki to Marcin jest och i ach. Cały czas chwaliła swojego przyszłego zięcia, choć niewiele o nim wiedziała.

Bolał mnie dość mocno brzuch, gdzieś w dole. W ogóle nie chciał przestać dawać znać o sobie. Nabrałam się leków śmieciowych, całymi garściami, a dolegliwości nie ustępowały. Ból promieniował gdzieś dalej i dalej. Zaczęłam się martwić, czy wszystko ze mną w porządku. Tabletki na niewiele się zdawały. Przeciwbólowych już mi zabrakło. Prawdziwy koszmar! Nie brałam leków systematycznie, to mam za swoje. Nie mogę mieć do nikogo pretensji. Nie będę się mogła przyznać Marciniowi. Byłby na mnie wściekły, a to nie wróżyłoby nic dobrego. Nie chcę go martwić. Nie chcę go wkurzać. Może mi przejdzie samo... Jestem dobrej myśli, ale czy to wystarczy? Modliłam się, żeby mama niczego nie zauważyła. Sama wytrzymam jakoś.



## Przyjazd Marcina

Marcin zawitał wieczorem. Jego zapach roznosił się po całym domu.

– Lena, jeszcze jeden dzień bez ciebie, a...

– Nie kończ, są rodzice, nie powinienes... – spojrzałam na niego, podając mu dłonie na przywitanie.

– Zwariowałbym. Słowo honoru ci daję, że nie wytrzymałbym dłużej, nie dałbym rady. Zastanawiałem się nad tym i uważam, że nie służą mi rozstania z tobą.

Najzwyczajniej oszalał, gdy mnie zobaczył. Nie spodziewałam się tak prawdziwie emocjonalnej reakcji. W składaniu deklaracji nie przeszkadzali mu moi rodzice. Całował moje dłonie i nie chciał wypuścić ze swych ramion.

– Marcin, później, proszę...

– Później też – szeptał mi do ucha.

Przywiózł kwiaty dla mnie i dla mamy. Olbrzymie, czerwone, różane bukiety! A dla taty sprzęt do golenia prosto z Wiednia. Od razu kupił ich tymi prezentami.

Mnie też było miło, nie powiem, nawet bardzo.

– Może zostaniecie u nas? Kto to słyszał, żeby po nocy tułać się po świecie? Jest gdzie spać. Łóżek u nas dużo. Wystarczy dla wszystkich – prosiła mama.

– Nie możemy, mamusiu. Muszę wracać. Mam pracę. Już ci tłumaczyłam. Marcin jest lekarzem. Wraca z kongresu. Musi zameldować się w klinice.

– Panie Marcinie, pan na pewno jest zmęczony. Niech pan przekona Lenę – kontynuowała mama, zupełnie nie przyjmując moich argumentów.

– Nie posłucha, znam ją – spojrzał na mnie badawczo.

– Nie, nie posłucham, nie zostaniemy. Mamo, błagam, nie nalegaj! Musimy wracać. Ja muszę na pewno. Nie powinnam na tak dłu go wyjeżdżać z Warszawy. Chcę jak najszybciej pojawić się w pracy. Muszę wracać do przedszkola – nie pozwalałam się przekonać.

A swoją drogą, bardzo, ale to bardzo marzyłam o powrocie do domu. Chyba najbardziej zależało mi na tym, żeby po prostu pobyc z Marcinem. Najzwyczajniej w świecie być z nim. Cieszyłam się, że wrócił, chociaż nie potrafiłam tego okazać. Zawsze miałam trudności z uzewnętrznianiem uczuć.

Teraz chyba po raz pierwszy zaczęłam bać się o własne zdrowie, bardzo mocno, ale nikomu o tym nie wspominałam. Na razie wszystko trzymałam w tajemnicy. Przynależałam sobie, że nawet Marcin się nie dowie o tym, jak bardzo źle się czuję. Nie zmartwię go przecież teraz. Nie mogę mu tego zrobić. Muszę się trzymać. Jakoś mi przejdzie. Żyłam nadzieją.

– Marcin, chciałabym już jechać. Wyjedźmy stąd w końcu. Proszę, nie przedłużajmy pożegnania z moimi rodzicami – odezwałam się błagalnie. Głos mi drżał. Mówiłam cicho. Trzęsło mną zimno. Bałam się, że Marcin coś zauważy.

– Dobrze, jeśli tak bardzo ci zależy.

Odgarnął moje włosy do tyłu i czule pocałował w ciepłe usta. Nie zorientował się, że cierpię. Ukrywałam to przed nim skrzętnie. Arsenał tabletek zrobił swoje.

– Wszystko w porządku?

– Tak, w jak najlepszym – potwierdziłam.

– OK. To dobrze.

Uśmiechnęłam się. Popatrzyłam na mojego lekarza.

– O co chodzi, Lena?

– Nic. Wszystko dobrze...

– Jeśli tak, to wezmę bagaże, a ty możesz się ubierać. Zaraz wyjeżdżamy – dodał, zanim wyszliśmy od rodziców.

## Powrót do Warszawy

Uparłam się, żeby prawie natychmiast wracać do Warszawy. W ten sposób pożegnałam swój dom rodzinny i znalazłam się w samochodzie Marcina. Wylądowałam na siedzeniu obok mojego kierowcy i odetchnęłam z ulgą.

Czułam się coraz gorzej, ale mimo wszystko ulżyło mi. Wracam do domu, uwolniłam się od mamy, a to dużo. Nie będzie mi już zadawała niedorzecznych pytań, czego nie znoszę. Mój ginekolog niczego złego nie przeczuwał, więc zbędnych pytań nie zadawał.

Wzięłam tabletki przeciwgorączkowe i tym sposobem gorączkę miałam na pewien czas z głowy. Spadła, a ja na chwilę poczułam się lepiej.

Zanim ruszyliśmy, nastąpiło czułe przywitanie. Zrobiliśmy to w samochodzie. Boże, marzyłam o tej bliskości od wielu dni. Chciałam, żeby Marcin całował mnie i nie przestawał. Pragnęłam, żeby ta chwila trwała wiecznie. Z drugiej strony byłam chora, więc nic mnie nie cieszyło. Bałam się, że Marcin zacznie się czegoś domyślać. Na razie nic na to nie wskazywało.

– Lena, myślałem trochę. Chciałbym, żebyśmy byli już małżeństwem. Zalegalizujmy nasz związek. Będę się tobą opiekował. Bardzo tego pragnę – położył rękę na moim kolanie.

– Nie mówisz tego poważnie. Marcin, wiesz, że nie lubię takich żartów.

– Jak najbardziej. Jestem szczery aż do bólu. Ty nie chcesz?

– Marcin, uważam, że nie powinniśmy się spieszyć. Ślub to bardzo poważna sprawa.

Zdjęłam delikatnie jego dłoń z mojego uda. Nie poddawał się. Umieścił ją z powrotem w tym samym miejscu.

– Lena, jeśli nie chcesz teraz, poczekam.

– Musimy w tej chwili o tym rozmawiać? – Obruszyłam się.

– Dobrze, masz rację, wrócimy do tej rozmowy w Warszawie. Teraz nie ma odpowiedniego nastroju.

Pokiwałam głową, co oznaczało zgodę. Potem nie było już tak miło. Nazbierało się sporo niezbyt fajnych spraw. Ja wyrzucałam Marcinowi, że zapomniał o mnie w tym swoim Wiedniu. On natomiast był zły, wściekły za to, że nie raczyłam odebrać kilkunastu jego telefonów. W takiej ciężkiej atmosferze pokonywaliśmy trasę do stolicy.

Marcin zakomunikował mi stanowczo, że wiezie mnie do siebie. Nie wyobrażał sobie, że mogę się sprzeciwić. I całe szczęście, że do niego. Marzyłam o tym najbardziej na świecie.

– Kocham cię.

Teraz chciałam się przyznać. Głośno prawie nigdy nie wypowiadałam się o miłości. Nie lubiłam okazywać swoich uczuć. Cieszyłam się, że jadę do mojego

Marcina. Cieszyłam się, że zabiera mnie do swojego domu, który powoli stawał się i moim.

– Ja też, przecież wiesz – pocałował mnie w policzek.

– Uważaj, Marcin, prowadzisz samochód!

– Dobrze, już uważam...

\* \* \*

Życie pisze własne scenariusze. Rzadko kiedy takie, jakich byśmy sobie życzyli.

Po pierwsze, po drugie, piąte i dziesiąte brzuch bolał mnie okrutnie. Wszystko w środku rwało niemiłosiernie. W końcu przyznałam się Marciniowi, że ból jest nie do zniesienia. W dole swojego ciała odczuwałam straszny dyskomfort.

– Marcin, natychmiast zatrzymaj samochód.

– Po co? – Spojrzał na mnie.

– Jeśli zależy ci, żebym żywa dojechała do Warszawy, to się zatrzymaj.

– Co się stało?

– Potrzebuję leków. Wiem, że to głupie i absurdalne, ale proszę, zatrzymaj się i przynieś mi coś przeciwbólowego – oznajmiłam.

Marcin nie znosił, gdy zażywałam tabletki przeciwbólowe. Uważał je za zwykłe śmieci. Był lekarzem, więc nie było to dziwne. Wiedział najlepiej, co dla mnie dobre. Zachowywał się tak, jakby gdzieś strasznie się spieszył. Nie miał zamiaru zatrzymywać się na żadnej stacji benzynowej, a ja natychmiast potrzebowałam ratunku. Spoglądał na mnie i nie dowierzał.

– Błagałam, Marcin, błagam, musisz mi pomóc. Strasznie cierpię. Nie dam rady. Nie dojadę. Zrób coś. Zatrzymaj się. Muszę natychmiast coś wziąć. Coś, co mi pomoże, uśmierzy ból. Nie mogę, zwariuję, zaraz oszaleję – mówiłam cicho, coraz ciszej.

Tak bolało, że płakałam. Opuszczały mnie siły. Dokuczał mi kaszel, który wzmagął okropny ból. Gdy się wiałam, Marcin w końcu ustąpił i stanęliśmy na małej stacji benzynowej. Szybko pobiegł kupić leki.

– Pokaż mi, w którym miejscu cię boli. Dokładnie powiedz mi, co ci jest. Weź dwie... Lenka, na miłość boską!

Zmartwił się, kiedy popijałam pigułki wodą mineralną. Dotknął mojego czoła. Było rozpalone. Podał mi chusteczkę do nosa. Do brzucha nie pozwoliłam się dotknąć.

– W którym miejscu boli? – Zapytał ponownie.

– Zostaw, zaraz powinno ustąpić – szarpnęłam się wściekła na cały świat.

– Świetnie! Lena, ty masz gorączkę. Co się z tobą dzieje? Czym ty się tak doprawiłaś? Co ty w ogóle wyprawiałaś u rodziców? – Pytaniom nie było końca.

– Nic złego nie robiłam. Możesz mi nie wierzyć. Nic nie robiłam. Nic, co

mogłoby mi zaszkodzić – tylko tyle zdołałam z siebie wykrzesać, kuląc się z bólu i zimna.

– Zapewne oprócz niebrania leków. Nic złego nie robiłaś? Mam tę cholerną rację? Chyba się nie mylę? Jestem pewien tego, co mówię. A może o czymś nie wiem? Oświecisz mnie?

– Proszę, nie bądź złośliwy. Dlaczego tak... źle mnie traktujesz?

– Lenka, ty sama źle się traktujesz. Nie zauważyłaś? Przykryj się.

Podał mi koc. Pokręcił głową.

– Nie wytrzymam! Wezmę jeszcze jedną tabletkę.

– Weź, ile potrzebujesz – Marcin poniósł klęskę, poddał się, nie miał do mnie siły.

Niestety w ciągu kolejnej godziny było już tylko gorzej. Ból stawał się nie do zniesienia. Krwotok. Traciłam przytomność.

Podjechaliśmy prosto do kliniki. Z samochodu Marcina zabrała mnie karetka pogotowia. Marcin wezwał ją telefonicznie, gdy byliśmy jeszcze w drodze.

Wystraszyłam go. Sama też się bałam. Natychmiast trafiłam na badania i ponowny zabieg. Znów czyszczenie, kroplówki, zastrzyki... Byłam pewna, że tego nie przeżyję. Straciłam dużo krwi. Świat wirował razem ze mną.

Ale o tym, że z moim zdrowiem jest nie najlepiej, najlepiej wiedział Marcin. Ja o niczym nie miałam pojęcia.

Marcin się załamał. Słyszałam, jak rozmawiał ze swoim ojcem. Był pewny, że śpię, a ja podsłuchiwałam ich rozmowę telefoniczną.

– Nie jest dobrze... Wygląda na zakażenie pooperacyjne. Musiałem zastosować antybiotyki. Nie wiem, może jakaś bakteria. Nie jestem Bogiem, choć czasami chciałbym mieć Jego moc... I ta ciągła gorączka. Zabrałem ją dzisiaj od rodziców. Nie wiem, co ona tam robiła. Przecież teraz nie będę o to pytał. Tato, daj spokój! Sam bym się wkurzył, gdyby w kółko ktoś mnie o coś wypytywał. Lena jest dość skrytą osobą. Muszę to uszanować. Zrozum. Nie sądzę... Jest odpowiedzialna. Myślę, że leki brała. Chociaż sam już nie wiem...

Mój lekarz odpowiadał ojcu na szereg pytań. Zdawał raport o moim zdrowiu. Tłumaczył, tłumaczył, tłumaczył. Potem słuchał, słuchał, słuchał. Jego zdania były porwane i niedokończone. Był zdenerwowany, to na pewno!

– Tato, muszę kończyć. Idę do Leny. Powinienem sprawdzić. Jeszcze zadzwonię. Będziemy w kontakcie. Cześć.

– Marcin, to wszystko moja wina – wyszeptałam.

– Cichutko, nie męcz się, odpoczywaj. Nic nie mów.

– Przepraszam. Nie chciałam. Nie myślałam, że te moje wygłupy aż tak źle się skończą. Nie chcę być ciągle twoim problemem – szepnęłam. Bardzo bałam się reakcji mojego faceta.

– A więc były jakieś wygłupy?

– To też, ale...

– Innym razem mi o nich opowiesz. Teraz nabieraj sił – zażądał. – Marcin...  
Dotknął mojej dłoni.

– Nie musisz mnie przeproszać. Nigdy nie byłeś moim kłopotem.  
Szczęściem owszem, ale problemem nigdy...

Usiadł na łóżku, gdzie leżałam.

– Jak to? Narobiłam ci przecież tyle problemów. Za to chcę przeprosić.

– Sobie ich narobiłaś, ja nie ucierpiałem, jak widzisz. Tylko przykro mi, że ty musisz.

– Marcin... – ciągle mówiłam cicho.

– Słucham, kochanie.

– Nie gniewaj się, proszę.

– Jeśli w ogóle jeszcze ci na tym zależy, OK, nie będę...

– Wiesz, że nie chcę spiąć między nami.

– Nie jestem pewien... Nigdy mnie nie słuchasz. Lena, zawsze chadzasz swoimi drogami – miał pretensje.

– Proszę, obiecuję, teraz będzie inaczej...

– W kółko to wałkujemy. Właśnie o tym mówię. Przepraszasz i robisz swoje.

Jak się teraz czujesz?

Głos Marcina brzmiał łagodnie i przyjacielsko.

– Średnio, nie będę kłamała.

– Wiem, wyglądasz...

– Nie chcę tego słyszeć! – Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Na twoje własne życzenie tak się stało...

– Nie dołuj mnie, proszę, nie oceniaj mojego wyglądu, zachowania. Doskonale wiem, jak wyglądam. A właściwie dlaczego ty tak się o mnie troszczysz? Postępujesz tak ze wszystkimi swoimi pacjentkami? Najpierw zapewniasz, jak bardzo je kochasz, a potem zdradzasz w cyniczny sposób? – Zapytałam wprost.

Miałam gorączkę. Byłam słaba, ale chciałam znać prawdę.

Do mojego organizmu spływała kroplówka przeciwbólowa, więc na chwilę poczułam się nieco lepiej.

– Boże, Lena, ja już naprawdę tracę siły...

– A może z tą Magdą ci nie wyszło tam, w Wiedniu, i do mnie wróciłeś? Czy nie tak właśnie było? A może uderzyłam w sedno, odkryłam prawdę i nie potrafisz się obronić? Nie znajdujesz argumentów?

– Lena, teraz ja cię proszę... Co ty mówisz? Mogę wybaczyć ci te nedorzecznosci tylko dlatego, że jesteś chora. Nie będę się teraz z tobą kłócił. Nie miałbym sumienia. Zresztą to nie w moim stylu. Leż spokojnie, odpoczywaj! Innym razem wrócimy do tej rozmowy. Myślę, że zdołam się przed tobą

wytłumaczyć – rzekł łagodnie.

– Nie, nie czekajmy. Teraz sobie wszystko wyjaśnijmy. Po co przekładać tę rozmowę? Chyba nie możesz zaprzeczyć, że do Wiednia pojechałeś z Magdą? – Nie dawałam za wygraną.

– Lena, daj spokój! Chyba nie wierzysz w to, co mówisz?

– Marcin, moja wiara nie ma tu nic do rzeczy. Myślę, że my po prostu nie powinniśmy być razem. Po tym, co się stało, nie możemy. Przemysślałam wszystko i nie... Wracaj do niej, do... My do siebie... nie, my nie powinniśmy... nie uda się nam. To różne światy... Jesteśmy z innych światów... – rwałam zdania, słowa, myśli.

– Z jakich innych światów? Co za bzdury! Lena, co ty sugerujesz? Kocham cię i to się dla mnie liczy. Nasz świat od jakiegoś czasu jest przecież wspólny. Czy tego chcesz, czy nie, jest właśnie taki, taka jest prawda. Nie zostawię cię. Nie możesz tego ode mnie wymagać. Zapewniam, że będziemy razem i żadna Magda nie ma tu nic do rzeczy. Rozumiesz? Co ty sobie ubzdurałaś? Kochanie, proszę cię, uspokój się. No już, proszę...

Milczałam.

– Marcin, ona cię kocha. Czuć to na odległość.

– Kto?

– Magda cię kocha.

– A ja kocham cię. I co wynika z tej wyliczanki? Pamiętaj, że dla mnie wyłącznie ty się liczysz. Skończmy tę głupią rozmowę, błagam...

– Bo co? Bo tak będzie wygodniej dla ciebie?

– Lena, przecież nic a nic nie łączy mnie z Magdą. Pojechałem z nią do Wiednia wyłącznie służbowo. Po co miałbym cię oszukiwać?

– Jakoś ciężko mi to sobie wyobrazić. U twojego boku piękna kobieta i ty w ogóle nią niezainteresowany...

– Tu leży moja kobieta – znów spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

– Zostaw mnie samą. Jestem zmęczona.

– Kochanie, wiem, że musisz odpoczywać. Nabrać sił. Spokojnie, cichutko, spokojnie – gładził moją dłoń.

– Nie wiem, nie wiem, co powiedzieć...

– Cichutko... Jeśli naprawdę mnie kochasz, to posłuchaj chociaż raz. Posłuchaj uważnie. Magda jest lekarką, taką samą lekarką jak ja lekarzem, koleżanką z pracy, też ginekologiem. Nic poza pracą nas nie łączy. Nic! Nie musisz się obawiać. Byliśmy w Austrii służbowo. Tylko służbowo. Słowo honoru. Ty myślałaś, że było inaczej? Że ja... że my... że... Lena, daj spokój! Proszę. Uważam cię za mądrą kobietę – mówił powoli, tak, jak mówi się do kogoś, kto jest co najmniej upośledzony w stopniu umiarkowanym, po czym roześmiał się pod nosem.

– Marcin, ale to przecież możliwe. Mogliście przeżyć romans.

– Nie, nie mogliśmy – zaprzeczył.

– Marcin...

Nie pozwolił mi dokończyć.

– Czy ja dobrze słyszę? Czy naprawdę dobrze słyszę? To znaczy, że jesteś o mnie zazdrosna? Lenka, ty jesteś zazdrosna. Boże mój, jak ja cię uwielbiam. Kocham cię, kocham, Lenka – mówił coraz chaotyczniej.

– Nie chcę o tym rozmawiać – zawstydziałam się.

– Ciesz się mnie niezmiernie, że jesteś o mnie zazdrosna. A już myślałem... A zresztą nieważne, co myślałem. Jesteś jeszcze taka słaba – pocałował mnie w czoło kilka razy.

– Wcale nie jestem zazdrosna. Marcin, nie schlebiaj sobie.

– Tak cię uwielbiam...

Cały czas zadawałam sobie pytanie, z kim Magda wróciła z tego Wiednia. Byłam zdziwiona, że jest już w klinice. Dlaczego nie przyjechała z Marcinem?

W końcu zasnęłam spokojnie jak niemowlę, bo nie da się ukryć: potwierdzało się to, co przed chwilą stwierdził Marcin. Byłam jeszcze bardzo słaba.

Magda przemknęła kilkakrotnie gdzieś po korytarzu. Ale ja smacznie spałam i Marcin nie zdążył zaaranżować naszego powitania. Myślę, że to nawet lepiej.



## Szara rzeczywistość

Stopniowo czułam się coraz lepiej. Po trzytygodniowej kuracji w klinice byłam prawie zdrowa.

Marcin szalał z radości. Obiecałam sobie i mojemu ginekologowi, że odtąd będę dbała o swoje zdrowie jak nigdy dotąd. Będę go słuchała, jak przystało na wzorową pacjentkę. Będę słuchała Marcina. Przyrzekłam mu, że go nie zawiodę.

Dni były coraz dłuższe. Zaczęło dokuczać gorąco. Zbliżały się wakacje, a ponieważ moje ostatnie badania w klinice wypadły całkiem nieźle, przed końcem roku szkolnego wróciłam do pracy. Pomimo że wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały zupełnie coś innego.

W przedszkolu wszyscy odetchnęli z ulgą. Najbardziej ucieszyła się Iwona, gdyż to ona musiała mnie wciąż zastępować, a jak twierdzi, nie lubi i nie umie rządzić. Papiery i cała ta administracja to jej prawdziwa zmora.

Ja natomiast szybko wciągnęłam się we wszystkie sprawy. Zaraz poczułam się jak ryba w wodzie. Zawsze kochałam swoją pracę. Niektórzy bardziej złośliwi twierdzili nawet, że ja kocham tylko to swoje przedszkole i nikogo więcej nie jestem w stanie pokochać. Nie mieli racji, bo kochałam teraz mojego Marcina.

Pracy było co niemiara. Prawdziwa nagonka. Realizowaliśmy z dziećmi zaległe wycieczki, pikniki, spacer. Dokonaliśmy uroczystego zakończenia roku szkolnego. Byłam zatopiona po uszy w dyplomach, podziękowaniach, nagrodach. Ciągłe coś uzupełniałam, zamawiałam, drukowałam. Rozstrzygałam wszelkie konkursy. Żyłam swoim światem. Tym, który zawsze był dla mnie najważniejszy i jedyny, jaki do niedawna znałam. Potem były jeszcze kwiaty, całe morze kwiatów. Pożegnanie w małej knajpce z koleżankami z pracy. Wzajemne życzenia dotyczące udanych wakacji. I udawane trudne rozstania. Wszyscy mieliśmy już siebie dosyć. Potrzebowaliśmy odpoczynku.

Marcin przez ostatnie dni poczuł się nieco odstawiony na boczny tor. Twierdził i dawał mi do zrozumienia, że on mimo że ciągle pracuje, nie zaniedbuje mnie nigdy, tak jak ja to robię w stosunku do jego osoby.

Mądrała jeden, przecież on cały czas miał mnie w pracy. Byłam jego najbardziej niepokorną i kochaną mam nadzieję pacjentką. A jego do przedszkola raczej nie mogłam zapisać. Dzieciństwa mu nie wrócę.

– Lena, możesz trochę odpuścić z tą robotą w kółko? Przecież ty nie powinnaś...

– Marcin, najpierw praca, potem przyjemności. Trzymajmy się tej właśnie wersji. Zgoda?

– Nie zgadzam się, ale i tak nikt mnie w tym domu nie słucha...

Był pierwszy dzień wakacji. Obudziłam się w nie najlepszym humorze. Pospiesznie zjadłam śniadanie. Nieco wolniej uraczałam się wyborną kawą z

ekspresu. W biegu podlałam kwiaty na balkonie, bo wydawało mi się, że miały za sucho.

Siedziałam we własnym mieszkaniu na Mokotowie. Mogłam robić, co mi się podobało, poza jednym. Dla mnie wakacje się jeszcze nie zaczęły. Nie mogłam się dzisiaj spóźnić do pracy nawet o minutkę. Musiałam pojechać jak najwcześniej, co okazało się nie takie łatwe w moim przypadku. Po pierwsze w baku mojego samochodu przelewały się żalodne resztki benzyny, a co najgorsze – nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie ją tak szybko wyjeździłam. Musiałam więc zaliczyć stację benzynową. Taka czynność zabiera sporo czasu. Po drugie tradycyjnie nie mogłam znaleźć własnej parasolki, a czarne chmury wisiały nad całą stolicą. Po trzecie musiałam wyprowadzić na spacer Teofila. To duży bernardyn mojej sąsiadki. Musiała zostawić mi swojego łagodnego pupila, gdyż sama popędziła wczesnym rankiem na umówioną wizytę u gastrologa. Podobno nie mogła z niej zrezygnować. Zgodziłam się, więc mam za swo je. Za żadne skarby świata nie zdążę do pracy na czas. I jeszcze te cholerne korki i piętnastominutowa relacja zdawana przez telefon mojemu Marcinkowi. Czy dobrze spałam? Jak z moim samopoczuciem? Czy nic mi nie dolega? Że mnie bardzo kocha i tęskni i czy ja go też jeszcze choć trochę...

Zapamiętałam tylko końcówkę.

– No pewnie, że kocham. Ja tak szybko się nie odkochuję, a co dopiero w takim facecie – słodziłam mojemu ukochanemu.

– Lenka, ja też najbardziej na świecie. Ciągle jestem pod wrażeniem twoich komplementów.

– To nic takiego. Drobiazg.

– Dla mnie to bardzo ważne.

– Cieszę się. Marcin, muszę kończyć, jadę, jest duży ruch. Zaraz się na kogoś wpakuję. To pa. Kocham cię.

– Pa, ja ciebie jeszcze bardziej... Uważaj na siebie.

Wyłączyłam komórkę. Zamiast przyspieszyć, jechałam coraz wolniej. Dobrze, że w Warszawie można każde spóźnienie usprawiedliwić korkami w mieście. Prawie wszyscy się na to nabierają.

Zostawiłam samochód na parkingu, ledwo znalazłszy wolne miejsce. Musiałam zanieść do urzędu kilka dokumentów. Pozamykać wiele spraw. Zanim dostałam urlop, nieźle się naharowałam i napociłam. Taki los! Na dodatek zaczęło lać jak z cebra. Czy to jakieś oberwanie chmury? Parasolki jak zwykle nie miałam.

\* \* \*

Dni kręciły się jak kulki w bębnie totolotka. Prześcigały się w nowinach jeden po drugim. Tylko liczby się zmieniały, a każdy dzień przynosił coś nowego. Nie mogłam za tym wszystkim nadążyć. Świat gnał do przodu, tylko ja stałam w

miejscu.

Wokół na dobre pachniało latem. Siódmy dzień lipca był dla mnie wyjątkowo łaskawy. Na dworze gorąco, zapowiadały się fajne wakacje.

Po południu zadzwoniła moja osobista córka i zakomunikowała, że ma zamiar przylecieć do Polski pod koniec tygodnia. Zapowie działa też swojego chłopaka. Jednym słowem mieliśmy się spotkać na Okęciu w piątek po południu.

– Przyjedziemy po was – wyrwało mi się ni stąd, ni zowąd.

– Jak to, mam, przyjdziecie? To dziadek z babcią są u ciebie? A może Michał przyjechał? To dobrze, że Michał jest w Warszawie. Mam do niego sprawę – moja córeczka nie dała mi dojść do słowa.

– Paulinko, porozmawiamy, kiedy będziesz na miejscu.

Stwierdziłam, że moje życie osobiste jest za bardzo skomplikowane, żeby jej cokolwiek tłumaczyć przez telefon. Nie ma co się rozgadywać. Może mnie nie zrozumieć albo coś jeszcze gorszego. Przyjedzie, to się dowie – pomyślałam.

Postanowiłam zabrać się za prawdziwe porządki. Gdyby Marcin wiedział, że aż tak ciężko zasuwam, nie pochwaliby mojego zachowania. No ale cóż, biedaczek przecież się nie dowie. A tak swoją drogą, chyba ma rację. Powinnam trochę na siebie uważać.

Oprócz sprzątnięcia zabrałam się jeszcze za gotowanie. Przecież nie mogę nic nie przyszykować, w końcu dziecko mi wraca z dalekiego świata. Postanowiłam wybrać się na zakupy. Co mi tam, przecież przywiozę je samochodem. Nic mi nie będzie. Pozamykałam wysprzątaną do granic możliwości chałupę i wyruszyłam w rejs po sklepach. Nie słyszałam nawet, że dzwonił Marcin, kilka razy dzwonił. Tak bardzo zaangażowałam się w zakupy, że niestety nic do mnie nie docierało.

– Lena, co ty wyprawiasz? Od zmysłów odchodzę. Co się dzieje? – Usłyszałam w telefonie zatroskany i zdenerwowany głos Marcina. – Gdzie jesteś? Wiesz, że nie wolno ci się przemęczać, pod żadnym pozorem nie wolno ci dźwigać!

– Przecież nie dźwigam. Marcin, później ci wszystko wyjaśnię. Obiecuję. Jak będziesz mógł, to przyjedź do mnie o siódmej.

– OK. Będę na pewno. Ale nie nadażam... O co chodzi? Lena, jesteś taka tajemnicza.

– Cierpliwości.

Wieczorem wytłumaczyłam Marcinowi, co robiłam i gdzie byłam. Nie potrafię kłamać. To wielka szkoda. Gdybym umiała, byłoby mi łatwiej żyć. Jak zwykle nie był zachwycony. Był wściekły, że nie poprosiłam go o pomoc.

– Marcin, przecież ty pracujesz, nie możesz się wiecznie mną zajmować. Poza tym odrobina ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Jesteś lekarzem, powinieneś to rozumieć. Prawda, że mam rację, panie ginekologu? – Rzuciłam z lekką przekorą, głaszcząc go po ramieniu.

– Lena, ty naprawdę nie powinnaś! Dobrze wiem, że jesteś uparta. Ale nie waż się nawet pisnąć przy mnie, że cię coś boli, jeśli cię zaboli naprawdę. Przrzekam, że nie przyjadę, żeby cię ratować. Jeśli cokolwiek dla ciebie znaczę, nie rób tak więcej – zapowiadał Marcin.

– Oj tam, oj tam, po co ta cała afera? Wiem, że przyjedziesz. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

– Cieszę się, że tak mnie oceniasz, że mi ufasz, ale...

Pocałowałam go niewinnie w policzek. Chyba pierwszy raz zrobiłam to w taki właśnie spontaniczny sposób.

– Nie lubię, kiedy ciągle zwracasz mi uwagę, ale lubię, gdy się o mnie martwisz.

Marcin się zamyślił. Uśmiechały się jego szare oczy.

Boże, jak ja go kocham!

## Przylot Pauliny

W końcu doczekałam się upragnionego dnia przyjazdu, a w zasadzie przylotu mojej córki. Razem z Marcinem odebrałam ją i jej chłopaka z lotniska. Klamka zapadła. Chcąc nie chcąc, musiałam przedstawić im mojego kompana doli i niedoli.

Córka była nieco zdziwiona, ale Marcin szybko przypadł jej do gustu w roli ojczyma. Leszek, chłopak córki, z każdym się porozumie. Taki ma charakter. Więc nim dotarliśmy do domu, rozmawiali z Marcinem tak, jakby znali się całe wieki.

– Lecimy razem do Barcelony – skrótowo zakomunikował Marcin.  
– Nie żartuj. Przecież wiesz, że chcę pobyć z córką – skarciłam go.  
– Będziesz z córką. Mówię poważnie. Wykupiłem wszystko, co potrzeba. O wszystko zadbałem – pochwalił się.

Przyglądałam mu się badawczo.

– Lena, czy te oczy mogą kłamać?  
– Są zbyt piękne, by kłamały – odparłam szczerze.

Obiecywałam sobie kiedyś, że powiem mojemu Marcinowi komplement dotyczący jego oczu i uważałam, że ten moment właśnie nadszedł.

Wszystko działo się bardzo szybko. Jak wszystkie decydujące momenty w naszym dotychczasowym wspólnym życiu.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – zaznaczyłam swoje niezadowolenie. Przecież moja córka przyleciała do mnie. Tyle mamy sobie do opowiedzenia. A Marcin to wszystko chce zburzyć. Jednak jak się okazało, młodzi byli zachwyceni pomysłem Marcina. W ogóle bardzo szybko zaakceptowali nasze warunki. Nie miałam więc za dużo do gadania. Właściwie nic.

## Hiszpania

Hiszpania przyjęła nas swoją cudownością, świetnością i boskością dosłownie. Bo jak można inaczej określić błogi stan, w którym nic się nie robi prócz tego, na co ma się ochotę? Codziennie witała nas przepiękną pogodą. Taką z ani jedną chmurką na niebie, ani jednym barankiem pasącym się w niebieskich przestworzach. Tylko błękit, błękit, błękit, coraz bardziej błękitny, i lazur, lazur, lazur, coraz bardziej lazurowy. Czas się zatrzymał i miałam wrażenie, że zrobił to wyłącznie dla nas. Chodziliśmy na długie spacerunki. Czasami z Pauliną i Leszkiem, choć dość rzadko, częściej sami. Oni mieli własne niebo, własną miłość, własne spacerunki i swój świat. Co wieczór tańczyliśmy w miejscowych pubach, bawiliśmy się do samego rana. Niektóre dni upływały nam na odsypianiu nocy, inne na zwiedzaniu zabytków czy opalaniu się na plaży. Pływaliśmy statkami. Czytaliśmy książki. No i uprawialiśmy seks, na który wciąż oboje mieliśmy ochotę. Mimo swojego sędziwego wieku – mieliśmy. Jak zwykle przesadziłam.

Najciekawsze jednak, choć nieco paradoksalne, było zwiedzanie kościołów. Jestem pewna, że dotychczas nigdy nie spędziłam tylu godzin w świątyniach, ile tu właśnie. I ten chłód, i ta tajemnicza atmosfera wewnątrz pochłaniały nas bez reszty.

No i restauracje, ich wystrój i specjały w nich przygotowywane! Wyborne piwo i orzeźwiające południowe wina, nawet zwykła lemoniada miała swój urok. Przytyłam już chyba z pięć kilogramów. Nie martwiłam się teraz.

– Lena, jesteś zadowolona, że cię wywiozłem na ten koniec świata, że tu jesteśmy?

– Jestem najszczęśliwszą kobietą na tym krańcu świata. Poza tym bardzo lubię, gdy mnie porywasz. Taka specjalna adrenalina to coś niesamowitego. Marcin, nie zrozumiesz. Faceci nie znajdują się na tym.

– Cieszę się, że zrobiłem ci przyjemność – pocałował mocno moje spierzchnięte usta. Był szczęśliwy.

Kochał mnie i kochał, a ja tak bardzo tego potrzebowałam. Ostro, rzeczowo i do przodu. Tak się zachowywał mój ginekolog. Upał coraz bardziej dawał się we znaki.

\* \* \*

Myślałam, że coś takiego nie nastąpi, a jednak nastał wieczór, który okazał się dla nas niezmiernie łaskawy. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały, że będzie wyjątkowy. W końcu zostaliśmy sami w apartamencie hotelu. Nawet nie zdążyłam się zdziwić. Po prostu tak się stało. Sami, we dwoje.

– Skarbie, jak się czujesz? – Marcin rozpoczął wieczór od rutynowego pytania, które miał wgrane w komórki własnego mózgu.

– Świetnie! Cudownie! Wspaniale! Marcin, bosko! Co mam ci jeszcze

powiedzieć?

– Co ci się najbardziej podoba?

Był zaskoczony moją otwartością. Nie odpowiedziałam.

Podszedł do ściany i zapalił świece stojące na à la kominku. Było ich kilka i zrobił się miły nastrój. Wreszcie usiedliśmy w ciszy i spokoju. Co prawda z kuchni, gdzie było otwarte okno, dobiegała jakaś cicha melodia, ale zupełnie nam nie przeszkadzała. Marcin wyciągnął długie kieliszki. Za chwilę dobre wino i jakieś egzotyczne soki. Zamówiliśmy pizzę do pokoju. Wyprawiliśmy sobie ucztę.

W pewnym momencie mój kompan wstał i zniknął w którymś z pomieszczeń.

Ja w tym czasie skorzystałam z okazji i poszłam ściągnąć pranie z suszarki na balkonie. W oddali rozpościerał się piękny zachód słońca. Gdzieś w tawernach słychać było portową muzykę. Powiem szczerze, że w Polsce nigdy takiego cudu nie poczułam. A może zupełnie co innego było przyczyną mojego dobrego samopoczucia?

Marcin wrócił i stanął za moimi plecami. Podszedł mnie z tyłu i objął swymi ciepłymi rękami. Poczulałam, jak pachnie. Całego go czulałam, gdy całował moje ramiona i szyję.

– Kocham cię. Tak bardzo cię kocham. Jesteś moim szczęściem. Od zawsze na ciebie czekałem. Jesteś moim przeznaczeniem – szeptał mi na ucho.

– Marcin, ja też, też... Przecież wiesz, że jesteś dla mnie bardzo ważny. Moje życie nabrało przy tobie jasnych barw. Już nie jest szarobure.

Patrzył na mnie.

– Proszę – oznajmił krótko i podał mi paczuszkę zawiniętą w nietuzinkowy kolorowy papier.

Zawsze zwracałam uwagę na detale. Marcin doskonale o tym pamiętał. Ładne opakowanie, ale to, co kryje się pod pastelowym papierem, ciekawiło mnie bardziej. W pośpiechu odpakowałam prezent.

Zamilkliśmy oboje.

Marcin pewnie się spodziewał, że ucieszę się z niespodzianki, ale tak się nie stało. Przypomniało mi się, że identyczny prezent dostałam kiedyś od Witolda.

Nikt nie był temu winny. Zwyczajnie koszmar zaczął się od początku.

Marcin wyczuł od razu, jaki nietakt popełnił, i chciał się ze wszystkiego wycofać.

– Marcin, to nie twoja wina. Skąd mogłeś wiedzieć? – Wyciszałam atmosferę.

– Mogę to zaraz wyrzucić. Zapomnijmy o sprawie. Lena, przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Nie wiedziałem – prosił.

– Marcin, ale ja... ja naprawdę się nie gniewam. Po prostu mam złe wspomnienia związane z takim prezentem i tyle. Nie komplikujmy. Nie wracajmy

do przeszłości – prosiłam łagodnie.

Odłożyłam szlafroczek na półkę – chciałam mieć tę rozmowę za sobą. Nie wyobrażałam sobie popsuć wieczoru z jakiegokolwiek powodu. Tak fajnie się zapowiadał. Nie zamierzałam z niego rezygnować. Ale Marcin najwyraźniej był innego zdania.

– Lena, jaki on był? – Niespodziewanie wypalił.

Zachowywał się tak, jakby żądał natychmiastowej odpowiedzi.

– Kto, na miłość boską? – Udałam, że nie wiem, o kogo pyta.

– Wiesz, o kim mówię.

– Nie będę o nim rozmawiała. Nie będę wspominała mojego byłego męża.

Nie chcę – odparłam surowo.

– A ja nie będę nalegał. Chcę jedynie wiedzieć, czy ten szlafrok to złe wspomnienia związane z nim właśnie? Chyba się nie mylę, prawda? – Zadawał tyle pytań.

Milczałam. Sięgnął po papierosa.

– Lenka, spójrz na mnie. Popatrz na mnie. Chcę wiedzieć, co ten drań ci robił.

W dalszym ciągu milczałam.

Dawne życie stanęło mi przed oczami. Nie byłam zadowolona z pytań Marcina. Kiedyś być może wszystko bym mu opowiedziała, ale nie teraz. Nie w tej chwili. Nie chciałam dzisiaj. Nie byłam gotowa...

– Poparz na mnie – powoli prosił.

– Nie chcę. Nie będę. Nie zmuszaj mnie do rozmowy. Nie psuj dobrych relacji między nami. Dlaczego wszystkie brudy wyciągasz właśnie teraz?

– Lena, samo tak wyszło, nie zamierzałem... – próbował się usprawiedliwiać.

– To nie twoja wina. Wiem, przepraszam.

– Domyślałem się, od dawna...

– Czego, Marcin?

– Twoje zachowanie nieraz cię zdradzało. Ale muszę to usłyszeć osobiście od ciebie. Chcę usłyszeć. Chcę wiedzieć.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Czy pozwolisz mi zapalić?

– Nie lubię, gdy palisz. Znasz moje zdanie.

– Powiesz mi, co ci robił ten idiota?

– Marcin, nie ma się czym chwalić. To przeszłość. Szkoda wieczoru. Nie męcz mnie. Proszę – chciałam zmienić temat, ale się nie udało.

Nie patrzyłam na mojego rozmówcę. Milczałam. Z całego serca pragnęłam, żeby mnie już o nic nie pytał. Marzyłam, aby mnie zostawił. Potrzebowałam spokoju.



- Chcę wiedzieć! Muszę wiedzieć!
- Nie mam siły. Nie będę...
- Lena, bił cię? Bił cię i gwałcił? Ile razy to zrobił?

Zapadła cisza.

– Ile razy to zrobił? Do cholery, ile razy? Kurwa, a może cały czas? Kiedy tylko miał ochotę? Ciekawe, w jaki jeszcze sposób znęcał się nad tobą. Jak się z tobą zabawiał ten cholerny zboczeniec?

– Marcin, przestań! Nie masz prawa! Nie będę tego słuchała! To przeszłość. Nie będę do niej wracała.

Huczało mi w głowie. Myślałam, że nie wytrzymam tego przesłuchania.

– Masz rację, to dawne dzieje, ale ciągną się za tobą do teraz. Nie uwolniłaś się od koszmarów z przeszłości. Nie widzisz tego? Nie zauważasz, że jesteś zbyt wrażliwa, by zapomnieć?

– Nie wiem. Nie musisz być taki bezwzględny. Przecież ja nie mam wpływu na minione lata. Nie zmienię niczego, co już się wydarzyło.

– Staram się być miły, ale jestem wściekły. Lena, nie chcę sobie nawet wyobrazić, jakie piekło przeżywałyście razem z córką. Ale myślę, że wiem, o co chodzi.

– Wydaje ci się. Nie wiesz. Ty nic o nas nie wiesz.

– To mi powiedz, na miłość boską. Lena, oświeć mnie, uświadom. Co on wyprawiał? Jak zaspokajał swoje rządze? Jak spełniał własne fantazje?

Marcin nie przestawał. Pytał głośno, ale nie krzyczał. Pytania były niewygodne i bardzo raniły. Byłam teraz przestraszona jak kurczak, którego zgubiła kwoka.

– Musiałaś się go bardzo bać. Nawet teraz go bronisz. Odpowiedz mi szczerze, proszę cię, szczerze... Czy cię gwałcił i bił? Jak długo to trwało? Jak długo się znęcał?

Ponawiał niewygodne pytania, gdyż jak na razie na żadne nie uzyskał odpowiedzi. Miał pretensję do mnie, że nie chcę wyznać mu prawdy. Chociaż rozumiał.

– To bardzo trudne...

Byłam zrezygnowana. Upierałam się, aby na razie Marcina nie wpuszczać do mojego dawnego życia, jedynie tam, gdzie uznam to za stosowne.

Nastąpiła cisza. Nie miałam pojęcia, co jeszcze może się wydarzyć. Milczenie było nie do zniesienia. W końcu nie wytrzymałam i się rozplakałam. Chociaż mojego byłego męża nie było w pobliżu, znów poczułam się ofiarą jego przemocy. Marcin miał rację. Strach powrócił.

– Po powrocie do Polski zgłoszę sprawę na policję – mój lekarz rzekł surowo. – Lena, to, że cię bił, jest pewne, nawet gdy tego nie potwierdzasz. Muszę wiedzieć, czy cię zmuszał, no wiesz. Co on z tobą robił?

– Marcin, przecież ja byłam jego żoną. Musiałam. Uspokój się. Mógł. Miał prawo. Nie mogłam nic zrobić. Musiałam, to był mój obowiązek... Nie chcę o tym pamiętać. Nie mówmy już o tamtych sprawach – zdobyłam się na odwagę, po czym ponownie rozplakałam się jak dziecko.

– On ci tak namieszał w głowie? Pomimo że jesteś mądrą dziewczyną, udało mu się zmanipulować cię w całości. Ty niczego nie musiałaś. Seks w małżeństwie jest przyjemnością, a nie przykrym obowiązkiem. Nie wiedziałaś o tym?

– Marcin, chwileczkę. O czym ty mówisz?

– O tym, Lena, że się mylisz. Nie wolno mu było, nie miał prawa do niczego cię zmuszać. Nie byłaś jego niewolnicą. Byłaś jego żoną. A to zasadnicza różnica. Rozumiesz, to zupełnie co innego... Zabiję gnoja! Przysięgam, że go zabiję. Odszukam i nie ręczę za siebie...

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież po ślubie nikt nic nie mógł mu zrobić. Nawet policjanci mi tak tłumaczyli.

– Ty się słyszysz, Lenka? Przecież ty słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć – Marcin nie dowierzał moim słowom.

– Myśl, co ci się podoba. Jest mi wszystko jedno.

W pośpiechu zarzuciłam sweterek zawieszony wcześniej na krzesło. Jak najszybciej chciałam wyjść z apartamentu. Czułam się obrażona. Musiałam pobyć sama. Nie potrzebowałam towarzystwa Marcina. Odkrył moją największą tajemnicę, a ja nie chciałam się z nikim i nigdy dzielić moim koszmarem. Tamten świat był tylko mój i na szczęście dawno już nie istniał. Nie miałam potrzeby do nie go powracać. Nie chciałam nigdy więcej. Miałam nadzieję, że tak się stanie, ale się nie udało. Czułam, jakby Marcin całkowicie mnie obnażył, czułam się taka upokorzona, taka goła, bezbronna i bezradna.

Wstałam targana nerwami.

– Nigdzie nie wyjdiesz! Na pewno nie wyjdiesz z hotelu sama! Nie pozwolę na to. Nie pozwolę, byś gdzieś po drodze zemdląła. Gołym okiem widać, że nie najlepiej się czujesz. Kochanie...

Złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Przestał zadreć pytania. Nie chciał już nic więcej. Bez opamiętania całował moje dłonie i usta. Robił to jak najwspanialszy kochanek, jakby zapomniał, gdzie jesteśmy i co się wydarzyło. Jakby nie było tego przed chwilą. Zachowywał się tak, jakby w jednej chwili pragnął wynagrodzić mi wszystkie krzywdy. Natychmiast, w tej jednej jedynej chwili. Przytulił mnie mocno do siebie i tak zastygliśmy w swoim świecie. O nic nie pytał. Nic nie chciał wiedzieć.

Nigdy nie był natrętny, na nic nie nalegał. Znał granice. Był inteligentny, szarmancki i mądry. Znał mnie, choć tak krótko byliśmy razem. Uwielbiałam go. Za wszystko go uwielbiałam.

– Marcin, nie myśl o tym, co się przed chwilą wydarzyło. To niczego nie

zmieni. Ja zawsze będę miała gorsze i lepsze dni. Wiem, o czym mówię. Niektóre sprawy są silniejsze niż my sami... Napijmy się wina, proszę – zaproponowałam.

– Lena, wolałbym nie teraz – zanegował.

– Właśnie teraz muszę się napić. Zaraz zwariuję, głowa mi pęknie. Nie wytrzymam tego chaosu, jeśli nie poczuję procentów.

Chciałam przechylić kieliszek, zabrał mi go z ręki. Nie protestowałam. Nie miałam siły. Było mi wszystko jedno. On przecież był lekarzem, on znał się na tym, co mi wolno, a czego nie. Tylko jednego nie potrafił. Medycyna nie poszła jeszcze tak daleko, by móc resetować ludzkie mózgi. Żeby człowiek, jeśli nie chce, nie pamiętał swoich nieszczęść i kłopotów. Tego mój Marcinek niestety nie potrafił. Rozmyślałam, a Marcin milczał.

– Kiedy widzę cię taką smutną, taką przygnębioną, jest mi przykro. Lena, ja mu tego nie podaruję. Nie daruję temu łajdakowi. On zniszczył ci kawał życia. Do tej pory czuł się bezkarny, ale teraz lepiej niech mi nie wchodzi w drogę, bo pożałuje – stwierdził nerwowo.

– To nie jest takie proste.

Po długiej chwili, która dla mnie była nie do zniesienia, wybiegłam z pokoju. Pędziłam przed siebie długim, niekończącym się korytarzem. Nie zastanawiałam się dokąd. Potrzebowałam być sama. To chyba nie było wygórowane życzenie?

Marcin nie pozwolił mi dłużej uciekać. Złapał mnie za rękę, gdy otwierałam drzwi hotelu. Cały czas biegł za mną.

Musiałam wyjść na dwór. Było mi duszno i kręciło mi się w głowie. Jak najszybciej chciałam znaleźć się na zewnątrz. Potrzebowałam świeżego powietrza.

Usiedliśmy na pierwszej napotkanej ławce. Milczeliśmy. Bałam się, że Marcin znowu zacznie pytać, a ja nie znajdę w tej chwili ani odwagi, ani żadnej sensownej odpowiedzi, żadnych słów. Nie wyobrażałam sobie wracać do przeszłości. Nie umiałam opowiedzieć o krzywdach, które wyrządził mi Witek. Bałam się mówić.

Marcin zaczął pierwszy.

– Lena, czy ty myślisz, że pozwolę ci odejść? Odejść teraz? Po tym, co sama... co razem przeszliśmy? Kiedy dobrze cię poznałem? Dzisiaj wiem najlepiej, jak wartościową jesteś kobietą, matką i... Lenka, nigdy cię nie zostawię. Bardzo cię kocham. Potrzebuję... Kocham cię, Lena. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia i dziś nie byłbym już zdolny żyć bez ciebie. Rozumiesz? Nie potrafiłbym. Nie dałbym rady. Jesteś dla mnie najważniejsza, najdroższa... – powtarzał chyba ze sto razy. – Przyrzeknij mi, daj słowo, że cokolwiek się stanie, poradzimy sobie – nalegał.

– Nie mam pojęcia, czy tak będzie – wątpiłam.

– Dasz radę. We wszystkim ci pomogę. Nie musisz się bać. Jesteś ze mną. Masz mnie.

– Cieszę się, że tak jest. Marcin, jestem z tobą bardzo szczęśliwa.

– Dziękuję ci. Skarbie, tak cię kocham...

Całował moją szyję, moje policzki i usta. Odnosiłam wrażenie, że tylko ja go obchodzę, tylko ja jestem ważna na tym świecie. Gdy przestał, spytałam:

– Czy wiesz...

– Tak, wiem. Wiem wszystko.

– Ale, Marcin, czy wiesz, że jedna ze sławnych podróżniczek powiedziała kiedyś... Zaczekaj... Jak ona to ujęła? – Próbowałam sobie przypomnieć. – Tak, to było tak: „że łatwiej poradzić sobie z piranią, niż znaleźć mądrego mężczyznę, który nie jest wiecznym dzieckiem”.

– Nigdy nie słyszałem, dobre – skwitował.

– Tylko tyle?

– A co jeszcze?

– Nie zgadzam się z nią. Ja przecież wcale nie musiałam ciebie szukać. To ty mnie znalazłeś. Tylko nie wiem, czy ja zasługuję na to wszystko. Bardzo chciałabym znać odpowiedź na to pytanie – zastanawiałam się szczerze.

– A kto, jak nie ty? Najważniejsze, że mi ufasz. Długo o to walczyłem. Jak widać, było warto. Obiecuję, poradzimy sobie. Mamy siebie, więc stawimy czoła przeciwnościom losu – mój mężczyzna ciepło przekonywał. – I promise. Słowo harcerza. To z gór. Pamiętasz?

Uśmiechnęłam się do Marcina jak jeszcze nigdy w życiu. To był naprawdę szczerzy, ufny uśmiech.

Nad nami rozpościerało się gwiazdziste niebo. Siedzieliśmy tuż nad brzegiem morza przytuleni, na piaszczystej plaży, jak dwa ziarenka nieznaczące nic dla wszechświata, a tak wiele dla siebie samych. Było ciepło, cicho, późno. Ludzi prawie nie było. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy ostatni plażowicze zniknęli w swych przystaniach. Uznałam, że właśnie teraz jest odpowiedni moment, żeby opowiedzieć Marcinowi wszystko, by nareszcie poznał o mnie prawdę, by nie ukrywać już dłużej własnych przeżyć, by się nimi podzielić, by obnażyć tajemnicę o dawnym życiu, wciąż tak skrywaną, by podzielić się koszmarem, który przeżyłam, i wreszcie odkryć siebie. Byłam mu to winna. Nie mogłam go oszukiwać. Nie chciałam. Przecież ludzie, którzy się kochają, wiedzą o sobie wszystko.

– Marcin, chcę, żebyś wiedział, że nie byłoby nas teraz tutaj, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali, gdyby nie historia z trzynaste go lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku i te wszystkie wydarzenia, które po tej dacie nastąpiły i które są kluczowe. Wierzę, że to, co zdarzyło się tamtego słonecznego dnia, wypaliło piętno na mojej dalszej egzystencji. Zanim zacznę opowiadać, muszę ci od razu coś wyjaśnić. W zasadzie w zabobony nigdy nie wierzyłam i w dalszym ciągu trzymam się od nich z daleka, ale przed chwilą wspomniana

trzynastka faktycznie przyniosła mi wielkiego pecha w życiu.

Marcin był zdziwiony. Milczał, nie chciał przerywać.

– Byłam wówczas świeżo upieczoną maturzystką i wierzyłam, że wszystkie kłopoty są dawno za mną. O tym, jak bardzo się myliłam, dowiedziałam się znacznie później. Anka, moja licealna przyjaciółka, od dawna zadawała mi głupie pytania: Czy mam już chłopaka? Dlaczego go jeszcze nie mam? Co z Krzyśkiem? Dlaczego go nie chciałam? Czy chodzę na dyskoteki? Dlaczego nie chodzę? Czy lubię prywatki? Dlaczego ich nie lubię? Ciągłe pytała, czy zamierzam być w ciąży. I z kim to pragnę zrealizować. Wszystko sprowadzało się do jednego zasadniczego pytania, na które nikt, a przede wszystkim ja sama nie znałam odpowiedzi. Mianowicie chodziło o moje zamążpójście. „Do diabła! Co cię to obchodzi? Po co, serwujesz mi w kółko takie nedorzecznosci? Aniu, opanuj się. Czy ty się w ogóle słyszysz?” Denerwowałam się na przyjaciółkę. Anka coraz częściej doprowadzała mnie do szewskiej pasji. Wierzyłam, że w końcu odegram się na niej. Działo się to jednak przeważnie w moich własnych marzeniach. Nie należałam do osób asertywnych. Nie potrafiłam się przed nikim bronić ani nikomu przeciwstawić. Nie byłam również tak wścibska jak moja przyjaciółka, ale cóż, jak mawiała moja babcia: „Ilu ludzi żywi ta święta ziemia, tyle wrednych charakterków”. Rzadko się z nią zgadzałam, ale tym razem przyznawałam jej rację. Anka często starała się mnie przeproszać, robiła to zbyt często. Za często, by jej przebaczać. Przystawałam jej ufać. Jej skrucha nie robiła na mnie większego wrażenia. Znałam ją od podszewki i byłam pewna, że za jakiś czas znów będzie powtórka z rozrywki.

„Lena, przepraszam cię, nie wiedziałam, że jesteś aż taka wrażliwa. No, nie gniewaj się. Jeszcze raz sorry. Nie chciałam. Wiesz, że dobrze ci życzę” – powtarzała jak w amoku.

„Niech ci będzie. Nie gniewam się. Mam inne wyjście? Przecież i tak się nie odczepisz” – kwitowałam zrezygnowana.

Zwykle po każdej przepytywance miałam w głowie totalny mentlik. Płatałam się we własnych zeznaniach. A efektem końcowym mojego zachowania było przyznanie Ance racji. Tak, nie miałam chłopaka. To był fakt niepodważalny. Prawdą było to, że pomimo moich osiemnastu lat faktycznie nie miałam nikogo na tak zwaną własność, a co za tym idzie – nie chodziłam na dyskoteki. A jak nakazuje życie – powinnam. Ja po prostu nie czułam bluesa do tego. Było mi wstyd z tego powodu. Mało powiedziane: bardzo, bardzo się krępowałam.

„Widzisz, Aniu, z jaką sytuacją przyszło mi się zmagać, – zwróciłam się do koleżanki.

„Widzę, widzę. Przecież ślepa nie jestem. Trzeba ci jakoś pomóc. Bo zmarniejesz do reszty, a tego nawet ty sama nie chcesz”.

„Masz rację” – przytakiwałam jak grzeczna dziewczynka.

Moje rówieśnice, łącznie z Anką, dawno niejedną miłość i niejedną zawód

miłosny przeżyły, a u mnie takie opóźnienie w sprawach damsko-męskich. Niedobrze to wróżyło. Nie wpadłam w panikę od razu. Stało się tak dopiero wtedy, gdy pewnego wakacyjnego dnia Anka wprosiła się w gościnę do mojego domu. Zamiast jechać na wakacje do babci, tak przynajmniej poinformowała własną mamę, znalazła się u mojej rodziny. Wcale nie byłam zachwycona jej wizytą. Natomiast moja mama jak najbardziej.

„Fajnie, że przyjechałaś do Leny. Nawet nie wiesz, jak się cieszę” – stwierdziła.

Była po prostu wniebowzięta. Miała pewnie cichą nadzieję, że koleżanka ze szkolnej ławy gdzieś mnie w końcu wyciągnie i nie będę spędzała wakacji wyłącznie na kanapie przed telewizorem lub z kolejną książką w dłoniach.

Marcin, powinieneś wiedzieć, że Anna była idolem w moim domu rodzinnym. Wielkim wzorem do naśladowania. Zdaniem mojej mamy to fantastyczna dziewczyna. Dobrze się uczyła, miała wielu przyjaciół, a chłopaków zmieniała jak rękawiczki i nie przeszkadzało jej to normalnie funkcjonować. Jej zachowanie nigdy nie budziło zastrzeżeń mojej rodzicielki. Wręcz przeciwnie, śmiało poczynania Anki budowały jej coraz bardziej pozytywny wizerunek u wszystkich, którzy ją znali.

Ja myślałam inaczej, ale to nie było ważne. Moje myślenie nie miało najmniejszego znaczenia ani dla mojej przyjaciółki, ani tym bardziej dla innych.

„Ja też się cieszę, że udało mi się wygospodarować trochę czasu i odwiedzić Lenę, a przy okazji państwa” – Anka starała się być miła.

„Czuj się jak u siebie w domu” – zachęcała mama.

„Dziękuję pani. Z tym na pewno nie będę miała kłopotu” – potakiwała koleżanka.

Marcin, czy ja cię nie zanudzam?

– Skarbie, jeśli cię to wszystko zbytnio nie męczy, to chcę posłuchać dalej.

Pocałował moje czoło i przytulił mocno do siebie.

\* \* \*

– Przyjechała Anka i nikt tego faktu nie mógł zmienić. Cóż, trzeba było sprostać wyzwaniu i zabrać się do roboty. Bo o tym, żebyśmy ciepły lipcowy wieczór spędzili w domu, nie było mowy. Ania naprawdę miała ADHD przez duże A.

Po wszelkich zabiegach upiększających naszą urodę typu: kąpiel w płatkach róż (żartuję), makijaż, paznokcie, wybieranie ciuchów z szafy, prasowanie, układanie fryzur (i tu już nie żartuję, no, może trochę przesadzam), kompletnie wypieszczone wyruszyliśmy na podbój mojego rodzinnego miasteczka. Brakowało nam tylko nabitej broni, żeby kogoś utrafić. Wtedy jeszcze słynęłam z poczucia

humoru.

„Jest ciężko! Chyba nic nie wyrwiemy oprócz sztachety z płotu”. Tak ten stan rzeczy nazwała moja przyjaciółka, której humor też przeważnie nigdy nie opuszczał. Faktycznie nigdzie nic się nie działo, mimo że była sobota po południu.

„Jakaś totalna porażka” – wysapałam smutno. Nic z tego nie rozumiałam, ale i nic do rozumienia nie było. Chłopców też jak na lekarstwo. Aż nareszcie eureka! Są! Jak puszka Pandory otworzyła się ostatnia szansa. Nie ma tu żadnej przesady. Dość przystojni, nienagannie ubrani, we dwóch stojący przy dyskotecie Madagaskar. Zawsze uważałam, że nazwy lokali rozrywkowych w moim miasteczku są dziwne, żeby nie urazić właścicieli: śmieszne do bólu. No ale cóż! Na wybory innych nie mamy przecież wpływu. I żeby tylko o takie wybory chodziło.

Szybko nawiązałyśmy kontakt z chłopcami. Nasz młody wiek rządził się wtedy własnymi prawami. Pamiętam, że podarowali nam bilety do dyskoteki. Wszystko to działo się w błyskawicznym tempie i było przekleństwem. Przekleństwem dla mnie, jak się później okazało. Jak na mój gust wszystko o wiele za szybko pędziło do przodu. Teraz to dostrzegam, wtedy nie.

Dla Anki krótki epizod z Jackiem raz dwa się zakończył. Po niecałych dwóch tygodniach mieli już siebie serdecznie dosyć. Natomiast moja znajomość z Witkiem przetrwała aż do naszego ślubu i potem jeszcze długie lata w piekle, które zgotował mi już jako mój mąż.

„Załóż moją marynarkę, widzę, że trzęsiesz się z zimna. Proszę” – wyszeptał mi do ucha. Była późna noc, gdy Witek odprowadzał mnie do domu. Był taki troskliwy, a ja taka głupia, że Boże drogi...

\* \* \*

„Kocham cię, bardzo...” – szeptałam mojemu ukochanemu, tuląc się w jego ramionach. Bardzo go potrzebowałam.

Zakochałam się w swoim przyszłym mężu od zaraz, od pierwszego wejrzenia, jeśli coś takiego w ogóle ma miejsce na ziemi. Teraz widzę to w zupełnie innych barwach. Całkiem odmiennie. Jestem przekonana, że my, kobiety, najczęściej zakochujemy się we własnych marzeniach, bo na pewno nie natychmiast byłam w stanie zakochać się w dopiero co poznanym człowieku. Przecież Witka nie znałam, więc nie mogłam być w nim zakochana, raczej wyobrażałam sobie, że tak jest. Tymczasem prawda była zupełnie inna. Jak dalece to moje

marzenie i wyobrażenie o Witoldzie odbiegało od rzeczywistości, dowiedziałam się znacznie później.

Witek nigdy nie wyznał, że mnie kocha. Nie był wylewny, ale ja wierzyłam, że pomimo powściągliwości kocha. Taka była moja wizja z dna lustra. Od

tamtejszej wizji, niestety widzianej w krzywym zwierciadle, zależało moje przyszłe szczęście, a w zasadzie nieszczęście.

To wszystko było jakieś nedorzeczne, ale naprawdę się działo i nic z tym nie potrafiłam zrobić. Wpadałam w coraz głębszą dziurę.

Tak, to prawda. Nie mogę zaprzeczyć. To była najprawdziwsza i najgłupsza prawda. Zakochałam się w Witoldzie bez pamięci. Kochałam tego drania.

Dziś jestem bardziej odpowiedzialna, bardziej dojrzała i twierdzę, że... Jestem pewna, że on nigdy ani trochę mnie nie kochał. Nasza miłość działała jedynie w jedną stronę. Ten fakt Witold wykorzystał wielokrotnie.

Ale dlaczego zawracał mi głowę, skoro nigdy go nie obchodziłam? I co sprawiało, że to ja mimo wszystko z dnia na dzień zadurzałam się w nim coraz bardziej, chociaż on na to nie zasługiwał? Na żadne z tych pytań nigdy, nawet po wielu latach, nie znalazłam odpowiedzi.

Tak wyglądała moja pierwsza, piękna, ale jakże nieszczęśliwa i naiwna miłość. Nie miałam wielkich wymagań. W zasadzie nie miałam ich wcale. Chciałam tylko, żeby Witek był. Często zastanawiałam się, czy kiedykolwiek, choć trochę mnie pokocha. To była moja jedyna prośba, jedyny cel mojego istnienia. Prośba o miłość, o odwzajemnienie jej. Wciąż miałam cichą nadzieję, że w końcu tak się stanie. Ciągłe walczyłam o uczucie. Nie zdawałam sobie sprawy, że nieustannie mu się narzucam. Miałam nadzieję, że wszystko się zmieni. Jak bardzo się myliłam, dowiedziałam się znacznie później.

Dlaczego? Co takiego kierowało nim, że w końcu się ze mną ożenił? Do dziś wraca do mnie wiele pytań, a ja nie znajduję na nie odpowiedzi. Bo przecież coś nim kierować musiało? Po co składał przysięgę przed Bogiem, skoro nie miał zamiaru nigdy jej dotrzymać?

Gdzieś kiedyś słyszałam stwierdzenie, że wszystko, co doskonałe, dojrzewa powoli. Łudziłam się, że ta prawda znajdzie miejsce również w moim życiu. Niestety u mnie nie miała takiej mocy sprawczej.

Przypominam sobie, że na początku narzeczeństwa moje odczucia były fantastyczne. Nigdy się nie kłóciliśmy. Jednak było jakieś ale. Było wiele ale. Były same ale...

Witold nigdy nic mi nie podarował. Nie dostawałam od niego żadnych prezentów. Zresztą nie miałam takich wymagań. Ciągłe pożyczzał ode mnie pieniądze, wiedząc, że nie zarabiam ich sama. Wtedy jeszcze nie pracowałam. Zamierzałam po wakacjach dalej się uczyć. Nigdy nie oddawał pożyczonych pieniędzy, a ja nie miałam śmiałości, by się o nie upomnieć.

Nigdy nie chodziliśmy do kawiarni, do kina, prawie wcale do znajomych. Nie kupował mi kwiatów. Wstydziłam się tego. Okłamywałam wszystkich dookoła, że mam coś od niego, jakiś drobiazg, a w rzeczywistości sama sobie fundowałam cokolwiek za wcześniej zaoszczędzone, uciulane pieniądze.



Nie wiem, dlaczego te fakty ukrywałam. Wiem tylko, że tak wyglądała prawdziwa miłość z mojej strony. Niejeden facet mógłby Witkowi tej mojej bezgranicznej miłości pozazdrościć. On jednak nigdy nie dostrzegał mojego zaangażowania. Staralam się tak bardzo, że już bardziej nie można, a on tego nie doceniał, nie czuł, nie widział. Zachowywał się tak, jakby wszystko mu się w życiu należało. Taki narcyz z klapkami na oczach. O tym, że faktycznie był narcyzem, również przekonałam się dużo później.

Od początku naszej znajomości nie mówiłam prawdy, zaprzeczałam wszystkiemu, a przede wszystkim oszukiwałam siebie. Robiłam tak z prostej przyczyny: chciałam być z Witkiem. Na przekór wszystkiemu chciałam z nim być. Na przekór tym, którzy mi odradzali, od początku byli przeciwni.

„To nie jest partia dla ciebie. Dziewczyno ocknij się z letargu! Co ty robisz?”

„Nic złego, Kocham Witka” – wyznawałam.

„Lena, będziesz tego żałowała”.

„Mam nadzieję, że nie” – wierzyłam.

„Jesteś inteligentna, wykształcona. O czym wy mielibyście rozmawiać ze sobą?”.

„O wszystkim”.

„Daj sobie spokój z tym ograniczonym człowiekiem”.

„Nie wolno wam o nim tak mówić”.

„Przecież to zwykły oszust. Nie widzisz tego?”.

Nie widziałam.

„Pije i nie wiadomo, co jeszcze przyjdzie mu do głowy”.

Kochałam go, nie potrafiłam inaczej...

Głęboko wierzyłam w zupełnie inną prawdę niż śmiertelnicy dookoła mnie. Trzymałam się zasady: „Najlepszą bronią przed głupotą jest wyrozumiałość”. Uwielbiałam filozofię. Naczytałam się dużo filozoficznych mądrości. Miałam do tego głowę. I odwrotnie: Kochając Witka, całkowicie ją straciłam. Postradałam rozum i zmysły. O tym, że tak było naprawdę, dowiedziałam się znacznie później.

Niestety wszyscy, zwłaszcza bliscy, mieli tę cholerną rację, do której ja bardzo długo się nie przyznawałam. Straciłam wielu przyjaciół. Byłam przekonana, że zwyczajnie zazdroszą mi Witka. Świat był moim wrogiem. Przyjaciele także się nimi stawali. Odsuwałam się powoli, gdzieś daleko. Oddalałam się w głęboką czeluść. Nie bałam się przepaści. Szłam tam z moim Witkiem, którego kochałam najbardziej na świecie. Miłości przecież nie da się zaplanować. To sprawa losu, a nie rozumu. Tak też stało się w moim przypadku.

Stawałam się niewolnicą Witka oraz więźniem własnych uczuć.

\* \* \*

Witek był bardzo zazdrosny. Wyróżniał się na tym punkcie chorobliwą

przezornością, pełną agresji, przemocy i głupoty. O tym też przekonałam się znacznie później.

Pamiętam, że jego kolega pocałował mnie kiedyś podczas tańca. Taki tam przyjacielski buziak. Zналиśmy się dobrze, więc nie przypuszczałam, że to coś złego. Witek uznał inaczej. Okropnie się wkurzył. Momentalnie zerwał przyjaźń ze swoim kumplem, pomimo że to był jego najlepszy przyjaciel. Już wtedy działo się z nim coś złego. Ja wszystko mu wybaczałam. Mój mąż, niestety, tego incydentu nigdy mi nie wybaczył. I jeszcze długo na każdym kroku o nim przypominał. Myślę, że było mu z tym niewybaczeniem na rękę. W ten sposób wzbudzał u mnie poczucie winy.

Powinłam się zorientować, że to chłopak nie dla mnie, że ciągle robi z igły widły. Zamiast zdrowego rozsądku znów zwyciężyła szalona miłość. Wciąż brnęłam w ślepią uliczkę, na której nie wylano asfaltu. Szłam po kocich łbach, podążając ciągle za Witkiem, za moją miłością.

Moje marzenie o miłości było bardzo dalekie od rzeczywistości. A przecież od tego, jak dalekie było, zależało nasze szczęście. Okłamywałam siebie, że jestem szczęśliwą kobietą. Czy tak było naprawdę, przekonałam się znacznie później.

Walczyłam, marzyłam, marzyłam, walczyłam i tak na przemian. Nieustająca walka o coś, co było równie niemożliwe, jak zakupienie mandarynek w polskim sklepie, w okresie stanu wojennego.

Z naszego narzeczeństwa i małżeństwa pamiętam jedynie wiele złego. Przypomniał mi się jeszcze jeden z wielu nienormalnych incydentów mojego młodego życia.

Którejś niedzieli Witek zerwał ze mną wszelkie kontakty, nie podając w zasadzie żadnego powodu. Tak po prostu od pewnego zimowego dnia przestał do mnie przychodzić. Bardzo źle to zniosłam, ogromnie przeżyłam. Za wszystkie nasze niepowodzenia obwiniałam siebie. Chroniłam mojego Witka jak bańkę mydlaną. Nie wyobrażałam sobie, żeby nasza miłość tak banalnie rozprysnęła się na milion kropelek. Nie miałabym siły wyprodukować tylu łez, żeby pożegnać to chore uczucie. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że rzeczywiście jest połamane. I nie powinłam tego ciągle składać. Nie chciałam się żegnać z Witkiem, nie chciałam się żegnać z miłością. Chciałam w niej trwać do samej starości, aż nas śmierć nie rozłączy. Taką byłam romantyczką.

\* \* \*

Zrobiło się chłodno, a może z wrażenia trzęsło mną w środku. – Może nie masz ochoty dalej? Lena, jeśli nie chcesz, zrozumieć.

– Marcin, proszę, muszę, pozwól mi...

Otulił mnie jeszcze mocniej swoim ramieniem i patrzył w morską otchłań. Słuchał.

\* \* \*

– Niedługo po tym Witek namówił mnie na zaręczyny.

„Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana” – powiedział tylko tyle i aż tyle.

Nie rozumiałam tej jego przedmowy. Cieszyłam się, że znów jesteśmy razem. Nieważne, że choć ze sobą, to jednak ciągle obok siebie. Witek nie musiał się ponownie starać o moją rękę. W ogóle nigdy nie musiał się o nic starać. Dostawał wszystko na złotej tacy.

\* \* \*

– Marcin, ja chyba nie powinnam ci tego mówić. Znienawidzisz mnie. Lepiej, żebyś nie wiedział wszystkiego.

\* \* \*

– Witek miał mnie, kiedy tylko zapragnął. Oczywiście natychmiast zgodziłam się być jego narzeczoną. Szłam za nim w milczeniu niczym owca prowadzona na rzeź. Wszystko, czego zapragnął mój mąż, było święte, a każda jego zachcianka spełniana przeze mnie natychmiast. Ja się w tym wszystkim nie liczyłam. Liczył się tylko on. Mój ukochany...

Moi rodzice przygotowali się do uroczystości zaręczyn bardzo solidnie. Mama Witka w ogóle. Przychodząc, oznajmiła, że nic o żadnych zaręczynach nie wie. Była zdziwiona, że uczestniczy w takiej ceremonii.

A przecież dała Witkowi pierścionek. Musiała być świadoma, gdzie idzie i po co. Przyszła do domu moich rodziców, więc musiała sobie zdawać sprawę. Dlaczego tak mnie zignorowała? Dlaczego zrobiła mi tyle wstydu przed własną rodziną? Już wtedy byłam dla niej

nikim, zwykłą ścierką do podłogi. Można sobie wyobrazić, co czuła wówczas moja mama. Teraz już wiem, bo sama jestem matką.

– Lenka, nie musisz... – Będę dalej...

\* \* \*

– To był niekończący się koszmar, tym bardziej, że moja przyszła teściowa nigdy mnie nie zaakceptowała. Nie lubiła mnie. Pragnęła dla swojego synka księżniczki z posagiem i morgami, a ja ani księżniczką nie byłam, ani ziemi nie posiadałam. Pochodziłam z blokowiska, a ziemię miałam tylko w skrzynkach na balkonie. Moi rodzice dopiero kilka lat po moim ślubie wybudowali swój własny dom i dorobili się dużego ogrodu.

Byłam dla mojej teściowej nikim. Żadne moje atuty nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Tuż po naszym ślubie nazwała mnie... Nie potrafię powtórzyć... Nie zrobię tego...

W każdym razie po tych słowach długo nie mogłam się otrząsnąć. Wbiły się

w moje serce niczym kolce kaktusa. Nigdy potem nie udało mi się tych kolców wyciągnąć. Rany w sercu pozostały na zawsze. Było mi przykro. Płakałam kilka dni. Cóż, jak to mówił Pawlak w „Samych swoich”: „Czas przywyknąć”. Na wsparcie ze strony własnego męża nie mogłam liczyć. Nigdy nie mogłam na niego liczyć.

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jaką miałam przewagę nad mamą Witolda, nie byle jaką zaletę. Nie wierzyłam, że mogę w czymkolwiek być lepsza od niej, a przecież byłam. Miałam wykształconych rodziców i sama kończyłam studia pedagogiczne. Lada chwila miałam mieć wyższe wykształcenie, ale wtedy nie myślałam, że to ważne. Dlaczego wtedy tak sądziłam? W ogóle odkąd byłam z Witkiem nie myślałam.

\* \* \*

– Marcin, jaka ja byłam głupia...

– Lena, nie byłaś głupia. Po prostu ufałaś mu, a ten kretyn nie potrafił tego docenić. Jeśli nie chcesz dalej się zwierzać, uszanuję twoją decyzję. Jeśli te wspomnienia są dla ciebie zbyt traumatyczne, nie musisz ich kontynuować.

– Marcin, jeśli teraz ci tego nie opowiem, to nigdy już się nie odważę. Pozwól, dokończę... Powinam. Proszę... Nie odważę się już nigdy...

Plejada gwiazd nad nami tworzyła ciepły nastrój i dodawała mi odwagi.

– OK – okrył mnie kocem.

– Nasze rodziny nigdy się nie polubiły. Nasze małżeństwo... nie, to nie mogło się udać. Takie myśli atakowały wówczas moją głowę. Nie starałam się jednak wierzyć w to tak dosłownie. My się kochamy i będzie dobrze – pocieszałam samą siebie. Sojuszników wówczas nie miałam.

\* \* \*

W końcu odbył się nasz ślub, z potężnymi znakami na niebie i ziemi wskazującymi na to, że nigdy się nie powiedzie, że się nam nie uda. Tak naprawdę nie powinno do niego dojść. Wiadomo było, że z tej mąki chleba nie będzie.

Był kwietniowy, szarobury, wstrętny dzień. Lało jak diabli. Na przemian sypał śnieg z deszczem. Grad, ulewa. Było niemiłosiernie zimno i do tego wiał ostry wiatr. Wichura. Pogoda iście jesienna, a wiosny nic nie zapowiadało. I to straszliwe błoto pod nogami, to był jakiś zły znak. Ale ja wtedy nie zwracałam uwagi na detale. Ważne było to, że mnie było gorąco, w sercu miałam tropikalne lato – to się liczyło. Kochałam, do szaleństwa kochałam mojego Witka...

Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że podczas ceremonii kościelnej szanowny ksiądz się pomylił. Pomylił imię mojego wybranka. Goście byli zbulwersowani. Mówili, że taka pomyłka źle wróży, że ksiądz nie powinien, że Witek powinien i tak dalej, i tak dalej...

Dla mnie jednak nic nie miało znaczenia. Nic się nie liczyło oprócz mojego szczęścia, chorego zresztą i nieuleczalnego...

Na ślub cywilny mój były mąż zapomniał obrączek i musiał się po nie wracać do domu. Uroczystość z tego powodu znacznie się opóźniła. W zasadzie jeszcze trochę i w ogóle by się nie odbyła. Takich szokujących i źle wróżących sytuacji było przedtem i potem jeszcze bardzo dużo. Połowę z nich już dawno wyrzuciłam z pamięci. Nie przypomnę sobie...

Nie chcę pamiętać, że na swoim weselu... W ogóle gdybym mogła cofnąć czas... Ale nie mogę. A zresztą, czy od przeznaczenia można uciec? Marcin, można?

Pytań było wiele, odpowiedzi żadnej... Rozpłakałam się.

– Lenka, widzę, że te wspomnienia są za trudne, nie chcę, żebyś dalej wspominała. Zrozumiem, widzę, ile cię kosztują...

Zaczęłam ponownie. Wiedziałam, że jak nie teraz, to nigdy nie zdobędę się na odwagę. Musiałam kontynuować.

– Dlaczego ludzie, doświadczywszy pewnych sytuacji w życiu, uważają je po czasie za pewniki? Mam na myśli takie sytuacje, które przytrafiły się wielu osobom. Bo podczas czyjejś ceremonii ślubnej padał deszcz, a za rok ta para nie była już razem. Czy zawsze? Wszyscy, którzy doświadczą deszczu w czasie swojego ślubu, muszą być nieszczęśliwi i na pewno się rozejdą? Nie, nie wierzę.

Innym przykładem może być przeprowadzka, która z perspektywy większości powinna się odbyć tylko w sobotę, bo to oznacza szczęście i dobrobyt na nowym miejscu na resztę życia.

Przykłady można mnożyć, ale po co? I tak dosyć nieszczęść wokół nas. A bycie szczęśliwym udaje się tylko nielicznym i owiane jest wielką tajemnicą.

\* \* \*

– Nie znałam życia. Nic o nim nie wiedziałam. Żyłam pod kloszem mamy, która zawsze decydowała za mnie, dosłownie o wszystkim.

Mój ślub był moją pierwszą dorosłą decyzją i pierwszą życiową porażką. Złą decyzją, z którą moja mama nie zgadzała się od samego początku. Nie podobał jej się Wittek. Uważała, że stać mnie na lepszego faceta.

Było mi wówczas bardzo przykro i jeszcze wiele razy z tego powodu cierpiałam. Moja mama nie akceptowała mojego męża. Nie wiedziałam niestety, że miała tę cholerną rację. Wybryki mojego życiowego partnera były przecież nie do przyjęcia dla normalnej kobiety.

Nie docierało do mojej zakochanej, zakutej głowy, że ten pozornie wspaniały chłopak wcale cudowny nie jest i nigdy nie będzie. Do ideału mu bardzo daleko. Nie mogłam pojąć, dlaczego ten mój fantastyczny mąż jej się nie podoba.

Mnie też nie wszystko podobało się w Witku, ale strasznie go kochałam i

wierzyłam, że to, co złe, kiedyś minie, że Witold się zmieni.

Już wtedy nie stronił od kieliszka. Lubił wypić. Pił coraz więcej i częściej.

Ale co z tego? Przecież tak nie będzie zawsze. Przecież mnie kocha – tłumaczyłam sobie.

„Masz być dzisiaj gotowa na...! Będę chciał... dużo...” – oznajmił, wychodząc rano do pracy.

„Dlaczego mi to mówisz? Przecież zawsze spełniam twoje chore zachcianki”.

„Dziś spełnisz je jeszcze dokładniej, zrozumiałaś?” – zagroził.

„Nie, nie wiem, o czym mówisz. Dlaczego mi to robisz? Witek, proszę cię” – rozplakałam się.

„Wkrótce się dowiesz. Nie bądź żałosna”.

„Witek, Witku, proszę cię” – powtarzałam, miałam nadzieję, że... A potem? Potem nie miałam już żadnej nadziei.

„Na razie nie musisz mnie o nic prosić. Przyjdzie czas, będziesz prosiła, obiecuję...” – zaśmiał się ironicznie i wyszedł.

Zostawił mnie z tą niepewnością. Bałam się. Zawsze się go bałam.

– To bydlak! – Marcin nie wytrzymał.

– Wiecznie się zastanawiałam, czy Witek mnie kocha. Ale nigdy się nie zastanawiałam, skąd się bierze moja ciągła niepewność, moje obawy co do jego uczucia. A to już chyba przekraczało granice normalności? Przecież młoda mężatka nie powinna mieć wątpliwości co do uczuć swojego męża. Nie powinna się też go bać.

Co nim kierowało, że się ze mną ożenił? Przecież nie przepadał za mną, nie lubił nawet mojego imienia. Dlaczego to zrobił, chociaż w ogóle go nie pociągałam? Nie wiem! To zagadka, której do dziś nie odgadłam, nie znalazłam logicznego wytłumaczenia, żadnej odpowiedzi.

Jedno wiem na pewno: jeśli ma się choć cień wątpliwości, to nie trzeba się wiązać z facetem, i odwrotnie. Doszłam do tak smutnych wniosków dopiero po zdobyciu doświadczenia. Minęły lata świetlne. Szkoda, że tak późno.

\* \* \*

Był piękny jesienny dzień, gdy na świat przyszła nasza córka Paulina. Kiedy chodziłam z nią w ciąży, Witek po raz pierwszy zaczął przekonywać, jak bardzo mnie kocha. Jak cieszy się, że będzie ojcem. Jak nie może się doczekać porodu.

Jego zapewnienia wydawały mi się jak najbardziej szczerze i oczywiste. Nie wiedziałam tylko, skąd u niego taka nagła zmiana. Kochałam go jeszcze bardziej, za entuzjazm, który wtedy wykazywał. Przecież nosiłam w sobie owoc naszej miłości. Wydawało się, że Witek naprawdę nie może się doczekać momentu narodzin dziecka.

Ta sielankowa sytuacja zmieniała się bardzo szybko, tuż po narodzinach małej. W szpitalu prawie w ogóle mnie nie odwiedzał, a jeśli już, to robił to po pijaku. Nigdy nie przyszedł trzeźwy. Już wtedy zaczęło do mnie docierać, że walka z jego nałogiem będzie trudna, że mogę jej nie wygrać, że Witek będzie pił, a ja stając się współuzależniona. Nasza rodzina była chora.

Po raz pierwszy dotknęłam jego ręki w dość dziwny sposób i głęboko spojrzałam w jego oczy. Prosiłam, żeby nie pił, żeby w końcu się opanował. Miał przecież dla kogo żyć. Urodziłam mu córkę. On jednak był już gdzieś bardzo daleko ode mnie, od nas. Wiedziałam wówczas, że naszej miłości nie da się dalej planować. To sprawa losu, a nie rozumu, jak naiwnie wierzyłam.

Pierwszy raz uderzył mnie, gdy nasza córka miała sześć miesięcy. Przeżyłam traumę. Ból, nie tyle fizyczny, co psychiczny, był tak wielki, że nie pomogły żadne tabletki, nie dało się go uśmierzyć. Moja dusza była chora i poraniona. Zabolało na zawsze.

Może niepotrzebnie wtrącałam się w nie swoje sprawy? Przecież chłop czasami musi wypić. Tak sobie wówczas tłumaczyłam. A w zasadzie moja teściowa tłumaczyła swojego synka.

Ależ oczywiście, że potrzebnie się wtrącałam. Teraz to wiem, wtedy nie wiedziałam.

Szybko mnie przeprosił, zanim znów zaczął znikać na całe noce. Powiedziałam mu, że nigdy nie zaakceptuję tego, że podniósł na mnie rękę. Wcale się nie zmartwił. Powtórzył to jeszcze kilkakrotnie w naszym małżeństwie, i to ze zdwojoną siłą.

W zasadzie już pierwszego dnia po ślubie mogłam trzeźwo spojrzeć na rzeczywistość.

Życie codziennie pisze dla nas nową historię, ale to, co napisało dla mnie, to już chyba lekka przesada. No cóż, na to akurat wpływu nie miałam.

\* \* \*

– Marcin, muszę trochę odpocząć. Daj mi chwilę – spojrzałam na gwiazdziste niebo i w myślach dziękowałam Panu Bogu. Dziękowałam, że zesłał mi Marcina. Byłam szczęśliwa.

– Mama Witolda była nie do zniesienia. Mieszkaliśmy u niej. Był wczesny ranek, gdy wparowała do naszego pokoju i oznajmiła, że nie życzy sobie, że tak nie będzie, że co ze mnie za gospodyni, co śpi do południa. Krzyczała jak wariatka.

Przesadziła, bo po pierwsze nie było żadnego południa, a po drugie ja nie czułam się jeszcze w żaden sposób gospodynią, choć mieszkałam prawie na wsi. Wtedy jej narzekanie nie miało dla mnie większego znaczenia. Czułam się bowiem najbezpieczniej na świecie w ramionach mojego Witka. Była dziewiąta rano. Później już nigdy tak długo nie udało mi się wylegiwać.

Teściowa uczyła mnie życia. Jej pedagogizacja polegała na ciągłych awanturach, wiecznym przypominaniu mi, jaką to jestem synową nie w jej typie, bez majątku i bez hektarów. Codziennie wbijała mi do głowy, jaka jestem beznadziejna.

Inteligencja i wykształcenie nie miały dla niej żadnego znaczenia. To, że jestem nauczycielką, w ogóle. Nie lubiła ludzi mądrych. Bała się ich jak ognia. Sama niewiele sobą reprezentowała, więc nie ma o czym się rozwodzić.

Od początku namawiała Witka na budowę domu. Miał powstać na jej placu. Taki plan to było prawdziwe szaleństwo. Ale w końcu się ziścił.

Zresztą osobiście go popierałam i nakłaniałam Witka do tego czynu, gdyż miałam cichą nadzieję, że gdy zamieszkamy na własnym, znikną nasze, a w zasadzie moje problemy. Myliłam się znowu, marząc, że zaczniemy normalnie żyć. Teściowa nie zniknęła z naszego życia. W dalszym ciągu była problemem. Jak mogło być inaczej, skoro nasz dom powstawał koło jej właśnie?

Jej wścibskość nie znała granic. Nic jej się nie podobało. Nikt z naszych znajomych nie mógł do nas przychodzić. Ograniczyliśmy życie towarzyskie prawie do zera. I tak znajdowała dziurę w całym. Potrafiła zrobić awanturę każdemu, kto nas odwiedził. Nienawidziła ludzi, dzieci, zwierząt, świata, a mnie najbardziej.

\* \* \*

Od zawsze marzyłam o własnym mieszkaniu. Widząc powstające osiedla, zadawałam sobie pytanie, dlaczego ja nie mogę żyć tak jak inni ludzie. Odpowiedzi nie odnajdywałam.

Własne cztery kąty były szczytem moich marzeń. Marzeń, które nigdy się z Witkiem nie ziściły. Tak naprawdę nigdy nie zamieszka liśmy razem. Zwrot „tylko we dwoje” zaczął blednąć, aż w końcu zgasł na zawsze.

Początkowo mieliśmy sporo pieniędzy. Właściwie należały do mnie. Chcieliśmy mieć coś swojego: dom, ogródek, dzieci, siebie... Były to bardziej moje marzenia.

Matka Witka ciągle obiecywała, że przepisze synowi ziemię pod budowę. Nic z tym nie robiła. Ciągle namawiała nas, żebyśmy się budowali na jej działce. Budowa miała toczyć się w ciemno. To był pomysł z księżycą.

Wszyscy mi radzili, abym nie budowała się na czyimś placu. Zresztą nie mając własnego, nie mogliśmy uzyskać pożyczki, która była nam niezbędna do budowy. Nie mając własności działki, niewiele mogliśmy zdziałać. I tak z trudności w trudność. Tonęliśmy, tonęliśmy...

Koszmar trwał i trwał bez końca, aż teściowa przepisała plac, z zastrzeżeniem wyłączności dla Witka i dożywotniego użytkowania działki dla siebie samej. Ja zostałam z niczym.

Po wielkich trudach, w atmosferze nienawiści, którą codziennie obdarzała



mnie mama Witka, rozpoczęliśmy budowę domu, naszego gniazdka. Przebiegała ona dzięki niewyobrażalnej pracowitości z mojej strony. Kończyłam wtedy studia, wychowywałam dziecko, pracowałam zawodowo, a dom budowałam prawie sama. Powoli rosły mury.

Cały czas byłam kompletnie samotna. Ciągłe awantury, wypominania, zachowanie mojej teściowej zdawały się nie mieć końca.

Po trudach, na przekór całemu światu, zamieszkaliśmy na swoim. Wytrzymałam w nowym domu dwa lata gehenny. Witek nie chciał mnie tam nawet zameldować. Tak naprawdę powstały jedynie mury, bez duszy w środku. Czułam, że jakaś zła energia otaczała to miejsce.

Witek pił coraz więcej i coraz częściej. Pił, co popadło, wszystko, co miało procenty. Nie chciał się leczyć. Nie chciał słyszeć o odwyku. Ciągłe przebywał na lewych zwolnieniach, bo żaden lekarz nie chciał mu już ich wypisywać. Jego praca była poważnie zagrożona.

Czułam się jeszcze bardziej samotna niż dotychczas. Zaczęłam się całkowicie wycofywać z życia towarzyskiego. Coraz dalej odchodziłam od ludzi. Nawet nie zauważyłam, że ludzie odeszli ode mnie już dużo wcześniej...

\* \* \*

Pomimo że byłam żoną Witka dobrych kilka lat, dla jego mamy wciąż byłam obcą osobą. Wszędzie, gdzie tylko się dało, źle się o mnie wyrażała. Po czasie ludzie donosili mi różne nowiny, chcąc w ten sposób podkreślić, że się z nią nie zgadzają i że to właśnie mnie wspierają, są ze mną w mojej doli i niedoli. Byli wtedy dla mnie dużym wsparciem, to na pewno.

Od początku nie mogłam zaakceptować poglądów Witka mamy. Dosłownie w niczym się z nią nie zgadzałam. Nasze zdania na wszystkie tematy znacznie się różniły. Nie mogło być inaczej. Ja miałam wykształcenie, które ciągle uzupełniałam studiami podyplomowymi, kursami, szkoleniami. Byłam nauczycielką, więc siłą rzeczy nie mogłam się cofać. Na dodatek zorientowałam się, że sama mam dużo więcej inteligencji niż rodzina Witka wzięta razem. Dla nich wykształcenie się nie liczyło. Hektary były całym bogactwem. Te cholerne hektary tak bardzo nas poróżniły, nie zdejmując odpowiedzialności za nasze kłótnie z mojej teściowej.

Po wybudowaniu domu coraz bardziej narastał problem pieniędzy. Był już wcześniej, tylko nie dostrzegałam go początkowo. Odkąd zostałam żoną Witolda, nigdy nie miałam pieniędzy. Przepijał je najczęściej. Dostawałam kasę od rodziców i tak trwałam. Witek denerwował się, że moi rodzice pomagają nam finansowo. Sam chciał utrzymywać rodzinę, ale nie potrafił temu sprostać. Robił mi wiele awantur, a problem finansów zataczał coraz większe koło. Bałam się go coraz bardziej. Moje życie przypominało huśtawkę.

\* \* \*

Mój mąż nie lubił dzieci. Obce, owszem, nawet bardzo, za to własnej córki nie lubił. To było niewyobrażalne, ale prawdziwe. Na sza córka od małego przechodziła tak zwaną tresurę. To przykre, ale prawdziwe. To bardzo bolało. Mnie jako matkę najbardziej.

Któregoś z wieczorów ją uderzył. Wtedy chyba po raz pierwszy coś we mnie drgnęło, zaczęłam się poważnie zastanawiać nad dotychczasowym życiem. Myślę, że jeszcze nie byłam świadoma całej sytuacji, ogromu mojej tragedii. Nie potrafiłam egzystować bez Witka, ale oddalałam się od niego coraz bardziej.

Najbardziej bałam się samotności. Nie chciałam być z moim mężem, ale i bez niego nie wyobrażałam sobie przyszłości. Podobno nie ma prawdziwego życia bez krzyża. Odchodziłam kilkakrotnie od męża, bo w domu było piekło, ale zawsze wracałam.

Aż do pewnego momentu...

\* \* \*

Nareszcie powiedziałam stop! Podjęłam decyzję o opuszczeniu własnego domu i zamieszkałam u swoich rodziców. Nie po raz pierwszy. Kilkakrotnie wyprowadzałam się od Witolda, ale wracałam. Teraz byłam przekonana, że już nie wrócę. Każde z nas dawno miało osobny świat, który rządził się własnymi prawami.

Mentalność ludzka nie dawała żyć. Było mi bardzo trudno, źle. W małomiasteczkowym środowisku mąż musiał być, bez niego czułam się nikim. Tam gdzie stał mój dom. Brutalne życie nie pozwoliło mi się jednak nim cieszyć. Marzenia rozprysły się jak lustrzana tafa, a ja zamieszkałam u rodziny. To było straszne, ale decyzja była nieodwracalna. Straciłam to, co najważniejsze w życiu, i nie widziałam żadnego ratunku. Kolejny raz przekonywałam się, że wyszłam za mąż za własne marzenia. Nie wejść drugi raz do tej samej rzeki. Po raz pierwszy zadecydowałam najmądrzej, jak mi się wtedy wydawało. Z perspektywy lat była to dobra decyzja.

Nie chciałam, żeby Witek zniszczył życie naszej córce. Przeżyłam piekło na ziemi. Bardzo się bałam. Nie chciałam w dalszym ciągu chować głowy w piasek przed mężem furialem. Nie chciałam ciągłych awantur i bijatyk. Zakazów i nakazów. Życia pod jego dyktando. Ciągłych interwencji policji. Byłam zmęczona. Wyczerpana. Nie chciałam nikogo dłużej oszukiwać, zwłaszcza siebie i dziecka. Musiałam uciekać. Ale dokąd? Zdawałam sobie sprawę z tego, że już nigdy nie będę miała życia poukładanego w kostkę jak u moich koleżanek, u których bielizna w szafie nie miała prawa nawet drgnąć. Musiałam wszystko układać na nowo.

Nie wzięłam ze sobą nic materialnego. Mój dom został dla mojego męża.

Jedyne, co wzięłam, to tragiczny bagaż doświadczeń, a to z nimi przede wszystkim chciałam się rozstać. Na razie się nie udawało. Wszystkie wspomnienia były ze mną niestety.

Człowiek jest tak skonstruowany, że z jego pamięci nie można nic wymazać gumką. Zresetować mózgu też nie można, choćby nie wiem jak się starać. Zostawiłam więc wszystko: zdrowie, stracone lata, rzeczy materialne, marzenia...

Naszej córce było chyba jeszcze trudniej. Nie rozumiała przecież, dlaczego jej własny ojciec nie pozwala jej mieszkać w rodzinnym domu. Mój mąż od samego początku, gdy go zostawiłam, zachowywał się skandalicznie. Straszyl mnie na różne sposoby. Bałam się o dziecko, o siebie. Jednak postanowiłam, że się nie poddam. Zostałam zupełnie sama na polu bitwy. Nikt nie podał mi pomocnej dłoni. Ludzie nie chcą się wtrącać w czyjeś sprawy. Pomocą byli jedynie rodzice.

Koszmar trwał, dopóki nie dostałam rozwodu na papierze. Wszystko jednak, co złe, musi mieć swój kres.

\* \* \*

– O pozostawiony majątek nie walczyłam. Nie miałam siły. Odzyskałam niewiele, prawie nic. Postawiłam swoje życie na jedną kartę. Za własne oszczędności i kredyt kupiłam mieszkanie w Warszawie. Nie chciałam dłużej mieszkać w małym miasteczku. Zresztą do takiej decyzji namawiała mnie również córka.

W tym czasie Witek podarował nasz dom własnej siostrze, która przyjęła darowiznę bez skrupułów. Nie powinien tak podle postąpić. To było nie w porządku wobec naszej Pauliny. Nim się zorientuje, co zrobił, zabraknie mu własnego życia...

Stał się cud. Pracę w Warszawie, w zawodzie, znalazłam od razu. Zresztą, nie chwaląc się, miałam już wtedy niezłe kwalifikacje i trochę los mi sprzyjał. Paulina poszła do dobrej szkoły i mogła, co najważniejsze, trenować swój ukochany sport. Wydałam ostatnie oszczędności, by mogła grać w tenisa. Zawsze była niezłym sportowcem, a tenis do dziś jest jej pasją. Moja córka szybko znalazła nowych przyjaciół i wydawało się, że o koszmarze, jaki zgotował jej własny ojciec, szybko zapomniała.

Ze mną było dużo gorzej. Sprawdziło się przysłowie o nieprzesadzaniu starych drzew. Tak naprawdę nie byłam jeszcze taka stara. Miałam niewiele ponad trzydziestkę, ale przez olbrzymi bagaż doświadczeń czułam się jak starsza pani. Kiedy dziewczyny w tym wieku dopiero wychodziły za mąż, zaczynały swoje szczęśliwe dni u boku ukochanych mężczyzn, ja myślałam, że od życia nie powinnam już zbyt wiele wymagać. O niczym nie marzyłam. Pragnęłam spokoju. Może spokój działa jakiś cud?

Nie było dobrze. Czekałam w samotności. To był dla mnie trudny okres.

Żaden człowiek nie chce być sam. Jesteśmy zwierzętami stadnymi, więc nic dziwnego, że nie czułam pewności. Nic specjalnego nie działo się w moim życiu.

Lata leciały. Monotonię i nudę przerwał fakt mojego awansu zawodowego na stanowisko dyrektora. Moja córka już wtedy studiowała i na poważnie przyjaźniła się z Leszkiem. Trochę się bałam, żebym za szybko nie została babcią, bądź co bądź jeszcze dosyć młodą. Wiedziałam jednak, że przed przeznaczeniem się nie ucieknie. Wierzyłam, że moje dziecko musi być szczęśliwe i jest przede wszystkim mądre.

\* \* \*

Tęskniłam za Witoldem... Marcin, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo za nim tęskniłam, a jednocześnie nie potrafiłam mu wybaczyć. Serce dawno mi pękło, rozlatując się na drobne kawałki. I nie dało się go posklejać. Rana była zbyt rozległa, by można ją było leczyć. A ja z dnia na dzień stawałam się jak ocean, który nikomu nie wybacza. Gdzieś tam daleko, za wielką wodą, były jakieś nieznanne, lepsze światy, ale one nie były przeznaczone mnie. Już nie. Byłam teraz całkowicie pewna tego, co robię.

Rozpłakałam się.

– Lenka, jeśli nie chcesz, nie musisz dalej. Skończmy już. – Chcę, Marcin – westchnęłam głęboko.

Wciąż się zastanawiałam, czy jeszcze kiedyś spotkam kogoś, kto będzie moim płomieniem. Płomieniem, który nie zgaśnie nawet pod wodą.

Rozwalała mnie samotność. Przerazała mnie perspektywa bycia zawsze samą. Byłam przecież jeszcze taka młoda. Niektóre dziewczyny w moim wieku dopiero zaczynały smakować dorosłości. Powoli zakładały własne rodziny, a moja zdążyła rozsypać się w drobny mak. Miałam więc prawo marzyć o miłości, której mój mężczyzna mi nie dał, a o którą zawsze walczyłam jak lwica. Walczyłam, a potem już tylko prosiłam, ponizając się na każdym kroku.

Witold zabił we mnie wszelkie pozytywne uczucia do ludzi. Rozerwał na strzępy cały dobry obraz świata, który w dzieciństwie ze szczęśliwych chwil utkała moja mama. Czułam się jak jednorazowa serwetka, którą po zużyciu wyrzucono do kosza. Jak dziurawa skarpeta, która nie ma pary, więc nie jest nikomu przydatna. Stawałam się coraz bardziej nieufna. Spadałam w ciemność. Siedziałam w otchłani, która powodowała brak nadziei na jakąkolwiek odnowę. Zranione serce nigdy się nie zrasta. Przekonałam się o tym na własnej skórze. Wiedziałam, że to prawda. Witek był moją miłością, ale nigdy nie byliśmy butami od jednej pary.

W tym strasznym koszmarze, który mi zgotował, Bóg był dla mnie najważniejszy. To z nim rozmawiałam, to jego pytałam, prosiłam. Nie miałam żalu, że nie pomagał, nie rozumiał. To tajemnica. Boska zresztą...

Innym równie skutecznym pocieszeniem była twórczość Anny German.

Śpiewała o miłości, często bliskiej, na wyciągnięcie ręki, to znów dalekiej i niedoścignionej. Tym mnie przyciągnęła do siebie. Ale ona przecież potrafiła swoją miłość dogonić i zatrzymać na wyłączność. Była gwiazdą światowego formatu, nie musiała aż tak się poświęcać. Takim ludziom najczęściej się nie udaje, ale niewiele sobie z tego robią. Ich uczucia nie potrafią przetrwać próby czasu. A jej miłość do ukochanego mężczyzny przetrwała. To coś zupełnie nieprawdopodobnego, nie z tego świata. Miłość czysta jak łza, jak ona, jak jej anielski głos. Jej piosenki były mi bardzo bliskie. Często po nie sięgałam. Płakałam przy nich i śmiałam się. Była dla mnie bratnią duszą. Robiłam to tylko wtedy, kiedy Witek mnie nie widział. On zaraz wyśmiewał się ze mnie.

Nigdy nie rozumiał mojej romantycznej duszy. Szydził ze mnie i śmiał się nawet, gdy się modliłam. Nie bał się Pana Boga...

Płakałam. Ciepłe łzy spływały mi po zimnych policzkach. Wokół panowała zupełna cisza. Marcin trzymał moją dłoń. Drżałam. Czułam, że jest mi trudno, a ja wreszcie odetchnęłam, byłam szczęśliwa. Odważyłam się opowiedzieć ukochanej osobie wszystko, co we mnie siedziało, bardzo głęboko. Była to kwintesencja mojej wyboistej życiowej drogi. Niczego nie zataiłam.

– Dziękuję ci za to, że mi opowiedziałaś. Jak mogę ci pomóc, Lena, powiedz, co mogę dla ciebie zrobić? Co mam zrobić?

Wyszeptał, jak gdyby bał się, że mnie spłoszy. Ja już nie musiałam uciekać. Dobiegłam do mety. Wiedział o mnie wszystko.

– Najważniejsze, że jesteś przy mnie.

– Kocham cię i nie wyobrażam sobie, jak można nie kochać takiej kobiety jak ty.

– Dziękuję...

Marcin też troszeczkę otworzył się przede mną. To był prawdziwy wieczór zwierzeń. Trwał długo. Nasi młodzi gdzieś zniknęli, mieliśmy więc okazję... Potem przyznali się, że prawie całą noc przesiedzieli nad morzem i gapili się w gwiazdy. Twierdzili, że dużo musieli sobie przemyśleć i poukładać. Widzieli nas z oddali, ale nie chcieli przeszkadzać.

Wakacje dobiegły końca. Musieliśmy wracać do Warszawy. Szkoda.

\* \* \*

Staliśmy na lotnisku. Ja, moja córka i dwaj najbliżsi mi panowie. Jak prawdziwa rodzina, a przecież nią nie byliśmy. Czy będziemy nią, dowiedziałam się znacznie później. Kilka buziaków, ciepłych słów na pożegnanie, miłych gestów i samolot znikający w przestworzach. Było mi smutno. Nie miałam pojęcia, kiedy znów zobaczę Paulinkę i Leszka. Polecieli do Australii, to tak strasznie daleko...

– Lena, robi się coraz później – Marcin spojrzął na zegarek.

– Dobrze...

– Kochanie, proszę cię...  
– Zaraz. Marcin, za chwileczkę się pozbieram.  
– To, że będziesz tu stała, niczego nie zmieni – tłumaczył.  
– Wiem, ale jest mi smutno.  
– Chodź. Wrócimy do domu. Wypijesz coś ciepłego. Potem coś napiszesz do dzieci.

– Dobrze – zgodziłam się.

Marcin wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy na parking. Wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy z miejsca. Nie chciało mi się rozmawiać. Marcin włączył radio.

– Co się dzieje? – Spytał, choć dobrze wiedział.

– Nic, to nic, zaraz mi przejdzie.

– Lena, proszę...

Uśmiechnęłam się do niego.

– W jaki sposób mogę zmienić twój humor?

– Marcin, wiem, że chciałbyś mi pomóc. Doceniam to.

– Ale jak zwykle nie chcesz pomocy.

– Nie o to chodzi. Tęsknię.

– Może zaraz coś poradzimy...

Westchnęłam.

Podjechaliśmy pod dom. W kuchni świeciło się światło. Pani Adela krzątała się przy garnkach. Jak dobrze, że ją mamy – pomyślałam, wchodząc do przedpokoju.

– To co, napijesz się czegoś? – Zapytał Marcin.

– Może coś zjecie? – Dobiegł głos z kuchni.

– Sama nie wiem.

– W takim razie lampka białego wina – zaproponował.

Nie broniłam się. Mogłabym dziś takich lampek wypić więcej, byleby ukoić tęsknotę i smutek. Byleby już tak nie bolało. Przecież Paulina była dorosła, a ja za wszelką cenę chciałam, żeby była ze mną. Zawsze czułam taki żal zaraz po jej odjeździe. Potem to uczucie powoli mijało, aż do następnego razu. Nie potrafiłam się od tego uwolnić.

Długo siedzieliśmy na werandzie. Noc była ciepła, a mnie dodatkowo grzało wino. Marcin postanowił opowiedzieć mi prawdę o sobie. Nie wiem, dlaczego właśnie teraz się zdecydował. Mogłam się tylko domyślać.

Nigdy się nie łudziłam, że jestem pierwszą partnerką w jego życiu. Coś takiego nawet nie przeszło mi do głowy. Byliśmy w takim wieku, że podobny scenariusz nie był możliwy.

Marcin po raz pierwszy zakochał się na studiach. Był wtedy dzieciakiem. Prawdziwie sielankowa miłość, aż po grobową deskę. Taka, co to ją opisują w

romansach, a życie szybko ją weryfikuje i ustala własne reguły. W zasadzie jego uczucie zakwitło jeszcze w klasie maturalnej, a przekwitło na pierwszym roku medycyny. Nie przypilnował własnego ogrodu i wszystko, co w nim wzrastało, uschło. Ale od początku...

Jego bogini, Julia, była piękna i mądra, cudowna i jedyna – tak się Marcinowi wówczas wydawało. Ale chyba trochę ją przeceniał. Po maturze zamierzali dalej się uczyć, a potem oczywiście wziąć ślub, mieć dużo dzieci i takie tam bla, bla, bla. Los im sprzyjał. Oboje byli piękni i młodzi. Oboje dostali się na medycynę. Oboje chcieli zostać lekarzami. Marcin konsekwentnie dążył do celu. Uczył się, zakuwał wiedzę na blachę. Równoległe jego Julia świetnie się bawiła. Imprezy były jej specjalnością. Szybko się okazało, że rozrywkę lubiła o wie le bardziej niż szkołę. Naukę wołała zamieniać na zabawę. Lubiała chłopców. O wiele bardziej niż Marcina. Jak twierdziła, bardziej odpowiadali jej rozrywkowi faceci, a nie tacy nudziarze jak on. Rozstali się. Marcin bardzo cierpiał, bardzo przeżywał.

Za jakiś czas, gdy coś jej nie wyszło z kolejnym koleśkiem, chciała wrócić do Marcina, ale on miał już kogoś innego. Była to niejaka Sandra. Była ładną i atrakcyjną kelnerką, pracowała w jednym z klubów studenckich. Jak się potem okazało, miała kilku chłopaków naraz. Nie potrafiła uszczęśliwić Marcina Prajsa, który szukał stabilizacji i miłości. Szukał tej jedynej, a w Sandrze niestety jej się nie doszukał.

Marcin nie miał szczęścia do dziewczyn. Nigdy się nie ożenił. A może czekał na mnie? Może to ja byłam jego przeznaczeniem? Wszystkie znaki na niebie i ziemi na to wskazywały.

A co z Magdą? Jest atrakcyjna, jest ginekologiem, jest od Marcina trochę młodsza. Znają się jak łyse konie. Razem pracują. Spędzali ze sobą sporo czasu. Dlaczego nigdy nie byli parą? Przecież to dla niego doskonała partia. Może kiedyś Marcin zdradzi mi tajemnicę, dlaczego akurat ja, a nie ona. Teraz nie mam zamiaru drążyć skały.

## Zwykłe dni

Siedziałam na kanapie i pracowałam przy laptopie. Uzupełniałam zaległe papiery. Od czasu do czasu przerywałam pracę i poddawałam się rozmyślaniom. Rozmyślałam o Marcinie. Marzyłam, gdy nagle usłyszałam znajome kroki w przedpokoju. Wstałam z kanapy.

Marcin przyjechał z kliniki bardzo późno. Jak zwykle miał za sobą trudny, pełen wrażeń, pracowity dzień. Był zmęczony. Podeszedł do mnie i przywitał się czule. Zawsze tak robił.

– Co tam słuchasz? Co to za pieśni? – Spytał z entuzjazmem.

– To nie pieśni, to utwory, Marcin! Nie poznajesz?

– Ani trochę. Co za różnica? Nie mam pojęcia, kto to śpiewa. Ładne. Oświecisz mnie?

– To Ania German. Musisz to wiedzieć – zareagowałam niedowierzaniem.

– Niewiele mi to mówi.

– Z tobą tak zawsze... Przecież to ktoś wielki.

– Może, nie znam się, ale skoro mówisz, wierzę, że tak jest.

– Zjesz coś? – Spytałam, zmieniając temat. Cieszyłam się, że nareszcie mam go w domu. Wyłączyłam muzykę.

– Zjem, kochanie.

– Na co masz ochotę?

– Najbardziej na ciebie... – wciąż jeszcze miał siłę żartować.

– Marcin!

– Co masz dobrego?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż musiał odebrać komórkę.

– Dopiero wszedłem do domu. Magda, musicie jej podać tlen. Na razie musisz poczekać na reakcję. Będę rano. Trzeba czekać... Tak, około dziewiątej przyjadę. Nic się nie stanie, zaufaj mi, proszę. Poradzisz sobie spokojnie.

– Marcin, jesteś zmęczony. Dlaczego nie dadzą ci spokoju? Nie powinieneś odbierać telefonów. Odpocznij, na miłość boską, zrozum...

– Dobrze, muszę, masz rację, muszę odpocząć, ale wiesz przecież, że mam obowiązek, jestem...

– Tak, jesteś lekarzem, wiem, lecz jedno drugiego nie wyklucza – popatrzyłam na Marcina.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Zawsze ten sam. Zbawca świata i ludzi... – westchnęłam.

– Lenka, a ty? Ty też nie odpoczywasz od swojego przedszkola, prawda? Trafiłem w sedno?

Miał rację. Nie mogłam wyrobić się w pracy. Siedziałam cały wieczór przy dokumentach.



– Lena, zjemy, pójdziemy się wykąpać i do łóżka, zgoda? Muszę się położyć.

– Nie sądzę, żeby nam się udało. Bo niby dlaczego miałyby się udać właśnie dzisiaj? Co chwilę ktoś nam przeszkadza.

– To postanowione.

– Ale ja muszę jeszcze...

– Lena, nie ma żadnego ale...

I naprawdę nie było. Coraz częściej przekonywałam się, że odnalazłam swoją drugą połówkę jabłka. Moja jednak była jeszcze niedojrzała i na dodatek w skórce...

Przy łóżku stał piękny bukiet kwiatów. To sprawka Marcina. Nawet nie wiem, jak te kwiaty wniósł do domu. Kiedy to zrobił?

## Nieporozumienie

Szare obłoczki na horyzoncie leniwie rysowały swoje kształty. Po wakacjach nie zostało już ani śladu. Znowu proza życia. W natłoku codziennych obowiązków rozpoczęła się nudna egzystencja. Praca – dom, dom – praca i tak ciągle, na przetrwanie.

Paulina z Leszkiem tak dawno wyjechali z Warszawy. Rzadko dzwonili. Ciekawa byłam, co u nich słyszeć. Zapomnieli o swoich staruszkach.

A ja i Marcin wróciliśmy do codzienności – przeważnie nie mieliśmy dla siebie czasu. Poświęciliśmy się swoim zawodom, w ich rytm biły nasze serca. Żyliśmy dla innych i to wypełniało nam czas, pochłaniało życie.

– Lena, zbierajmy się, pojedziesz ze mną – usłyszałam z oddali.

– Ale gdzie? O czym mówisz? Nie chcę. Zostańmy w domu – prosiłam.

– Nie musisz się niczego obawiać.

– Nie, Marcin! Nie! Nie dam się nabrać! Nie tym razem. Co to, to nie! Nigdzie nie wstaję! Nigdzie nie jadę! Zapomnij! Mam dosyć niespodzianek – powtarzałam z niezwykłą stanowczością, w zasadzie krzyczałam.

Marcin najprawdopodobniej w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Niby dlaczego miałyby być inaczej, skoro zamknął się w łazience i poddał kąpieli? Woda rozmywała wszystkie dźwięki. Szum z prysznica zagłuszał słowa, które wypowiadałam. Po prostu nie mógł mnie słyszeć, to było niemożliwe.

Nie zdążyłam się jeszcze dobrze obudzić, gdy, ku mojemu zdziwieniu, zobaczyłam na stole starannie ułożone potrawy. Po skromnej zastawie nietrudno było się domyśleć, że w porannej uczcie wezmą udział jedynie dwie osoby. Czyżby chodziło o mnie i mojego Marcinka?

Dwa talerzyki śniadaniowe, dwa kubki z gorącą kawą i dwa kieliszki, jeden pusty, a drugi do połowy napełniony czerwonym winem. Prawda, że łatwe do odgadnięcia? Ale po co ten cały cyrk? Ogarnął mnie niepokój.

– Marcin, co to ma być? Chcę dłużej pospać, nie będę teraz niczego jadła. To jedyny dzień, gdy mogę odpocząć. Czy jasno się wyraziłam? Mam dzisiaj nieczęstą okazję, by się w końcu wyspać, poleniuchować do woli. A więc życzę ci smacznego i nie zapraszaj mnie na wspólny posiłek. Nie przyłączę się.

Marcin nie odpowiadał.

– Jestem trochę przeziębiona i nie najlepiej się czuję. Muszę odpocząć – wymyślałam dalej.

Nie słyszałam żadnej odpowiedzi, ani zgody, ani sprzeciwu, ani tak, ani nie, nic... Marcin milczał jak zakłęty. Albo mnie nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy. Postanowiłam nie zawracać sobie głowy.

– Wstałaś, skarbie? Jesteś gotowa? – Spytał niespodziewanie, wychodząc z łazienki. Wycierał mokrą głowę niebieskim ręcznikiem. Wyglądał jak smerf,

komicznie, jakby przed chwilą wyczarowany z bajki.

– Na co mam być gotowa? Jeszcze przecież śpię. Nie chcę! Marcin, nie wstanę... Na pewno tego nie zrobię! Nie zniosę rozkazów. Nie poznaję cię.

– To nie jest rozkaz, to prośba. Nie będziemy spali. Zaraz wyjeżdżamy, zjemy coś na szybko i już nas tu nie ma.

– Nie sądzę.

– Lenka, nie drocz się ze mną. Nie mam ochoty na przekomarzanie się z tobą.

– Marcin, jeśli ja dziś gdziekolwiek się z tobą ruszę, to może jedynie do kościoła po południu. I wszystko na ten temat. Poza tym nigdzie nie pojadę, nie polecę, nie popłynę... Możesz wybrać się na tę wycieczkę beze mnie.

– Lena, nie rozmawiaj ze mną w ten sposób.

– Nie możemy trochę pomieszkać w domu? Być razem? Być tak po prostu? Marcin, dlaczego my tak często gdzieś wychodzimy? Nie jesteśmy przecież bezdomni.

– To źle? Źle, że się ze mną nie nudzisz? Źe staram się zorganizować nam czas? Źe w naszym życiu ciągle coś się dzieje?

– Wolałabym, żebyśmy więcej czasu spędzali razem w domu. Ty i ja, we dwoje. Marzę o tym. Ja się w domu nie nudzę. Marcin, kto ci naopowiadał takich głupot? Nie musisz mi niczego organizować. Bardzo lubię być z tobą w domu.

– Lena, ja naprawdę nie wiem, kiedy ty mówisz prawdę, a kiedy żartujesz.

– Ja sama nie jestem pewna...

– Lenka!

– Droga wolna, Marcinku. Jeśli moje towarzystwo ci nie odpowiada, jeśli cię nudzę – zażartowałam.

Nie wiedziałam, że te niewinne słowa aż tak zabolą mojego partnera, że odbierze je jak wycelowane prosto w serce, w jego męskie ego.

Wyszedł z pokoju. Nie miałam pojęcia, czy wróci. Po chwili usłyszałam głuchy brzdęk jakiegoś szkła, może butelki czy kilku butelek, po czym zapadła zupełna cisza. Niczego złego nie przeczuwałam. Spokojnie przekreśliłam się w kierunku ściany i zasnęłam bez większego zainteresowania.

Obudziłam się dopiero około dwunastej. Sama byłam zdziwiona, że aż tak długo potrafiłam się wylegiwać. Zazwyczaj bez środków nasennych jest mi trudno. Łamało mnie w kościach. Przeszywały mnie niepokojące dreszcze. Głowę miałam gorącą jak włączone żelazko.

\* \* \*

Marcin obraził się, trzasnął drzwiami i pojechał do Artura. Wiedział, że jego przyjaciel ma wolną chatę na cały weekend. Weronika z dzieckiem wyjechała do matki do Berlina. Miała wrócić dopiero za tydzień. Więc hulaj dusza, piekła nie

ma! Przecież lekarze to też ludzie, jak wszyscy.

– Cześć.

– Właż, chłopie. Mam trochę bałaganu. Wiesz, jak to jest, gdy żona wyjedzie. Trudno mi się ogarnąć – tłumaczył się pan doktor.

– Przestań, stary. Co to ja jestem twoim konfesjonalem? Nie przyszedłem oglądać twoich kątów. Chcę pogadać, napić się.

– Pogadać, owszem. Coś się stało?

– Widzisz, Artur, teraz tak to działa – Marcin zwrócił się do kumpla.

– Jak i co? Marcin, możesz jaśniej?

– Postanowiłem zrobić Lenie niespodziankę, ale nie chciała skorzystać, trudno. Chciałem ją zabrać do teatru do Łodzi. Dziś gra jej Kryśka Janda.

– A po co aż do Łodzi? W Warszawie brakuje rozrywek? Stary, z tobą naprawdę jest coś nie tak. Musiałeś aż do Łodzi? Pogięło cię? Ty jesteś chory, lecz się, człowieku!

– Myślisz?

– Nie myślę, tylko stwierdzam fakty.

– Więc co?

– Nic. Nie przejmuj się Leną. Przejdzie jej szybciej, niż myślisz.

– Nie potrafię się nie przejmować.

– To twój problem. Jak ty byś chciał? Żeby co? Żeby Lena ciągle rzucała ci się na szyję? Co, o tym marzysz? Nie za wiele wymagasz? Marcin, baby często mają humory. Ty chcesz jej dać wszystko. Żyły sobie wypruwasz, a ona? Sam widzisz. Doświadczyłeś na własnej skórze – argumentował Artur.

– Nie, Lena jest inna. Ona...

– Jasne. Równy ci dziś odpaliło. Owszem, tak, ja też ją lubię, jest wyjątkowa, tak jak mówisz. Nie zaprzeczam. Ale nie daj się, chłopie, zdominować. Nie pozwól, żeby tobą rządziła.

– To co mam robić? Przecież wiesz, że jest dla mnie najważniejsza.

– Wiem, wszyscy wiedzą. Ale czy ona wie?

– Tego nie wiem. Właśnie tego nie jestem pewien...

– Nie martw się, żartowałem. Wiem, że wie, i to bardzo dobrze. Też cię kocha, palancie. To widać na odległość.

– Myślisz?

– To wiedzą wszyscy, więc nie muszę się wysmętniać.

– Jacy wszyscy?

– Nieważne...

– Myślisz o Magdzie? – Marcin spytał zniecierpliwiony.

– Nie mówmy o niej.

– Artur, napijesz się ze mną? – Spytał przyjaciela, nie słuchając, co dalej mówi. Był szczęśliwy po usłyszanych słowach.

– Nie, nie mam ochoty. Ty też, Marcin, nie powinienesz pić – popatrzył na butelkę z wódką.

– Dlaczego nie chcesz? Ze mną się nie napijesz?

– Mam dyżur po południu, zapomniałeś? Ty też nie powinienesz. Coś ci się ubzdurało, nie poznaję cię, Marcin. Przecież Lena poza tobą świata nie widzi. To taka piękna kobieta. Pilnuj, żeby ci ktoś jej sprzed nosa nie sprzątnął. Ślepy jesteś, jak kret jesteś ślepy.

Nagle rozdzwoniła się komórka Artura.

– Jest. Zaraz mu przekażę. Oczywiście.

– Masz wyłączony telefon? Marcin, co z tobą?

– Wyciszony mam...

– Wiesz, kto dzwonił?

– Nie mam pojęcia – sięgnął do kieszeni spodni.

– Marcin, powinienesz jechać. Zabieraj się i jedź.

– Kto dzwonił? Duchem świętym nie jestem. Dokąd mam jechać? – Pospiesznie przeglądał wiadomości w telefonie.

– Do domu. Rozmawiałem z twoją gosposią. Z panią Adelą. Znasz taką? Powiedziała, że Lena źle się poczuła. Musisz natychmiast... Prosiła... Ma podobno gorączkę, bardzo kaszle. Marcin, jak ty ją mogłeś w takim stanie zostawić? Jak ty w ogóle taką kobietę mogłeś zostawić? Ja to bym... Nieważne. Całą niedzielę nie wypuszczał bym jej z łóżka, a tobie zachciało się teatru... Jedź do chaty. Zawiadomię Grzeska. Niech ją obejrzy, jeśli kaszle. Może to... albo nie wiem.

– Sam się wszystkim zajmę. Artur, nie zawracam ci już głowy.

– Powodzenia.

Przed domem Marcina niestety nie byli jednocześnie. Przyjazd Grzeska potrwał prawie godzinę. Wszystko przez te korki na ulicach. Marcin przybył piętnaście minut później, bo ciągle łapały go czerwone światła.

\* \* \*

– Pani Leno, ktoś do pani – oznajmiła pani Adela prawie równocześnie z dzwonkiem do drzwi.

– Grzegorz? A co ty tu robisz? Marcina nie ma. Wyszedł gdzieś. Nie mam pojęcia... Coś mu przekazać? – Spytałam zaskoczona wizytą Marcina kolegi.

– Nie szkodzi, że nie ma Marcina. Ja do ciebie. Marcin prosił, żebym wpadł. Jesteś chora? Podobno nie najlepiej się czujesz.

– Nic mi nie jest. Niepotrzebnie... niepotrzebnie się fatygowałeś. Nie jest ze mną tak źle. Jak widzisz, żyję. Niepotrzebnie jechałeś przez całą Warszawę, Grzesiu. Po co Marcin sieje taką panikę? Wzięłam już jakieś leki z apteczki. To tylko kaszel. Zaraz przejdzie – wyjaśniłam, prosząc go do środka.

Wszedł pośpiesznie, nie chcąc wpuszczać chłodnego powietrza z dworu.

– Jesteśmy lekarzami. Musisz nam wybaczyć. Panika wpisana jest w nasz zawód. Lena, w twój też, o ile się nie mylę – pocałował mnie na przywitaniu.

Uśmiechnęłam się.

– Masz rację. Zarazisz się, nie całuj się ze mną. Oj, ten Marcin, dlaczego narobił ci tyle kłopotu? Już ja sobie z nim porozmawiam, niech no tylko wróci – zagroziłam.

– Za chwilę się okaże, czy naprawdę jestem niepotrzebny. Zaraz będę wiedział, czy faktycznie przyjechałem zbyt wcześnie. Zbadam cię i dowiem się, czy mówisz prawdę. Zgodna?

– Oj, wy lekarze! Dlaczego jesteście tacy uparci?

Nie miałam wyjścia. Musiałam poddać się badaniu. Nie wypadało się nie zgodzić, zwłaszcza że zdawałam sobie sprawę, jak długą trasę Grzegorz pokonał i ile czasu mu zajęło, żeby znaleźć się tu przy mnie. Do tego wszystkiego zostawił własne dziecko, żonę, a przecież była niedziela.

– To oskrzela, tak jak przypuszczałem. Musisz to wyleżeć. Dam ci tabletkę przeciw gorączce. Marcin wykupi ci pozostałe leki. Zaraz do niego zadzwonię.

– Nie, nie dzwoń.

– Dlaczego? Zadzwonię i będzie po krzyku.

– Dzięki, naprawdę wielkie dzięki. Grzesiu, czy mógłbyś mi przepisać antybiotyk doustny? Zastrzyków nie zniósę, proszę. A Marcin będzie chciał... wiesz... – spojrzałam na niego błagalnie.

– Tak, wiem, nie lubisz. Dobrze, wypiszę ci to, co chcesz. Tylko nie zdradź mnie przed Marcinem, bo dostałbym po głowie. Nie chcę wchodzić mu w drogę – żartował.

Marcin wpadł zdyszany.

– Lena, wiem wszystko. Nic nie mów. Jadę do apteki. Zaraz wracam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam.

– Ja też nie wiem – wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię się wytłumaczyć.

– Nic nie mów – próbowałam go wyciszyć.

– Kocham cię, wiesz przecież, że... – wyznał.

Pospiesznie opuścił salon. Wstydził się swojego występu. Cóż, samo życie! Nawet idealni i najwspanialszy faceci czasem zawodzą.

## Kryzys

Monotonia jesieni przeważnie nie najlepiej wpływa na ludzi. Na moje samopoczucie również działała niekorzystnie. Nie byłam wyjątkiem. Źle znosiłam jesienne szarugi, jesienny deszcz, jesienny chłód, jesienny krótki dzień, który ledwie się zaczyna, kończy swój żywot. A może jesienne dni były takie krótkie, gdyż też miały potrzebę odpoczynku? Przecież nic nie dzieje się bez przyczyny. Znowu mnie wzięło na rozmyślenia. Już nieraz mówiłam, że filozofię uwielbiałam od zawsze.

Miałam nadzieję, że przy Marcinie mój ponury nastrój zmieni się, poprawi, będzie lepszy, ale myliłam się. Byłam naprawdę kiepsko nastawiona do życia.

W pracy jak zwykle sajgon. Ciągłe coś i w zasadzie wiecznie to samo. Problem gonił problem. Powtórka z rozrywki. Kocham swoją pracę, ale bez przesady – rozmyślałam w samochodzie, wracając do domu.

Do czyjego domu mam dziś jechać? Ostatnio miałam wrażenie, że między mną a Marcinem już dawno minęły pierwsze uniesienia i zrobiło się tak jakoś zwyczajnie, żeby nie powiedzieć – zimno.

Może pojedę do siebie na Mokotów? Zadzwonię najpierw do Marcina i uprzedzę go o swoim planie. Będzie się martwił, gdy tego nie zrobię.

Mój kochany jednak nie odbierał. Rzadko mu się to zdarzało, ale teraz nie mogłam przywołać go do telefonu. Próbowałam skontaktować się z nim kilka razy, lecz na próżno.

Co się dzieje? Coś się stało? Ma aż tak dużo pracy? Może mnie ma dosyć? Ostatnio w ogóle nie ma dla mnie czasu. Westchnęłam ciężko.

Nie zastanawiając się, skręciłam do supermarketu po ryby. Tak. Usmażę dziś ryby. Taką zrobię kolację. Jest przecież piątek, więc dobrze się składa. Weszłam do sklepu i bez większego zastanowienia skręciłam w alejkę prowadzącą do stoiska z rybami. Po drodze sięgnęłam po olej i kilka przypraw. Podeszłam do pieczywa i wybrałam parę dorodnych bułeczek. Nie zwróciłam uwagi, że od dłuższego czasu bacznie przygląda mi się jakiś mężczyzna. Zdradził się dopiero przy kasie.

– Proszę pani, czy to pani zguba?

Trzymał w ręce moją apaszkę, która jeszcze przed chwilą wisiała na mojej szyi. Nie potrafiłam wyjaśnić tego ani odpowiedzieć, w jaki sposób znalazła się w dłoniach nieznajomego.

– Tak, jest moja – przyznałam się.

Chciałam, żeby mi ją oddał jak najszybciej. W końcu bardzo się spieszyłam do domu. Chociaż jeszcze nie zdecydowałam, do którego. Nie wiedziałam, czy jechać do siebie, czy do Marcina. Mój kochany nie odbierał. Nie wiem, co się z nim działo. A tu jeszcze napatoczył się ten natręt z moją apaszką. Chyba oszaleję!

– Czy już mogę odebrać swoją zgubę? Trochę się spieszę – zagadnęłam

mężczyznę, płacąc za zakupy.

– Proszę – zgodził się szpakowaty facet.

Zawahałam się.

– Proszę – powtórzył, podając mi chustkę.

– Dziękuję – odpowiedziałam zadowolona, że za chwilę będę mogła odejść i zostanę pozostawiona w spokoju. Ale się przeliczyłam. Nieznajomy nie miał najmniejszej ochoty rozstawać się ze mną.

– Co za miła osóbka – zagadał do mnie.

Boże, co znowu? Czy on nie skończy?

– Proszę pana, muszę iść. Spieszę się. Mąż na mnie czeka. Nie lubi, gdy się spóźniam. Jest bardzo zazdrosny. Robi mi awantury – kłamałam jak z nut.

Nie miałam ochoty na dalszą rozmowę z nieznajomym panem, któremu się wydawało, że odnalazłszy moją rzecz, umówi się ze mną na randkę, i że ratuje mi życie.

– Szkoda. Ale jeśli to prawda, co usłyszałem, to nie będę pani zatrzymywał.

– Jeszcze raz wielkie dzięki i do widzenia – odrzekłam szczęśliwa, w nadziei, że to koniec rozmowy.

– Mam nadzieję, że następnym razem znajdzie pani dla mnie więcej czasu i nie odmówi mi dłuższej rozmowy – mówił, wychodząc ze sklepu.

– Nie będzie żadnego następnego razu – odparłam zdenerwowana, lecz na szczęście tego nie słyszał.

Wyszłam ze sklepu. Nerwowo oglądałam się na wszystkie strony. Nie chciałam dzisiaj już nikogo spotykać. Wsiadłam do samochodu, położyłam na siedzeniu obok papierową torbę z zakupami. Nie panowałam nad sobą. Odjechałam prawdopodobnie z piskiem kół. Nie pamiętam dobrze.

Dzwoniłam ósmy raz. Marcin wciąż nie odbierał. Postanowiłam połączyć się z panią Adelą. Być może ona coś wie, posiada jakieś informacje, o których ja nie mam pojęcia. Niech mnie oświeci.

– Dobry wieczór. Pani Adelo, czy jest pani w Warszawie? Wróciła już pani z Poznania? – Spytałam niepewnie.

– Tak, kochanie. Dobry wieczór. Już jestem. A ty kiedy będziesz?

– Ja? Ja? Ja właściwie nie wiem... Ja... – zaczęłam się jąkać. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć i o co pytać.

– Pani Leno, proszę przyjechać najszybciej, jak tylko pani może.

– Ale ja... Pani Adelo...

– Proszę przyjechać. Czekam.

– Czy Marcin jest już w domu?

– Nie, pana doktora jeszcze nie ma, ale proszę przyjechać mimo wszystko. Pani Leno, niech pani nie pozwoli się dłużej prosić. Czekam z niecierpliwością. Proszę – pani Adela odłożyła słuchawkę.



Co ja mam teraz robić? Marcina nie ma w domu i Bóg wie, gdzie się podziewa. Ja najchętniej pojechałabym do swojego mieszkania na Mokotów. Nie wiem, co robić. Pani Adela jest dla mnie taka miła i taka dobra. Matkuje nie tylko Marcinowi, ale i mnie, jak własnemu dziecku. W końcu u Marcina mieszka. Nie powinnam jej zawieść. Pojadę do niej. Może chce mi oznajmić coś ważnego? Nigdy dotąd nie prosiła mnie o rozmowę. A teraz sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej na tym zależało. Jadę więc jak najszybciej.

Podjechałam pod dom Marcina. W kuchni, i tylko tam, świeciło się delikatne światło. Taki półmrok mogła dawać jedynie niewielka lampka nocna. Pani Adela była bardzo oszczędna. Marcin wiele razy upominał ją, aby nie oszczędzała energii elektrycznej, ale ona i tak robiła po swojemu.

Zapukałam delikatnie, choć miałam przecież własny klucz. Pani Adela najprawdopodobniej nie słyszała mojego stukania, więc zadzwoniłam. Po chwili drzwi się otworzyły. Miałam nadzieję, że ujrzę w nich Marcina, ale niestety była to tylko starsza pani. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Wchodź, moje dziecko. Nie stójże na tym zimnie! Jeszcze mi się rozchorujesz – rzekła ciepło. – Rozbierajże się. Zaparzyłam gorącą herbatę. Zaraz ci podam, rozgrzejesz się.

– Pani Adelo, czy jest Marcin? – Spytałam jak idiotka, choć wszystko wskazywało na to, że go nie ma.

– Zaraz będzie, kochanie, zaraz będzie.

Nie za bardzo interesowałam się tym, co do mnie mówi moja rozmówczyni. Najwyraźniej zauważyła moją nieobecność, bo rzekła z przejęciem w głosie:

– Dzieci, co się z wami dzieje?

– Nic, nic, pani Adelo. Naprawdę, proszę się o nas nie martwić.

– Lena, nie było mnie raptem dwa tygodnie. Co się stało między wami? Dlaczego tak się zachowujecie? Po co to wszystko? Jak dzieci – pokiwała głową. Nie była zadowolona z naszych poczynań.

– Jeśli nie ma Marcina, to ja już pojadę.

– Podam herbatę.

– Nie trzeba. Nie będę piła. Proszę nie robić sobie kłopotu. Proszę powiedzieć Marcinowi... Nie, proszę mu nie mówić, że tu byłam.

– Pani Leno, niech pani mnie posłucha. Mężczyźni popełniają czasami błędy. Nawet dość często to robią. My, kobiety, wiemy o tym najlepiej. Jesteśmy od tego, żeby uspokajać sytuację, a nie dolewać oliwy do ognia.

– Wiem. Pewnie ma pani rację. Niestety, muszę jechać. Proszę mnie zrozumieć. Ja naprawdę nie mogę zostać. Mam nadzieję, że pani się nie gniewa i wybaczy mi. Niech mnie pani nie zatrzymuje.

Nie chciałam ustosunkowywać się do argumentów pani Adeli, ale ona nie miała zamiaru odpuścić.

– Pani Leno, proszę zaczekać. Nalegam! Musi mnie pani wysłuchać! Pan doktor zaraz przyjedzie. Zaraz będzie w domu. Prosił, żebym panią koniecznie zatrzymała. On tak bardzo panią kocha. Przecież pani też? Nie niszczyć własnego szczęścia. Jesteście taką dobraną parą.

– Pani Adelo, skąd pani wie, że on... że to miłość? Że my, że to dwie połówki, które pasują do siebie? Skąd pani to może wiedzieć? Skąd pani wie, że on mnie kocha? Przecież on... – nie dokończyłam, pani Adela przerwała mi moje wywody.

– Z doświadczenia, moje dziecko, z doświadczenia – uśmiechnęła się. – A poza tym pan doktor dzwonił do mnie. Zwierzył mi się. Mówił szybko, nieskładnie. Nie wszystko rozumiałam. Opowiedział, co się stało. Przyznał się, że to jego wina. Boi się, że panią straci. Wyznał mi, że panią kocha. A zresztą nawet jakby się nie przyznał, to przecież widać. On bez pani nie potrafi żyć. Już nie potrafi. Mieszkam z nim długo, to wiem.

Nie zdążyłam niczego przemyśleć ani dłużej porozmawiać z panią Adelą, gdyż zadzwonił dzwonek. W drzwiach ukazał się Marcin.

Tego wieczora długo siedzieliśmy. Atmosfera nieco złagodniała, zanim poszliśmy spać. Ryby były naprawdę smaczne. Pani Adela miała rację: warto było zostać.

## Szara rzeczywistość

Było ciemno, mokro i zimno. Mój biedny organizm odmawiał posłuszeństwa na całej linii. Odczuwałam zmęczenie. Zwykle przepracowanie.

Wracałam z pracy coraz później. Dziś ze względu na długą radę pedagogiczną. Obradowaliśmy prawie do nocy. Nazbierało się wiele spraw. Nie mogłam ich odwlekać w nieskończoność.

Zatrzymałam się na skrzyżowaniu. Byłam nieprzytomna. Nie miałam pojęcia, czy jechać prosto do Marcina, czy może wstąpić do marketu po jakieś zakupy. Nie pamiętałam nawet, czy w domu jest coś do zjedzenia. Moje przyziemne rozmyślania o zwykłej egzystencji przerwał dźwięk telefonu. To Marcin.

– Cześć, Lenko. Kiedy wracasz? Gdzie ty jesteś? Martwię się! – Usłyszałam ciepły głos.

– Dlaczego pytasz?

Był przyzwyczajony do moich późnych powrotów. I vice versa. Tym charakteryzowały się nasze zawody. Trochę byliśmy jak z innej rzeczywistości, urwani z choinki. Dwaj społecznicy, którzy wierzą we własną misję zbawienia świata i ludzi.

– Bo cię kocham? Bo szaleję? Bo tęsknię?

– Marcin, błagam, nie mam siły na żarty. Jadę. Muszę pilnować drogi. Jestem niedaleko. Zaraz będę na miejscu. Zastanawiam się, czy nie wstąpić po drodze do sklepu. Mamy coś w lodówce? Marcin, zerknij, czy mamy. Bo jak nie...

– Nie ma takiej potrzeby. Przyjeżdżaj szybko. Wszystko jest w jak najlepszym porządku – przerwał mi.

– Coś się stało? Marcin, nie powinieneś mnie straszyć. Nie mam ochoty na chociażby najmniejsze niespodzianki. Mówię szczerze. Błagam, tylko nie dziś.

– Nic się nie stało. Kochanie, nic, naprawdę. Stęskniłem się. To wszystko. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

– Kończę. Zaraz będę. Też cię kocham. Pa.

Wyłączyłam telefon. Widoczność na drodze była dosyć kiepska. Bałam się, że w końcu w coś lub w kogoś wjadę. Był duży ruch jak na tę porę dnia, a raczej nocy już chyba.

Podjechałam pod dom nieco zdezorientowana. Marcin stał na zewnątrz. Widać było, że naprawdę nie mógł się mnie doczekać.

– Witaj, Lena – pocałował moje dłonie i usta. Nie wzbudziło to we mnie podejrzeń. Często tak robił. Właściwie zawsze, kiedy był w domu wcześniej ode mnie. – Wstawię samochód do garażu. Wejdz szybko do domu. Nie daj się dłużej prosić. Zrobiło się zimno. Zaraz dołączę do ciebie – rozkazał.

– Dlaczego wyszedłeś bez kurtki? Czy jesteśmy sami w domu? Gdzie jest

pani Adela? Marcin, co się dzieje? Chcesz, żebym dostała zawału? – Rzuciłam kilka pytań.

– Tak, jesteśmy sami. Zaraz do ciebie dołączę, porozmawiamy. Wchodź prędko do domu i o nic się nie martw.

Weszłam, tak jak prosił. W środku bynajmniej nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego. Chyba że jestem mało spostrzegawcza. Nie zdążyłam się jeszcze rozebrać, kiedy stanął za moimi plecami. Dosłownie za mną.

– Lenka, proszę, to dla ciebie – odezwał się radośnie.

– Marcin, co to za okazja? – Byłam zaskoczona. – Przecież to chyba nie moje urodziny ani imieniny, ani... – próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć.

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu bez okazji. Proszę.

Podał mi wielki bukiet róż. Wokół mnie zrobiło się dosłownie czerwono. Różany zapach unosił się w powietrzu. Lubię taką atmosferę, choć nigdy się do tego nie przyznaję.

– Dziękuję – byłam zmieszana. Tym razem naprawdę dziwnie zmieszana.

– Nie musisz dziękować.

Marcin odebrał bukiet z moich rąk i zaniósł go do kuchni. Przez chwilę szukał wazonu. Dzięki Bogu dość szybko go zastąpiłam w tej jakże mało męskiej roli. Choć nie znałam całego domu na pamięć, to ponieważ często dostawałam kwiaty, siłą rzeczy wiedziałam, gdzie trzyma wazon.

– Co robimy na kolację?

Byłam głodna, a nie spodziewałam się, że Marcin postarał się o cokolwiek do jedzenia.

– Kolacja jest w piekarniku. Robię herbatę i zaraz zasiadamy do stołu.

– Naprawdę? Naprawdę zrobiłeś? A co wykombinowałeś? – Spytałam ponownie zaskoczona.

– Zaraz sama ocenisz, czy nadaję się na kucharza.

– Dobrze, tylko umyję ręce i zaraz jestem z powrotem.

Nie dowierzałam własnym oczom. Oczywiście wiedziałam, że Marcin dobrze gotuje, ale że aż tak? Tego nie spodziewałam się wcale. Zaskoczył mnie widok donoszonych przez Marcina coraz to ciekawszych potraw.

– Smakuje?

– Czy mi smakuje? Jedzenie jest pyszne! Nigdy czegoś tak dobrego nie miałam w ustach! – Wykrzyczałam.

– Cieszę się, ale to jeszcze nie koniec niespodzianek.

– Marcin, zwariowałeś? Chcesz mnie utuczyć? – Wybuchłam śmiechem.

– Proszę. To na pewno nie jest tuczące – podał mi kilka kaset zapakowanych w przezroczysty papier.

– Matko! Gdzie je zdobyłeś? Skąd masz te filmy?

Widział moje podekscytowanie.

– Mam swoje sposoby. Nie dopytuj. I tak ci nie powiem. To tajemnica.

– Dziękuję. Dziękuję. Uwielbiam „Modrzejewską”. Uwielbiam Jandę.

Ależ sprawił mi radość na długie zimowe wieczory. To niesamowite, byłam szczęśliwa.

– Marcin, jesteś kochany... A te trzy następne kasety? – Spytałam jeszcze bardziej zaskoczona.

– To też dla ciebie. Tak dla relaksu zamówiłem „Pogodę na piątek”. Lubisz ten film. Pamiętam, że czasem go oglądałaś. Przeważnie powtórki w soboty, ze Stenką w roli głównej.

– Nawet nie wiesz, ile dałeś mi szczęścia. Ale z jakiej okazji to wszystko, te prezenty?

– Okazja jest zawsze – Marcin udawał zamyślonego.

– Powiedz prędko. Jestem strasznie ciekawa – dotknęłam jego ciepłej dłoni.

– A więc, nie owijając w bawełnę: chcę, żebyś pojechała ze mną nad morze.

– Słucham? Marcin, czy dobrze słyszę? Czy ty się dobrze czujesz? Przecież ja pracuję, ty też... – nie dokończyłam zdania, gdyż Marcin wtrącił się szybko.

– Do Sopotu. Chcę cię zaprosić do Sopotu. Tylko na weekend. Muszę tam wyjechać służbowo za tydzień. A ty mogłabyś trochę odpocząć.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Pragnę mieć cię jak najbliżej siebie. Nie chcę się z tobą rozstawać. A te filmy weźmiesz ze sobą. Kiedy będę cię musiał zostawić samą w hotelu, będziesz je sobie oglądała. Wiesz zresztą, jaka pogoda jest nad morzem. Nie zawsze można chodzić po plaży. Zwłaszcza o tej porze roku. Zgadzasz się? Bardzo proszę...

– Muszę to przemyśleć. Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Zaskoczyłeś mnie. Sama też mam niedługo jakieś szkolenie, ale nie znam jeszcze terminu. Nie wiem, czy dam radę.

– Poczekam, aż się namyślisz. Chciałbym, żebyś się zgodziła. To dla mnie priorytet.

– Obiecuję, że to przemyślę. Ale gwarancji nie daję, że się zgodzę. Marcin, zrozum. Ja też mam swoją pracę, obowiązki

– Dobrze. Wiem.

Zawsze mnie rozumiał.

Na przemyślenie decyzji o wyjeździe miałam cały tydzień. Marcin mnie nie poganiał. Jakby z góry wiedział, co się stanie.

Zgodziłam się. Przecież z niczym mi ten wyjazd nie kolidował. A może Marcin rzeczywiście ma rację? Może dobrze mi zrobi i rzeczywiście odpocznę? Bardzo chciałam jechać nad morze.

## Przed wyjazdem

We czwartek rano Marcin odwiózł mnie do pracy. Pierwszy zaproponował podwózkę. Wręcz uparł się, nie miałam nic do gadania. Podjechaliśmy pod same drzwi przedszkola. To akurat mi się spodobało, gdyż na dworze było zimno i nieprzyjemnie. Pomimo niekorzystnej aury miałam dobry humor. Nie zwracałam uwagi, że dookoła jest pełno błota. O mgłę i deszczu nie wspomnę.

Odkąd poznałam Marcina, często trudno było mi się skupić na pracy. Bujałam w obłokach, byłam zakochana po uszy. Nic mi nie szło, zwłaszcza teraz, gdy mój lekarz zaproponował mi wspólny wyjazd do Sopotu. W myślach już spacerowałam brzegiem morza. Zbierałam muszelki i budowałam zamki z piasku. Marzenia w mojej głowie nie gościły zbyt długo. Szybko przypomniałam sobie, że jadę nad morze zimą. I nawet nie wiem, jak tam wtedy jest. Będę miała okazję wkrótce się dowiedzieć. To mnie niezmiernie cieszyło. Wiedziałam na pewno, że żadnych zamków z piasku nie będzie, chyba że igloo ze śniegu. Ciekawa byłam tego zimowego wybrzeża.

Po południu Marcin przyjechał po mnie i porwał w szaleńczy wir zakupów. Obkupiliśmy się od stóp po same głowy, dosłownie. Po pierwsze jednakowe nowe kurtki, nieróżniące się niczym prócz rozmiarów, i także same spodnie. Marcin kupił sobie dwie nowe koszule. Pomogłam mu dobrać dwa krawaty. Nawet buty i kapcie sobie wybrał. Ja skusiłam się na sukienkę. Małą czarną, skromną, ładną zresztą. O cenie nie wspomnę. Dopasowałam sobie do niej równie gustowne buciki i biżuterię. Marcin namówił mnie też na przepiękne czerwone rękawiczki, szalik i czapkę. Nie protestowałam, gdyż naprawdę wszystko było rewelacyjne.

Byłam bardzo niezadowolona, gdyż Marcin jak zwykle wszystko sponsorował. Nie przewidywał innej możliwości. Uprzedził mnie o tym przed sklepem. Chyba po to, by uniknąć kłótni już w środku.

Coś długo zeszło mu u jubilera. Nie domyślałam się wówczas niczego. Powiedział mi, że coś z jego zegarkiem jest nie tak, coś mu się odłamało, jakiś szczegół. Czekałam na ławce przed jednym ze sklepów. Byłam trochę zmęczona.

– Lena, może coś zjemy? Nie będziemy mieli czasu niczego przyszykować sobie w domu. Trzeba się będzie jeszcze spakować – słusznie zauważył mój lekarz.

– Dobrze. Na co masz ochotę?

– Sam nie wiem. Może jakiś zwykły schabowy? Co ty na to?

– Też myślałam, żeby zjeść coś normalnego. Chodźmy, nie powinniśmy tracić czasu.

Mój kompan podał mi rękę i udaliśmy się w kierunku restauracji.

– Marcin, chciałabym jeszcze podjechać na Mokotów. Muszę wziąć walizkę i trochę drobiazgów.

– Dobrze, skarbie. Zróbmy dokładnie tak, jak mówisz. Zobaczmy, co tam w

twoim mieszkaniu się dzieje. Muszę jeszcze zatankować, kupić płyn do spryskiwaczy i dwie żarówki.

W końcu zjedliśmy i mogliśmy opuścić galerię handlową. Na dworze zrobiła się prawdziwa noc, a my mieliśmy jeszcze walizki do spakowania.

– Może napijemy się wina? – zaproponował Marcin w swoim domu.

– Chyba że po jednej lampce. Jutro jedziemy. Nie rozpijajmy się. I nie pal, proszę.

– Jednego cienkiego i koniec. Zgoda?

– Dobrze.

Dałam spokój. Zrobiłam kilka małych kanapek, bo trochę jeść nam się chciało, i poszliśmy spać.

## W Sopocie

Przez dłuższy czas upierałam się, że sama będę prowadziła samochód, przynajmniej przez pół drogi nad morze. Marcin był przeciwny mojemu pomysłowi. Nie lubił, gdy podczas dłuższych tras zasiadałam za kierownicą. A przede wszystkim nie lubił siedzieć u boku kierowcy, zwłaszcza gdy była nim kobieta. Prześwietliłam go kiedyś. W końcu go ubłagałam. Około ósmej rano mijaliśmy ulice Warszawy. Czułam się świetnie, nieco podniecona i bardzo szczęśliwa.

– Lena, proszę cię, umówmy się, że nie będziesz jechała zbyt szybko! Zdążymy, zaufaj mi.

– OK. Zgadzam się. Słowo. Postaram się pana nie zawieść. Dowiozę pana, doktorze, w całości, tego może pan być pewien. Przysięgam – humor mnie nie opuszczał.

– Mam taką nadzieję, droga pani – Marcin się uśmiechnął.

Całą drogę do Torunia prowadziłam jak Pan Bóg przykazał, jak wskazywały znaki drogowe i jak prosił Marcin. Za Toruniem już niespecjalnie stosowałam się do jakichkolwiek próśb mojego pasażera, a jeszcze mniej do obowiązujących przepisów.

– Miało być wolno – przypomniał Marcin.

– Rzeczywiście umawialiśmy się, że nie będę jechała zbyt szybko, ale jest dobra droga – argumentowałam.

– Lenka, zgodnie z ustaleniami, przesiadamy się.

Zamieniliśmy się miejscami. Szkoda, że stałam się pasażerką, nie lubię nią być. Cóż, umowa to umowa. Jechaliśmy, jechaliśmy, jechaliśmy... aż zasnęłam.

Obudził mnie delikatny dotyk Marcina. Poczułam jego dłoń na moim policzku. Przeszył mnie dreszcz, ale nie zdradziłam mu tego. Pocałowałam jego dłoń. Podobał mu się ten gest.

– Jesteśmy na miejscu? – Spytałam rozespana. Nie kojarzyłam za bardzo, co się dzieje.

– Jesteśmy, ale jeszcze nie na miejscu – Marcin patrzył na mnie przyjaźnie. Następnie zbliżył swoje usta do moich.

Zrobiło mi się bardzo gorąco.

– Wsiadamy – oznajmił.

– A dlaczego musimy, panie doktorze? – Byłam w dobrym humorze.

– Gdyż za długo przebywamy tak blisko siebie, muszę ochłonąć, żeby nie stało się coś niepożądanego, tu, w samochodzie. Idziemy na kolację.

– Skąd wiesz, że myślę tak jak ty?

– Przypuszczam.

W restauracji zaserwowali nam bardziej obiadową kolację niż kolację. Wszystko



działo się w jakimś przepięknym, żeby nie powiedzieć bajkowym miejscu. Było cudnie. Podano nam do stołu w stylowych naczyniach. Szkoda tylko, że nie mogłam ubrać się w strój kasztelanki, a Marcin nie mógł być moim rycerzem w prawdziwej zbroi.

Z zamkowej restauracji musieliśmy wracać do rzeczywistości. Oddałam więc Marcinowi stery samochodu, a sama postanowiłam ponownie uciąć sobie drzemkę. Nie powiem, trochę mnie ta podróż zmęczyła.

Marcin zatrzymał się dopiero wieczorem w miejscowości, nie pamiętam, coś na G. Do Sopotu mieliśmy już niedaleko. Chcieliśmy trochę odpocząć i się odświeżyć.

– Dziękuję, Lena, że jesteś tu ze mną, że zgodziłaś się mi towarzyszyć – pocałował lekko moje spierzchnięte usta.

– Tylko tyle? Myślę, że trochę więcej będzie cię to kosztowało – uśmiechnęłam się zawadiacko.

– Co masz na myśli? – Marcin udawał, że nic nie rozumie.

– Dowiesz się we właściwym czasie. Cierpliwości, panie doktorze. Marcin, ja też ci bardzo dziękuję za to, że mogę tu być – odwzajemniłam pocałunek ze zdwojoną siłą.

I pewnie długo byśmy tak sobie dziękowali, gdyby nie mój rozsądek, który nakazał nam wstać i ruszyć w dalszą podróż jak najszybciej.

– Dopijmy kawę i jedźmy dalej – prosiłam, gdyż nie lubię się nigdzie spóźniać, a w hotelu czekali, aby nas zakwaterować.

W końcu ruszyliśmy. Ten kawałek drogi był najkrótszy ze wszystkich, które dziś pokonaliśmy, ale chyba najbardziej owocny w pocałunki i miłe słówka, których nie szczędziliśmy sobie nawzajem ani przez chwilę.

Gdy dotarliśmy pod hotel było ciemno i zimno. Powolnym krokiem, wraz z częścią bagaży, ruszyliśmy do ekskluzywnego budynku, który przywitał nas ciepłem i miłą nadmorską aurą.

– Dobry wieczór państwu. Jak minęła podróż? – Spytała recepcjonistka.

– Bardzo dobrze – zakomunikował Marcin, patrząc mi prosto w oczy.

– Cieszę się. Poproszę państwa o dowody osobiste – ponownie oznajmiła miła pani. Mam rozumieć, że państwo jesteście razem?

– Tak, to moja żona – odparł Marcin, zanim zdążyłam zareagować. – Lenka, podaj, proszę, pani swój dokument.

Przeszukując torebkę, nie mogłam się nadziwić, jak też ten mój Marcinek potrafi kłamać. Nie miałam jednak zamiaru prostować jego wypowiedzi, gdyż bardzo spodobała mi się taka deklaracja. Dowód znalazłam dopiero po paru minutach. Zawsze mam bałagan w torebce.

– Będziecie państwo mieli widok na bezkres morza. To naprawdę świetny pokój. Zapraszam i życzę miłego pobytu. Czy już teraz podać szampana?

Recepcjonistka czekała na naszą reakcję.

– Może za chwilę. Dam znać. Zadzwońię z pokoju. OK? – Odparł Marcin.

– Konferencja odbędzie się jeszcze dziś, zaraz po kolacji – mówiła do Marcina taszczącego walizki.

Ja stałam już przy windzie i zdążyłam wcisnąć guzik, aby ją przywołać.

Pokój był bardzo przytulny i urządzony w nadmorskim stylu. Wszędzie pełno marynarskich gadżetów i piaskowych widoczków. Na pewno można było tu solidnie odpocząć, co zresztą nam się udało. Zimowy obrazek za oknem zapewniał leniwy, błogi nastrój.

– Lena, zbieramy się na kolację. Później mam spotkanie konferencyjne. A co ty będziesz robiła?

– Przyniesiesz mi filmy z samochodu? Obejrzę Modrzejewską. Wiesz, że ją kocham. Nie mogę się doczekać! Na pewno nie będę się nudziła.

– Robię się zazdrosny, ty moja romantyczko. Cieszy mnie fakt, że będziesz miała co robić. Idziemy? Szkoda czasu.

Za drzwiami słyhać było kroki innych gości, którzy już zaczęli się schodzić na kolację. Bardzo elegancko ubrani dołączyliśmy do oficjalnego otwarcia szkolenia. Marcin wszystkim uczestnikom przedstawiał mnie jako żonę. Nikt się nie zorientował, że to kłamstwo. Było to miłe, ale zaskoczyło mnie niezmiernie. Przeważającą część gości hotelowych stanowili mężczyźni. Wszyscy szarmancko się ze mną witali. Wycelowano mnie po rękach za wszystkie czasy. Nawet trochę mnie to bawiło. Kobiet było znacznie mniej, ale wiadomo, że w ginekologii królują faceci. Nie wszyscy przyjechali ze swoimi żonami. Mogę się założyć, że niektórzy z nich nawet ich nie posiadali.

Po kolacji Marcin miał konferencję, a ja, nie mając nic innego do roboty, zatopiłam się w moim ukochanym filmie.

W międzyczasie zdążyłam się dowiedzieć, że w hotelu jest wypasiona siłownia i takiż sam basen. Byłam jednak zbyt zmęczona po podróży, by skorzystać z tych atrakcji. Wolałam wykapać się w hotelowej łazience i leżąc, oglądać swoje filmy.

Marcin wrócił późno. Było niedługo przed północą, kiedy usłyszałam jego kroki na korytarzu, a po chwili zgrzyt klucza w drzwiach. Podbiegłam, aby się z nim przywitać. Był zdziwiony, że nie śpię.

– Przytul mnie, proszę – wyszeptałam.

– Kochanie, czy coś się stało? Dlaczego ty jeszcze nie śpisz? Byłem przekonany, że zastanę cię śpiącą. Nie czujesz zmęczenia? Ja padam z nóg – podziwiał mnie.

– Ty mi to powiedz. Ty jesteś lekarzem. Nie mogłam zasnąć. Po prostu nie mogłam. Wszystko.

– Lenka, pewnie zbyt dużo wrażeń sprawiło, że czujesz się pobudzona.

– Marcin, proszę cię. Jestem zmęczona, a nie pobudzona. Po prostu czekałam, chciałam... na ciebie. Chciałam czekać. Ot, cała zagadka. Nie mogłam zasnąć. Zresztą to nowe miejsce. Nie umiem spać w obcym łóżku. Przepraszam, nie jestem w najlepszym nastroju. Boli mnie głowa. Wzięłam proszki i czekałam – powtórzyłam.

– Dlaczego wcześniej nie pisałaś, że źle się czujesz? Postarałbym się wrócić wcześniej – w głosie Marcina słychać było obawę.

– Nie aż tak, wcale nie jest tak źle. Uznałam, że nie powinnam ci przeszkadzać. Zresztą nie jest na tyle źle, żebym siała panikę. Marcin, daj spokój.

– Mogłaś mnie wywołać z auli. Przecież doskonale wiesz, że mogłaś... A swoją drogą, to miłe, że nie położyłaś się spać. Lena, nawet nie wiesz, jaką niespodziankę zrobiłaś mi swoim czuwaniem.

– Marcin, opanuj się!

– Już dobrze, skarbie. Chodź. Połóż się. Wykąpię się i zaraz przychodzę do ciebie. Tylko nie zasypiaj. Zgoda?

Kiwnęłam głową, lekko się uśmiechając. Byłam szczęśliwa i powoli wracał mi dobry nastrój.

Gdy Marcin wrócił z łazienki, nastąpiło prawdziwe przywitanie. Kochaliśmy się i kochaliśmy. Pocałunków było więcej niż jesienią liści i płatków śniegu zimą.

– Dlaczego przedstawiasz mnie jako swoją żonę? Przecież nie mówisz prawdy – przerwałam.

– Bo cię kocham. Bo marzę, żebyś nią została.

– Żartujesz? Nigdy wcześniej mi o tym nie wspominałeś.

– Widocznie nie było okazji albo nie pamiętasz. Myślę, że nie pamiętasz – stwierdził.

– A teraz jest dobra okazja?

– Zobaczymy. Śpij, proszę. Jutro trzeba wstać. Nie mamy za wiele czasu na tym wyjeździe.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie zastanawiałam się dłużej. Nareszcie zaspokojona moim mężczyzną spokojnie zasnęłam.

\* \* \*

## Pierwsze oświadczyzny

Mocno wiało. Czarne chmury piętrzyły się coraz niżej i niżej, sprawiając wrażenie ciężkiego nieba. Wydawać się mogło, że za chwilę runą w morskie głębiny i przypadną zmieszane ze słonymi falami. Mimo tego morze zimną ma w sobie coś wyjątkowego. Przyciąga ludzi jak magnes. Pomimo zimna spore gromadki, niczym mrówki, krzątały się po plaży.

Zaraz po obfitym śniadaniu Marcin zaprosił mnie na długi spacer. Łaziliśmy ośnieżonym brzegiem Bałtyku. Nie protestowałam. Odpowiadał mi ruch na świeżym powietrzu. Chciałam pooddychać pełną piersią, wchłonąć jak najwięcej jodu, nawdychać się go na potem, nabrać sił witalnych, które mogłyby mi wystarczyć aż do wiosny.

Wiatr nie odpuszczał. Wymarzony czas na puszczanie latawców. W oddali ktoś się nimi dobrze bawił. Było czarująco, jak nie w zimie.

Najpierw postanowiliśmy pochodzić, zmęczyć się aż do utraty tchu, a później zjeść uroczysty obiad w mieście, broń Boże nie w hotelu. Zresztą Marcin wcześniej mi to obiecał.

– Kochany, dlaczego jesteś taki oficjalny? Stało się coś? Nic nie mówisz, zaczynam się bać. Nie chcę, żebyś się martwił czymkolwiek. Powiedz, o co chodzi? Proszę, nie gniewaj się na mnie za to zamieszanie wczoraj. Jeszcze raz przepraszam. Wiem, że nie powinnam z tym Krzyśkiem. Przesadziłam, to też wiem, ale stało się... Nie chciałam zrobić ci przykrości – prosiłam o wybaczenie. Chciałam wkupić się w łaski Marcina.

– Przecież się nie gniewam. Już nie pamiętam, co było wczoraj. Nie mam pojęcia, o czym mówisz – dotknął moich wilgotnych włosów.

– Zgadza się, miałeś sporo racji. OK. Ty się zamartwiałeś, a ja beztrąsko zabawiałam się z Krzysztofem.

– Lenka... Możesz już o tym nie przypominać? – Poprosił poważnym tonem.

– Marcin, właśnie usiłuję ci powiedzieć, chcę, żebyś wiedział, że wczorajsze wydarzenia nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Wierzysz mi?

– Tak, wierzę i zamierzam wierzyć ci przez całe życie.

Niespodziewanie klęknął przede mną, nie zwracając uwagi na chodzących dookoła spacerowiczów. Nie miał zamiaru niczego dłużej ukrywać. Chciał, żebym wiedziała, jak bardzo mnie kocha. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, jaki jest szczęśliwy.

– Przyjmij ten drobiazg – ujął moją rękę i wsunął mi na palec idealnie dopasowany pierścionek. Był prześliczny. Całował moje dłonie, a ja pragnęłam, żeby nie przestawał. Czułam, że bardzo, bardzo go kocham.

– Czy ty mi się oświadczasz? Marcin! Jesteś pewien, czy ja straciłam słuch, a może coś źle interpretuję?

– Tak, to oświadczyń. Zapewniam cię, że nie zwariowałem, nic z tych rzeczy. Po prostu chcę, żebyś została moją żoną, żebyś była ze mną zawsze. To banalne, o co proszę, ale czy się zgodzisz? Wyjdiesz za mnie? Nie jestem w stanie dłużej czekać. Tak bardzo cię kocham.

Przytulił mnie, aż brakło mi tchu.

– Coś mi się stało, nie mogę oddychać... – wzruszyłam się. Byłam trochę przerażona. To, co się działo, było prawdziwe.

– Lena, nie bój się, to emocje, to tylko emocje.

Wyciągnął szampana i szybko go otworzył. Bąbelki nieregularnie rozpryskiwały się na wietrze, zanim słodki płyn powędrował do kieliszków naszych i przypadkowo przechodzących turystów. Nie wiem, skąd w naszych rękach znalazły się kieliszki. Skąd w ogóle na plaży znalazły się akcesoria kuchenne?

– Będę się tobą opiekował, będę o ciebie dbał i cię rozpieszczęł...

Uśmiechnęłam się.

– Jestem gotowa przyjąć twoje oświadczyń. Zgadzam się, jestem pewna naszych uczuć, jestem, skarbie... Tak, Marcin, chcę tego, podobnie jak ty... Wyjdę za ciebie, ale daj mi chwilę.

Pragnęłam być z Marcinem. Tak, to prawda, pragnęłam z nim być do końca... Musiałam nabrać powietrza i ochłonać. W scenerii fal polskiego morza i zapachu rosyjskiego szampana niestety nie było to łatwe.

Dalszy ciąg oświadczyń przenieśliśmy do restauracji.

\* \* \*

## Szkolenie w Krakowie

– Marcin, pamiętasz, w piątek wyjeżdżam na szkolenie do Krakowa? Kiedyś ci wspominałam, to było jeszcze przed naszym wyjazdem do Sopotu – uśmiechnęłam się porozumiewawczo.

– Tak, wspominałaś, pamiętam. I co, myślisz, że się zgodzę? Otóż mowy nie ma – żartował.

– Myślę, że nie musisz się zgadzać, to postanowione. Nie masz wyjścia.

Byłam pewna tego, co mówię.

– Czyżby? Jesteś pewna?

– Jak niczego do tej pory – odkrzyknęłam z łazienki, gdyż właśnie rozpoczynałam mycie zębów.

– A kiedy wracasz?

– Nie wiem. Jeśli mi się tam spodoba, mogę przedłużyć pobyt – tym razem to mnie się zebrało na żarty.

– Chyba będę cię musiał osobiście tam zawieźć i przywieźć. Co ty na to, kochana?

– Wolałabym sama zawieźć się do Krakowa, tym bardziej że obiecałam swoim koleżankom po fachu, że je ze sobą zabiorę. Bezpiecznie zawiozę i przywiozę z powrotem. Wczoraj obiecałam mężowi Natalii i Ilony – udawałam zmartwioną.

– Oczywiście, że zawieziesz, tylko szkoda, że przedtem nie skonsultowałaś tego z moją skromną osobą – żarty Marcina jeszcze się nie skończyły. Doskonale się bawił.

– Pitu, pitu, tra, la, la... Choć tu do mnie, zazdrośniku.

Sprowokowałam go, by wszedł do łazienki, z której na razie nie miałam zamiaru wychodzić.

– Lenka, co ty możesz ode mnie chcieć? – Marcin powoli zbliżał się do mnie. – I dlaczego zaraz zazdrośniku?

– Nic, tylko chcę dać ci buziaka, zwyczajnego, na zgodę.

– OK, ale wolałabym, żebyś zrobiła to pod prysznicem lub w wannie. Żebyś się do tych przeprosin solidniej przyłożyła.

– Dobrze. Zgadzam się. Chodź prędko! – Zaprosiłam Marcina do miłości....

Nie rozmawialiśmy już o szkoleniu. Musieliśmy się sobą nacieszyć przed moim wyjazdem do Krakowa. Chcieliśmy poczuć siebie na zapas.

Noc też prawie w całości była na zapas. Rano byłam nieprzytomna. Dość szybko pożegnałam się z Marcinem, gdyż o mało nie zasnęłam z powodu przebalowanej z nim nocy. Udałam się po kolei po moje szanowne koleżanki, które niestety nie jeżdżą samochodami, a już na pewno nie w tak daleką podróż. Ja też traciłam pewność, czy się dziś nadaję.

Najpierw pojechałam po Ilonę, następnie zabrałam Natalię, a na końcu Lilkę. W takim komplecie udałyśmy się po wiedzę na południe Polski. Nie miałam ochoty szkolić się, a tym bardziej zostawiać Marcina na cały weekend samego, ale musiałam.

Jechałyśmy, słuchając radia lub nadając do siebie nawzajem – przecież byłyśmy nauczycielkami, miałyśmy gadanie we krwi.

„Głupota jest zawsze wystarczająca, mądrość nigdy” – usłyszałyśmy nagle w radiu. Wiedziałam, że powiedział te słowa Sławomir Mrożek. Ale ani ja, ani moje koleżanki nie potrafiłyśmy określić, do kogo on tak powiedział i w jakich okolicznościach. Natomiast wszystkie, jak jeden mąż, zgadzałyśmy się z tym stwierdzeniem. Przecież my właśnie jechałyśmy po wiedzę. Jechałyśmy zgłębić nasze horyzonty. Może później przy piwie nam się przypomni?

– Lena, zdradź, jak ty poznałaś tego swojego faceta – Natalia poprosiła zniecierpliwiona.

Nastała cisza przerwana znaną piosenką Anny Jantar, dobiegającą z nieco przyciszzonego teraz radia.

– Normalnie. Co byś chciała wiedzieć? – Powiedziałam lekceważąco.

– No, nie ściemniaj, koleżanko. Takiego faceta jak Prajs można poderwać tylko w specjalnych warunkach i na specjalnych warunkach.

– Co masz na myśli? – Zaśmiałam się.

– No wiesz... pewnie w jego gabinecie. Tam są przecież specjalne warunki. Ty to miałaś szczęście, koleżanko...

– Nie, moje panie, jesteście w błędzie. Muszę was zmartwić. Ja go poznałam w urzędzie miasta. Po prostu. Nie w żadnym gabinecie niestety i na szczęście. Tam zapewne nie dałabym się uwieść. Poznaliśmy się w instytucji państwowej.

– Jak to? To nie...? – Tym razem do rozmowy wtrąciła się Lilka.

– No nie – potwierdziłam.

– Nie wierzę – Natalia zrobiła wielkie oczy.

– A tak. To długa historia. Nie chcę teraz jej opowiadać. Wolę skupić się na jeździe. Nie mogę was, dziewczynki, dowieźć w kawałkach, bo wasi mężowie zrobiliby ze mnie... Wiecie, co by zrobili – zażartowałam.

– No już dobrze, pilnuj kierownicy. Masz wymówkę. OK – usprawiedliwiła mnie Ilona.

Odetchnęłam z ulgą. Nie chciałam opowiadać o nas, to znaczy o sobie i o Marcinie. Uważałam, że moje koleżanki nie powinny wszystkiego wiedzieć. Na pewno nie zamierzałam teraz nikogo wtajemniczać w moje życie.

„Z nikim mi nie po drodze, a może to cena za artystyczną wolność?” – znów usłyszałyśmy w radiu fajne stwierdzenie. Niestety nie wiedziałyśmy, kto je wypowiedział.

Dalsza część podróży zeszła nam na pogawędki na przeróżne tematy,

które rozpoczynałyśmy, ale przeważnie nie udawało nam się ich skończyć. Cały czas przeskakiwałyśmy z jednej myśli na drugą, jak młode żabki na łące. Lekko przesadziłam z tym porównaniem. Młoda to była Lilka. Miała zaledwie trzydzieści cztery lata. Tyle mniej więcej miałam, gdy rozeszłam się z Witkiem. Ten rozdział jest dawno zamknięty. My natomiast z Natalią i Iloną razem miałyśmy chyba ze sto czterdzieści. Też chyba przesadziłam, ale pewności nie mam.

W końcu dojechałyśmy na miejsce. Bardzo ładne miejsce. Szkolenie jak szkolenie. Trochę faktów, trochę nudy, trochę fajnej atmosfery.

\* \* \*



## Byłam zdruzgotana

Wreszcie nastąpiła mała stabilizacja. Takie miałam wrażenie aż do momentu... No właśnie, do momentu kiedy tuż obok mnie pojawiła się jakaś siła, która zaczęła wszystko niszczyć, wszystko, co dotychczas tak ciężko budowałam. Moje życie zaczęło przewracać się do góry nogami. A przecież nie ja sama budowałam mój nowy świat. Wspólnie z Marcinem pracowaliśmy na naszą stabilizację. Razem się staraliśmy. A teraz dosłownie sekunda po sekundzie coś rozwalało zarówno szczęście, jak i nadzieję. Traciłam mój spokój i rezerwę na to, co dobre. Ta siła odbierała mi zdrowy rozsadek. Z mozołem dźwigałam cegła po cegle każdą chwilę wspólnego życia z Marcinem, aż tu nagle wszystko zostało zrównane z ziemią. Pysnęło jak bańka mydlana. Tylko Marcin wiedział, ile kosztował mnie każdy spokojnie przeżyty z nim dzień. Nie mówił o tym głośno. Wiem jednak, że rozumiał. Wszystko o mnie wiedział. Czuł mnie całą i pragnął wspierać.

To był on. Tak, jestem pewna, że to on. Myśli nie dawały mi spokoju od chwili, kiedy zobaczyłam go na ulicy. Nie ma ludzi aż tak podobnych do siebie. Tak, to musiał być on. Mój były mąż. To na pewno Witek. Przestraszyłam się. Byłam już po pracy. Nie zrobiłam nawet zamierzonych wcześniej zakupów. Co on robił w Warszawie?

Był ósmy marca. Umówiłam się z przyjaciółkami w kawiarni. Wypiłyśmy po kawie, zjadłyśmy po ciastku, poplotkowałyśmy i rozeszłyśmy grzecznie do domów. Dopóki byłam z nimi, nie bałam się. Prawdziwy strach wrócił, gdy pożegnałam się z dziewczynami. Postanowiłam nie wracać dziś do Marcina. Musiałam zostać u siebie na Mokotowie. Nie chciałam zdradzić, gdzie mieszka mój ukochany. Bałam się również o niego. A może Witold wie? Może od dawna mnie... nas śledził?

Byłam rozbita. Kiepsko się czułam. Po powrocie do domu szybko położyłam się do łóżka i zasnęłam. Marzyłam, by nie myśleć. Nie myśleć o byłym mężu. Po prostu zasnąć i mieć ten dzień za sobą.

Zadzwoił telefon. Kilka razy, zanim się przebudziłam. Nie odebrałam. Nie miałam siły. Nie chciałam obarczać Marcina moimi sprawami. Nie zasługiwał na takie traktowanie. Nie otworzyłam, kiedy dzwonił do drzwi, kiedy prosił, a potem straszył, że wyważy te cholerne drzwi.

– Wiem, że tam jesteś. Lena, otwórz. Twój samochód jest przed blokiem. Musisz być w mieszkaniu – dedukował za drzwiami. Wreszcie sam je otworzył. Przecież miał klucze.

Odwrócona do ściany udawałam, że śpię. Słyszałam, jak siada w fotelu. Czułam jego wzrok na swoich plecach. Dość długo trwało, zanim mnie dotknął.

– Lena, śpisz? Co się stało? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, nie raczyłaś

oznajmić, że będziesz dziś nocowała w swoim mieszkaniu? Odchodzę od zmysłów. Szukam cię od trzech godzin, nie mówiąc już o nieodebranych telefonach.

Odwróciłam się powoli.

– Marcin, nie chcę... Nie pytaj, nie chcę rozmawiać. O nic mnie nie pytaj.

– Ale dlaczego? Co się stało? Lena, o czym powinienem wiedzieć? Przecież masz mnie, powinienem wiedzieć.

– Proszę, żebyś dał mi spokój. Jestem zmęczona.

– Jesteś splakana, a dopiero w drugiej kolejności zmęczona – słusznie zauważył.

– Nazywaj to, jak chcesz – odparłam z rezygnacją.

– Lenka, mam propozycję, która poprawi ci humor. Obiecuję, że o nic nie będę pytał. Wstań. Weź kąpiel. Doprowadź się do porządku. Zabiorę cię na kolację. Dobrze?

– Nie, nie mam siły ruszyć się z łóżka. Marcin, nie mam... Nigdzie nie pojedę. Nie skorzystam z twojego genialnego pomysłu. Zobacz, jak ja wyglądam.

Podszedł do mnie. Usiadł na łóżku i pomógł mi podnieść się z pościeli, po czym mocno przytulił do siebie.

– Kochanie, wiesz, że ja nie odpuszczę? Nie masz się co spierać. Wychodź z pierzyn. Nie przeciągajmy dłużej. Wiesz, że muszę wiedzieć...

– Nie tym razem.

– Jestem głodny, ty zapewne też. Lena, wstań. Wyjaśnij mi cokolwiek...

– Jedź sam. Potem możesz wrócić. Ja nie jestem w stanie ci towarzyszyć.

Przecież widzisz.

– Nie, nie, nie, nie ma mowy. Nie ja jadę, tylko my jedziemy. Zbieraj się, jedziesz ze mną. Nie pozwolę ci się rozsypać. Posłuchaj mnie.

Emocje rosły. Wiedziałam, że nic z tego, nie przekonam Marcina. Musiałam się poddać i zrobić to, o co prosił.

Wstałam z łóżka, wzięłam prysznic, ubrałam się, pospiesznie zawinęłam koczką na głowie, gdyż nie miałam lepszego pomysłu na moje przetłuszczone włosy. Wyszliśmy na korytarz. Było cicho, oprócz echa nie było z nami nikogo. Tylko ono zdradzało nasze ruchy i próbowało wsłuchać się w moją tajemnicę.

– Nie mam siły, Marcin. Nie jestem w stanie się ruszyć – oparłam się o poręcz.

Złapał mnie w pól, inaczej pewnie bym upadła. W takiej pozie zastygliśmy, czekając na windę, która jak na złość nie nadjeżdżała. Powoli i delikatnie smakował moich mokrych oczu, policzków i ust.

– Co się dzieje, Lena? Jesteś chora, zmęczona, czymś załamana?

– Jestem – przytaknęłam.

Nie wiem, skąd znowu w moich oczach pojawiło się tyle łez. Przy Marcinie mogłam płakać, ile chciałam. Zawsze mi na to pozwalał. Uwielbiałam go za to.

– Dobrze, że jesteś – szepnęłam.

Uśmiechnął się.

– Kochanie, bardzo mi zależy. Zdradzisz w końcu, co się dzieje? Mogę ci udowodnić, choćby zaraz, tylko powiedz, co się dzieje.

Uśmiechnęłam się lekko. Nie miałam siły na inną reakcję. Marcin otworzył drzwi samochodu i pomógł mi wejść do środka.

– Nie jedźmy. Nie jedźmy nigdzie. Proszę. Nie mam ani nastroju, ani siły. Marcin, wiem, że mnie kochasz, nie musisz mi niczego udowadniać.

Emocje wciąż nie gasły. Znow się uśmiechnął.

– Zgoda. Ale pod warunkiem, że o wszystkim mi opowiesz.

Kiwnęłam głową na znak porozumienia.

Po jakimś czasie jedliśmy zamówioną przez Marcina pizzę i piliśmy gorącą herbatę. Bardzo potrzebna mi była rozmowa, a jeszcze bardziej chyba drink. Wódka zadziałałaby bardziej kojąco.

– A więc co tak naprawdę się stało? Co się dzieje? Możemy w końcu porozmawiać? Lena...

– Nie za bardzo, nie jestem gotowa.

– Na co, Lena, na co, nie jesteś gotowa?

– Nie zrozumiesz. Widziałam go... Dziś go widziałam... Boję się, Marcin. Tak bardzo się boję.

– Kogo widziałaś, Lena?

– Nie domyślasz się?

– Swojego byłego? Tak?

– Tak, właśnie jego...

– Nie żartuj, ze mną nie masz się czego bać. Wiesz przecież, że przy mnie nic ci nie grozi. Lenka, czy na pewno to był on? Jesteś pewna, że to ten idiota, ten twój...

– Tak, to był on, na pewno. Rozpoznałabym go na końcu świata.

– Jeśli tak twierdzisz, od dziś będę cię odwoził do pracy i przywoził z pracy i trochę poobserwuję teren. Zgoda?

– Marcin, zrobisz to?

– Chyba nie wątpisz, że mogłoby być inaczej? Nie wierzysz, że mógłbym zostawić cię na pożarcie temu kretynowi?

Pocałował moją rękę. Uśmiechnęłam się, gdyż wiedziałam, że na Marcina mogę liczyć.

– Oczywiście, że wiem, ale...

– O co chodzi?

– O nic.

– Jeśli o nic, to zamykamy temat. Nie ma się czym przejmować. Idziemy spać. Zostanę u ciebie na noc.

- Dziękuję – pocałowałam go w policzek.
- Myślisz, że bym cię zostawił? Żartujesz? Przesadziłaś z tym dziękowaniem. Lena, ty jak zwykle mnie zaskakujesz. Wątpisz, że mógłbym cię... Przecież wiesz, że nie zrobiłbym tego.
- Marcin, ja nie myślę, ja się boję. Bardzo...
- Czego się boisz? Lena, nic ci nie grozi. Jesteś ze mną i nic nie może się stać. Może wreszcie mi uwierzysz. Po co ta cała afera?
- Ale ja...
- Co ty?
- Ja nie o siebie się boję, lecz o ciebie. Nie rozumiesz?
- Lenka, coś ty? Co on może mi zrobić? Zastanów się. Co? Zgwałci mnie? Zbije? Nie bądź dziecinna – lekceważył moje obawy. – O mnie nie musisz się bać. Dam sobie radę. Słowo harcerza. Pamiętasz, to z gór?
- Tak, pamiętam. Ty go jednak nie znasz, pomimo wszystko się boję. Nie wiesz, do czego zdolny jest taki facet.
- Uspokój się, proszę, już dobrze.
- I było dobrze, gdy mnie rozbierał, gdy mnie całował, gdy...

\* \* \*

## Szara rzeczywistość

Nie wiadomo kiedy na dobre zawitała wiosna. Dobięła kresu udręka chłódów. Krokami olbrzyma przeminęło to, na co raczej, jako ludzie, nie czekamy z utęsknieniem. Wszystkim należy się trochę wiosennego słońca. Ja i Marcin też zasłużyliśmy na coś w rodzaju odpoczynku. Nie mogliśmy się jednak zgrać z urlopami. No cóż, i tak bywa, przecież na wczasach już byliśmy. Czego chcieć więcej od życia? Teraz czekała nas tylko praca, praca, praca. Byle do lata, byle do lata....

Na dworze robiło się coraz cieplej. Dookoła z lekka wszystko się zieleńło.

– Lena, zapnij pas.

– Jestem dorosła i nie potrzebuję niańki.

Przejeżdżaliśmy alejami Warszawy, gdy zobaczyłam pielgrzymkę. Co ci ludzie o tej porze tu robią? Ciarki mnie obleciały. Sama też miałam w życiu taki okres, kiedy chodziłam na pielgrzymki, ale to było w sierpniu. Bardzo tych pielgrzymów rozumiałam. W poprzednim życiu bardzo mi pomogły wyprawy na Jasną Górę. Wierzę w to do dziś.

– Marcin, pospiesz się, bo nie zdążymy. Spektakl na nas nie poczeka.

– Wiem, kochanie.

Szkoda, że już nie będę pieszą uczestniczką szlaków na Jasną Górę. Ale samochodem na pewno się tam wybierzemy. Namówię Marcina. Zgodzi się.

\* \* \*

## Kawalerskie z Arturem

– Cześć, Artur. Czy moglibyśmy się spotkać? Może masz chęć na browarka?  
– Spytał Marcin.

– Stary, z tobą zawsze. Nie ma sprawy. O której chcesz?

– Najlepiej wieczorem. Jest piątek. Małe piwko nie zaszkodzi. Do Arkuszowej cię zapraszam. Wiesz gdzie? Na rynku koło kościoła. Bądź o dwudziestej. Postaram się ten wypad załatwić z twoją Weroniką. Nie musisz się martwić. Moja w tym głowa, żeby się zgodziła. Zadzwońię do niej i porozmawiam o twojej przepustce.

– Byłoby dobrze. Wspomnij jej. Bo mnie może nie posłuchać. Ostatnio mamy bardzo na pieńku. Szkoda gadać.

– OK.

Marcin musiał zwolnić się u Lenki. I już frunął na spotkanie ze swoim najlepszym przyjacielem.

– Marcin, co ty tak nagle, jak babka? W pracy nic nie wspomniałeś. Musiałeś dopiero przez telefon umawiać się ze mną? – Rozpoczął Artur.

– Chcę pogadać bez świadków, a w robocie to mało możliwe. Napić się z tobą chcę i pogadać. Wiesz, w robocie nigdy nie ma czasu, każdy nasłuchuje. Ściany mają uszy. I jeszcze wciąż Magda się kręci. Zawsze przy mnie.

– Przecież pracujecie razem... Dziwisz się. Odstawiłeś ją na boczny tor tak nagle. Poznałeś tę swoją Lenę. Nie powiem, to babka z klasą. Superfajna jest. Wszyscy to wiedzą. Ale Magda tego nie rozumie. Marcin, ona wciąż cię kocha. Zawalił jej się świat. Ty jej ten świat rozpieprzyłeś. Nie trzeba wojny, by się załamać. A zresztą Magda jest niczego sobie. Lena też... Jakbym miał wybierać, trudno by było się zdecydować. Obie fajne dupki, chodzący seks, mądre babki.

– Na szczęście nie musisz tego robić – Marcin przerwał spekulacje.

– Dobra, nie wściekaj się, stary. Wiesz, że dobrze ci życzę.

– Wiem.

– Wszyscy wiedzą, że Magda tak łatwo nie odpuści Lenie. Byłeś dla niej kimś więcej niż partnerem w grze. Nie odpuści, to pewne.

– O czym ty gadasz? Jak to Magda? Przecież ona nigdy... My nigdy... Co ty, Artur?

– Marcin, kurwa, na jakim ty świecie żyjesz?

Język mu się rozwiązał, sporo już wypił.

– Nigdy między nami do niczego nie doszło. Magdalena to koleżanka z pracy. Lubię ją, to wszystko. No, raz, w Wigilię, ale to stare dzieje. Poza tym nie znałem wtedy Lenki.

– To wszystko? Myślisz, że zrozumiałem? Ja może tak, ale ona? Ty chyba żartujesz? Ślepy i głuchy jesteś? Tak się nie postępuje – Artur starał się pouczyć

kolegę.

– Przecież ona... A zresztą napijmy się, bo i tak się z tobą nie dogadam. No to za moje kawalerskie.

– Niech będzie. Życzę ci, to znaczy tobie i Lenie wszystkiego najlepszego. Szczerze życzę. Wiesz, że tak jest.

– Wiem.

– Boję się o Magdę.

– Ja też się o nią boję...

## Byliśmy zdziwieni

Smarowałam chleb masłem, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć, Lena – odezwała się Weronika, żona Artura.

Nie lubiłam jej. Artura tak, owszem, tolerowałam, ale ona? Jedyne, co mi się u niej podobało, to jej samochód.

– Witam. Coś się stało? – Spytałam niepewnie. Weronika rzadko do mnie dzwoniła. Musiało się coś wydarzyć. Coś było nie halo.

– Nic się nie stało. Nie denerwuj się. Po prostu mam do ciebie sprawę, dość nietypową zresztą.

– Zamieniam się w słuch. O co chodzi?

– Czy mogłabyś mi dziś pomóc.

– W jaki sposób?

– Chciałabym, to znaczy chcielibyśmy z Arturem, żebyś przypilnowała naszej córki.

– Że co?

– Będiesz najlepsza, najbardziej odpowiednia dla naszej Oliwki.

Co za tupet. Jak ona może mi coś takiego proponować? Nie odmówię jej tylko z uwagi na Artura. W przeciwnym razie za żadne skarby bym jej nie pomogła.

– Dobrze, przywieź małą o szesnastej. Będę już w domu. Popilnuję waszego dziecka. O której ją odbierzecie?

– Nie wcześniej jak o dwudziestej drugiej. Mamy pilną sprawę do załatwienia. Niestety poza Warszawą.

I znów krok za krokiem do przodu, życie porywa nas w nurt swej rzeki. Dopóki żyjemy, ciągle jesteśmy narażeni na jakiś poplątany los, który gdzieś na nas czyha i nigdy nie odpuszcza. Czasami jest dla nas łaskawszy, innym razem nie taki, jakiego byśmy się spodziewali. Czasami płyniemy z prądem, innym razem pod prąd. Większość życia raczkujemy zaledwie, a tylko czasami udaje się nam wstać i na wyprostowanych nogach iść do przodu. Tylko niekiedy idziemy z głową w chmurach. Mało jest tych niekiedy. Mało jest takich dobrych chwil...

Po telefonie Weroniki z prędkością rakiety wsiadłam do samochodu i pojechałam do kliniki Marcina. Również z prędkością światła udało mi się znaleźć pod drzwiami jego gabinetu. Zapukałam. Nikt mnie nie prosił. Złapałam za klamkę i delikatnie ją nacisnęłam. Weszłam cichutko.

– A co ty tu robisz, Lenka? – Marcin wstał od laptopa.

– Musiałam, chciałam – zaczęłam się jąkać.

– Coś się stało?

– Czy musiało się coś stać? Po prostu się stęskniłam.

– Nie uwierzę, Lena. Przecież ty nie lubisz tu przyjeżdżać.



– Teraz lubię. Poczekam, a gdy skończysz, razem gdzieś pójdziemy, jakaś knajpa. OK?

– Znakomicie. Zaraz się zbieram.

– Mamy mało czasu...

– Dlaczego? O co chodzi?

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię...

\* \* \*

## U Artura

Wieczorem, po wielkich zakupach i przygotowaniach do świąt, Marcin zamówił taksówkę i wyruszyliśmy do Artura. Zapowiadało się małe pijaństwo, w przeciwnym razie Marcin zabrałby mnie samochodem. Ale cóż, czasami i tak bywa. Sama miałam ochotę się napić. Choć niekoniecznie z Chojnackim.

– Witam państwa, witam szanownych.

Artur z uśmiechem zaprosił nas do środka. Od samego progu wyczuwałam się ze mną w taki sposób, że nie tylko ja, ale i Marcin zwrócił uwagę, a jest przecież w tych sprawach bardzo tolerancyjny. W końcu byli przyjaciółmi, więc mogli wobec siebie wszystko. Mnie akurat taka adoracja teraz przeszkadzała.

– Obawialiśmy się z Weroniką, że nie przyjdziecie. Miałem po was dzwonić.

– Nie mogliśmy się wygrzebać. Wiesz, Artur, jak jest. Ciągłe w biegu.

– Wiem, Marcin, wiem. Dola lekarzy – skinał przyjaciół.

– Nie tylko – zaprotestowałam.

– Lenka, wchodź, proszę – Artur zwrócił się w moją stronę.

– Najpierw życzenia. OK – byłam zakłopotana i trochę zawstydzona.

Artur był moim pierwszym ginekologiem w Warszawie i ciągle nie mogłam tego faktu wymazać z pamięci. To jemu zaufałam najpierw, zanim zdecydowałam się na opiekę Marcina. Tyle czasu minęło, a mnie wciąż jakoś trudno było tamtą sytuację zaakceptować. Dziś też nieswojo się czułam w mieszkaniu Artura, a przy nim jeszcze gorzej. Patrzył na mnie tak dziwnie. Marcin też to zauważył. Peszyłam się bardzo, mimo że byli sami znajomi. Przeszkadzało mi zachowanie Artura. Ten jego wzrok ciągle skierowany na mnie był nie do zaakceptowania.

– Fajnie, że jesteście – nagle rozległ się głos Magdy.

– Marcin, pozwólcie tu bliżej – poprosiła, byśmy podeszli.

– Cieszę się, że przyszłaś – Artur złapał mnie niepostrzeżenie za rękę i przytrzymał chwilę, gdy przechodziłam z Marcinem w kierunku pani doktor Samperskiej.

Zatrzymałam się.

– Artur, nie jestem sama. Przyszłam z Marcinem. Nie sądzisz, że twoje zachowanie jest co najmniej niepoważne? Zupełnie nie na miejscu – skarciłam go dość głośno, odrywając się od jego dłoni.

Marcin widział całe zajście, ale skoro nie protestowałam za bardzo, on też nie robił zamieszania. Zmierzał sam w kierunku Samperskiej. Zwyczajnie mnie zostawił.

– Przepraszam, Lena, to emocje.

– Jakie emocje, o czym mówisz? Artur, ty się słyszysz? – Oburzyłam się.

– Lena, chcę porozmawiać.

– O czym?

- Chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się, że wtedy mnie pierwszemu zaufałaś.
- Artur!
- Tak przecież było.
- Ale dawno temu. Nie wracajmy do przeszłości, proszę cię. Dostatecznie dużo błędów popełniłam w swoim życiu. Ta wizyta u ciebie wtedy w klinice, to jeden z nich.
- Przykro mi, że w kategorii błędu postrzegasz tamtą sytuację w moim gabinecie. Ja chciałem jedynie pomóc.
- Mnie chciałeś pomóc czy Marcinowi?
- Nie odpowiedział. Chyba go zaskoczyłam.
- Lena, wytłumacz mi tylko jedno, bo nie rozumiem ciebie. Przecież znałaś Marcina i mnie prawie tak samo krótko, dlaczego nie chciałaś, żeby on cię leczył? Wybrałaś mnie.
- To nie tak. Nie wolałam, bo cię w ogóle nie znałam. Posłuchaj! To Marcin wybrał właśnie ciebie. Polecił mi spotkanie z tobą. Podpowiedział wizytę u ciebie. Nie powtórzyłabym tego. Nie zrobiłabym takiej głupoty już nigdy. Kocham Marcina i ufam mu bezgranicznie, wtedy tak nie było. Nie mogę cofnąć czasu, nawet gdybym chciała.
- No właśnie, myślę, że za bardzo Marcinowi na wszystko pozwalasz. – Jak to rozumiesz?
- Dlaczego pozwalasz się tak traktować? Zobacz, jak ta Samperska klei się do niego. Lena, ja zostawiłbym dla ciebie wszystko, całe dotychczasowe życie. Pozwól sobie pomóc. Jeszcze nie jest za późno. Czy mówiłem ci już, że wglądasz jak bogini? Zawsze mi się podobałaś – nie ukrywał fascynacji moją osobą.
- Artur, przestań. Za dużo wypiełeś – pokręciłam głową.
- Nie na tyle, żeby nie wiedzieć, co mówię.
- A Weronika? Co z nią? Co z dzieckiem? Przecież macie córkę?
- To nie jest moje dziecko... – zatrzymał się, jakby się czegoś przestraszył. – Jesteś jedyną osobą, której zdradziłem mój... nasz sekret. Od początku trzymałem tajemnicę. Nawet moja matka nie wie. Ufam ci, Lena.
- Ale mała uważa cię za ojca. Jesteś dobrym ojcem. To widać.
- Staram się.
- Artur, nie zachowuj się jak dzieciak, bo zaraz wyjdę – zagroziłam.
- Niczego nie zrobię Marcinowi, żadnego świństwa. Ani jemu, ani tobie. To mój przyjaciel. Jesteście dla mnie zbyt ważni.
- Tym bardziej ja. Artur, ja też nie zamierzam robić czegokolwiek wbrew Marcinowi, ja go kocham. Kiedy w końcu to do ciebie dotrze? Kocham Marcina – mówiłam coraz głośniej.
- Ale Lena, obiecaj mi, że jeśli będziesz potrzebowała w życiu jakiegokolwiek pomocy, powiadomisz mnie o tym. Chcę, żebyś wiedziała, że możesz na mnie

liczyć.

– Artur, ja mam na kogo liczyć. Mam Marcina.

– Pamiętam. Żeby nie był moim przyjacielem, to...

– Jesteś pijany, Artur, skończmy tę rozmowę – skarciłam go.

Usiadł na kanapie i zamyślił się na dłużej.

– Dobrze, że jesteście – Magda zwróciła się do mnie i Marcina, wcale o takie potwierdzenie nieproszona.

Teraz zwróciłam na nią szczególną uwagę. Stała w rogu pokoju, przy balkonie, i wciągała dymek z papierosa. Kątem oka obserwowałam Marcina. Zapewne cieszyła się, że jest. Z mojej wizyty była mniej zadowolona. Udało jej się nawet zaprosić Marcina na wspólną fajkę.

Byłam jednak dziwnie spokojna. Gdyby Marcin chciał być z nią, dawno by to zrobił, a przecież mnie wybrał. Nie miałam pojęcia dlaczego. Magda naprawdę miała klasę.

Impreza była udana. W miłych nastrojach taksówką wróciliśmy do domu. Marcin na szczęście o nic nie pytał, ja też nie zamierzałam się tłumaczyć z niczego. Daliśmy sobie spokój. Niepotrzebne nam były domysły. Zaufanie stanowiło dla nas największą wartość.

\* \* \*

## Na ginekologii – szczerą rozmowa z Magdą

Marcin wszedł do pokoju lekarskiego. Zegar przebijał ciszę głośnym tykaniem. Dochodziła dziewiętnasta. Był bardzo zmęczony. Usiadł na sofie pod ścianą i na chwilę zamknął oczy. Dopiero teraz przypomniał sobie, że dzisiaj nie dzwonił do Leny. Nie miał czasu. Cholerny dzień. Wyciągał komórkę z kieszeni.

Na dyżurkę weszła Magdalena. Usiadła blisko niego, lecz w bezpiecznej odległości. Głęboko westchnęła.

– Boże, dodaj mi sił. Już nie mogę. Co za ciężkie dni. Kiedy to się skończy?  
– Zapytała sama siebie. Pachniała dobrymi perfumami.

Jak ona to robi po całym dniu pracy – zastanawiał się Marcin.

Nie zdążyli zamienić ani słowa, gdy dołączył do nich Artur Chojnacki. Nie wyglądał na wypoczętego. Był bardzo wyczerpany i zły na cały świat. Zaraz za nim w drzwiach pojawili się Grzegorz i Paweł. Ginekolodzy to przede wszystkim faceci. Mało jest kobiet w tym zawodzie, a tak dobrych ginekologów jak Magda Samperska można w Warszawie ze świecą szukać.

Wszyscy byli po trudnym dyżurze, a dzień niestety jeszcze się nie skończył. Odebrali dziś więcej porodów niż przez cały ostatni miesiąc. Nie były łatwe. Dzieciaki pchały się na świat, ale nie szło im z górki.

– Może zrobię herbatę? Ktoś się napije? – Zapytała Magda.

– Madzia, plis, ale zrób kawę, i to szatana, bo w przeciwnym razie nie będzie z nas żadnego pożytku. Wiesz, ile jeszcze pracy przed nami – oznajmił Artur.

– Wiem i mam tego dosyć. Biorę urlop. Muszę odpocząć. Gdzieś wyjadę. Dobrze mi coś takiego robi. Słodzicie?

Magda nie czekała na kontynuację dialogu, kładąc zieloną cukierniczkę na małym wiśniowym stoliku lekarskim.

– Proszę, gotowa – dodała z niewielkim entuzjazmem w głosie.

– Pyszna ta twoja kawa jak zwykle, Madziu – pochwalił Marcin, po czym wziął telefon i wybrał numer do Leny.

– Słucham cię, kochany.

W słuchawce usłyszał przemiły dla swojego ucha głos. W Lenie zakochany był do szaleństwa. Nie wierzył, że aż tak mocno można kogoś pokochać.

– Lenka, cześć, przepraszam, że nie dzwoniłem. Kochanie, mam nawet roboty. Postaram się za jakieś trzy, cztery godziny być w domu. Kocham cię.

– OK. Przyszykuję coś dobrego do jedzenia i będę na ciebie czekała. Też cię kocham, przecież wiesz, bardzo – szeptała do słuchawki.

– Nic nie szykuj, będzie już noc, gdy wrócę... Nie gniewasz się?

Marcin był bardzo szczęśliwy, że Lena zaczęła się otwierać. Zaczęła głośno

mówić o swoich uczuciach. Już się nie bała. W dużej części była to przecież jego zasługa. To jemu w końcu zaufała, choć nie było to dla niej łatwe.

– Nie mam powodu, żeby się gniewać. Marcin, wiem, że jesteś w pracy. Rozumiem. Przecież nie jestem dzieckiem – odezwałam się całkiem logicznie. – Porozmawiamy, jak wrócisz. Czekam. Nie zasną bez ciebie.

– Pa, Kocham cię – po tych słowach wyłączył telefon i nieco się rozmarzył.

– Marcin, czy będziesz miał czas, żeby porozmawiać ze mną? – Spytała Magda.

– A o czym chcesz rozmawiać? – Był spokojny, ale wyczuwał, że łatwo nie będzie.

– To sprawa prywatna.

– Madziu, my już nie mamy żadnych prywatnych spraw, odkąd poznałem Lenę. Nie mamy i chyba nigdy nie mieliśmy. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Chcę jednak, by relacje między nami, zwłaszcza te służbowe, nie uległy zmianie. Wiesz, że bardzo cię lubię i cenię. Ale musisz mnie zrozumieć. Pozostałe relacje z tobą muszę bardzo zawęzić.

W pokoju powoli robiło się pusto. Lekarze rozchodzili się do domów lub na nocny dyżur.

– OK, zrozumiałam. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie. Tylko szczerze. Co ona ma takiego, ta twoja Lena, czego ja nie mam?

– Nie wiem, Magda, nie wiem, ale to coś, co ma, sprawiło, że urodziłem się na nowo i chcę żyć u jej boku, i z nikim innym, tylko z nią. Od momentu, kiedy po raz pierwszy z nią rozmawiałem, tak właśnie czuję.

– Czyli to miłość od pierwszego wejrzenia?

– Tak to można nazwać. Kocham Lenę do szaleństwa. Zaprzęta wszystkie moje myśli. Nie potrafiłbym żyć już bez niej – wyznał koleżance.

– Ale wiesz, że wiązesz się z kobietą, która ma dziecko? Ze mną miałbyś inaczej. Nie mielibyśmy żadnych zobowiązań, oboje dzieci nie mamy. Oboje też wykonujemy ten sam zawód.

– Córka Leny w ogóle mi nie przeszkadza. Traktuję ją, jakby była moim dzieckiem. Poza tym jest dorosła i zaakceptowaliśmy się dość szybko. Sam nigdy nie zdecydowałem się na dziecko. Chcę je teraz obie rozpieszczać, Lenę i Paulinę. Są tego warte. To dobrze, że każde z nas wykonuje inną pracę. To bardzo zdrowe dla naszego związku. Wierzę w to bardzo.

– Nawet nie wiesz, w co się pakujesz – postraszyła Magda.

Była zazdrosna. Liczyła, że to właśnie ona zostanie moją żoną. Ale ja kochałem Lenę. Moją Lenę. Lubiłem Magdę, owszem, ale – do jasnej cholery – nie kochałem jej nigdy. Bóg mi świadkiem, nie wiedziałem, że się we mnie kocha. Że nie jestem jej obojętny. Nigdy wcześniej mi o tym nie wspomniała. Lena też na początku nie mówiła, ale ona to co innego. Ja ją po prostu bardzo kocham. Lena

niczego nie musiała mi udowadniać. Najważniejsze, że zjawiała się w moim życiu, wprowadziła się do niego i w nim została.

Pozostał już tylko ze swoimi myślami. Wszyscy porozchodzili się do swych zajęć. Magda też zniknęła niepostrzeżenie.

W ostatniej chwili na korytarzu kliniki Marcin przyłapał Artura. – Posłuchaj, musisz mi pomóc. Liczę na ciebie. Musisz mnie jutro zastąpić. Jedziemy z Leną do jej rodziców. Potem do moich. Musimy zrobić jakieś zakupy. Czasu niewiele, a roboty ogrom. I niedzielę też muszę mieć wolną.

– OK, stary, masz to załatwione.

– Wielkie dzięki.

Marcin pospiesznie dopił kawę i udał się na blok operacyjny. Miał jeszcze jeden zabieg, a potem chciał jak najszybciej wybyć do domu. Tęsknił za Leną. Chciał już ją mieć blisko siebie. Kochanie się z nią było dla niego prawdziwą rozkoszą.

## Drugie oświadczyiny

W sobotę spałam jeszcze dość mocno, gdy Marcin delikatnie musnął ustami moje czoło.

– Witaj, kochanie. Wyspana? Chyba coś ci się śniło. Obserwowałem cię. Byłaś taka niespokojna.

– Wiesz, rzeczywiście... W sumie nie pamiętam, o czym śniłam – próbowałam sobie przypomnieć.

– Wstawaj. Nie myśl już o śnie. To nieważne.

– Zaczekaj, Marcin, już sobie przypomniałam, wiem... Twoje oczy... Tak, przyśniły mi się twoje oczy. Były piękne, takie jak w rzeczywistości. Cudne, jak błękitne niebo, z głębią dojrzałych pomarańczy.

– Lena, proszę cię. O co chodzi? – Marcin nie dowierzał.

– Tak, oczy i drzewa pomarańczowe. Cały sad pełen pomarańczy... Wiesz, co to może oznaczać? Zresztą, cokolwiek by to znaczyło, warto było te cuda zobaczyć.

– Nie, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Powinniśmy już wychodzić, a ty jeszcze nie wstałaś.

– A ja wiem. W senniku piszą, że sad pomarańczowy we śnie oznacza szczęście i dostatek we wszystkim.

– Lena, wierzysz w to? Przecież to zabobony. Sen mara, Bóg wiara. Przecież jesteś osobą wierzącą. Nie zaprzeczam, że zrobię wszystko, żebyś była ze mną szczęśliwa. Dopilnuję tego, ale nie mam zamiaru słuchać głupot.

– Marcin, wierzę, że tak będzie.

– Koniec z bajkami. Musimy wstawać, jeśli chcesz zdążyć pozałatwiać zaległe sprawy przed wyjazdem do rodziców.

– Dobrze. Wiem, Marcin, zaraz wstaję, jeszcze chwilka. Nie czuję się wyspana, ale czuję, że ten mój sen to raczej dobry znak na przyszłość.

Że tak było naprawdę, przekonywałam się coraz częściej.

– Pijesz kawę czy zaparzyć ci mocnej herbaty?

– Wolę kawę. Muszę się obudzić. Może zrobimy grzanki?

– Pani Adela zrobiła nam naleśniki z serem. Może nie róbmy jej przykrości i zjedzmy te pyszności?

– Dobrze. Mogą być – zgodziłam się, wstając z łóżka i udając się prosto pod prysznic. Musiałam poczuć poranek.

Marcin dołączył do mnie, dzięki czemu nasze wyjście na zakupy przedłużyło się o całe półtorej godziny. Nie żałowałam tego. W ogóle niczego nie żałowałam. Bliskość z Marcinem to sama przyjemność.

W znakomitych humorach wyruszyliśmy do mokotowskiej galerii. Jak zwykle obkupiliśmy się od stóp do głów. Oboje byliśmy przekonani, że jadąc do



rodziców, trzeba wyglądać świeżo i młodo.

Wyjechaliśmy przed południem. Było dość ciepło i przyjemnie. Wiał delikatny wiaterek. Najpierw wyruszyliśmy do moich rodziców. Musieliśmy im przedstawić nasze dalsze życiowe zamiary. Nie obawiałam się ich reakcji i wcale się nie pomyliłam. Mama uwielbiała Marcina. Ojcu też się podobał. Wreszcie uwierzyłam, że ze świąt też można czerpać radość. Świąta są dobre dla rodzin, a nie dla samotnych, to pewne.

– Tak bardzo się cieszymy, że przyjechaliście – zakomunikowała mama.

– Świetnie, że jesteście – wtórował jej ojciec.

– Na pewno bardzo zmęczeni. Zjemy obiad i możecie odpoczywać.

Moja mama jak zwykle zarządzała. Nie broniliśmy się przed niczym. Zdążyliśmy już dawno dorosnąć, rozumieliśmy, że taka jest rola matki i nie ma co bronić się przed jej decyzjami.

– Smakuje wam? – Pytał ojciec, wskazując na danie, które prawie kończyliśmy.

Obydwoje przytaknęliśmy.

Nagle rozległ się dźwięk komórki. Marcin wstał od stołu. Było widać, że czeka na jakąś wiadomość. Za chwilę zadzwonił dzwonek. Marcin podszedł do drzwi i odebrał kwiaty. Było ich tak dużo, że mój ojciec zerwał się od stołu, by mu pomóc je przytrzymać. Rozpoczęło się wielkie rozdawanie.

– Chciałbym prosić o rękę państwa córki. Chciałbym być częścią jej życia. Chcę, żeby ona była całym moim. Kocham państwa córkę. Będę o nią dbał i rozpieszczał ją, na ile to możliwe. Troszczył się o nią i ją wspierał. Jest dla mnie najważniejsza na świecie – mój pan doktor wyrecytował pewnym głosem moim rodzicom.

Mama z radości aż podskoczyła na krześle. Te słowa były jej marzeniem. Marcina pokochała od razu, tak jak on pokochał jej córkę. Zanim się zorientowała, jej drobną sylwetkę zakrywał prawie w całości wielki bukiet czerwonych, długich róż, które wręczył jej Marcin.

– Chcę być z tobą, być razem. Chcę zawsze opiekować się tobą. Już zawsze. Chcę dzielić z tobą szczęście i radość, wszystkie kłopoty i smutki. Kocham cię do szaleństwa. Leno, czy zechcesz zostać moją małżonką? Zgadzasz się? – Oświadczył mi się, klękając przede mną i wręczając kwiaty równie piękne i świeże jak te, które dostała moja mama.

– Marcin, czasami myślę, że dyrektor i ordynator pod jednym dachem nie wróży nic dobrego. To mieszanka wybuchowa. Ale jeśli nalegasz... – żartowałam.

– Lenka, proszę, bądź poważna – uśmiechnął się.

– A więc dobrze. Tak. Zgadzam się. Zostanę twoją żoną. Daję ci słowo harcerza. Nie chcę dłużej czekać. Nie będę. Jestem tego pewna jak niczego w życiu. Kocham cię, Marcin. Chcę dzielić z tobą każdy dzień i każdą noc. Chcę być

twoja. Chcę, żebyś był mój. Dzięki twojej miłości jestem bezpieczna, kochana i spełniona – rozmarzyłam się.

Nie mogłam nic więcej z siebie wydobyć. Nie wiedziałam, że będzie to dla mnie tak wzruszający moment. Marcin pocałował wewnątrz mojej dłoni. Był szczęśliwy. Ja też byłam...

Do wieczora trochę sobie wypiliśmy. Na naszą uroczystość przyszli też Beata z Michałem i dziećmi. Cudownie jest tak poprzebywać z rodziną, zwłaszcza kiedy tak rzadko się ją widuje.

Noc była piękna, a ja szczęśliwa.

Wczesnym rankiem zjedliśmy śniadanie i wyruszyliśmy do rodziców Marcina. Im też należało zakomunikować o naszych życiowych decyzjach, o naszym ślubie, o naszym szczęściu.

Tym razem Marcin oficjalnie przy swoich rodzicach oświadczył po raz enty, że się żeni. Znowu zostałam obsypana kwiatami. Klasyka w szerokim wydaniu. Był prawdziwym dżentelmenem, to trzeba przyznać. Jak go nie uwielbiać?

Jego rodzice byli bardzo szczęśliwi. Byłam ich wymarzoną synową. Jedyłą córką. Własnej nie mieli przecież.

## Szara rzeczywistość

– Lenka... – Marcin wyrwał mnie z rozmyślań. Siedziałam przy laptopie i kończyłam zaległe dokumenty. Trochę udawałam, że pracuję. Tak naprawdę nie potrafiłam się skupić, dlatego też moja praca stała w miejscu. Czas biegł do przodu, a ja w zasadzie się nie poruszałam.

– Słuchasz mnie? – Spytał.

– Tak, oczywiście, że słucham.

– Lena, pomyślałem, że może jutro przyjechałabyś do kliniki...

– Wiem, że powinnam.

– A więc?

– Ale jutro nic z tego nie będzie. Mam sporo pracy w przedszkolu. Marcin, mówiłam ci, że mamy ważną uroczystość.

– No wiem, ale przecież przyjedziesz dopiero o trzeciej.

– Nie wyrobię się. Nie dam rady.

– Weźmiesz mój samochód. Rano najpierw mnie odwieziesz, później zawieziesz siebie, bez filozofii. OK? Potem przyjedziesz do mnie. Po pracy. O trzeciej chyba będziesz mogła? – Uzgodnił, nie konsultując się ze mną.

– Dobrze – zgodziłam się, chociaż nie byłam przekonana. Ale nie chciałam, żeby Marcin znów musiał tłumaczyć mi coś przez pół nocy. Nie miałam siły. Byłam naprawdę zmęczona.

– Cieszę się, że się dogadaliśmy.

Uśmiechnęłam się na znak porozumienia.

– Chodź, położymy się wcześniej...

– Dobrze, idę się wykapać – zgodziłam się.

– Nie będziesz jadła kolacji?

– Chyba nie – pokręciłam głową. – Ale ty idź, zjedz...

– Dobrze, tylko szkoda, że znów jestem sam ze sobą podczas jedzenia.

– Niech ci będzie, zaraz do ciebie dołączę.

Nie miałam chęci brać samochodu Marcina, choć nieraz już przecież nim jeździłam.

Rzeczywiście położyliśmy się wcześniej. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

\* \* \*

## Koncert w Rzeszowie

– Co się dzieje? Marcin, nie za bardzo mogę teraz rozmawiać. O co chodzi? Kotek... – byłam zdziwiona, że Marcin dzwoni. Nie umawialiśmy się. Zaraz po pracy chciałam jechać do domu i odpocząć. Marzyłam o odpoczynku przez cały weekend. Zanosił się na coś zupełnie innego.

– Kochanie, skoro nie chcesz mnie wysłuchać, trudno. Później ci powiem.

– O czym?

– Przyjadę po ciebie do przedszkola. Razem wrócimy do domu.

Wyłączył się. Nie miałam czasu na rozmyślenia. Goniła mnie praca.

– Już jesteś? – Spojrzałam na zegarek ścienny.

– Zdziwiona?

– Trochę.

– Lena, tęskniłem.

– Marcin, koniec żartów. Biorę samochód i jadę do domu.

– Podaj kluczyki i dokumenty. Kazimierz czeka na parkingu – oznajmił mój lekarz.

– Znów niczego nie ustalasz ze mną?

– Lena, zaufaj mi. Nie będziesz żałowała – poprosił.

Włożyłam płaszcz, zamknęłam gabinet. Wyszliśmy przed budynek przedszkola. Było zimno, lecz pachniało wiosną.

– Wsiadaj!

Marcin otworzył drzwi samochodu. Weszłam, choć nie miałam ochoty.

– Nie tak się rano umawialiśmy – miałam pretensje.

– Oj, Lenka, nie złość się.

– A więc o co chodzi? Co za wiadomość nie mogła trochę poczekać? Zaskocz mnie. Słucham.

Nie byłam przyjemna. Marcin ciągle mnie gdzieś wyciągał, a ja chciałam trochę pomieszkać z nim w domu.

– Kochanie, jutro wyjeżdżamy.

– Żartujesz? Prosiłam cię już nieraz, żebyś niespodzianki ustalał ze mną wcześniej.

– Nieprawda. Niespodzianek się nie zdradza, bo nimi nie będą.

– Marcin, ty jak dziecko.

– Mówię, że nie będziesz żałowała.

– Gdzie chcesz jechać? Bo ja nie mam zamiaru. Jestem zmęczona. Marzę, by odpocząć. Zostańmy w domu – prosiłam.

– Lepiej się czujesz? Co z nogą? To ważne.

– Dobrze, już dobrze. Mam kilka sińców, ale to bez znaczenia. Nie bolą.

– Do Rzeszowa, zabieram cię do Rzeszowa.

- Po co?
- Na koncert.
- Na koncert możemy pójść w Warszawie w każdej chwili.
- To coś wyjątkowego.
- Nie żartuj. Co może być wyjątkowego w Rzeszowie?
- Twoja Ania...
- Jaka Ania?
- Ta, którą kochasz najbardziej.
- Nie? Masz na myśli...
- Tak. Koncert pamięci Anny German.
- Marcin! Proszę, nie mam ochoty na zgadywanki.
- Naprawdę.
- Boże! Nie wierzę.
- Chcesz jechać czy nie?
- Co to za pytanie? Pewnie. Dziękuję, Marcin...

Podjechaliśmy pod dom. Byłam oszołomiona tym, co usłyszałam. Nie mogłam już o niczym innym myśleć. Rozpłakałam się.

- Lenka, proszę cię – podał mi chusteczkę.
- Po prostu mnie wzruszyłeś.
- Ale nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała. Tego nie planowałem.
- Jeśli płaczę, to tylko ze szczęścia. Zresztą ty wiesz. Marcin, o której jest ten koncert? Skąd się o nim dowiedziałeś?
- Boże, Lena, ty jak zwykle taka sama. Chodź, usiądź wreszcie. Zrobię herbatę. Napijesz się?
- Tak, najlepiej wina. Dużo wina...
- Dobrze, niech będzie wino.

W nocy nie spałam. Chyba za dużo wypiałam. Wiadomość o wyjeździe była dla mnie ogromnym przeżyciem.

Marcin wstał pierwszy. Zrobił kawę i jajecznicę. Nie miałam ochoty, ale nie marudziłam. Nie mogłam się doczekać wyjazdu.

- Dziękuję – popłynęły mi łzy.
- Później mi podziękujesz, po koncercie.
- Co masz na myśli?
- To tajemnica – uśmiechnął się.

Wyjechaliśmy przed południem. Był piękny dzień. Słońce przyświecało dość mocno. Byłam spokojna i szczęśliwa. Nie mogłam się doczekać. Marcin podał mi koc. Zasnąłam w samochodzie, było mi dobrze. Prowadził ostrożnie, naprawdę się starał.

Podjechaliśmy pod hotel.

- To następna niespodzianka? Czym mnie jeszcze zaskoczysz?

– Zobaczysz. A teraz wysiadaj.

Poszliśmy na obiad. Usiedliśmy przy zarezerwowanym stoliku. Kiedy Marcin to wszystko ogarnął?

Od dłuższego czasu przyglądali się nam jacyś ludzie. Czułam ich wzrok na sobie. Byli dużo starsi od nas.

– Zapraszamy do nas – odezwał się szpakowaty mężczyzna.

Skorzystaliliśmy z zaproszenia. W Rzeszowie nie znaleźliśmy nikogo. Byliśmy tu całkiem sami. Miło było poznać panią Łucję i jej męża Karola.

– Co państwo tu robią? – Spytał pan Karol.

– Przyjechaliśmy na koncert.

– Anny German? Na jej koncert przyjechaliście? Przecież wy jesteście tacy młodzi – zdziwił się.

– Żona uwielbia panią Anię, to dla niej tu jesteśmy – usprawiedliwił się Marcin.

– My też ją kochamy, oboje – wskazał na siebie i żonę.

– Skąd państwo przyjechali?

– Z Berlina. A wy, młodzi?

– My z Warszawy.

– To może razem pójdziemy?

– Nie mamy nic przeciwko, będzie nam bardzo miło – tym razem to ja się odezwałam.

– A więc jesteśmy umówieni.

– Tak, do zobaczenia o osiemnastej. Miło było państwa poznać.

Koncert był świetny. Nie potrafię nic więcej powiedzieć. Strasznie się rozplakałam.

– Lena...

– Kocham cię. Dziękuję.

– Nie płacz.

Myślę, że oprócz Marcina nikt tego nie zauważył. Z państwem seniorstwem spotkaliśmy się na śniadaniu. Wymieniliśmy telefony z zapewnieniem, że to nie koniec naszej przyjaźni. W sobotę po południu wyjechaliśmy do domu.

Miałam wiele do zrobienia. Przede wszystkim podziękować mojemu mężczyźnie. Przecież obiecałam mu, a harcerka dotrzymuje słowa...

## Ślub

Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Sceneria prawie jak z filmu, a my jak dwa łabędzie, które już na zawsze będą razem. Czy naprawdę tak się stanie, przekonam się już wkrótce.

Wszystko na najwyższym poziomie. Co prawda Marcin chciał, żeby ceremonia ślubna i wesele odbyły się w Zakopanem – właśnie w górach wszystko sobie wymarzył – ja jednak uparłam się, że uroczystości mają się odbyć w Warszawie. Wierzyłam, że w stolicy będzie najwytworniej i najprzyjemniej. Tu oboje mamy większość przyjaciół i znajomych.

Rodzice, zarówno moi, jak i Marcina, i tak nie mieszkali w Warszawie, więc było im wszystko jedno, gdzie odbędzie się ślub i wesele. Czy będą musieli pofatygować się do stolicy gór, czy na Mazowsze, nie robiło im większej różnicy. Stało na moim.

Nie spodziewaliśmy się tak wielu gości, zwłaszcza że braliśmy jedynie ślub cywilny. Wesele odbyło się w znacznie rozszerzonym gronie, nie tak, jak myślałam wcześniej. Przybyli moi rodzice, rodzice Marcina, mój brat, bratowa i ich dzieci, brat Marcina ze swoją koleżanką, mój chrzestny i wiele osób z rodzin mojej i Marcina. Była też Ula z mężem, Artur z Weroniką. Przyjechała Anka ze swoimi dziećmi. Niestety bez męża. Była rozwódką od dziesięciu lat. Zaskoczyli nas swoją obecnością koledzy Marcina i moje koleżanki z pracy. Nawet Magda ze swoim nowym partnerem Waldemarem zaszczycili nas swoją obecnością. Nie znałam tego Waldemara, ale nie było mi przykro. Zresztą nie byli długo. O północy już ich nie widziałam. Było mi to nawet na rękę.

Za to ich miejsce zajęła moja córka ze swoim Leszkiem. Trochę się spóźnili z powodu opóźnienia samolotu do Warszawy. W końcu dotarli. Powitali nas fantastyczną wiadomością. Również biorą ślub, i to już wkrótce. Ta informacja była dla mnie najpiękniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymałam.

Stoły uginały się pod ciężarem potraw. Były one bardzo zróżnicowane i oryginalne. Pyszne i ciekawie podane. Pośród nich, na samym środku olbrzymiego stołu, stał kryształowy talerz, a w nim na czerwonej wstążeczce, na górze mandarynek, błyszczały kluczyki. Owoce były dojrzałe i piękne, jakby przed chwilą ktoś przetransportował je prosto z Afryki i elegancko poukładał. Czy to na szczęście? Bardzo w to wierzyłam.

Że tak było naprawdę, przekonałam się już nieraz.

Kochałam mojego Marcina. On kochał mnie. Cóż, więcej niczego do szczęścia nie potrzebowałam. Zwłaszcza nie był mi potrzebny samochód, który dostałam od mojego męża w prezencie ślubnym.

– I żeby szczęśliwie ci się jeździło. I żeby... Kocham cię.

– Marcin... – szeptałam

– Żebyśmy zawsze szanowali się tak jak teraz. I nigdy tego nie zatracili.  
– Marcin, nie powinienes... Wiesz, jaki stosunek mam do prezentów.  
– Uwielbiam robić ci przyjemności. Widzieć cię szczęśliwą. Nie możesz mi zabronić. Myślę, że powinienem, jak najbardziej powinienem przede wszystkim przewieźć cię tym prezentem, jak najszybciej powinienem.

Przytuliłam się do niego. Czułam się bezpieczna.

Zadzwoiła komórka Marcina.

– Dlaczego nie odbierasz? – Spytałam.

– Co to za pytanie? Nie teraz, Lenka. Zlituj się.

– Może to coś ważnego?

– Ty jesteś najważniejsza.

– Może ktoś z kliniki? Ktoś cię potrzebuje.

– Nie myśl o tym. Najbardziej potrzebuje mnie moja żona, a ja jej.

– Tak bardzo cię kocham, Marcin, tak...

Przerwał mi. Całował moje usta, oczy, szyję, a ja się zastanawiałam nad życiem, nad sobą, nad tymi chwilami, które miały znaczenie i które były teraz bez znaczenia, nad czasem. Myślałam o tych dniach pełnych pustki, kiedy jeszcze nie znałam mojego męża, kiedy byłam sama. To nie były dobre czasy.

Sielanką był ślub i wesele. Sielanką stało się moje życie z Marcinem. Ślub stał się kwintesencją mojej wolności. Chciałam tego. Niczego nie żałowałam. Starsi ludzie mówią, że jaki ślub, takie życie. U mnie ta stara prawda sprawdziła się na sto procent. Po deszczu nastąpiło słońce.

Kocham i jestem kochana. Nareszcie jestem szczęśliwa. Szczęśliwa z moim Marcinem. Chyba tym razem to ja powinnam pocałować schody, na których poznałam mojego męża.

Koniec



